

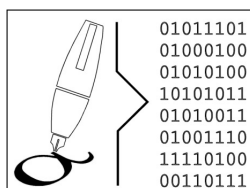
Anthony Piers

Sfery

Przełożył Michał Wroczyński

Wydanie oryginalne: 1977

Wydanie polskie: 1990



Prolog

— Upewniliśmy się, że osoba ta jest obcą istotą zajmującą ludzkie ciało — uroczyście odezwał się Minister Obcych Sfer. — Jego pole Kirliana jest niezwykle intensywne, osiemdziesiąt razy silniejsze od przeciętnego ludzkiego, i posiada odmienny wzór, dotychczas przez nas nie zarejestrowany. Sądzymy zatem, iż ów osobnik jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje: posłem z obcej Sfery.

Ministrowie Ziemskiej Rady Imperialnej rozważyli zagadnienie wnikliwie. Nosiciel Obcego niczym specjalnym się nie wyróżniał. Był normalnym mężczyzną o przeciętnej wadze ciała i dobrym stanie zdrowia, w wieku około trzydziestu lat. Żadna szczególna emanacja z jego oczu, cechy wyrazu twarzy, czy dostrzegalna aura nie zdradzały w nim Obcego. Był to taki sobie zwyczajny człowiek — z jasnym tatuażem na przegubie prawej ręki.

Tatuaż ów był znakiem nosiciela: nieświadomego, pustego, pozbawionego osobowości. Inteligentna animacja tego ciała nawet bez potwierdzającej emanacji Kirliana była wysoce znacząca. Dokonać się mogła wyłącznie w rezultacie dziwnego przypadku... lub dzięki przejęciu przez Obcego. Nie znano bowiem sposobu podrobienia wzoru Kirliana, a Sfera Sol nie dysponowała techniką transferu osobowości z jednego ciała w inne.

Z kolei zabrał głos Regent Planety Ziemia, oficjalnie zwracając się do zajętego ciała.

— Drogi przybyszu, uznajemy cię za posła ze wszystkimi względami należnymi temu urzędowi. Witaj w Sferze Sol. I zapoznaj nas, proszę, z treścią twego posłania.

Na sali panowało niemal dotykalne napięcie. W dziejach rasy ludzkiej podobne odwiedziny miały miejsce zaledwie sześć razy, a każda z nich wywołała wstrząs na miarę kataklizmu. Pierwsza potwierdziła w ogóle istnienie obcego życia rozumnego w innych rejonach galaktyki i dowiodła możliwości transferu. W wyniku kolejnej zakreślono granice bezpośredniej kolonizacji przestrzeni międzygwiazdnej przez człowieka — w promieniu stu dwudziestu lat świetlnych od Sol — celem uniknięcia konfliktów z sąsiednimi Sferami: Gwiazdy Polarnej, Nath, Kanopusa, Spiki i olbrzymiej Sador. Następną wizyta — z pobliskiej Sfery Antares — przyniosła wymianę technologii o zgoła fundamentalnym znaczeniu: za przekazanie przez Sol tajników kontrolowanej reakcji termojądrowej Antares zdradził sekret maternisji. Zrewolucjonizowało to ludzkie imperium gwiazdne dzięki możliwości błyskawicznego transportu. Równie doniosła zapewne była ta wymiana i dla Antaresa, poszukującego bezpiecznego źródła energii na miejscu.

Obecne spotkanie mogło stać się najdonioślejszym wydarzeniem stulecia.

— Nazywam się Pnotl i pochodzę ze Sfery Knyfh — odezwał się Obcy. — Znajduje się ona około pięciu tysięcy waszych lat świetlnych stąd, w kierunku centrum Galaktyki. Nasze dwie Sfery nigdy się dotychczas bezpośrednio nie zetknęły.

Ministrowie Rady przytaknęli głowami. Ich wiedza odnośnie Sfer wewnętrznych była mglista, gdyż większości ich gwiazd pierwotnych nie widać z Ziemi. Z całą jednak pewnością wiele z nich osiągnęło wysoki poziom rozwoju. Bo tak naprawdę, Sol była Sferą bardzo młodą i bardzo małą, galaktyczną prowincją, która dopiero teraz nawiązywała pierwsze stosunki ze swymi cywilizowanymi sąsiadami. Niektóre ze Sfer istniały już tysiące lat i rozciągały się na setki lat świetlnych, podczas gdy Sol uzyskała swoje granice zaledwie przed stuleciem.

— Znamy to miejsce — odezwał się Regent. — Proszę, mów dalej, Pośle z Knyfh.

— Wszedłem w to ciało, by zwerbować Sferę Sol do współdziałania w obliczu kryzysu o skali galaktycznej. Proszę was obecnie, byście ustalili, kto spośród waszego rozumnego gatunku jest w stanie przyjąć transfer wzoru osobowości.

— To zbędne — odparł Minister Obcych Sfer. — Cały czas prowadzimy namiary i jesteśmy stale gotowi. Po kłopotach, jakie miał pierwszy poseł z nawiązaniem kontaktu z naszym rządem, pięćset lat temu...

— On wcale nie był pierwszy — przerwał sucho Pnotl.

— Pierwszy, którego rozpoznaliśmy — odrzekł Regent czerwieniejąc na twarzy.

Badania historyczne dowiodły prawdopodobieństwa kilkunastu wcześniejszych prób kontaktu transferowego. Wszystkie one jednak zakończyły się niepowodzeniem, gdyż wcześniejsze kultury nie wierzyły w ogóle w możliwość odwiedzin lub wcielania się w ludzkie ciała przedstawicieli obcych cywilizacji. Jak wielką szansę pogrzebano w wyniku tej ignorancji!

— Zrozumieliśmy wówczas, że nie możemy sobie pozwolić na dalsze takie kłopoty — ciągnął Minister Obcych Sfer. — Utrzymujemy zatem w stanie gotowości transferowej pewną ilość ciał nosicieli — takich właśnie jak to, które aktualnie zajmujesz — a ponadto prowadzimy dokładny rejestr wszystkich pól Kirliana... — Urwał i po chwili mówił dalej: — Niestety, technika samego transferu jest nam obca. Nie potrafimy przenieść umysłu osobnika naszego gatunku w inne ciało. — Wykonał rękami lekki, przepaszający gest, jakby to była rzecz mało istotna. — Po prostu nie znamy techniki.

Pnotl spojrzał nań uprzejmie, lecz z jakimś dziwnym błyskiem w oczach.

— Przekażemy wam tę wiedzę — rzekł.

Słowa te podziałały na zebranych jak eksplozja bomby ogłuszającej. Nikt nie pozostał obojętny.

— Sekret galaktyki! — wykrzyknął Minister Obcych Sfer. Regent uniósł dłoń.

— Nie kryjemy naszego zainteresowania — rzekł. — Ale informacja taka jest dro-

gocenna i nim poczynimy jakiegokolwiek zobowiązania, musimy wiedzieć, czego żądacie w zamian.

— Jaka jest cena? — chrapliwym głosem wykrzyknął Minister Techniki, śliniąc się niemal z pożądlivości i obaw.

Otrzeźwiło to innych. Wszystkie oczy ponownie skierowały się na posła. Z całą bowiem pewnością za sekret galaktyki zażądają haraczu tysiąclecia.

— Darmo — odparł spokojnym głosem Pnotl. — Życzymy sobie, byście posiadali tę umiejętność.

To już było stanowczo podejrzan.

— Dlaczego? — spytał Regent.

— Nad całą naszą galaktyką wisi niebezpieczeństwo. Jeśli nie zjednoczymy wszystkich Sfer i nie wykorzystamy do maksimum naszych umiejętności, grozi nam zagłada. Nie widzimy innego sposobu zawiązania takiej galaktycznej koalicji.

— Wybacz nasz cynizm — odezwał się ponuro Regent. — My, Ziemianie, znamy powiedzenie o Danaach przynoszących dary. Chodzi o to, że nie wierzymy w pozorowanie bezinteresowną szczodrość. I zazwyczaj nie reagujemy na mgliste, nieumotywowane groźby.

— I dlaczego my? — spytał Minister Obcych Sfer. — Przecież Sfera Sador rozciąga się niemal na pięćset lat świetlnych, a sfera ich wpływów jest sto dwadzieścia pięć razy większa od naszej. To ona właśnie jest najlepszym kandydatem do takiej koalicji.

— Cynizm ten jest cechą ułatwiającą przeżycie i miło nam taki właśnie rys u was znaleźć — zareplikował Pnotl, lecz w jego głosie brzmiało coś, co wskazywało, że nie jest wcale tym zachwycony.

— Zadowolę was zatem odpowiedzią w trzech płaszczyznach: praktycznej, technologicznej i intelektualnej.

Przede wszystkim: czemu nie Sador, Mintaka czy któraś z jeszcze większych Sfer tego sektora galaktyki? Dlatego, że mimo swego wieku i potęgi chyłą się w gruncie rzeczy ku upadkowi, a panujące w nich rasy nie są już w stanie rozwiązywać problemów o znaczeniu galaktycznym. Inni z kolei wasi sąsiedzi nie byli na tyle przewidujący, by przygotować ciała gościnne, jak to wy uczyniliście. Skontaktowaliśmy się zatem z najbardziej obiecującą Sferą w tym rejonie — z Sol.

Ministrowie Rady, połączani tak mało wyrafinowanym pochlebstwem, skinęli głowami.

— Co do strony technicznej przedsięwzięcia, natychmiast po naradzie z wami udam się do waszych uczonych, by przekazać szczegóły mechanizmu transferu. Jeśli bowiem — Pnotl uśmiechnął się gorzko — jeśli nie zdołacie przyswoić sobie tych umiejętności w krótkim czasie, utracę osobowość. Będę pierwszym transferem, jakiego dokonacie, gdyż w inny sposób nie zdołam powrócić do mojej Sfery.

— To wystarczy — rzekł Regent uspokojony, że nie będą musieli ponosić koszmarnych wydatków, związanych z matermisją posła do domu. — Skoro jesteś tak pewien tego procesu, by stać się jego pierwszym uczestnikiem, wydaje się to autentyczne. Lecz nie możemy niczego obiecać, póki nie znamy wymagań stawianych uczestnikom koalicji galaktycznej.

Nadal żywił podejrzenia i dawał to Obcemu do zrozumienia.

— By w pełni zrozumieć potrzebę współdziałania, musicie wpierw pojąć istotę samego transferu — mówił Pnotl. — Transfer jest zmodyfikowaną formą matermisji, choć w tak nieoczekiwanym aspekcie, że zaledwie jeden gatunek na tysiąc odkrywa go samodzielnie.

Minister Techniki skinął głową przypominając sobie, jak zawiła i skomplikowana okazała się metoda matermisji. By dokonać koniecznych obliczeń, należało przedtem opracować cały nowy system logiki. Owa logika pozwalała uniknąć paradoksu ograniczeń relatywistycznych i umożliwiała przesyłanie szczególnego rodzaju sygnału na odległość wielu lat świetlnych, bez upływu czasu. Gdyby zatem transfer osobowości okazał się jeszcze bardziej skomplikowany, technicy nie zdążą szybko go opanować, nawet dysponując wszelkimi planami. Ostatecznie przez całe dziesięciolecia mimo usilnych starań nie podołały temu najtęższe umysły Imperium.

— Zasięg transferu jest tysiąckrotnie większy, wydatek energii zaś — tysiąc razy mniejszy — ciągnął Pnotl. — Dzieje się tak dlatego, że w istocie niewiele trzeba przekazać. Transferuje się wyłącznie aurę Kirliana, ciało natomiast pozostaje na miejscu. Ciało, w którym mnie widzicie, jest animowane wyłącznie siłą mego pola Kirliana; ono jednak szybko może zniknąć, jeśli nie powróć w odpowiednim czasie do własnego ciała, które znacznie się od tego różni. Niemniej jednak transfer w żadnym wypadku nie jest substytutem matermisji czy zgoła fizycznej podróży w Kosmosie. Stanowi tylko najbardziej oszczędny środek lokomocji na galaktycznych dystansach. Ale chociaż jest on milion razy tańszy od matermisji, wydatek energii nadal tu występuje.

Minister Techniki skinął głową. Oto właśnie główna wada matermisji: cena. Przesłanie ładunku o wadze stu kilogramów na odległość jednego roku świetlnego wymagało energii o wartości w przybliżeniu miliona dolarów. Dlatego też matermisja była obecnie wyznacznikiem wartości dolara. Wydatek energii zwiększał się do sześcianu wzrostu odległości, co przy transmisji tej samej masy na odległość dziesięciu lat świetlnych dawało już miliard dolarów, a bilion — przy odległości stu lat świetlnych. Z tego też względu metodą tą przesyłano bardzo niewiele; przeważnie mikroskopijne kapsuły z zakodowanymi informacjami i one właśnie stanowiły podstawowy środek łączności Imperium.

Milion razy tańszego transferu też trzeba używać z umiarem: po co bez potrzeby uszczuplać zasoby pieniężne Imperium. Niemniej otworzy on przed człowiekiem całą

galaktykę, co w rezultacie przyniesie ogromne korzyści. Bo jeśli istnieje jakaś rzecz cenniejsza od energii, to jest nią wiedza.

— Zagrożające nam niebezpieczeństwo jest ściśle z tym związane — odezwał się Pnotl. — Cywilizacja z innej galaktyki zamierza rozwiązać swoje problemy energetyczne odprowadzając podstawową energię z galaktyki Mlecznej Drogi. Mam konkretnie na myśli siły wzajemnego oddziaływania atomów i grawitację. Sądzę, że zdajecie sobie sprawę z tego, co z nami się stanie, gdy siły te osłabną.

— Katastrofa! — wykrzyknął natychmiast Minister Techniki.

— Cała nasza struktura ulegnie rozpadowi.

— Ale w jaki sposób...? — spytał jak zwykle praktyczny Regent.

— Najwidoczniej odkryli ponownie jakąś wiedzę Starożytnych. Używają ciał lokalnych gatunków galaktycznych do budowy i obsługi potężnych stacji transferu energii.

— Transferu energii? — spytał zdumiony Minister Techniki. — Nie wiedziałem, że to możliwe.

— Myśmy też nie wiedzieli — przyznał Pnotl. — Istnieją najwidoczniej jakieś odmiany techniki transferu, których jeszcze nie opanowaliśmy. A może po prostu określone formy energii obdarzone są polem Kirliana? Jak więc mówiłem, owa groźba jest zasadniczo związana z transferem.

— Należy więc przede wszystkim podjąć szczegółowe poszukiwania dalszych artefaktów Starożytnych! — zawołał Minister Techniki.

— Mówiąc krótko — zakończył Pnotl — stoimy w obliczu zagłady niesionej przez Galaktykę Andromedy i jeśli natychmiast nie zareagujemy, zginiemy.

— Ale konkretnie jakiej pomocy się po nas spodziewacie? — spytał Regent, wstrząśnięty mimo całego swego cynizmu.

— Chcemy użyć waszej energii transferu do kontaktu z waszymi sąsiadami i wciągnąć ich do koalicji. W zamian im z kolei przekażecie technikę transferu, by mogli patrolować swoje obszary niszcząc wszelkie wykryte stacje i agentów Andromedy. Czujność galaktyczna to cena, jaką wszyscy musimy zapłacić za przetrwanie.

— Mamy odwalić za was brudną robotę — odrzekł Regent. — Taka jest prawdziwa cena.

Pnotl skinął głową.

— Może brzydko powiedziane, ale o to dokładnie chodzi. My musimy skupić cały wysiłek na własnym rejonie Kosmosu. Wystarczy, jeśli dotrzecie do dziesięciu czy dwudziestu Sfer w promieniu dwóch tysięcy lat świetlnych. Wtedy regiony naszego działania zetkną się, gdyż Sfera Knyfh ma promień o długości trzech tysięcy lat świetlnych. W całej naszej galaktyce zresztą główne Sfery postąpią tak samo. — Obcy skłonił głowę dając znak, że wyczerpał temat. — Prowadźcie mnie obecnie do techników, z którymi natychmiast rozpocznę pracę. Wyjaśnienie zasad transferowania i budowa niezbed-

nej aparatury trochę potrwa — a mój czas jest bardzo ograniczony.

Obcy uśmiechnął się, a za nim kilkunastu Ministrów. Mówił prawdę: pozostało mu najwyżej osiemdziesiąt dni. Potem jego osobowość zatonie w emanacji ciała nosiciela. Czeka i jego, i ich morderczy wysiłek.

— Ależ nie wyraziliśmy jeszcze nawet zgody! — zaprotestował Regent.

Wzrokiem Pnotl dał do zrozumienia, że uważa Radę za bandę ciemnych idiotów, lecz zapanował nad tonem głosu.

— Ponieważ wasze przetrwanie, podobnie jak i nasze, zależy od jak najszybszego zjednoczenia całej galaktyki, to musimy się zjednoczyć, by stawić czoło temu zagrożeniu. Jestem pewien, że się zgodzicie. A sekrety transferu przekażę wam niezależnie od tego — z tym tylko, że musicie przekazać tę wiedzę dalej, do innych Sfer, bez względu na ich możliwe negatywne nastawienie.

Regent skinął ręką i Minister Techniki wyprowadził Obcego z sali obrad.

— Wygląda na to, że nie mamy wyboru — mruknął kwaśno Regent. — Ale skoro naprawdę przekażę nam technikę transferu...

Minister Populacji wziął do ręki wydruk.

— Zakładając, że będziemy mieli do tego dostęp, przygotowałem listę naszych najlepszych kandydatów do transferu. Jak wicie, pole Kirliana jest czynnikiem decydującym...

— Wiemy! — przerwał mu Regent. — Zawezwać pięciu najlepszych. Chcę ich tu mieć w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— To będzie kłopotliwe. Najlepszy pochodzi z Obrzeża.

Regent uderzył pięścią w drugą otwartą dłoń.

— A choćby mieszkał i na Najdalszej! Sprowadzić go tutaj!

Po twarzy Ministra przebiegł lekki uśmieszek.

— To jest Najdalsza. Słońce Etamin, sto osiem lat świetlnych stąd. Nasza najdalsza kolonia, jaka przetrwała.

— Planeta w epoce kamiennej! — wykrzyknął Minister Kultury. — Nieszczęście!

— Po prostu musimy wziąć drugiego z listy — odezwał się Minister Obcych Sfer. — Skąd pochodzi?

— Syriusz. — Ponownie lekki uśmieszek.

— Dużo bliżej... i cywilizowana! Oszczędzimy kosztów przesyłki o wartości dziewięćdziesięciu dziewięciu lat świetlnych. O wiele lepiej.

Minister Populacji potrząsnął głową. — To kobieta.

Po sali przeszedł jęk zawodu. Pod nieobecność obcego posła Ministrowie dali upust swym uprzedzeniom kulturowym.

— Jeszcze gorzej! — mruknął Minister Kultury.

— Dość tych kłótni! — krzyknął Regent. — Dostarczyć oboje... i trójkę pozostałych.

Ostateczną decyzję podejmę w stosownym czasie.

— Ależ to będzie kosztować! — przeraził się Minister Finansów.

Pozostali zignorowali go; cena nie grała roli, skoro polecenie wydał Regent. Jeśli przeholował, on będzie opowiadał przed Imperatorem... i wówczas może być po prostu nowy Regent. Ten obecny był wyjątkowo kompetentny, a zatem istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że jego kadencja może trwać krótko.

— Jakie jest pierwsze nazwisko? — rzucił krótko Minister Obcych Sfer. Przybycie posła ze Sfery Knyfh wzmogło niebywale jego autorytet, co dawało się już odczuć w tonie jego głosu.

— Flint. Flint z Najdalszej. Wiek: dwie trzecie...

— Co...? — skrzeknął Minister Kultury.

— Przepraszam, ich rok trwa trzydzieści lat; zapomniałem przeliczyć. Wiek około dwudziestu jeden lat. Mężczyzna. Kawaler. Skłonność heteroseksualna. Inteligencja około jeden przecinek pięć...

— Około? — zaskrzeczał znów Minister Kultury. — Nie potrafisz podać dokładnie? — W jego głosie słychać było pogardę.

— Nie, to człowiek pierwotny — jak niektórzy tutaj... Nie umie nawet czytać. Biega nago i ma zieloną skórę. Ale jest rozgarnięty... bardzo rozgarnięty.

— Cudownie! — wykrzyknął ironicznie Minister Kultury. — Rozgarnięty goły nieuk!

Minister Populacji potrząsnął głową.

— Kirlian tego dzikusa wynosi nieco ponad dwieście, najwyższy wskaźnik kiedykolwiek zanotowany.

— Dwieście! — Minister Kultury otworzył usta ze zdumienia.

— Dwieście razy większy niż normalny ludzki?

— Owszem — odparł Minister Populacji z nutą kpiny w głosie.

— Następny kandydat na liście, choć ryzykowny, gdyż to kobieta, liczy zaledwie dziewięćdziesiąt osiem w skali Kirliana. Jak więc widać, ten barbarzyńca jest czymś szczególnym.

— Pozostaje nam zatem ten Wesoły Zielony Olbrzym — ponuro mruknął Minister Kultury.

— Niestety — zgodził się Minister Populacji.

— Ależ przeciwnie — wykrzyknął żywo Regent. Obcy poseł traktował tych ludzi z wyraźną łaskawością; dobrze potrafił ocenić ich charakter. — Idealnie. Taki niewinny prostaczek nawet się nie zorientuje, w co się wpycha. Jakiż może być lepszy wybór na pierwszy, eksperymentalny transfer istoty ludzkiej do obcych Sfer? Nie mamy nawet pojęcia, jakie to ryzykowne! Skoro rozwinięte istoty z Wewnętrznej Galaktyki nie chcą nawet badać Sfer naszego rejonu...

Ministrowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a na ich twarzach pojawiły się uśmiechy.

1.

Flint z Najdalszej

Starzec i młodzieniec leżeli w chłodzie przedświt i wpatrywali się w gwiazdy. Stary człowiek ubrany był w postrzępioną tunikę, spod której przeświecała biel ciała. Młody natomiast był nagi, a jego skóra miała lekki zielony odcień. Był ogromny i muskularny, nawet jak na mieszkańca Najdalszej.

— Czy widzisz, chłopcze, Arktura? — spytał starzec.

— Tak, Szamanie, widzę — odrzekł Flint z dobrodusznym szacunkiem. Nie był już od dawna chłopcem, lecz musiał uwzględnić słaby wzrok starca. Wśród wielu rzeczy, których nauczył go mądry Szaman — a nauczył go wielu rzeczy — było, że nie należy obrażać się pochopnie. — Lśni jak zwykle, około trzeciej wielkości.

— A Wege?

— Też. Czwartej wielkości.

Każdy stopień wielkości oznaczał, że gwiazda jest około dwóch i pół raza jaśniejsza — lub ciemniejsza. Wydawało się, że Szaman lubił, gdy mu mówiono, że Wega jest ciemniejsza od Arktura, i Flint musiał za każdym razem mu to przypominać. W chmurne noce jasność gwiazd była inna; czasem nawet w ogóle nie były widoczne. Flint zresztą potrafił je wszystkie wywołać z pamięci. Ale Szaman nauczył go też nie kłamać bez potrzeby.

Po chwili ponownie:

— Syriusz?

— Słabszy. Piątej wielkości.

— A... A Sol? — Głos starca zadrżał.

— Nie. Zbyt słaba.

— Weź szkła, chłopcze — rzekł Szaman.

Flint uniósł niewielki stary teleskop, zabytek pochodzący z pierwszego statku kolonizacyjnego, który przywiózł tu jego przodków przed z górą stu laty. Skierował szkła na ledwo widocznego Syriusza, a następnie przesunął je w sąsiedni rejon, gdzie należało szukać Sol. Przyrząd powiększał dziesięciokrotnie, powinien więc przez niego widzieć gwiazdy nawet wielkości dziewięć i pół. Jednak samo powiększenie nie wystarczało; in-

strument nie odbierał dostatecznej ilości światła, by zapewnić właściwą klarowność obrazu w nocy. Sol zatem — wielkości siedem i pół — trudna była do rozpoznania nawet dla niezwykle bystrych oczu Flinta. Dla na wpół ślepego Szamana było to całkiem niemożliwe.

Kusiło coś Flinta, by skłamać. Wiedział, jak bardzo zależy staremu na ujrzeniu Sol — choćby tylko cudzymi oczyma. Tak zresztą było każdej nocy, gdy Sol świeciła po tej stronie nieba. Szaman jednak posiadał nieprawdopodobny dar wyczuwania takich kłamstw.

W końcu, bardzo niewyraźnie, Flint dostrzegł ją.

— Podwójna gwiazda! Sol i Toliman! — wykrzyknął całą pierśią.

— Sol i Toliman! — jak echo powtórzył Szaman, a słowa te zabrzmiały niczym dziękczynna modlitwa.

Flint odłożył teleskop. Rytuałowi stało się zadość. Widzieli tej nocy Sol.

Do świtu brakowało jeszcze godziny i Szaman nie zamierzał wcale schodzić ze szczytu góry. Flinta czekała praca, lecz nauczył się nie ponaglać starego. Szaman nigdy nie przystosował się do piętnastogodzinnych dni na Najdalszej. Spał całą noc — siedem i pół godziny — a następnie nie kładł się spać dzień i noc, pełne piętnaście godzin, by następnego dnia zapaść w drzemkę. Jak kiedyś wyjaśnił, urodził się do życia w cyklu dwudziestoczwierogodzinny: osiem godzin snu i szesnaście czuwania; i to co robi tutaj, jest najbardziej zbliżone do wymogów jego organizmu. Flint próbował kiedyś tego dziwnego rytmu, lecz budził się potem rozdrażniony i otepiały. Nikt za wyjątkiem samego Szamana nie potrafił przyswoić sobie jego sposobu życia.

Czasami Szaman, gdy zbliżał się koniec jego dziennie-nocnego czuwania, lubił trochę porozmawiać, Flint, który przed współplemieńcami udawał, że chce sprawić przyjemność temu staremu nudziarzowi, w rzeczywistości przepadał za rozmowami z Szamanem. Każde prawie słowo wypowiedziane przez starego człowieka pełne było treści i nieoczekiwanych rewelacji. Stary nauczył Flinta wielu zadziwiających rzeczy — a niektórych, tych najciekawszych, prawie przez czysty przypadek.

— Szamanie, gdybym mógł spytać...

— Pytaj, chłopcze — podchwycił natychmiast starzec, a Flint wiedział już, że będzie to noc rozmowy. A zatem jego nocne czwanie może okazać się warte zachodu poza samą tylko pomocą, jakiej udzielił starcowi w dotarciu na strome wzgórze.

— Jak to było na... na Sol?

— Nie na Sol, Flint. Na Ziemi. Sol jest gwiazdą, a Ziemia planetą; tak jak tutaj słońcem jest Etamin, a planetą Najdalsza. To prawda, Sol jest niewielkim słońcem, a Ziemia maleńką planetą, ale to dom ludzi, władca całej Sfery Sol.

O tym Flint wiedział. Etamin był stokroć jaśniejszy od Sol, a Najdalsza dwukrotnie większa od Ziemi. Dlatego zresztą na Najdalszej, oddalonej od swego słońca dziesięcio-

krotnie dalej niż Ziemia od Sol, panował klimat podobny do ziemskiego. Gęściejsza atmosfera, szybsza rotacja i mniejszy ciężar właściwy materii planety sprawiały, że grawitacja Najdalszej zaledwie o dziesięć procent różniła się od ziemskiej, co w efekcie powodowało, iż człowiek mógł się tutaj osiedlić i przeżyć. Rok na Najdalszej był oczywiście trzydziestokrotnie dłuższy niż na Ziemi, lecz jak to określił Szaman, silne wahania precesyjne sprawiały, że pory roku były zbliżone do ziemskich. Wszystko to stanowiło zaledwie cząstkę wiedzy przekazanej Flintowi przez Szamana w czasie poprzednich rozmów. Inni członkowie plemienia nie dbali o to, póki udawały się im polowania, ale Flint był oczarowany i wciąż pragnął jeszcze więcej pojąć.

— Na Ziemi, oczywiście — odezwał się. — A sama planeta... czy była podobna do tej? Z deszczami, z pnączami, z dinozaurami?

Szaman parsknął śmiechem, który prawie natychmiast przeszedł w gwałtowny kaszel.

— I tak, i nie — wysapał po chwili. — Deszcze... tak, co parę dni w innych sektorach. Ale żadnych pnączy — a już na pewno nie takich, jakie masz na myśli. Nie mógłbyś się po nich wspinać. A dinozaury — nie teraz, lecz dawno, sto milionów lat temu! Na Ziemi żyją tylko ptaki, ssaki, ryby, nieco małych gadów i bardzo niewiele dzikiej zwierzyny, ponieważ ludzie pustoszą ostatnie dziewicze zakątki. Ziemia jest zatłoczona, chłopcze — bardziej zatłoczona, niż możesz to sobie wyobrazić. Setki, tysiące osób na kilometr kwadratowy. Nawet więcej!

O tym też już Flint wiedział, ale sądził, że stary przesadza. To niemożliwe, by na jednym kilometrze kwadratowym żyło więcej niż dziesięć, piętnaście osób; zbyt szybko bowiem przetrzebiono by zwierzynę. Na myślistwie znał się wybornie; i znał też jego granice.

— Czemu więc istnieje tyle różnic, Szamanie? Skoro Najdalsza zasiedlona została przez Ziemian, dlaczego nie jest taka sama jak Ziemia?

— Bardzo słuszne pytanie! Eksperci borykali się z nim przez całe dziesięciolecia i do niczego nie doszli. Domyślamy się tylko pewnych rzeczy.

— Ależ musi istnieć jakaś przyczyna — odparł zadowolony z siebie Flint. — Każdy skutek ma swoją przyczynę — sam mnie tego uczyłeś.

— Tak, przyczyna. Ale nie zrozumienie. Gdy opuszczałem Ziemię, obowiązywała teoria zwana Zasadą Regresu Czasowego, która dotyczy wszystkich zresztą Sfer, nie tylko naszej. Ziemia jest oczywiście cywilizowana, lecz skoro nasze najszybsze statki osiągną zaledwie połowę prędkości światła, dotarcie do dalszych kolonii zajmować musi wiele lat. Wega odległa jest od Sol o dwadzieścia sześć i pół roku świetlnego, toteż podróż w jedną stronę trwa ponad pięćdziesiąt lat. Syriusz odległy jest o dziewięć lat świetlnych; to oznacza już około osiemnastu lat. Nawet Toliman, zwany Alfą Centaura, oddalony nieco ponad cztery...

Flint chrząknął lekko i Szaman uśmiechnął się smutno.

— Wiem, odbiegam od tematu. Istota problemu jest taka: dotarcie do tej czy innej kolonii zabiera dużo czasu — muszą więc być zapóźnione w rozwoju.

— A matermisja? — sprzeciwił się Flint.

— Matermisja jest niesłychanie kosztowna. Transport jednego tylko człowieka był by rujnującym przedsięwzięciem, a co dopiero mówić o całej fabryce. Dlatego też brakuje nam tutaj bazy do powstania rozwiniętej techniki.

— Ale nie powinniśmy być opóźnieni więcej niż dwieście lat! — sprzeciwił się Flint.
— To tylko sto osiem lat świetlnych od Sol...

— Tylko! To najdalsza kolonia ziemską! Oczywiście, niektórych ludzi los rzucił jeszcze dalej, nawet do Hiad — lecz to już naprawdę obce Sfery.

— Tutaj też żyje trochę Obcych — przypomniał Flint. — Polaroidzi.

— Nie nazywaj ich tak. Polarianie. Nie myśl, że nie rozumieją tej różnicy; są tak samo rozumni jak my — nawet jeśli mają kłopoty z naszą mową.

Urwał chcąc, żeby wymówka dotarła do Flinta.

— Żyją jednak w naszej Sferze — ciągnął po chwili — i podlegają naszym przepisom. Podobnie jak zgodnie z konwencją galaktyczną ludzie mieszkający w Sferze Gwiazdy Polarnej podlegają rządowi Polarian. Taka obca domieszka jest pożyteczna; ułatwia wzajemne zrozumienie i kontakt różnych gatunków istot rozumnych. Mamy szczęście, że Polarianie są tak do nas podobni...

— Podobni! — parsknął Flint. — Wiesz jak nazywa ich wódz Strongspear? Dinozaurami!

— Wódz Strongspear jest pełnym uprzedzeń chamem, którego koniec jest już bliiski. Polarianie — i wszelkie inne obce istoty rozumne — posiadają cechy zasługujące na twój szacunek i podziw. Zapamiętaj to sobie.

Flint uniósł w górę dłoń w geście przysięgi.

— Przy najbliższym spotkaniu będę wyjątkowo miły dla Polaroida... — urwał i nim Szaman zdążył zaprotestować, poprawił: — Polarianina, chciałem powiedzieć.

Mimo żartobliwego tonu zamierzał dotrzymać słowa. Zawsze zresztą był ciekaw tych obcych mieszkańców Najdalszej.

— Ale wróćmy do twego pytania — odezwał się Szaman, który nigdy nie tracił wątku, bez względu na to, jak daleko odchodził od tematu. — Dlaczego jesteśmy zacofani w technice i kulturze bardziej niż o dwieście ziemskich lat? Wynika to z rozproszenia. Wydaje się, że nastąpiła kumulacja regresu, w ciągu logarytmicznym...

Flint chrząknął ponownie.

— Dobrze, dobrze. — W głosie Szamana zabrzmiało już wyraźne rozdrażnienie. — Mówiąc potocznie: jeśli oddalone od centrum skupiska nie rozwijają się same, jest coraz gorzej. To nasze dwustuletnie opóźnienie jakoś się zwielokrotnia, aż... krótko mó-

więc, Najdalsza znajduje się w stadium paleolitu... dla ciebie w starszej epoce kamiennej.

— Wspaniała rzecz! — odparł Flint. — W jaki inny sposób zdobyłbym imię, gdyby nie obróbka kamienia*.

Szaman westchnął.

— Tak, naturalnie. Ciesz się tylko, że nie żyjesz na Kastorze, Polluksie czy Capelli z ich wiktoriańską kulturą i muszkietową dyplomacją!

— Czemu przybyłeś właśnie tutaj, Szamanie? Miałeś tyle innych światów do wyboru...

Starzec zapatrzył się w niebo rozjaśnione pierwszym, delikatnym światłem świtu; potężny Etamin przysłał herolda zwiastującego jego wschód. Dniem oczy starca widziały dużo lepiej.

— Myślę, że potraktowałem to jako próbę. Naturalnie, nie chodziło tylko o szansę przeżycia — jak wiesz, do celu dociera ledwie połowa zamrożonych pasażerów.

— A co z resztą? — To było coś nowego. Flint dotąd sądził, że statki osiągają zawsze cel bez trudności.

— Naturalny ubytek. Na każde cztery statki jeden ginie. Może trafia go meteor, może zbacza z kursu i ginie w niezbadanej przestrzeni kosmicznej lub następuje awaria urządzeń. Na statkach zaś, które dolatują do celu, co trzecia osoba po rozmrożeniu nie powraca do życia.

— Ginie zatem więcej niż połowa — odparł Flint.

— Dokładnie połowa. — Szaman uśmiechnął się.

— Hej, hej! Uczyłeś mnie przecież ułamków, pamiętasz? Znajdź wspólny mianownik i dodaj do siebie liczniki. Jedna czwarta to trzy dwunaste straconych statków; jedna trzecia to cztery dwunaste martwych ciał. A więc zmarło siedem dwunastych — więcej niż połowa.

Starzec zachichotał.

— Brawo, chłopcze! Lecz popełniłeś omyłkę. Wcale nie znalazłeś wspólnego mianownika. Nie możesz przecież dodawać statków i ciał.

— Zgoda. Ale skoro jeden statek na cztery przepadł, to wraz z nim giną również wszystkie zamrożone tam ciała. A to wciąż daje jedno ciało na cztery.

— Nie możesz przecież liczyć ciał dwukrotnie. Te ze straconych statków muszą być wyłączone z liczby zwłok na statkach, które dotarły bezpiecznie.

Flint wysilał mózg, lecz problem stale był dla niego mglisty.

— Zrozumiesz to w swoim czasie — odezwał się Szaman. — Oczywiście nie zawsze jest prawdziwe — tak w życiu, jak i w matematyce.

[* Flint (ang.) — krzemień (przyp. tłum.).]

— Być może — mruknął Flint — ale w takim razie podróż jest piekielnie ryzykowna.

— Gdy zaciągałem się na statek, nie byłem w pełni świadom tych liczb — przyznał Szaman. — Tam nic nie zależy od ciebie. To nie jest walka z dinozaurem. Cała podróż mija w mgnieniu oka; dlatego opuściłem Ziemię mając trzydzieści pięć lat i przybyłem tutaj mając tyle samo.

Znów westchnął i dodał ciszej:

— Trzydzieści lat temu!

— Wkrótce przybędzie tutaj kolejna chłodnia, prawda? — spytał Flint.

— Tak, za parę lat. W każdym stuleciu wysyłane są trzy statki, co znaczy, że w Kosmosie przebywa ich zawsze sześć. W ten sposób zapewniony jest ciągły dopływ — mały, co prawda — wykształconych mieszkańców Ziemi, którzy mogą poprowadzić nas i dogłębiać rozwoju Najdalszej. To samo dotyczy naturalnie wszystkich ziemskich kolonii. W przeciwnym razie Sol nie byłaby żadną Sferą, a zbieraniną przypadkowych kolonii osadniczych.

— Więc czemu moi przodkowie nie podróżowali chłodnią? — zapytał Flint. — Mogliby wówczas być Ziemianami urodzonymi na Ziemi, a Najdalsza od samego początku byłaby cywilizowana.

— Statki z czuwającą załogą zapewniają większy margines bezpieczeństwa. A bez całej aparatury do zamrażania i rozmrażania pasażerów na każdym ze statków pomieścić można dwukrotnie większą ilość osób, toteż do kolonii przybywa trzykrotnie więcej osadników — przy niewielkim nakładzie kosztów. W przypadku tak wielkiego programu kolonizacyjnego czyniło to rzeczywiście istotne oszczędności. Mówiąc szczerze, bez statków z czuwającą załogą Najdalsza nigdy nie zostałaby skolonizowana. Lecz takie postępowanie ma zasadniczą wadę: lot trwa siedem całkiem izolowanych pokoleń ludzkich i już na statku następuje wielki regres — mimo książek i taśmotek. Ludzie urodzeni w Kosmosie nie wiedzą, co to pęd do wiedzy, uporczywe zdobywanie umiejętności. Cechy te są zbędne na statku. I kiedy ludzie ci trafiają na planetę...

— Kto by studiował nudne książki, gdy trzeba walczyć z dinozaurami? — spytał Flint.

— O to chodzi. Sądzę, że istnieje cały zespół powodów zapóźnienia. Przy statkach z czuwającą załogą opóźnienie zaczyna się już z chwilą startu. Sytuacji również nie ratują osadnicy, którzy podróż odbywają w chłodniach, gdyż po ich przybyciu do celu ogólna struktura społeczeństwa jest już ustalona. Ma na to też zapewne wpływ niewielka gęstość zaludnienia. Jak sam wiesz, na jednym kilometrze kwadratowym dzięki zbieractwu i łowiectwu może się utrzymać przy życiu tylko określona liczba ludzi. Dopóki wzrost przyrostu naturalnego nie zmusza ich do szukania innych rozwiązań, wybierają sposób najprostszy. Tak się też dzieje tutaj, na Najdalszej. Poczuj się: nie będzie to trwa-

ło w nieskończoność.

— Wiesz, co powiedziałem na wieść, że mam zostać twym uczniem? — śmiejąc się, przekornie zapytał Flint. — Powiedziałem: “Co? Tego starego durnia?”

— I miałeś całkowitą rację! — Szaman zaśmiał się razem z nim. Ale Flint nagle poważniał.

— Wcale nie, to ja byłem durniem! Wiesz tyle, że z trudem to wszystko pojmuję, nawet jeśli mówisz w sposób najprostszy. I zawsze masz rację. Dobrze wiem, jaki jestem głupi w porównaniu z tobą.

— To nie tak — odparł Szaman. — Niewykształcony, zgoda; ale nie głupi. To kolejna podstawowa różnica, którą musisz zrozumieć. Wybrałem właśnie ciebie, gdyż byłeś najbardziej rozgarniętym i utalentowanym dzieckiem w plemienu. Masz szczególną, wyjątkową siłę witalną. Dostrzegłem w tobie instynkt przywódczy Flint — i z każdym zadaniem przez ciebie pytaniem widzę, jak cechy te w tobie rosną. Musisz pracować, musisz się uczyć, nie wolno ci być tak po prostu zadowolonym z siebie jak cała reszta twoich ziomków; nadejdzie dzień, w którym to plemię będzie twoje.

— Ależ ja nie jestem synem Wodza! — wykrzyknął polectany mile Flint.

Szaman zdawał się nie słyszeć okrzyku Flinta.

— Będziesz musiał wyprowadzić swoich ludzi z paleolitu w mezolit — nawet w neolit, młodszą epokę kamienną! Postęp będzie tu szybszy niż na Ziemi, bo wiedza ta już istnieje. Uczę cię czytać, są tu książki, które czekają, by nauczyć cię więcej, niż wiem ja sam. Za swego życia możesz dokonać tyle, ile na Ziemi ongiś dokonywało się przez tysiąclecia. Wieki ledwie miną, a Najdalsza ucywilizuje się...

Flint przestał zwracać uwagę na gadaninę starego. Ponownie spojrzął przez teleskop. Odszukał Syriusza — dużo już słabiej widocznego w świetle budzącego się dnia — a następnie, z najwyższym trudem, podwójną gwiazdę, Sol i Tolimana. Była to ostatnia po temu okazja, gdyż niebawem jasne promienie Etamina zgaszą swym blaskiem gwiazdy. Aż dziw brał, że na tej maleńkiej, odległej planecie krążącej wokół ledwie widocznego słońca mogła rozwinąć się rasa człowieka...

— Szamanie! — wykrzyknął. — Sol zniknęła!

Stary człowiek drgnął, a po chwili rozluźnił się.

— To z pewnością zaćmienie. Jeden z naszych satelitów. Przy dziewięciu księżycach takie rzeczy się zdarzają. — Urwał. — Niech pomyślę... to pewnie Joan, jedyny księżyc w konstelacji Syriusza o tej porze. Zapomniałem.

— Potrzebujesz banku pamięci — odparł ze śmiechem Flint. Jeśli w ogóle istniała jakaś rzecz, która rosła wraz z upływem czasu, była nią pamięć starca.

— Potrzebuję komputera — aby obliczyć wszystkie dziewięć orbit, układy okluzji... tego samym umysłem nie da się przeliczyć. Na Ziemi wczesne kultury, niewiele bardziej zaawansowane w rozwoju niż twoja, posiadały komputer. Zdumiewająca rzecz.

Wykonano ją z kamienia. Olbrzymie kamienie, każdy ważący wiele ton, poustawiano w wielki krąg. Budowlę tę później nazwano Stonehenge. Z jej pomocą można było dokładnie obliczyć fazy słońca — mam na myśli Sol — i przepowiadać jego zaćmienia przez księżyc Ziemi, Lunę. Był to gigantyczny księżyc...

— Księżyc przysłał słońce? — spytał z niedowierzaniem Flint.

— Bywało i tak. Tutaj księżyce są zbyt małe i odległe. Tam dysk księżycy ukazywał się tak wielki jak Sol. Starożytni astronomowie zadawali sobie wiele trudu, by ustalić jego cykle...

— Cywilizowani Starożytni!

— Nie w tym znaczeniu, co myślisz! To prawda, że wczesne artefakty na Ziemi posiadają zadziwiająco wielkie rozmiary. Tak wielkie, że następne tysiąclecia po prostu nie dostrzegały owych świadectw wcześniejszej cywilizacji i całkiem niedawno dopiero zostały one w pełni uznane i wyjaśnione. Były...

— Właśnie to miałem na myśli! — przerwał mu wzburzony Flint. — Tutaj, na Najdalszej, również istnieją wytwory Starożytnych, rzeczy, których nie potrafimy żadną miarą zrozumieć. Dlaczego na Ziemi było inaczej?

— Ziemscy Starożytni żyli cztery, pięć tysięcy lat temu — odparł pobłażliwym tonem Szaman. — Obcy Starożytni natomiast pochodzą prawdopodobnie sprzed pięciu milionów lat. Nie ma żadnego porównania! To jest to samo co powszechny błąd łączenia jaskiniowców z dinozaurami dlatego tylko, że oba gatunki są prehistorią. Tak naprawdę...

Flint wybuchnął śmiechem. Szaman rzadko kiedy żartował, lecz jak już to robił, można było pęknąć ze śmiechu!

— Jaskiniowcy i dinozaury! Tak, to rzeczywiście błąd — łączyć ich ze sobą!

Szaman westchnął.

— Ciągłe zapominam... — I nagle, poruszony czymś, usiadł. — Sol? Czy jesteś pewien? Sol została zaćmiona?

— Sol. Tolimana widzę...

— To omen! Omen! To jasne jak sama gwiazda!

— Naprawdę wierzysz w takie rzeczy? — spytał Flint opuszczając lunetę.

— Na Ziemi, trzydzieści lat temu — to znaczy dwieście trzydzieści — nie wierzyłem. Nie byłem przesądny. Ale tutaj, na Najdalszej, w starszej epoce kamiennej, ludzie tego się po mnie spodziewają. Po pewnym czasie wiara w takie rzeczy staje się łatwiejsza do przyjęcia. Muszę przyznać, że jeśli ktoś wierzy w znaki, to one się sprawdzają. Sol odmieni twoje życie — znacząco, i to niebawem. Mówi ci to stary uczonec, który, by przeżyć, przekształcił się w czarownika dzikusów: gwiazdy cię ostrzegły, chłopcze.

— O, nie — odparł Flint. — Sol nic dla mnie nie znaczy, a poza tym nie wierzę w takie bzdury.

Lecz czuł, jak po krzyżu przebiega mu zimny dreszcz; bo tak naprawdę — wierzył.

— Flint! Flint! — darło się dziecko. — Polowanie, musisz przyjść!

Flint przystanął na skraju ścieżki i chłopiec dogonił go. Był to posłaniec.

— Przecież polowania mnie już nie dotyczą, wiesz o tym. Jestem kamieniarzem.

Nie widział potrzeby dodawać, że jest również uczniem tego zwariowanego Szamana.

— Trzech nie żyje, pięciu poranionych, dwóch stratowanych. Potrzebujemy pomocy!

— Trzech zabitych! A miały to być zwykłe poranne łowy! Co oni wypłoszyli?

— Starego Parskacza. — Posłaniec chlipał rozpaczliwie.

— Nic dziwnego! Tego dinozaura najlepiej zostawić w spokoju. Cóż za dureń chciał go wpędzić w pułapkę, by...

— Wódz Strongspear...

— No tak, oczywiście! — Lecz nim Flint zdążył powiedzieć coś więcej, ugryzł się w język. Jeśli jego zuchwałe słowa dotrą do Wodza, mogą wyniknąć grube nieprzyjemności.

— Syn wodza Strongspeara umiera. Stary Parskacz nie pozwala nikomu zbliżyć się do zabitych. Musisz tam iść.

— Powiedziałem — już nie poluję!

Ale Flint się zastanowił. Tak niedawno Szaman wspominał o przywództwie, a teraz syn wodza umierał. Wprawdzie był on równie głupi jak ojciec — ale kto obejmie urząd, kiedy muskularny syn wodza umrze? Wszak w tym roku Strongspear ma odejść. A Sol została zaćmiona. Ponieważ Flint był tego świadkiem, niewątpliwie znak bezpośrednio go dotyczy.

— Wódz Strongspear zagroził, że jeśli nie przyjdiesz, rzuci na Honeybloom przekleństwo wrzodów.

A więc wódz użył podstępu! Sama myśl o takim zeszpeceniu najpiękniejszej dziewczyny plemienia napełniła Flinta odrazą.

— Idę. Wskazuj drogę.

Chłopiec pokazywał kierunek biegnąc szybko na przedzie. Posłańcy ci byli wytrzymali i szybcy jak wiatr; żaden mężczyzna nie był w stanie iść z nimi w zawody. Flint podążył śladem chłopca, przystanawszy tylko na chwilę, by zapiąć pas i zatknąć zań swój najlepszy topór. Zostawili za sobą oazę z palmami owocowymi, przeskakując z kępy na kępę przebyli zarosłe kolczastymi trzcinami moczary — główną ochronę wioski przed drapieżnymi dinozaurami — i zwinnie wspięli się po długich mackach pnączy. Zrazu były one cienkie, kilkucentymetrowej grubości i wymagały od wspinających się niezwykłej równowagi; jednak w środku splecionej gęstwiny grubość poszczególnych pna-

czy przekraczała już metr.

Po ich przebyciu ześlizgnęli się na twardej gruntu po drugiej stronie bagniska. Minęli rozległą kępę kwiatów miodowych o ogromnych zielonych i purpurowych płatkach wydzielających upojny zapach, który przyprawiał Flinta o bicie serca, przypominając mu dziewczynę, ich imienniczkę*. On i Honeybloom pobiorą się w środku lata. A dzisiejszą noc spędzi u niej...

Chłopiec zwolnił. Na ścieżce znajdował się Obcy, Polarianin.

Zatrzymali się przed owym dziwacznym stworzeniem. Kształtem przypominało łąkę; duże sferyczne koło u spodu i giętki wąż czy macka na górze. Gdy macka ta wyciągnięta była na całą swą długość, stworzenie dorównywało wzrostem Flintowi. Masę ciała miało również zbliżoną do jego. Nie posiadało natomiast ani oczu, ani nosa, ani żadnych kończyn.

Szaman utrzymywał, że Polarianie podobni są do istot ludzkich, gdyż żyją w podobnej grawitacji, oddychają takim samym powietrzem — jakkolwiek nie posiadają płuc — i mają zbliżony metabolizm. Ich mózgi były równie pojemne i wszechstronne jak u człowieka, a natura zazwyczaj łagodna. Ale wyglądali całkiem inaczej, a takie detale jak sposób odżywiania się, rozmnażania czy wydalania stanowiły zupełną tajemnicę.

Flint obiecał jednak sobie, że pierwszego napotkanego Obcego potraktuje ze szczególnymi względami. Tak więc on i chłopiec zatrzymali się uprzejmie.

— Witaj, badaczu — rzekł Flint.

Ciało stworzenia załśniło barwą zadowolenia. Obcy opuścił na ziemię swą giętką mackę. W pozycji tej jeszcze bardziej przypominał odchody dinozaura i Flint z ogromnym trudem stłumił uśmiech.

Mała kulka na szczycie ma0cki zawirowała gwałtownie.

— Witaj, tubylcu — zadudniła ziemia.

Flint nie był zaskoczony. Mechanizm ów znał od najmłodszych lat i był z nim oswojony. Mała kulka w zetknięciu z ziemią — lub jakąkolwiek inną powierzchnią — wibrowała, wydając zrozumiałe dźwięki. Skoro Polarianie nie posiadali ust, nie mogli rozmawiać na sposób ludzi.

— Jestem Flint, Solarianin, samiec.

To co dla człowieka było oczywiste, wcale nie musiało być takie samo dla Polarianina — i *vice versa*. Etykieta nie wymagała aż tak szczegółowego przywitania i mógł spokojnie, po wymianie wstępnych pozdrowień, udać się w swoją stronę; posłaniec i tak był już zniecierpliwiony tą zwłoką. Ale Flint postanowił do końca wypełnić to, co sobie obiecał: okazać Obcemu szacunek.

— Tsopi, Polarianka, samica.

* Honeybloom (ang.) — kwiat miodowy.

— Pokój, Topsy.

— Pokój, Flint.

Czy stworzenie również było rozbawione jego wyglądem? Do czego był podobny człowiek w oczach Obcego? Do pęczka kawałków pnączy? Flinta to zaintrygowało.

— Idę polować na dinozaury. Czy chciałabyś mi towarzyszyć? Częściowo mieściło się to w protokole; Polarianie przepadali za udziałem w aktywności Solarian. Ale przy tym wystrzegali się dinozaurów.

— Będę zadowolona — odparła łąza.

No i tak! Nigdy by mu do głowy nie przyszło, że stworzenie się zgodzi! Ale nic się już nie da zrobić.

— To nagły wypadek. Musimy się śpieszyć.

— Nie będę wam zawadą — odrzekła Polarianka.

Akurat! Niemniej jednak Flint uśmiechnął się wdzięcznie i dał znak posłańcowi.

— Prowadź.

Posłańca już nie było; biegł. Teren był twardy i równy, doskonale nadawał się do nadrobienia straconego czasu. Flint ruszył za chłopcem dobrze wyciągając nogi.

Tsopi, tocząc się na swej kuli-kole, nadażała za nimi bez wysiłku. Wcale nie była gorsza. Polarianie potrafili szybko i bez wysiłku poruszać się w równym terenie: ich koło było niezwykle sprawne. Flint nigdy dotąd by nie przypuścił, że aż tak sprawne. Zastanawiał się też czasami, w jaki sposób Obcy potrafią utrzymywać równowagę. Wprawdzie Szaman twierdził, że podobnych sztuczek potrafią też dokonywać ludzie na rowerach jednokołowych — lecz na Najdalszej nie było jednokołowców.

Dotarli do przecinającej równinę rozpadliny ze zwieszającą się nad nią macką pnącza. Chłopiec podskoczył, chwycił koniec odrostu, podciągnął się na rękach i stanął na pnączu. Flint chciał ruszyć jego śladem, lecz natychmiast się zatrzymał. Polarianka nie zdołała przecież podskoczyć.

— Pozwól — odezwał się wyciągając połączone ręce. Słyszał o tego rodzaju współdziałaniu i był ciekaw, jak ono wygląda.

Polarianka oplatała jego dłonie macką. Była ciepła; jej temperatura zbliżona była do ciepłoty ciała ludzkiego. Flint natężył siły i uniósł w powietrze ciężar prawie stu kilogramów. Zakołysał się i tors stworzenia uderzył w spód pnącza.

Macka natychmiast puściła dłonie człowieka oplatając z kolei pień. Dolne koło zakręciło się na korze popychając cały korpus do góry. Ciało rozciągnęło się na chwilę; Polarianie nie mieli kości. Po chwili cyrkowych akrobacji Tsopi stanęła na górne pnącza, gotowa do dalszej drogi.

Flint wdrapał się na górę i wszyscy ruszyli gęsiego nad przepaścią. Daleko w dole bulgotało purpurowe błoto; plemię wrzucało w nie odpadki, bo cokolwiek raz się tam dostało, nigdy już ponownie nie wypłynęło.

Po drugiej stronie pnące zniżało się do samej ziemi i Polarianka nie potrzebowała pomocy. A Flint dopiero teraz sobie uświadomił, że mogła sama, z pomocą niewielkiej rampy, podskoczyć z rozpędu te półtora metra i pochwycić pnące wyciągniętą macką. Jego pomoc zatem była wyłącznie udogodnieniem.

Po przebyciu kolejnego kilometra Flint usłyszał głuchy pomruk rozwścieczonego dinozaura.

— No tak, kłopoty — sapnął Flint próbując przyspieszyć, lecz zaczynało już brakować mu tchu.

Nie opodał, bez wysiłku, toczyła się Tsopi. Dotknęła czułą gruntu.

— Pozwól — odezwała się.

Wyciągnęła mackę i mocnym, elastycznym splotem owinęła Flinta w tali. Momentalnie uniosła go w górę, głową do przodu.

Teraz Tsopi przyspieszyła. Szybciej niż jakikolwiek człowiek pomknęła równiną, dźwigając Flinta niczym wzniesiony w górę oszczep. Pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt... wiatr gwizdał mu w uszach zmuszając do zamknięcia oczu i ust. Nic dziwnego, że Polarianie nie mieli tych organów; przy takich szybkościach byłyby bezużyteczne. Starał się trzymać swe ciało sztywno i nieruchomo, wiedząc, że każdy jego ruch mógł wybić Tsopi z równowagi — a to skończyłoby się fatalnie.

W parę chwil byli na miejscu. Tsopi stanęła i postawiła go na ziemi. Posłaniec został daleko w tyle.

— Dzięki, Topsy — mruknął Flint niezupełnie zadowolony z tej demonstracji fantastycznych zdolności Polarianki. Natychmiast jednak pomyślał, że ona mogła żywić podobne uczucia z powodu jego umiejętności wspinania się po pnączach. Była to lekcja, bardzo dobra lekcja wskazująca słuszność tego, co mówił Szaman. Niemniej Flinta przepełniało uczucie goryczy na myśl, że musiał się tego uczyć w ten sposób.

— Proszę bardzo, Plint — odparła Tsopi rozbłyskując na chwilę zadowoleniem.

Flint skupił uwagę na sytuacji. Rzeczywiście, była to tragedia. Na zrytej ziemi leżały dwa ciała, a Stary Parskacz krążył wściekle wokół nich. Zdażył już wyryć w darni głęboki, brązowy szlak. Potwór nie miał wcale zamiaru pożerać ciał, gdyż był zwierzęciem roślinożernym, ale rozszarpałby każdego, kto by się zbliżył. A jakiś odwieczny instynkt mówił mu, że ludzie zechcą podejść do swych zabitych.

Dinozaur był starym, ale ogromnym i silnym zwierzęciem. Miał dziesięć metrów długości — od pyska do ogona — a ważył jakieś piętnaście ton. Na odległość widział niezbyt dobrze, ale za to słuch i węch miał znakomite, a mięśnie potężne. W ciele krwawiło mu kilkanaście ran po włóczniach, lecz były to zaledwie drobne skaleczenia wzmagające tylko jego wściekłość. Partanina nie polowanie, ot co!

— Gdzie wódz? — spytał Flint najbliższego wojownika kryjącego się strachliwie za kikutem uschłego pnąca.

— Ranny — krzyknął mężczyzna. — Czuwa przy umierającym synu. Wzywa ciebie.

Flint zawahał się mając w pamięci zaćmienie Sol. Znak mógł świadczyć o bezpośredniej ingerencji Sol w jego sprawy, ale też mogło to oznaczać, że zostanie uwikłany w rozgrywkę o władzę. Sol dosłownie była centralnym punktem imperium człowieka, a zarazem metaforycznym symbolem potęgi w każdym zakątku Sfery. Jeśli pomoże wodzowi Strongspearowi, to w przypadku śmierci jego naturalnego syna stanie się głównym kandydatem do adopcji. Wódz był już za stary, by spłodzić nowego potomka, a termin jego odejścia zbyt bliski, by wychować i wprowadzić na urząd jakiegoś niedorostka. Musiał mieć następcę — i to szybko. Wymagały tego prawa szczepu.

Flint jednak nie wiedział, czy pragnie wodzostwa. Na barkach wodza spoczywało bowiem wiele kłopotliwych obowiązków. Musiał przewodniczyć ceremoniom ofiarnym, zaślubiać wszystkie wdowy, prowadzić większe polowania, łagodzić wszelkie plemienne zatargi. Wiele tu było spraw niepewnych. Było to zatem niebezpieczne i niewdzięczne stanowisko, zostawiające niewiele czasu na romanse i patrzenie w gwiazdy. Ale, co najgorsze ze wszystkiego, wódz musiał uprawiać magię, by zapewnić powodzenie w łowach, sprowadzać na kobiety płodność lub po prostu wymuszać dyscyplinę. Dokładnie jak w przypadku Flinta, kiedy to zagroził ropnymi wrzodami.

Flint nie wierzył w czary — a w każdym razie on sam nie potrafił ich czynić. Inni mogli rzucać czary i wychodziły im doskonale; tylko Flint pozbawiony był tego daru. Szaman twierdził, że to wyłącznie kwestia pewności siebie i sugestii; ciemni członkowie szczepu z łatwością ulegają czarom, bo głęboko w nie wierzą. Sam Szaman zresztą też zademonstrował sztukę rzucania uroków, w środku dnia usypiając całe plemię. Wszyscy albo symulowali, albo rzeczywiście zasnęli. Flint osobiście należał do tych drugich. Niewątpliwie Szaman, jeśli nawet był przedmiotem drwin, wybornie znał naturę człowieka i był najpotężniejszym czarnoksiężnikiem. Niemniej Flint, mimo usilnych starań, nie potrafił uwierzyć w czary w stopniu wystarczającym i nic mu z nich nie wychodziło. Inni, których w fizycznym starciu z łatwością pokonywał, znając jego słabą stronę zwyciężali za pomocą magii. I na niewiele zdały się zapewnienia Szamana, że siła tamtych ludzi bierze się wyłącznie z ich ciemnoty; fakt pozostawał faktem: ich czary skutkowały!

Nawet Honeybloom kiedyś rzuciła nań urok sztywnego palca. Musiał potem zerwać gołą dłonią trzy pięciolistne cierniaki, kalecząc sobie przeraźliwie skórę na dłoniach. Dopiero gdy to zrobił, dziewczyna zdjęła czar, a kwiaty wpięła w swe czerwone włosy. „Inteligentni ludzie”, dowodził beztrąsko Szaman, „są niezwykle podatni na sugestię”.

Lecz ukoronowaniem ujemnych stron wodzostwa było samo odejście. Po upływie kadencji wódz był rytualnie zarzynany i poświęcany Duchom Natury Najdalszej. Wszystkowiedzący Szaman wyjaśnił, iż choć jest to poniekąd nieszczęsny przejaw barbarzyństwa, ma swoje głębokie uzasadnienie praktyczne. Żaden z Wodzów nie miał

w ten sposób bodźca do gromadzenia prywatnego majątku i był ogólnie uczciwy. “A i łowy, wydaje się, po takiej ofercie wychodzą lepiej”, przyznawał Szaman.

Oczywiście, myślał Flint. Łowcy, będąc świadkami morderstwa, boją się, by sami nie zginęli.

Nie, Flint nie chce zostać wodzem. Ale gdy stanął już przed obliczem Strongspeara, zrozumiał, że chyba niewielki ma wybór. Choć pod ozdobnym nakryciem głowy oczy starca lśniły żalostí, a z rozplatanego ramienia ciekła struga krwi, to on sam nie był wcale w ugodowym nastroju. Jakikolwiek opór lub kłopoty ze strony Flinta mogłyby się skończyć dlań dużo gorszą karą niż ropiejące wrzody.

Powagę sytuacji powiększyła jeszcze niewczesna wesołość Flinta: oto razem znaleźli się i jaskiniowcy, i dinozaur! Mimo że przygryzł język, by powstrzymać śmiech, nie wytrzymał.

— Z czego się, u diabła, śmiejesz, co? — rzucił Strongspear.

— Jaki śmiech, wykrzywiłem usta — szybko odparł Flint wyszczerzając zęby w przestachu — rzeczywistym, mówiąc szczerze. Też sobie wybrał miejsce na głupi śmiech!

— Co tutaj robi ten Polaroid? — warknął wódz.

Flint zupełnie zapomniał o Polariance, która towarzyszyła mu cały czas.

— To jest Topsy z Polaris — wyjaśnił pospiesznie. — Topsy, to jest wódz Strongspear.

I ponownie zwrócił się do wodza:

— Topsy chce tylko popatrzeć.

— Niech się stąd turla na tym swoim kółku — rzucił Strongspear. — Nie potrzebujemy tu żadnych parszywych Obcych...

— Wódz ma na myśli, że może ci tutaj grozić niebezpieczeństwo — zwrócił się Flint do Polarianki. — Nie zamierzał cię wcale obrazić.

Nie był to raczej stosowny moment na wyjaśnienie Strongspearowi jego pomyłki odnośnie płci Tsopi.

Macka dotknęła łodygi pnąca.

— Dobrze rozumiem i doceniam ostrzeżenie. Lecz dinozaur mi nie zagraża. Może nawet w czymś pomogę.

— Może — zgodził się uprzejmie Flint mając nadzieję, że Tsopi natychmiast się oddali. Ona jednak najwyraźniej nie pojęła aluzji i Flint zaczynał już żałować pochopnie danej Szamanowi obietnicy, że będzie miły dla Obcych. Jeśli w trakcie polowania ludzi na dinozaura Tsopi zginie, wyniknąć mogą komplikacje na całą Sferę.

“Sfera Polarna”, wyjaśniał Szaman, “posiada średnicę dwukrotnie większą od naszej. Wcześniej opanowali loty kosmiczne, są dużo lepiej zorganizowani, a stopień rozwoju techniki na ich planecie-matce jest nieporównanie wyższy od ziemskiego. Tutaj, daleko na Obrzeżu, są równie prymitywni jak my — jak wszystkie zresztą gatunki na skra-

ju swych Sfer. Ale nie daj się temu zwieść. Pewnego dnia możemy potrzebować ich pomocy. Zawsze o tym pamiętaj.”

Była to jedna z wielu istotnych nauk, które Flint wyniósł z rozmów z Szamanem: szacunek dla obcych kultur. Na Najdalszej było niewielu Polarian, lecz w ich własnej Sferze — miliardy. A jakby na to patrzeć, z Najdalszej bliżej było do Polarnej niż do Sol.

I nagle Flintowi przyszedł do głowy pomysł. Jeśli Polarianka w jakiś wydatny sposób przyczyniłaby się do rozwiązania obecnej sytuacji, niewiele zasługi spadłoby na Flinta i bez wątpienia on nie zostałby następcą wodza. Strongspear nigdy by nie wyświadczył jakiegokolwiek honoru Obcemu!

— Twoja pomoc może być bardzo przydatna — powiedział do Tsopi. — Zauważyłem, że potrafisz się niezwykle szybko poruszać. Jak sądzisz, czy zdołałabyś doprowadzić Starego Parskacza do pułapki bez ryzyka stratowania czy uderzenia jego rogiem?

— To będzie proste — odparła Tsopi rozjaśniając się radością. Flint zastanawiał się chwilę, czy ta uporczywa iluminacja jest cechą wszystkich Polarian, czy też tylko ich samich.

— Zabierz stąd to gówno dinozaura! — ryknął Strongspear, rozwścieczony tym, że jakiś Obcy jest świadkiem kłopotów ludzi.

— Posprzątam łąno Parskacza, gdy tylko wpędzimy go w pułapkę — odrzekł Flint licząc, że Polarianka nie zorientuje się w intencjach Strongspeara. Ale porównanie wodza było zbyt trafne!

Odeszli. Flint pokazał Tsopi zasadzkę, a następnie zabrał rozproszonych współplemieńców i wszyscy zbliżyli się do dinozaura.

— Chodzi o to, by odpędzić go od zabitych — wyjaśnił. — Ale skoro pozabijał ludzi, też trzeba go zabić, nie wyłącznie przepędzić. Musimy go zatem wprowadzić w pułapkę. Jedyny problem to...

— ...to, że nas dogoni! — dokończył jeden z wojowników.

— Właśnie — skinął ponuro głową Flint. — Ale Polarianka uprzejmie zgodziła się podprowadzić go do zasadzki. Na płaskim terenie Stary Parskacz nigdy nie dogoni Polarianina.

Mężczyźni nie sprawiali wrażenia przekonanych, lecz uznali niewątpliwy autorytet Flinta. W razie niepowodzenia to on będzie miał kłopoty, nie oni. Otoczyli dinozaura szerokim łukiem, by nie prowokować go do następnej niebezpiecznej szarży. Potwór nie atakował dużej grupy ludzi z odległości, kiedy nie mógł ich dojrzeć lub wyczuć na tyle dokładnie, by zaryzykować atak. Ale nie można było mieć co do tego pewności.

Flint i Tsopi podeszli zupełnie blisko. Stary Parskacz, gdy tylko poczuł ich obecność, parsknął i tupnął, aż ziemia się zatrzęsła. Z bliska był jeszcze większy — dwukrotnie wyższy od człowieka. Kości czaszki rozwierały się w szeroki kołnierz wokół szyi, a na nosie sterczały trzy wielkie rogi. “Triceratops”, mówił Szaman. “Tutaj, na Najdalszej

nie ma właściwie gadów, jedynie gatunki zbliżone do nich, lecz to praktycznie to samo. Planeta pozwala na większy rozrost. Zbieżna ewolucja...” Flinta nie obchodziły szczegóły; wiedział tylko, że Stary Parskacz należy do najpotężniejszych przeciwników, jakich ma ta planeta. Zgoda, istniały tu i drapieżne dinozaury, lecz one rzadko atakowały tak drobny łup jak człowiek, ludzie zaś trzymali się od nich z daleka, toteż rzadko dochodziło między nimi do kontaktu. Z kolei takich rogatych bestii jak ta było wiele, a ich młode stanowiły doskonały obiekt polowań. Szczytem głupoty więc było wypłaszanie Parskacza zamiast mniejszej ofiary...

Flint potrząsnął głową. Stary Parskacz, najdziksza z dzikich bestii! Postrach równin od ponad stu lat!

Zaalarmowany ruchem Flinta dinozaur obrócił gwałtownie olbrzymi łeb kierując swoje trzy rogi w stronę człowieka i Polarianki. Taka raźna reakcja dinozaura rozwiała wszelkie złudzenia o jego powolności czy gnuśności. Stary Parskacz był głupi, lecz w pełni przystosowany do życia w swoim środowisku — przeciwieństwo Szamana, inteligentnego, ale często bezradnego wobec wielu najprostszych rzeczy, jak na przykład patroszenie świń bagiennych przed upieczeniem. Cofał się zawsze bojaźliwie przed try-skającymi zielonym sokiem...

Dinozaur znowu parsknął i wydał z gardzieli na wpół melodyjny ryk, od którego zdrżało powietrze wokół jego rogów. Tupnął ostrzegawczo potężnym kopytem. Nie znośli natrętów.

Flint nie zabrał ze sobą oszczepu, a kamienny topór nie był na razie przydatny. To wyjątkowo poręczne narzędzie, lecz nie w obliczu stojącego dinozaura. Jedyną przewagą człowieka mógł być jego mózg — ale widząc coraz bardziej rozwścieczoną bestię Flint i tego nie był już tak bardzo pewien. Zadanie jednak musiało być wykonane, a przewrotna дума Flinta kazała mu tego się podjąć — ryzykując nawet, że zostanie następcą wodza.

— Hii-ja, rogaty Parskaczu! — wrzasnął wymachując rękami.

Dinozaur stał przez chwilę nieporuszony, a w następnej już szarżował z prędkością dobrych trzydziestu kilometrów na godzinę. W każdym razie tak to wyglądało.

Na atak rozszalałej bestii była tylko jedna rada: zejść z drogi. Flint gnał najszybciej, jak potrafił, słysząc tuż za sobą bum bum bum straszliwych kopyt Starego Parskacza, tratujących z łoskotem ziemię. Zbyt blisko za sobą: zwierzę mogło dopaść człowieka w pełnym pędzie i miało tego świadomość.

Wtedy wystrzeliła do przodu Tsopi. Pochyliła w dół mackę, i dotykając nią własnego ciała zaczęła wydawać przeszywające dźwięki, niczym wrzaski wystraszonego zwierzęcia.

Flint odskoczył w bok, zaczepił stopą o wystający z ziemi korzeń i runął głową do przodu, rozciągając się na ziemi jak długi. Kopyta dinozaura gruchnęły w ziemię mi-

jając go o metr. Darń ugięła się na kilkanaście centymetrów. Stary Parskacz widział, jak Flint pada, ale nie mógł już w tak krótkim czasie wyhamować i zmienić kierunku. W przodzie zaś już gnała Tsopi skupiając na sobie całą jego uwagę.

Flint podniósł się; był cały. Powinien jednak lepiej patrzeć pod nogi — a tak całe plemie było świadkiem jego niezdarności. To jednak nie miało żadnego znaczenia, gdyż nie on był bohaterem całej przygody. Była nim Polarianka. Zaczął w napięciu śledzić pogoń.

Tsopi zbliżała się właśnie do pułapki, a ścigający dinozaur galopował za nią. Zasadzkę stanowiła ogromna jama głęboka na trzy metry i o średnicy piętnastu, nakryta siecią ze skrzyżowanych łądyg pnączy. Nie były one niczym maskowane: dinozaur miał zbyt słaby wzrok i za mało rozwinięty mózg, by odkryć zasadzkę, zanim postawi na niej nogę. Naturalne niebezpieczeństwa to jedna sprawa i naturalna selekcja wykształciła w nim ostrożność; ale sztuczne zasadzki liczyły sobie niewiele ponad sto lat i dinozaury nie zdążyły się jeszcze ich nauczyć. Pułapki takie należało tylko kopać kilka tygodni wcześniej, by ulotnił się z nich ludzki zapach. Stary Parskacz rozwali łądygi i wpadnie do środka — i choć jest wyższy o pół metra niż głębokość dołu, jego masa i muskulatura nie pozwolą mu wydostać się na zewnątrz. Pęd do przodu to nie to samo co ruch do góry; przykładem byli Polarianie i ich kłopoty ze wspinaczką.

Nieoczekiwanie tuż przed samą pułapką Tsopi zmieniła kierunek, a za nią naturalnie pognął Stary Parskacz. Obaj przemknęli jak wichura wzdłuż krawędzi dołu i dinozaur nie wpadł do środka.

— Głupi Polaroid! — krzyknął mężczyzna stojący obok Flinta. — Czemu nie poszedł górą, jak zostało ustalone?

Właśnie, dlaczego? Czyżby Polarianka celowo chciała zepsuć polowanie?

Parskacz i Tsopi zawrócili — w kierunku ludzi. Polarianka przyspieszyła i gnała wprost na Flinta. Jeśli Stary Parskacz utrzyma swój kurs... no, to ludzie mogli zmykać, ale jeden czy dwaj na pewno zostaną przy tym stratowani.

— Flint! — krzyknęła Tsopi dotykając macką ziemi. — Nie mogę przy pełnej szybkości przebyć dołu!

Flint pojął swój błąd. Człowiek skacząc z jednego pnącza na drugi przebyłby jamę łatwo i bezpiecznie. Polarianka jednak nie umiała skakać. Nie w ten sposób. Dla niej skrzyżowane pnącza stanowiły przeszkodę nie do przebycia.

— Pędź prosto i uskocz w ostatniej chwili! — wykrzyknął Flint. — Stary Parskacz nie skręci tak szybko jak ty.

— W porządku! — Polarianka ponownie zmieniła kierunek, a dinozaur był tak zaabsorbowany pogonią, że pędząc obok Flinta wcale go nie zauważył. Umysł szedł w parze z ciałem.

Ale Stary Parskacz zaczął zwalniać; nie mógł tak długo galopować z pełną szybko-

ścią. Sprawa się komplikowała: potwór może stracić zainteresowanie nieuchwytną ofiarą i skierować się ku dużo powolniejszym ludziom.

— Pozwól mu zbliżyć się do siebie! — zawołał Flint, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób pozbawiona uszu Polarianka może go słyszeć.

Tsopi zwolniła pozwalając dinozaurowi zmniejszyć dystans. Gnali zgodnie prosto w stronę pułapki. Olbrzym niemal doganiał maleńką Tsopi.

— Oj, czy nie za blisko — mruzczał zaniepokojony Flint widząc, jak róg Starego Parskacza prawie jej dotyka.

Tuż przed krawędzią pułapki Tsopi gwałtownie skręciła. Stary Parskacz próbował uczynić to samo, a że gnał teraz trochę wolniej, prawie mu się to udało. Jednak przednie nogi trafiły już w pnącza, które łamiąc się pod jego ciężarem niczym suche gałązki, runęły w dół. Dinozaur poleciał za nimi, rogiem do przodu.

Kłody wystrzeliły w górę. Jedna z nich, grubości ludzkiego ramienia, spadła na Tsopi i strąciła ją do jamy.

— Och, nie! — krzyknął Flint. Nieoczekiwanie pokój między dwiema Sferami zawisł na włosku. Flint zerwał się na nogi jak szalony i pognął w stronę pułapki.

— Stój! — krzyknął ktoś za nim. — Z tej jamy nie ma już wyjścia!

Lecz Flint dobiegł już do krawędzi. Dinozaur klęczał bez ruchu i sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego. Polarianka dygotała, lecz była cała i zdrowa.

Po ciele Starego Parskacza przebiegł dreszcz. Przekręcił straszliwy łeb i próbował dźwignąć się z kolan. Kiedy ześlizgiwał się do jamy, urwał swoim cielskiem ogromny płat ziemi z krawędzi dołu. Ta właśnie poduszka z piasku oraz amortyzująca warstwa pnączy uchroniły dinozaura przed skręceniem karku. W innych wszakże okolicznościach skończyłoby się to tragicznie.

Polarianka znalazła się w opałach. Nie mogła o własnych siłach wygrzebać się z jamy, nawet w miejscu, gdzie oberwała się krawędź dołu, a jej nerwowe ruchy przykuły uwagę dinozaura. Masywny łeb obrócił się, kierując w jej stronę trzy rogi. Bez względu na to jak potwór był oszołomiony i głupi, w ograniczonej przestrzeni jamy mógł bez trudu rozgnieść Tsopi na placek.

Flint ześlizgnął się po usypisku i wylądował twardo, lecz bezpiecznie na dnie. Wyrwał zza skórzanego pasa siekierkę i uderzył obuchem w najdłuższy z rogów Starego Parskacza. Zadźwięczało niczym cios w suche, wydrażone pnącze.

— Hii-ja, durniu! — wrzasnął Flint.

Dinozaur dźwignął się na nogi. Parsknął. Dobrze miał imię: parsknięcie było ogłuszające. Ale małe oczko skierowane było na Tsopi; wciąż jeszcze nie rozumiał, że w jamie wraz z nim znajdują się już dwa stworzenia. Bestia wysunęła rogi do przodu.

— Pozwól! — wrzasnął Flint przekrzykując dzwoniące w uszach pozostałe po parsknięciu. Wyciągnął ręce obejmując w pół tors Tsopi i wyszarpnął ją w górę. Ciało

Polarianki skurczyło się jak skórzany worek z wodą. Rogi grzmotnęły w ścianę, tuż poniżej wiszącego w powietrzu koła Polarianki.

Stary Parskacz poderwał łeb w górę. Prysnęła fontanna ziemi i piasku — to runął kolejny fragment ściany. Flint przeskoczył w bok, dźwigając Polariankę. Ciało Tsopi było suche, a zarazem dziwacznie śliskie, jak gdyby wypolerowane. Wielkie koło obracało się powoli.

Flint uskoczył przed uderzeniem płyty kostnej chroniącej szyję i kark Starego Parskacza; płyta znajdowała się wyżej od niego, a otaczały ją zwały monstrualnych mięśni.

Dinozaur szarpnął łbem próbując zmiażdżyć dwie drobne figurki. Był to jedyny manewr, który potrafił dobrze wykonać! Flint uniósł nogę i zarzucił ją na krawędź szyi opancerzonej kostnym kołnierzem. Kiedy łeb potwora cofał się, Flint, wciąż trzymając Tsopi, siadł na jego karku niczym w siodle.

Stary Parskacz ciskał się w przód i w tył miotając obojgiem. Ześlizgnęli się na pośladowany grzbiet. Znajdowali się teraz ponad poziomem ziemi, ale nie było jak na nią przeskoczyć.

Flint, częściowo ześlizgując się, częściowo na nogach, dotarł w końcu do ziemi, tuż obok ogona dinozaura. Postawił Tsopi koło siebie.

— Chyba źle z nami, przyjaciółko — zauważył. — Przepraszam, jeśli ścisnąłem zbyt mocno.

— Już mi lepiej — odparła Polarianka. — Odwdzięczę się.

I ruszyła do przodu.

Stary Parskacz odwracał się niezdarnie; nie miał swobody manewru, gdyż bezustannie uderzał bokami o ściany ciasnej jamy. Człowiekowi i Polariance zajrzało w oczy niebezpieczeństwo zgniecenia niezdarnym, ciężkim ciałem o ścianę twardego piachu. Flint zanotował w myśli: jeśli wydostanie się stąd, a w przyszłości będzie jeszcze budował tego rodzaju pułapki, wykopie w ścianach nisze o rozmiarach człowieka. Wprawdzie nigdy już zapewne człowiek nie zostanie uwięziony w takim miejscu wraz z dinozaurem, ale zawsze...

Tsopi, wydając przenikliwe dźwięki, wystrzeliła do przodu mijając masywny kołnierzyk kostny i tępy róg. Ów ostry krzyk drażnił nawet Flinta, ale bez wątplenia o to chodziło.

Trzy rogi wystrzeliły do przodu prosto w Tsopi z zadziwiającą dokładnością. Polarianka odskoczyła w bok i rogi minęły ją o milimetry, ponownie trafiając w ścianę. Kolejna warstwa ziemi runęła na dno dołu. Stary Parskacz szarpnął gwałtownie w górę rogi — był to odruchowy cios, doskonały manewr stosowany w walce z wysokimi na sześć metrów karnozaurami — odłupując kolejną grudę ziemi. To co plemię kopało przez tydzień, dinozaur niszczył w kilka chwil.

Kiedy okropny, uzbrojony pysk znów był gotów do ataku, Tsopi potoczyła się z po-

wrotem po miążkiej ziemi zostawiając za sobą falisty ślad koła i drażniła potwora piskliwym dźwiękiem. W pewnej chwili nawet dotknęła macką ogromnego rogu i dźwięk natchmiasł wzrósł, wzmocniony wewnętrzną pustką kła. Było to tak, jakby splunęła potworowi w sam pysk!

I nagle Flint pojął, o co chodzi. Tsopi chciała, by bestia sama wykopała im wyjście z dołu. Każde przejście oznaczało kolejne uderzenie w ścianę i kolejną porcję usypanej ziemi. W ścianie już teraz ziała dwumetrowa wyrwa, a na dnie piętrzyła się wysoka na metr przyzma piasku.

Naturalnie Flint już dawno mógł wydostać się na zewnątrz, gdyby tylko Stary Parskacz dał mu na to czas. Wystarczyło podskoczyć, chwycić się krawędzi jamy i wciągnąć na górę — jeśli tylko nie zerwie się przy tym darń. Nie zdołałby jednak wynieść Polarianki, a była zbyt ciężka, by podrzucić ją tak wysoko.

Ale zadowolony z rysującej się perspektywy ucieczki Flint dostrzegł nagle kolejny problem: kiedy powstanie już pochylnia pozwalająca człowiekowi i Polariance wydostać się na zewnątrz, dinozaur również będzie mógł pójść ich śladem. Powrócą zatem do punktu wyjścia: z szarżującym po równinie rozwścieczonym kolosem.

Nie, niezupełnie do punktu wyjścia. Inni zdążyli już pozbierać z pola zabitych i rannych. Tyle przynajmniej zyskano.

Wkrótce praca była ukończona; zwierzę było wszak krzepkim robotnikiem. Może któregoś dnia człowiek nauczy się oswajać dinozaury i zyska w ten sposób potężną siłę, którą ujarzmi środowisko. Kiedy pochylnia była już gotowa, Tsopi sprowokowała Starego Parskacza do półobrotu w przeciwną stronę. Wtedy nadbiegł Flint, wyciągnął w jej stronę pomocne ręce i zaczął gramolić się po stromej pochyłości. Przez chwilę ziemia przyskała spod koła Polarianki tworząc wyrwę w piasku. Flint uniósł Tsopi w górę i po chwili byli już na zewnątrz.

Ale co z dinozaurem? Flint stał niezdecydowany na krawędzi dołu. Stary Parskacz nie ruszył jednak ich śladem. Po prostu dalej obracał się w poszukiwaniu ofiary, którą ścigał, i wcale nie zwracał uwagi na rampę.

— Przyjacielu Flint, musimy uciekać — przynagliła go Tsopi.

— Zaraz, chwileczkę — odrzekł Flint. Coś go dręczyło i nie chciał odejść, dopóki nie dojdzie, o co chodzi.

I wtedy ujrzał na wysokości swych oczu oko Starego Parskacza — potężne mięśnie karku potrafiły dźwignąć łeb zadziwiająco wysoko. Ależ to zwierzę było sprawne! Przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Mięśnie dinozaura napięły się...

— Flint!

Stary Parskacz się odwrócił.

Nawet nie rozpoznał swojej niedoszłej ofiary... ponieważ Flint nie znajdował się już w jamie.

Dinozaur tkwił w pułapce na dobre. Mógłby wydostać się na zewnątrz, gdyby zrobił wykop szerszy, wystarczająco szeroki dla swego masywnego cielska. Ale nie zrobił.

Był bowiem zbyt tępy, aby taką rzecz przewidzieć.

Ta myśl przyszła Flintowi do głowy nieoczekiwanie: największą pułapką jest głupota! Nie istniało większe ograniczenie niż ospały mózg. — Obym zawsze, spojrzawszy wrogowi w oczy, umiał go rozpoznać — szepnął do siebie. — Obym nigdy nie przegapił łatwiejszej drogi z powodu tępego umysłu. — Oto, zaiste, różnica między człowiekiem a dinozaurem!

— Bez urazy, Flint — odezwała się Polarianka.

Flint miał już jej odpowiedzieć, że nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo, lecz uświadomił sobie, że nie o to chodzi.

— Bez urazy — skinął głową. Tsopi miała coś istotnego, zapewne kontrowersyjnego do powiedzenia, i oto nadszedł czas, by to wyznać.

— Nie znam wszystkich waszych zwyczajów. U nas gdy jeden osobnik ratuje życie innemu, ten drugi zaciąga w ten sposób dług.

— U nas też — zgodził się przezornie Flint.

Doświadczenia wyniesione z jamy skomplikowały jego obraz Polarian; faktycznie posiadali oni wiele wartościowych cech.

— Uratowałeś mi życie, ryzykując swoje...

By zapobiec komplikacjom Sferycznym — ale nie należało mówić tego głośno.

— A ty moje.

— Zatem wymieniliśmy długi.

— Wymieniliśmy. — Co dalej?

— Zegnaj, bracie w długu.

To wszystko?

— Zegnaj, siostrze w długu — jak echo powtórzył Flint.

Polarianka oddaliła się z właściwą swej rasie nieprawdopodobną szybkością. Flint spoglądał za nią potrząsając głową. Co za dzień!

Zbliżyli się współplemieńcy.

— Udało ci się! — wykrzyknął jeden. — Złowiłeś Starego Parskacza!

— Złowiła go Topsy Polarianka — poprawił Flint. — Wciągnęła dinozaura w zasadzkę i pomogła mi wydobyć się z dołu. Cała zasługa należy się jej i tylko jej. To powiedzcie wodzowi Strongspearowi.

Spoglądali po sobie z wahaniem, lecz w końcu jeden z nich ruszył do wódza. Flint był przekonany, że świadectwo tego człowieka, poparte opinią świadków, ukręci łeb sprawie adopcji. Bardziej niż Obcych wódz Strongspear nienawidził bowiem sympatyków Obcych.

Tymczasem myśliwi będą mogli bez pośpiechu dobić Starego Parskacza, a w osta-

teczności zagłodzić go na śmierć. Plemię będzie ucztować po królewsku przez wiele nadchodzących dni. Zdobędzie dużo doskonałej skóry na sandały, wspaniałych ścięgien na sznury i cięciwy, znakomitych kości na grotty do oszczepów. Z krwi zwierzęcia uwarzą polewkę i piwo, z kości kręgosłupa porobią maczugi. Z przetopionego tłuszczu powstaną świece i olej do smażenia. Każda prawie część Starego Parskacza zostanie spożytkowana. Nie dlatego, że plemię było przesadnie oszczędne, ale dlatego, że o wiele prościej jest wykorzystać, co się ma, niż zwoływać nowe polowanie wcześniej, niż zachodzi tego potrzeba. O, tak, dzisiejsze łowy ludzie będą długo pamiętać!

Niemniej doskwierała mu myśl o śmierci Starego Parskacza. Ludziom nigdy nie udałoby się go upolować w rozkwicie wieku. Dinozaur liczył sobie już dobrze ponad sto lat i całe ludzkie pokolenia ustępowały z terenów, gdzie potwór grasował. Jego śmierć jest więc końcem pewnej epoki. Było to smutne.

Istniały naturalnie inne jeszcze dinozaury, często większe i bardziej niebezpieczne niż Stary Parskacz. Ten w gruncie rzeczy nie był najgorszym sąsiadem. Tak długo zostawiał plemię w spokoju, póki ono nie wchodziło mu w paradę. Ale wkrótce opróżnione przez niego miejsce zajmie jakiś inny potwór, gdyż tereny te stanowiły znakomite żerowisko. I wtedy dopiero ludzie zrozumieją, jak niekłopotliwego w sumie utracili sąsiada.

Flint zdawał sobie sprawę, że tylko przechodzi typowe rozładowanie emocjonalne po łowach — lecz wciąż był przygnębiony. Zrobił więc jedyną rozsądną rzecz.

Udał się do Honeybloom.

Zrywała właśnie soczyste jagody obok Zachodnich Zarośli. Jej czerwone włosy lśniły cudownie, zielone piersi były bujne jak jagody melonowe, a skóra delikatna jak brzoskwinia.

— Aleś ty brudny, Flint! — zawołała z udanym przestraczem.

— Wpadłem do dziury — odparł obrzucając ją pożądlivym spojrzeniem. — A teraz chciałbym dostać się z kolei do innej.

Cisnęła w niego owocem. Kulka wielkości gałki ocznej rozplaszczyła mu się na piersi, a po brzuchu pociekła struga błękitnego, lepkiego soku.

— Chodź, wymyję cię — odezwała się z nagłą skruchą w głosie.

Zaprowadziła go nad rozlewisko rzeki. Myślała dokładnie, jak to miała w zwyczaju, a jej dłonie były rozkosznie delikatne. Flint przypomniał sobie o groźbie wrzodów i poczuł szaloną radość, że zapobiegł temu.

Potem pociągnął ją na ziemię biorąc drapieźnie, jakby był prawdziwym jaskiniowcem, a ona prawdziwą kobietą z prehistorii. Lecz mity o gwałtowności jaskiniowców zawsze były dobrym pretekstem do śmiechu — a gdy się śmiała Honeybloom, warto było popatrzeć.

Jej piersi ponętnie falowały, sprawiając wrażenie większych, niż były naprawdę. Z jakimś pełnym zadumy żalem, Flint myślał o chwili, gdy będzie musiał te piersi od-

stąpić komuś innemu — swemu dziecku. Był to wielki problem w małżeństwie...

W końcu, czując się dużo lepiej, ruszył do swego warsztatu w wiosce. Było już południe: Etamin stał wysoko na niebie grzejąc niemiłosiernie. Flint stracił już pół dnia; była to jednak strata pozorna, bo nauczył się w tym czasie więcej niż w ciągu całego zeszłego tygodnia.

Przydźwigał duży blok krzemienia. Krzemień był wyjątkowym surowcem. Inne materiały łupały się, tworząc kawałki nierównej wielkości i o przypadkowych kształtach. Krzemień natomiast pękał tak, jak pragnął tego twórca, formując odpryski o równych i ostrych krawędziach — czyli noże. Krzemiennoy nóż był mocny, z łatwością można nim było zabijać mniejsze zwierzęta. Był też trwały; nie szczyrbiał się i nie tępił. Był również niesłychanie twardy. Razem wzięwszy, kamień ów miał prawie nadprzyrodzone właściwości.

Ale wymagał umiejętnej obróbki. Uderzony w niewłaściwy sposób pękał na bezużyteczne kawałki. Uderzony umiejętnie, formował się w zgrabne noże o cienkiej kładce, w ostre groty, potężne siekiery lub wygodne skrobaki. Wymagał tylko właściwego podejścia.

Był to talent wrodzony, a Flint należał do niewielu, jacy mieli ów zmysł; tak naprawdę był najlepszym rzemieślnikiem od obróbki krzemienia w okolicy. Jego klingi były ostrzejsze, lepiej uformowane, trwalsze od innych. A co najważniejsze, potrafił robić je szybciej i oszczędniej, z bardzo małymi stratami kamienia. W okolicy, gdzie zamieszkiwało plemię Flinta, nie było złóż krzemienia i musiano go zdobywać drogą wymiany, toteż był to bardzo cenny surowiec. Na szczęście talent Flinta, po raz pierwszy w tym pokoleniu, uczynił tę wymianę opłacalną i plemię mogło sprowadzać dowolne ilości krzemienia w zamian za połowę jego wagi w gotowych wyrobach. Dlatego Flint nie musiał już brać udziału w ryzykownych i trudnych polowaniach ani zajmować się innymi, równie uciążliwymi zajęciami, jak na przykład zakopywaniem odchodów plemienia. Najbardziej był grupie użyteczny jako rzemieślnik. Aż do dzisiejszego ranka, kiedy łowcy spaprali polowanie na Starego Parskacza.

Ostrożnie ustawił bryłę krzemienia, położył na niej kościany amortyzator, a następnie uniósł tłuk specjalnego kształtu i uderzył. Odłupało się długie, wąskie ostrze. Uderzył ponownie: kolejny gładki i ostry wiór krzemienia oddzielił się od bryły.

Flint nigdy nie czynił tajemnicy ze swej sztuki; jego zręczność tkwiła w dłoniach, nie w narzędziach. Uderzenie nie mogło być zbyt mocne ani zbyt słabe. Nie nazbyt blisko krawędzi i nie za daleko. Inni próbowali naśladować jego ruchy, lecz próby te kończyły się niepowodzeniem, gdyż nie posiadali koordynacji ruchów i wyczucia kamienia. Materiał stanowił część jestestwa Flinta; już ważąc w dłoniach krzemień wiedział, w który punkt należy uderzyć. Nikt go tego nie uczył; nikt nie musiał go tego uczyć.

Gdy miał dobry dzień, potrafił wykonać kilka setek wybornych kling. Rok temu,

osiągnąwszy dojrzałość, dał publiczny pokaz umiejętności. I tak oto zdobył imię i zawód. Tak długo, jak będzie miał dostęp do krzemienia i zachowa sprawne dłonie, jego pozycja w plemienu pozostanie nie zachwiana.

Tym samym miał jeszcze jeden powód do małżeństwa z Honeybloom. Była słodką, piękną dziewczyną, zawsze posłuszną, choć niezbyt bystrą. Szaman wielokrotnie próbował wyperswadować mu ten związek argumentując, że gdy Honeybloom utyje, jej towarzystwo przestanie być pociągające. Ale dziewczyna posiadała niewątpliwy talent do czarów, zwłaszcza w rękach. Wprawdzie rzuciła nań kiedyś urok sztywnego palca — karę, jak oświadczyła, za to, co uczynił pewnego dnia, gdy zastał ją we śnie — ale obiecała sprawić, że jego ręce będą zawsze silne, dłonie sprawne, a palce giętkie. Dlatego musi ją poślubić.

Trzask! Kolejne ostrze. Trzask! Jeszcze jedno. Zawsze zabierało mu trochę czasu uchwycenie rytmu i wycucie kamienia — teraz był jednak już rozgrzany. Przy odrobini szczęścia nadrobi czas stracony tego ranka.

— Flint.

Niespodziewany głos wybił go z rytmu. Uderzył źle. Zepsuty odłamek krzemienia upadł mu pod nogi. Cholera!

Ogarnął go gniew. Spojrzał w górę, ale z otwartych już od przekleństwa ust nie popłynął żaden dźwięk. Stał bowiem przy nim nie ciekawski natręt czy nagie dziecko wioskowe, ale mężczyzna w mundurze Gwardii Imperium. Jego skóra była blada, niemal olśniewająco biała — jak skóra Szamana — co oznaczało, że przybysz jest urodzonym Ziemianinem. Z kosmoportu zapewne — członek jego wałkoniącego się personelu. Ale był gwardzistą Imperium i nie należało go lekceważyć.

Flint, jak większość swych rodaków, mało wagi przykładał do ubioru i chodził nago. Ubiór przeszkadzał mu w pracy. Tylko zima zmuszała go do okrywania ciała odzieżą.

— Jestem Flint — odparł.

— Chodź ze mną.

Co pięć lat ludzie Imperium zbierali wszystkie dzieci z plemienia i podawali je zestawowi testów. Była to wprawdzie procedura bez znaczenia, ale dzieciakom to się podobało, a Ziemianom najwidoczniej wystarczało. W obecnej chwili jednak nie był to ani rok, ani pora na takie testy, a poza tym Flint nie był już dzieckiem. Ziemia nie miała już żadnych powodów, by się nimi interesować.

— Mowy nie ma — warknął. — Jestem zajęty.

Gwardzista sięgnął po broń — regulaminowy miotacz.

Flint w jednej chwili był na nogach, lekko pochylony do przodu. Między palcami trzymał fachowo krzemienne ostrze.

— Chcesz się spróbować, Impie? — szepnął.

Otaczał ich już tłum dzieciarni gapiącej się na tę scenę z otwartymi ustami.

Gwardzista zawahał się. Jeśli zrobi użytek z miotacza i zabije Flinta, zostanie oskarżony o zabójstwo gołego i bezbronnego w gruncie rzeczy dzikusa. Jeśli Flint zabije jego — będzie martwy. I tak źle, i tak niedobrze.

— Musisz iść, Flint — odezwał się. — To rozkaz Regenta Ziemi. Właśnie przybyła kapsuła.

— A czego chce ode mnie Regent? — spytał Flint nie spuszczać oka z mężczyzny.

— Chce, byś przybył na Sol. Wiem tylko tyle.

— Sol! — wykrzyknęła chórem zdumiona dzieciarnia.

Flint wybuchnął śmiechem.

— Ja na Sol! Nikt nie udaje się na Sol. Wszyscy przybywają stamtąd!

Ale wtedy przypomniał sobie omen. Czyżby o to chodziło?

Gdy Flint się wahał, gwardzista Imperium wyciągnął miotacz.

— Nic przeciwko tobie nie mam — mruknął. — Ale rozkaz to rozkaz. Masz być pretermitemowany na Ziemię — jeszcze dzisiaj.

Lecz i tak opór Flinta był złamany. Mógł walczyć ze strażnikiem, mógł ukryć się gdziekolwiek przed Ziemianami — ale jak można walczyć z przeznaczeniem? Czarownikiem był słabym, a znak dotarł do niego z odległości stu ośmiu lat świetlnych. Przed tym nie było obrony.

2.

Misja Gniewu

wiadomość wydarzenie w galaktyce-celu

— wiadomość przyjęta odbiór —

przeprowadzony transfer 80 jednostek przemieszczenie 1500 parseków ze sfery knyfh do rejonów zacofanych

— wstępnie interesujące widocznie knyfh szuka pomocy trudności z samodzielną kontrolą zewnętrznej galaktyki brak rozwiniętych kultur w tym segmencie —

uzupełnienie w pobliżu pewna ilość kultur w początkowym stadium rozwoju technologicznego gromada sfer

— wyszczególnić —

kanopus spika polarna antares sador nath bellatrix mirzam mintaka

— gromada bez znaczenia kanopus jest kulturą niewolniczą spika kulturą podwodną sador wsteczna ewolucja mintaka zainteresowana wyłącznie muzyką antares zna transfer lecz stosuje go wyłącznie u siebie polarna stanowi potencjalne zagrożenie mając skuteczną kolistość tam knyfh skierowała transfer? —

poprawka transfer do sfery sol

— sol! zaranie rozwoju technologicznego niewielka sfera —

po trudnych początkach gwałtowny rozwój w ostatnim czasie

— jednomyślność szczegóły o sol —

nieudana ekspansja za pomocą matermisji wyczerpała zasoby energetyczne planety niemal do punktu krytycznego następnie przez 400 cykli lub lat głównej planety kolonizacja gwiazdolotami główne kolonie syriusz procjon na poziomie atomowym altair fomalhaut wega technika maszynowa arich mufrid polluks arktur denebola kastor capella wszystkie na etapie handlu przed rozwojem przemysłu sheriton denebkaitos aldebaran alioth corserpentis sabik wszystkie średniowieczne pozostałe kolonie w głębszym regresie aż do prymitywizmu

— dość! włączając pierwotną tylko trzy na poziomie atomowym sfera prezentuje ograniczony postęp i wątpliwe możliwości na razie brak podstaw do kontrakcji ciągle podgląd by zyskać pewność że transfer knyfh wyłącznie desperackim poszukiwaniem—

POTĘGA

— CYWILIZACJA —

Flint rozglądał się, wciąż gniewny mimo omenu. Trafił do ogromnej sali, takiej samej jak główne pomieszczenie stacji Impów na Najdalszej — z tym, że dużo większej. Z rozmieszczonych wysoko w ścianach otworów sączyło się światło — nie, było to sztuczne światło, jedna z tych zadziwiających rzeczy, jakie posiadali Impy. Powietrze wypełniał dokuczliwy pomruk jakby ukrytych pracujących maszyn. Ogólne wrażenie było okropne.

— Flint z Etaminu? — zapytała kobieta.

Pozbawiona była wszelkich cech swojej płci. Miała zupełnie płaskie piersi, białą jak obłok skórę i mówiła z twardym akcentem Impów. Flint nie miał wątpliwości: jest na Imperialnej Ziemi. I nie podobało mu się tu.

— Etamin: podwójna gwiazda na Obrzeżu — mówiła. Miała głos niski, lecz pozbawiony miękkości.

To wzbudziło w nim cień zainteresowania.

— A co, Sol nie jest podwójna? — spytał.

Nie powiedział tego, by sobie zakpić; nie przyszło mu dotąd do głowy, że Sol może w tak istotnym szczególe różnić się od jego ojczystego słońca. Nic zatem dziwnego, że Sol była tak słabo widoczna na niebie. Ale naturalnie nie istniał powód, by wokół pojedynczej gwiazdy nie mogło rozwinąć się życie; liczyła się planeta.

— Proszę włożyć tę tunikę — odezwała się kobieta wyciągając w jego stronę ubiór z czerwonego materiału.

— Mam nałożyć tę czerwoną sukienkę? — z niedowierzaniem spytał Flint.

— To nie sukienka. To tunika imperialna. Wszyscy obywatele w takich chodzą, mężczyźni i kobiety. Spójrz, ja noszę taką samą.

Flint ponownie obrzucił kobietę wzrokiem. Nieprawda, że miała płaskie piersi. Ten Imp w ogóle ich nie posiadał.

— Jesteś mężczyzną! — powiedział zaskoczony.

To ta suknia i gładka, pozbawiona zarostu twarz wprowadziły go w błąd. Ale przecież głos i klatka piersiowa nie powinny go tak zmylić. Był doprawdy przerażająco mało spostrzegawczy.

Mężczyzna skierował w górę swe jasne oczy w czysto kobiecym odruchu.

— A jaki kolor wolałbyś? Możesz wybrać, jaki chcesz. Tylko nie czarny.

— Dlaczego nie czarny?

— Czarny jest dla urzędników.

Flint nie lubił urzędników.

— Dobrze mi jest, jak jest.

Drwiący uśmieszek.

— To nie będzie takie proste. Nie jesteś figurą z taroka.

— Na taroku ludzie też chodzą nago?

— Tarok to karty okultystyczne stosowane przez wyznawców kultu taroka. Ich doktryna głosi, że każde pojęcie boga jest prawdziwe.

— A nie jest tak?

Znów wywrócone oczy.

— Masz stanąć za kwadrans przed Radą Ministerialną. Musisz być ubrany.

— No dobrze, daj zieloną. Mam przecież zieloną skórę — machnął ręką Flint. Pomyślał, że dłuższy spór opóźni tylko jego powrót do domu.

— Proszę bardzo — mruknął z niesmakiem blady mężczyzna, wydobywając zieloną tunikę, której kolor niewiele różnił się od barwy skóry Flinta. Ten natychmiast wciągnął ubranie przez głowę. Jednak jedwabnej bielizny spodniej, mimo usilnych nalegań mężczyzny, nie włożył. Suknia była wystarczająco uwłaczająca, majtek zaś to już żaden wojownik czy rzemieślnik nie nałoży! Założmy, że nagle zechce oddać mocz?

Pojawiła się kobieta — tym razem prawdziwa: z włosami, piersiami i biodrami jak trzeba, choć ubrana tak samo jak mężczyzna. Doprowadziła do porządku jego dumnie wzburzone włosy, obmyła ręce i nogi, a na końcu obcięła na nich paznokcie. Poza tym, że miała białą skórę, była atrakcyjną kobietą, o piżmowym zapachu i wdzięcznych ruchach. Z tego tylko względu Flint zgodził się na te poniżające zabiegi. Miał jedynie nadzieję, że w najbliższym czasie nie przyjdzie mu walczyć; jego ręce stały się teraz żenująco delikatne, jak dłonie Honeybloom.

Wepchnięto go do kapsuły, która zamknęła się za nim i raptownie pogrążyła w ścianie. W przelocie dostrzegł strzeliste budynki, niczym proste, pionowe skały, i tłumy ludzi przybranych w powłóczyście szaty. Ponad głową rozciągała się kopuła błękitnego, nie zielonego nieba, a blask słońca był żółty aż do mdłości. Z całą pewnością była to Imperialna Ziemia! Kapsuła przebiła kolejną ścianę niczym oszczep skórę i zatrzymała się wewnątrz budynku.

Czując lekki zawrót głowy Flint wyszedł na zewnątrz.

Zbliżył się jakiś człowiek z wyciągniętą ręką i uściśnął mu dłoń. W pierwszym odruchu Flint chciał złapać tę cherlawą rękę i przerzucić sukinsyna przez ramię, pohamował się jednak. Lepiej zorientować się wpierw w sytuacji, a potem dopiero działać; to mu zawsze wbijał do głowy Szaman. Później będzie sobie mógł poigrać z kilkoma Impami.

— Witaj, Flincie z Najdalszej. Jestem Ministrem Populacji. Odnaleźliśmy ciebie dzięki naszemu archiwum intensywnych aur. Rada już ciebie oczekuje.

— Hm — mruknął Flint wymijająco i ruszył za mężczyzną przez rozległe, puste hale, niczym podłoże przerośniętego lasu pnący. Czuł się przeraźliwie ścieśniony, a jego wzrok, słuch i węch stały się tu nieprzydatne. Było to z pewnością jedno z legendar-

nych ziemskich więzień. Rozglądał się nerwowo wypatrując drapieżników, jakkolwiek wiedział, że dinozaury dawno już wymarły na Ziemi.

Rada Ministerialna okazała się grupą bezbarwnych mężczyzn ubranych w takie same czarne tuniki. Ich ręce i twarze miały białą barwę kości, za wyjątkiem jednego — o skórze brązowej. Przedstawiali się Flintowi w pośpiechu, a ten, choć trudno ich było rozróżnić, zapamiętał wszystkich z imienia; robił to bezwiednie, tak na wszelki wypadek. Miał zadziwiającą pamięć do takich szczegółów; zdolność myśliwego i zwiadowcy. Szaman nazywał tę pamięć "eidetyczną".

— Przejdę od razu do rzeczy — odezwał się ów brązowy mężczyzna. Był to Regent i wydawało się, że posiada więcej autorytetu niż pozostali. — Posiadasz silną aurę Kirliana... hmm... czy wiesz, co to takiego?

— Nie. — O czymś takim Szaman nigdy nawet nie wspomniał. Chyba że chodzi tu o nazwę inteligencji stosowaną przez Impy. Aura Kiir-lii-ana?

— Dobrze — odparł Regent z grymasem wskazującym, że wcale nie jest dobrze. — Wyjaśnię ci. Otóż aura Kirliana jest rodzajem siły czy pola związanego nierozłącznie z żywą istotą; coś jak pole magnetyczne... wiesz, co to jest pole magnetyczne?

— Nie.

O magnetyzmie akurat Szaman wspominał, ale w tej chwili Flint nie był w dobrym nastroju.

— Kompletny dzikus — mruknął jeden z ministrów sądząc najwidoczniej, że Flint tego nie dosłyszy. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że ten kompletny dzikus ma niezwykle ostry słuch wyrobiony przez życie wśród niebezpieczeństw. Flint dumny był ze swego pierwotnego dziedzictwa, niemniej zdał sobie sprawę, że minister zamierzał go obrazić. W porządku, kolejny Imp, z którym wyrówna rachunki — we właściwym czasie.

— Hmm, no tak — rzekł Regent. — No więc jakieś czterysta lub pięćset lat temu, kiedy Ziemia wkraczała właśnie w erę podboju Kosmosu — w dwudziesty wiek — naukowcy odkryli szereg zjawisk, których nie potrafili wtłoczyć w ramy nauki konwencjonalnej. ESP, PSI*, różdkarstwo, jasnowidzenie — najbardziej fascynujące problemy tamtych lat...

Któryś z ministrów zakasłał. Teraz dopiero Flint zrozumiał, czemu ci ludzie tak bardzo chcą być do siebie podobni: nie można stwierdzić, który z nich przerwał wywód.

Regent zmarszczył brwi i mówił dalej:

— W każdym razie stało się oczywiste, że istnieją pola sił o nieznanym naturze. W roku 1939 elektrotechnik radziecki — hm, Związek Radziecki było to państwo, coś jak dzisiejszy system gwiazdny, tyle tylko, że tutaj, na Ziemi — Siemion Dawidowicz Kirlian sfotografował wzory bioluminescencji — to znaczy promieniowania wydzielone

*ESP — extra-sensory perception — postrzeganie pozazmysłowe; PSI — zjawiska parapsychologiczne (przyp. tłum.)

nego przez każdą żywą istotę — pojawiające się w pewnych polach elektrycznych wysokiej częstotliwości. Efekt ów do złudzenia przypominał sztuczne ognie: wielokolorowe rozbłyski, iskry, barwne pasma blasku, linie. Sfotografowana w ten sposób przez Kirliana dłoń żywego człowieka najbardziej przypominała obraz naszej galaktyki — ze wszystkimi gwiazdami, gromadami, mgławicami, wirami pyłu i gazu. W ten sposób odkrycie to...

— Z pewnością naszego gościa nie interesują takie szczegóły — wtrącił Minister Populacji.

Nieprawda; Flinta bardzo to zajmowało. Ludzka ręka posiadająca pole energii jak galaktyka? Lecz gdyby się przyznał, ile z tego rozumie, zepsułby im cały obraz barbarzyńskiego ignorancja. Trzymał więc język za zębami.

— Chcę powiedzieć — ciągnął Regent — że w ten sposób właśnie narodziła się potężna nauka o bioluminescencji. Wywarła ona głęboki wpływ na medycynę, rolnictwo, kryminologię, archeologię i inne dziedziny nauki, gdyż każde żywe stworzenie posiada aurę Kirliana, której wzór jest indywidualny i niepowtarzalny, zmienny w zależności od stanu zdrowia, nastroju i doświadczeń. Niektórzy wręcz określają ją mianem ciała astralnego bądź duszy. Istnieją tu implikacje religijne...

Znów anonimowe chrząknięcie.

— Obecnie potrafimy już precyzyjnie mierzyć aurę Kirliana, której intensywność i charakterystyka zależą od natury danej jednostki. Jedni posiadają aurę słabszą, inni mocniejszą. Najczęściej spotykany jest poziom średni. Ty posiadasz niesłychanie silne pole. Znaczy to, że jesteś idealnym obiektem do transferu swej osobowości w inne ciało, bo gdzie zmierza twoja aura Kirliana, zmierzasz również ty sam; twoja emanacja stanowi o twojej istocie.

I nagle Flint pojął, do czego mężczyzna zmierza.

— Jak matemisja... w ciało kogoś innego!

— W ciało i w mózg kogoś innego. Z tym, że zachowujesz swoją tożsamość i pamięć, ponieważ są to nieodłączne części twej aury. Gdy ty się zmieniasz, aura również, odbijając niejako te zmiany. Twoja aura jest tobą i w tym wypadku przenosi się w inne ciało. Masz przed sobą olśniewającą perspektywę podróży do gwiazd.

Była to urzekająca wizja, zwłaszcza że gwiazdy i wszelkie związane z nimi historie zawsze intrzygowały Flinta. Lecz wciąż był obrażony.

— Właśnie odbyłem taką podróż z gwiazdy. I chcę już wracać.

— Ależ czeka cię niebywały zaszczyt. Żadna istota ludzka nie dokonała czegoś podobnego. Będziesz posłem nadzwyczajnym do obcych Sfer...

— Ten stary kozioł tak namawia, że sam prawie mam ochotę się transferować — szepnął jeden z Ministrów do innego.

Tym razem nie tylko Flint posłyszał tę złośliwość; usta Regenta wykrzywiły się w gry-

masie wściekłości. Cała rada była jak ławica krwiożerczych piranii, które pożarłszy łup rzucają się na wszystko, co się rusza, łącznie ze sobą. Gniew Flinta był prosty: chciał wracać do domu. Gniew Ministrów natomiast był złożony, lecz to już nie jego sprawa, chyba że znajdzie sposób, by wykorzystać go do swoich celów. Może jeden z nich pomógłby mu w ucieczce — by zrobić innym na złość?

Nie chciał bowiem, by transferowano jego aurę.

— Udać się do gwiazd... w ciało jakiego stworzenia? — spytał. Wyobrażał sobie w ciele Polarianina z kołami zamiast nóg i poczuł przyływ odrazy.

— Dokładnie tak! Poniesiesz do tych Sfer sekret transferu, wciągając je w zamian do galaktycznej koalicji...

Lecz Flintowi było aż nadto tego, czego się dowiedział. Odwrócił się na pięcie i nim którykolwiek z Ministrów zdążyli okiem mrugnąć, wybiegł z komnaty.

— Zatrzymać go! — krzyknął Regent.

Pojawili się gwardziści Imperium zabiegając Flintowi drogę. Ale byli delikatni i cywilizowani, podczas gdy on był twardym wojownikiem z epoki kamiennej. Uskoczył przed pierwszym, znurkował pod wyciągniętym ramieniem drugiego, a trzeciego pchnął na czwartego. Bez włóczni i paznokci czuł się jak kaleka! Zostawił ich za sobą w bezładzie.

Dotarł do zaparkowanych kapsuł i wskoczył do jednej z nich. Przezroczysta pokrywa zamknęła się za nim i pojazd wniknął w ścianę. Tym razem Flint zobaczył dokładnie: w chwili gdy tępy dziób pojazdu uderzył o mur, ten rozwarł się formując otwór o odpowiednim rozmiarze. Gdy tylko Flint znalazł się po drugiej stronie, spojrzał za siebie, gdzie szara płaszczyzna ściany zamykała się niczym odbytnica pasącego się dinozaura. Kapsuła wraz z pasażerem wydalona została na zewnątrz... z jelit budynku? Flint roześmiał się krótko na wspomnienie przezwiska, jakim ludzie określali Polarian. Obecnie on sam był łajnem dinozaura.

Kapsuła wisiała na czymś w rodzaju rozciągniętego w obie strony pnącza czy drutu, nanizana jak paciorek na sznurku, toteż nie spadała w ziejącą między budynkami czełuść. Flintowi cierpła skóra, gdy spoglądał w pustkę pod spodem; gdyby drut pękł... nie, z całą pewnością nie pęknie. Impy wyjątkowo dbają o maszyny i urządzenia, od których są całkowicie zależni.

Miał tylko chwilę, by poczynić plany. Impy z całą pewnością czekają już na najbliższym przystanku. Musi ich zatem wymanewrować. Ale ucieczka do tego potwornego miasta w dole byłaby głupotą; gdyby nawet udało mu się w jakiś sposób ukryć kolor skóry, i tak szybko zostanie rozpoznany. Powinien działać w sposób najmniej oczekiwany. A musi wrócić do domu.

Kapsuła uderzyła w ścianę sąsiedniego budynku. Najwidoczniej był to wahadłowiec kursujący tam i z powrotem między centrum materskim a ministerstwem. Ale

wokół rozciągała się cała sieć podobnych drutów, które niczym spleciona gęstwa pnączy rozbiegały się na wszystkie strony. Z pewnością liny te prowadzą w inne miejsca.

Przed oczyma miał niewielką tablicę rozdzielczą z przyciskami i ich oznaczeniem. Nie potrafił czytać, ale mógł odgadnąć: był to system ręcznego sterowania, jak lejce przy koniach ze światów bardziej cywilizowanych niż Najdalsza. Zaczął naciskać guziki na chybił trafił, gdy kapsuła zwolniła i już miała się zatrzymać. Dostrzegł zgromadzonych na lądowisku gwardzistów Imperium.

Kapsuła ponownie gwałtownie wystartowała. Przemknęła obok zaskoczonych twarzy gwardzistów i wniknęła w przeciwną ścianę. Znowu wisiał w powietrzu obserwując rozpięte liny ciągnące się we wszystkich kierunkach. Każdy z nich mógł być właściwym kierunkiem ucieczki, jeśli tylko zdąży w odpowiednim czasie rozszyfrować ich system. Nacisnął kilkanaście kolejnych guzików i kapsuła zwolniła, jakby zmylona sprzecznymi rozkazami.

Dzięki szybkim manipulacjom i fantastycznej pamięci Flint nabrał ogólnego pojęcia, jak obsługiwać maszynę. Każdy guzik oznaczał konkretny kierunek, jakby mówił wioskowemu gońcowi: "Idź do wodza Strongspeara". Problem polegał na tym tylko, dokąd się udać — i jak wybrać odpowiedni przycisk, skoro nie umie czytać?

Kiedy już wróci do domu, poprosi Szamana, by go nauczył czytać. Już teraz wie, jak bardzo użyteczna jest ta umiejętność.

Na razie jednak postara się obrócić niewiedzę na swoją korzyść. Za każdym naciśnięciem guzika kapsuła zmieniała drogę kierując się do jakiegoś celu. Naciskając więc wciąż nowe przyciski zmieniał trasę dezorientując tym kompletnie gwardzistów, którzy nie umieli przewidzieć, dokąd zmierza Flint. Najwidoczniej nie byli w stanie przechwycić kapsuły w ruchu. Na razie jest więc bezpieczny. Może pomyśleć.

Przede wszystkim musi zbadać swoje motywy. Szaman wbijał mu zawsze do głowy: "Poznaj siebie". Czasami rzeczy oczywiste okazywały się nieprawdziwe, ustępując miejsca innym, ukrytym dotąd w jakimś zakamarku umysłu.

Dlaczego ucieka? Spośród bezliku powodów wyłonił się jeden, podstawowy: nie mógł znieść myśli, że ma zostać uwięziony w jakimś obcym ciele. Zawsze był uczulony na słabość, nienormalność czy chorobę. Urok sztywnego palca rzucony przez Honeybloom był więcej niż tylko przykrością; pokazał, jak fizyczna niesprawność może fatalnie wpływać na samopoczucie psychiczne. Groźba wrzodów, jaką rzucił wódz Strongspear, była wprost druzgocząca; sama myśl o kochaniu się z chorą kobietą doprowadzała Flinta do szaleństwa. On sam zawsze był wyjątkowo zdrowy, rany goiły się na nim szybko, więc perspektywa ropienia... uch!

Miałby więc przekształcić się w monstrualną pluskwę, głupiego dinozaura lub obléśnego, galaretowatego stwora... nie, Flint nie mógł o tym nawet myśleć. Wiedział, że w obliczu zwykłych niebezpieczeństw potrafi być dzielny, ale tu jest podłym tchórzem.

Jego istotą, jego iskrą bożą jest siła; każde osłabienie dławiło go nieznośnie. Musiał przebywać we własnym, dobrym ciele. Choćby przyszło mu w nim umrzeć.

Jego uwagę przykuło dziwne miejsce: rozległa przestrzeń pozbawiona ogromnych budowli. Cóż to mogło być pośród tej nie kończącej się metropolii Planety Imperialnej? Kawałek lasu?

Obniżył lot naciskając guziki, wczuwając się w nie niczym w siatkę naturalnych pęknięć w bryle nieobrobionego jeszcze krzemienia. Ostatecznie miał rękę fachowca. Trochę tu, trochę tam i kapsuła wykonała nagły skok w kierunku, jaki nie był zaprogramowany w żadnym z przycisków. Otwarta przestrzeń znalazła się w końcu pod nim i ujrzął stojący na niej statek kosmiczny.

Podobne statki widział już w małym kosmoporcie na Najdalszej. Był to odrzutowy wahadłowiec orbitalny dostarczający towary do przebywających na orbicie statków międzygwiazdnych. Przy próbie lądowania na planecie gwiazdolit rozpadłby się na kawałki. Lądować jednak nie musiał, skoro wahadłowce zaopatrywały go we wszystko.

Imperialna Ziemia, pierwotna planeta człowieka! Stąd właśnie bez przerwy odlatywały statki kosmiczne do wszystkich zakątków Sfery Sol. Gdyby tak znalazł statek zmierzający ku Najdalszej i dostał się na jego pokład...

Lecz w takim wypadku trafiłby do domu dopiero za dwieście lat. Nawet gdyby go zamrożono — okropna myśl — i się nie postarzał, dla Honeybloom i tak przybędzie za późno. Ale przynajmniej zmierzać będzie we właściwym kierunku.

Kogo chce, u diabła, oszukać? Podczas przelotu połowa ludzi z chłodni umiera. Na każde dwanaście statków trzy giną w przestrzeni, a pasażerowie w kolejnych trzech nie przetrzymują rozmrażania. Flint uważał niegdyś, że ginie nawet więcej niż połowa, ale Szaman wyprowadził go z błędu. Tak czy siak, po co ma w ten sposób ryzykować młode życie? Z Szamanem było inaczej: kiedy wszedł do lodówki, by dotrzeć na Najdalszą, był już stary, miał trzydzieści pięć lat.

Niemniej Flint nie pragnął wcale spędzić reszty życia w metalowym pudle statku z żywymi pasażerami. Już po dwóch miesiącach takiej podróży dostałby kręciołka, jak to określił Szaman. Nie, pozostawała mu tylko jedna droga do domu: matermisja, czyli transport natychmiastowy.

Ale zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma szans na matermisję. Nie na własną rękę. Zwyczajne statki gwiazdne nie były dokładnie strzeżone; kto przy zdrowych zmysłach pakowałby się w pojazd, który do celu dotrze najwcześniej za pięćdziesiąt lub sto lat? Z matermisją sprawa przedstawiała się inaczej: tam najmniejszy przedmiot musiał być trzykrotnie sprawdzony, choćby nie był większy niż ziarenko piasku. Takiego właśnie rozmiaru były kapsuły informacyjne kursujące przez przerwy między głównymi planetami. Żadnych zaniedbań w procedurze!

Sprawa matermisji Flinta na Ziemię stawała się przez to jeszcze bardziej zagadko-

wa. Musiało to kosztować parę bilionów solaryjskich dolarów — więcej niż ktokolwiek był w stanie zarobić przez całe życie, więcej nawet niż wynosił roczny budżet większości układów w Sferze. Mieszkańcy Najdalszej nie zwracali sobie głowy pieniędzmi, bo w końcu jaki mógł być z nich pożytek? Och, naturalnie, niektórzy stosowali je w handlu, przy zakupie większych ilości jedzenia, lub płacili nimi za pomoc przy budowie chat. Ponadto tylko za pieniądze można było dostać od Impów nieco błyskotek, za którymi tak przepadały dziewczęta. Lecz tak naprawdę pieniądze nie odgrywały większej roli w paleolitycznej egzystencji i Flint znał je wyłącznie z opowieści Szamana.

Co zatem we Flincie było wartego dwa biliony dolarów? Z pewnością są inni, których równie łatwo można transferować w ciało wyłupiastookiego potwora. Inni byliby bardziej użyteczni, bardziej wykształceni od Flinta. Może ktoś o odrażającym wyglądzie, może ktoś chory byłby wdzięczny za wymianę upośledzonego ludzkiego ciała na lepszą, obcą powłokę. Po co więc zabierać z Najdalszej ze skolonizowanych planet barbarzyńskiego krzemieniarza?

Z pewnością istniał jakiś ważny powód. Albo było to zadanie na tyle straszne i niebezpieczne, że tylko ktoś tak niewykształcony i nieświadomy jak Flint mógł się go podjąć, albo też on sam posiada szczególne właściwości, jakich brakuje innym i które sprawiają, że wart jest ceny matermisji na Ziemię. Skoro jednak najbardziej ciemna osoba szybko zorientowałaby się w tej grze, bardziej prawdopodobna jest druga możliwość. Regent powiedział, że Flint ma niezwykle intensywną aurę Kirliana. Zapewne więc niewielu ludzi ją posiada — a transferowany może być wyłącznie ktoś, kto ma silną aurę.

Jak bardzo jest im potrzebny? Jeśli dysponują tuzinami takich jak on, nie będą sobie długo zwracać głowy pościgiem czy też przejmować się, że umrze na pokładzie statku kosmicznego. Lecz jeśli jest jedyny, z całą pewnością nie spuszcza z niego oka. A bajońska suma, jaką już zapłacili za ściągnięcie go tutaj, sama sugeruje odpowiedź. Wypróbuje więc swą wartość — a może przy okazji ubije jakiś interes. Jeśli naprawdę sądzą, że woli umrzeć niż poddać się transferowi, mogą potraktować go uprzejmie licząc na jego przychylność. A największą grzecznością z ich strony byłoby matermitowanie go z powrotem na Najdalszą, by mógł tam sobie wszystko jeszcze raz przemyśleć.

Podjął decyzję. Zaryzykuje życie i zdrowe zmysły, zakładając, że jest naprawdę ważny. Ów dwubilionowy wydatek sugeruje większą szansę niż jeden do dwóch w przypadku podróży w zamrożeniu.

Kapsuła nie chciała się opuścić na teren samego kosmoportu. Podobnie jak jego myśli: umykały od celu, jeśli ich dobrze nie nacisnąć. A może kosmoport był niedostępny dla kapsuły?

No i dobrze. Tak długo naciskał guziki, aż pojazd stracił orientację z powodu sprzecznych poleceń i stanął. Kapsuła była równie nierozgarnięta jak dinozaur. Siłą wyważył

klapę, zdając sobie przy tym sprawę, że podobny wysiłek przekracza możliwości fizyczne większości cywilizowanych ludzi. Wygrzebał się na zewnątrz i zeskokczył na drucianą sieć — w jaki sposób przelatywały przez nią kapsuły? — rozciągniętą pomiędzy wysmukłymi kolumnami. Znajdował się na zawrotnej wysokości, lecz wiedział, na ile go stać. Przesunął się na rękach do najbliższej podpory i po niej już gładko opuścił się na ziemię. Kolumna nie była tak poręczna do wspinaczki jak pnącze, ale jakoś sobie poradził. Bardzo ułatwiła mu zadanie grawitacja, niższa na tej planecie niż na Najdalszej.

Kiedy zsuwał się na dół, solariańscy przechodnie gapili się nań ze zdumieniem. I to nie zielona skóra przykuwała ich uwagę — gdyż rodowici Ziemianie sami mieli skórę w wielu odcieniach — ale odwaga i zręczność Flinta. Byli bardzo zaawansowani kulturowo, lecz fizycznie zdegenerowani. Już tylko patrząc na nich odczuwał tę ich słabość. Budziła w nim wstręt. Zignorował zatem gapiów i szybkim truchtem ruszył w stronę kosmoportu. Zdawał sobie sprawę, że niebawem jego prześladowcy będą wiedzieli, gdzie przebywa, jeśli już go nie wysledzili. Lecz na tym właśnie polegał cały pomysł. Zachowywał się dokładnie tak, jak się spodziewali. Jeśli naprawdę zależy im na pochwyteniu dzikusa, szybko zastawią sieć, a tym samym potwierdzą jego wartość.

Szaman twierdził, że gwiazdoloty w czasie podróży potrzebują twardych ludzi do napraw i konserwacji urządzeń. Gwiazdny pył bez przerwy wżera się w kadłuby statków. Czasami dochodzi do kolizji z niewielkimi odłamkami materii, które wybijają w panczerzu małe wgłębienia i trzeba je natychmiast łątać. Może dlatego tak wiele chłodni ginie: nie mają nikogo, kto by załatał te dziury. To nie ogromne meteory niszczą statki, a po prostu kumuluje się suma mikroskopijnych uszkodzeń, które po dłuższym czasie powodują przedziurawienie kadłuba. Z pewnością zostanie przyjęty na pokład bez zbędnych pytań.

Z jednej strony do portu kosmicznego przylegała nieprawdopodobnie rozległa wodna toń. Flint nigdy w życiu nie widział tyle wody naraz; znał tylko rozlewisko rzeczne podczas wiosennych powodzi. To co miał obecnie przed oczyma, było monstrualne, rozciągało się od kosmoportu aż po kres horyzontu. Powierzchnia wody marszczyła się falami: wielkie białe grzywacze lizały piasek wybrzeża i cofały się rzednącą pianą. Ich ruch był tak hipnotyczny, że Flint musiał szybko odwrócić od nich oczy, by nie wpaść w trans. Tyle wody!

Tuż za płotem dostrzegł kolejne dziwo. Poruszający się kamyk — nie, to było żywe! Pacułka mięsa niosąca na grzbiecie własny dom z czegoś, co wyglądało jak kość. Oczywiście — wydobyl z pamięci jedną z wielu przypadkowych rzeczy, o których wspominał Szaman — to musi być ślimak.

Bezwzględnie Ziemia miała swe cuda — ale nie było teraz na nie czasu. Ma do załatwienia interes.

— Pa, ślimaczku! — wykrzyknął jak dziecko.

Przeskoczył płot unikając w ten sposób porażenia prądem, wygładził na piersiach swą śmieszoną tunikę i śmiało wszedł do niewielkiego biura.

— Szukam pracy — oświadczył, naśladowując, jak musiał najlepiej, ciężki akcent Ziemian.

Siedzący za biurkiem mężczyzna nawet nie uniósł głowy.

— Najbliższy statek na Węgę. Części komputerowe. Rejs pięćdziesiąt lat. Premia normalna. Lot bez przystanków. Bezplodne dziewczęta. W razie śmierci, pogrzeb w Kosmosie.

A więc płacą za zaciąg i dostarczają wesołych dziewcząt na czas pięćdziesięcioletniej podróży. Szaman nie wspominał o takich szczegółach. Ale gdyby nawet mówił, i tak musiało to być straszliwie nudne, a skoro dziewczęta nie były podobne do Honeybloom, Flintowi na czymś takim nie zależało. Więc lepiej byłoby, żeby jego przypuszczenia okazały się trafne.

Wega. Wyobraził sobie mapę Sfery. Wega była prawie na linii lotu na Etamin, w jednej czwartej drogi. W tę właśnie stronę powinien się skierować niewykształcony dzikus.

— Zgoda.

— Poproszę o identyfikator.

Hoho. Na Najdalszej nie było takich rzeczy. Mężczyzn znało się z twarzy i umiejętności, kobiety z urody i ciała.

— Bez zwrotu identyfikatora nie ma mowy o premii. Zbyt wielu brałoby forszę i zniknęło.

Aha.

— Pojadę. Nie potrzebuję pieniędzy.

Przeciętny ochotnik, zaciągnąwszy się na statek, wydaje zapewne premię na całonocną hulankę, swój ostatni wydatek na Ziemi; Flintowi jednak chodziło o jego sprawę, nie o pieniądze. Już najwyższy czas, by pojawili się tropiący go gwardziści. Jeśli będzie wahał się zbyt długo, zrozumieją, że nie robi tego wszystkiego serio.

— Aleś napalony. Zapis masz?

Zapis? Flint nawet nie słyszał o czymś takim.

— To mój interes — odparł wymijająco.

Na Najdalszej Impy często używali tego zwrotu, który zresztą nie przysparzał im popularności. Często miejscowe dziewczęta odpowiadały im szyderczo: — Strasznie mały ten twój interes!

W drzwiach pojawiła się jakaś postać. Flint błyskawicznie się odwrócił, przekonany, że to już Ministrowie. Ruszył szybko, nie tak jednak szybko, jak uczyniłby to w obliczu prawdziwego zagrożenia. Wyciągnął przed siebie ramię, jakby chciał odsunąć z drogi intruza; dalej grał swoją rolę. Mogli wprawdzie obezwładnić go paralizatorem, ale był

przekonany, że większej krzywdy mu nie wyrządzą. Nie zabija się kogoś, w kogo włożyło się dwa biliony dolarów!

Lecz nie był to żaden Minister, ale obcy, ubrany na białą mężczyznę. Gdy dotknął lekko dłonią wyciągniętej ręki Flinta, zdarzyło się coś dziwnego. Mężczyznę otaczała dziwna, jak gdyby elektryczna aura, która przeniknęła Flinta na wskroś. Raptownie odeszła go chęć walki czy ucieczki, nawet pozorowanej. Pragnął wyłącznie dowiedzieć się czegoś o tym człowieku.

— Jestem Pnotl ze Sfery Knyfh — odezwał się mężczyzna, a jego słowa zapowiadały rzeczy najwyższej wagi. — Jestem obcą istotą rozumną w ludzkiej postaci. Przybyłem, by prosić się o pomoc w ratowaniu naszej galaktyki przed zagładą.

Słowa były proste, lecz aura zniewalała. Dotychczas tylko Szaman potrafił tak silnie, choć w odmienny sposób, oddziaływać na Flinta. Ten Pnotl, który twierdził, że jest Obcym, wcale nie wzbudzał we Flincie odrazy; był magnetyczny, prawie boski.

— Nie wiem, co w tobie jest takiego...

— To moja aura Kirliana — odparł Pnotl, a Flint wyobraził sobie natychmiast rękę promieniującą jak galaktyka: tak, w dotknięciu Pnotla było coś z tego. — Moja aura jest osiemdziesięciokrotnie silniejsza niż u normalnej istoty rozumnej. Czuję taką aurę i w tobie; jest bardzo silna.

— No, żartownisie, dosyć tego — rzucił mężczyzna zza biurka. — Albo zabieracie się na Węgę, albo wynocha z mego biura.

Nieoczekiwanie Wega, w porównaniu z odległymi Sferami, wydała się bliska, jak na wyciągnięcie ręki. Flint spojrział ze zdumieniem na urzędującego za biurkiem człowieka.

— On jej nie czuje.

— Z reguły aurę czują tylko ci, którzy ją posiadają — wyjaśnił Pnotl wyciągając Flinta z biura na zewnątrz, do oczekującego niewielkiego poduszkowca. — Nie byłś dotąd świadom swego daru?

— Ministrowie...

— Nieświadomi.

— Ale wyjaśnili mi...

— Maszyny dają im odczyty, a komputery — wydruki. Ministrowie myślą, że za pomocą holograficznych zdjęć aury Kirliana potrafią poznać istotę rzeczy. Sprowadzają wszystko do liczb, sami w sobie są jednak nieświadomi, jak ktoś, kto nigdy nie kochał.

— Są ślepi — dodał zdumiony Flint.

— Ślepi, głusi, nieczuli. Ale robią, co muszą.

— Czemu nie czuję do ciebie odrazy? Przecież cierpię na ksenofobię, nie znoszę chorób...

— Intensywna aura Kirliana nie odzwierciedla ułomności, wyłącznie zdrowie.

Jest funkcją najwyższej witalności. Przekracza bariery osobowości, nawet gatunków. Niektórzy nazywają ją duszą.

— I ja osobiście mam...

— Nie istnieje osobowość. Nie istnieje jaźń ani indywidualna świadomość. Jesteśmy odpryskami potężniejszych sił, płomykami wiekuistego ogniska życia. Wyłącznie rozgałęzienia naszych wyodrębnionych środowisk i doświadczeń powodują iluzję naszej wyjątkowości. Aura Kirliana jest wszystkim; to właśnie jej drobne odpryski dopiero wpływają na fizyczne i umysłowe twory, jakimi jesteśmy. Poprzez aurę dzielimy wspólnie Wszechświat. Jesteśmy Wszechświatem.

Flint był wstrząśnięty. Regent mówił to samo, ale Pnotl miał niezwykłą siłę przekonywania.

— Nie jestem w stanie tego pojąć, ale ci wierzę. Jesteś... taki jak ja.

— Taki jak ty. Obaj jesteśmy istotami Kirliana. Lecz twoja aura jest ponad dwukrotnie silniejsza od mojej. Posiadasz zapewne najpotężniejszą aurę w całej galaktyce. Musisz zatem udać się w głąb galaktyki, nie tylko, by przynieść jej ocalenie, lecz również po to, by ustalić swój rzeczywisty poziom. Tutaj, pośród swego fizycznego gatunku, nie znajdziesz go.

— Mówisz więc, że muszę się transferować — mruknął Flint.

— To jedyna droga. Dla ciebie, twojej Sfery i naszej galaktyki.

Flint ponownie wyobraził sobie dłoń jako galaktykę. Obie były tym samym — przejawami Kosmosu Kirliana.

— A dokładnie, na czym ma polegać moja misja?

— Musisz zanieść sekret transferu Kirliana do innych Sfer tej gromady gwiazd. Jesteś do tego najbardziej predysponowany, bo choć twoja aura Kirliana jest istotą osobistego "ja", wiąże się ściśle z ciałem i oderwana od niego, nieubłaganie zamiera. Każdy dzień w transferze odbiera jej około jednej normy inteligencji; dlatego też osobniki o przeciętnej sile aury nie mogą zachować swej osobowości w transferze. Stać na to wyłącznie istoty o potężnej aurze, a jej moc wyznacza zakres takiego transferu. Ja osobiście mogę przebywać w transferze osiemdziesiąt ziemskich dni. Ty — ponad dwieście. Dlatego jesteś tak ważny dla naszego przedsięwzięcia. Dokonasz dużo więcej ze znacznie szerszym marginesem bezpieczeństwa.

— Tak, to już jasne... Mówiłeś, że galaktyka ma ulec zagładzie?

— Chodź ze mną. Wszystko ci wyjaśnię.

I Flint poszedł za Obcym, już całkowicie przekonany.

3.

Kil Okrętu

alarm gwałtowna zmiana sytuacji
— zebrać radę dostępnych osobowości połączonych myślą niezwłoczny transfer —
RADA ZAPOCZĄTKOWANA UCZESTNICZĄ: :
— tylko jedna osobowość więcej? czym się przejmujemy! Kontynuować —
w galaktyce transferowania kolejna osobowość potężna
— ściśle dane? —
około 200 jednostek przemieszczenie 60 parseków segment skrajny
: :200 jednostek! z pewnością pomyłka?: :
— przegląd akcji poprzedzających dla: :
*poprzedni transfer 80 jednostek przemieszczenie 1500 parseków ze znanej sfery
knyfh do rejonu wcześniej zacofanego*
: :nazywasz 200 jednostek zacofanym?!: :
— wskazówka wysłannik kultury dysponującej techniką transferu z powodzeniem
przekazał techniki transferowe werbunek niezwyklej siły obecnie skrajny stopień zagro-
żenia główny cel rozpocząć natychmiastową akcję —
: :wskazówka przyjęta żądanie jednomyślności: :
JEDNOMYŚLNOŚĆ
: :rodzaj proponowanej akcji wezwać wyszkolonego agenta dorównującego skalą ob-
cej osobowości wysłać przy najbliższej okazji transfer do stacji odbierającej cel misji ga-
laktycznej zniszczenie niebezpiecznej osobowości o 200 jednostkach: :
przeciwwskazanie agent o skali 200 nieosiągalny
: :rozwiązanie zdjęć najlepszego agenta z mniej ważnej misji chyba dysponujemy
agentem o 200 jednostkach?: :
jednym
: :JEDNOMYŚLNOŚĆ: :
— zastrzeżenie konieczne utajnienie agenta —
: :modyfikacja misji zniszczenie zagrożenia 200 jednostek wyłącznie w sposób ukry-
wający motyw i pochodzenie: :

JEDNOMYŚLNOŚĆ

: : koniec: :

— *POTĘGA CYWILIZACJA JEDNOMYŚLNOŚĆ* —

Transfer był natychmiastowy i bezbolesny. Przed chwilą jeszcze Flint stał w laboratorium, a teraz już zawisł w kajdanach i prażony gorącymi promieniami słońca spoglądał na rozległe pola dojrzewających jagód supłaka.

Dysponował również nowym, pełnym zasobem informacji zbyt dużym, by przyswoić go od razu. Doświadczenie życiowe Flinta zostało nagle podwojone, mimo iż trafiła tutaj wyłącznie jego tożsamość Kirliana. Wciąż był Flintem z Najdalszej, wprzęgniętym do służby Sferze Sol; był również — kim? Po krótkim skupieniu dotarło do niego: był Øro z N*kr, Niewolnikiem z miejscowej plantacji supłaków. Łatwy wybór, która z dwóch osobowości lepsza!

Ustalenie dalszych szczegółów trochę potrwało, ale miał czas. Wisiał tu pozostawiony sam sobie. Ciągły, tępy ból odciągał jego uwagę, lecz konieczność rozeznania się w sytuacji przewyciężyła cierpienie. Øro był robotnikiem — aż do chwili, kiedy nie zgodził się na bezprawne, nadgodzinowe prace podczas święta Niewolników. Ponieważ błąd w harmonogramie wynikał z przeoczenia, pokorna petycja skończyłaby się minimalną karą. Ale jawny bunt był całkiem inną sprawą. Tak więc, ku rozpaczycy wszystkich Niewolników, świąteczna praca została zatwierdzona, a samego Øro, skutego łańcuchami, torturowano tak długo, aż zniszczono mu umysł. Nie, nie umysł — duszę.

Flintowi zakręciło się w głowie; poczuł mdłości. Nie tylko z powodu historii wygrzebanej przed chwilą z cudzej pamięci; sam przecież pochodził z pogranicza, więc ból i śmierć zanadto go nie trwożyły. Męczyła go obca perspektywa. Przybył tutaj — choćby częściowo — w poszukiwaniu podobnych sobie istot o wysokim Kirlianie, trafił natomiast w ciało, które poddawano wymyślnym torturom, a Kirliana nie miało za grosz. Mógł się zapoznać z całą historią życia Øro; wymagało to tylko koncentracji i wysiłku. Jednak wynik tego zabiegu przepełnił Flinta wstrętem. Musiał zwolnić nieco i stopniowo przyzwyczajając się nie tylko do położenia Øro, ale i do świadomości że on, silny i wolny Flint, jest obecnie słaby i zakuty w kajdany. Musi się z tym oswajać powoli, w przeciwnym bowiem razie jego własny umysł ulegnie zniszczeniu, a dusza zgaśnie.

Świadomość Øro zgasła całkiem niedawno. Rozpacz i niedola sprawiły, że tego właśnie ranka wyzionął ducha (dosłownie); wspomnienia jego wzrastających cierpień urwały się tego właśnie dnia. Cieleśna powłoka Øro — świeże ciało i mózg, najświeższe zapewne na planecie — ona właśnie przywabiła aurę Flinta, niczym odgromnik ściągająca oślepiające błyskawice.

Najlepszy nosiciel na planecie: skuty łańcuchami Niewolnik!

Pojawił się nadzorca, którego Flint / Øro rozpoznał: Qiw z V^ops, Niewolnik ze statu-

sem, surowy, lecz sprawiedliwy.

— Ostatni dzień, Øro — rzekł Qiw unosząc kasetę kar. — Sądziś, że wytrzymasz?

Mówił naturalnie miejscowym językiem, ale mózg Øro przekazywał znaczenie słów, tak jakby był to własny język Flinta.

Milczenie oznaczało paraliżujące uderzenie bólu; słowa skruchy mogły go zmniejszyć. Øro zachowywał grobowe milczenie przez pierwsze dwa dni swej trzydniowej kary. Flint jednak, wiedząc już, że Øro, choć uparty, miał słuszość, nie skorzystał z żadnej z tych dwóch możliwości.

— Zjeżdżaj i wsadź dziób do kwasu, Qiw — powiedział.

Była to potrójna obelga, wyciągnięta z głębin buntowniczej natury Øro. Tylko ptakopodobne, padlinożerne stworzenia posiadały dzioby, kwas był slangowym określeniem płynnych odchodów, na wpół wyschniętych i przez to cuchnących odrażająco, a specyficzna intonacja, akcentująca podwójną laseczkę //, czyli lewą kreskę, znaczyła “Niewolnik Niewolnika”. W ludzkiej terminologii sugerowałoby to nieślubne pochodzenie, skoro jednak Niewolnicy w ogóle nie znali terminu “małżeństwo” czy “pochodzenie ślubne”, było to tutaj zupełnie bez znaczenia.

— Niepoprawny — mruknął beznamiętnie Qiw. — A to podwyższa skalę. — Wykręcił tarczę kasety kar przesuwając indykator na wyższą pozycję.

— Ponadto niewyparzona gęba. Ponownie przekręcił tarczę.

Przerwał. Tarcza się zablokowała; nie mógł osiągnąć wyższego stopnia na skali. Qiw spojrział na nią zaskoczony, po czym cofnął ją do pozycji neutralnej, licząc kolejne trzaski.

— O, Wielki! — wykrzyknął używając imienia Pana nadaremnie, co stanowiło najmocniejsze przekleństwo. — Tarcza jest rozregulowana! Była cały czas na jedenastce!

Po krótkiej koncentracji nowa pamięć Flinta wyjaśniła znaczenie tych słów. Był to chyba jedyny słuszny sposób postępowania: zdać się na bieg wypadków i w zależności od nich czerpać z zasobów pamięci Øro. Gdy nie będzie wchłaniać zbyt wiele na raz, uniknie kolejnych zaćmień umysłu.

Kaseta kar posiadała skalę dwunastostopniową, z pierwszym stopniem najsłabszym a dwunastym — najsilniejszym. Øro miał otrzymywać karę wstrząsów szóstego stopnia co godzinę, dzień i noc, aż do końca kary. Skrucha zmniejszyłaby ból o stopień, natomiast obraźliwe słowa ciśnięte w twarz nadzorcy zwiększyły go o dwa stopnia, do ósmego. W rzeczywistości przez czysty przypadek Øro otrzymywał prawie śmiertelną dawkę jedenastostopniową. Nic dziwnego, że dusza Øro nie wytrzymała!

Qiw odezwał się do bransolety Pana.

— Kłopoty na plantacji, panie. Uszkodzona kaseta kar.

Ze środka natychmiast dobiegł melodyjny, lekko znudzony głos.

— Przyjąłem. Wymień na inną.

— Komplikacja, panie. Skazany Øro dostał jedenastkę zamiast szóstki.

— Skazany uszkodzony?

Qiw obrzucił Flinta spojrzeniem.

— Nie sprawia takiego wrażenia.

— Zastosuj więc właściwą karę. Sprawdź inne kasety. I powiadom.

— Niezwłocznie, panie. — Qiw opuścił kasetę i dłuższą chwilę wpatrywał się we Flinta.

— Niewolniku, znasz różnicę między szóstką a jedenastką! Czemuś nic nie mówił?

Ale Flint, już mądrzejszy, nie odezwał się słowem.

Qiw udał się do centrum kontroli, by wymienić kasetę, dając tym samym skazańcowi chwilę wytchnienia. No właśnie — pomyślał Flint — czemu Øro się nie poskarżył? Czemu tak długo znosił te przerażające natężenie bólu, skoro wystarczyło jedno tylko słowo, a ból zostałby zredukowany? I dlaczego Øro nie ukorzył się na samym początku?

Był po prostu nieprawdopodobnie uparty i niezbyt bystry. Wolał umrzeć niż tchórzliwie się kajać i prosić o miłosierdzie. I umarł, gdyż ból zabił w nim jego istotę. Śmierć cennego i niezwykle silnego Niewolnika — gdyż Øro, jakby kompensując swój niedorozwój intelektualny, był nad wyraz rozwinięty fizycznie — mogła postawić Nadzorcę Qiwa w kłopotliwej sytuacji. Obecnie jednak był tu Flint, zajmując ciało Niewolnika.

Musiał zatem zrobić jedno — wyjaśnić sytuację i przystąpić do wypełniania swej misji.

Wrócił Qiw z nową kasetą kar.

— To jak, zaczynamy od nowa — spytał ustawiając starannie kasetę.

— Nie jestem Øro — odezwał się Flint. — Øro zmarł dzisiejszego ranka. Jestem Obcym ze Sfery Sol.

— Niepoprawny, jeden stopień — rzekł Qiw. — Ironiczny, jeszcze jeden. Wracamy zatem do ósemki.

— Zaczekaj! — wrzasnął Flint. — Przecież ci mówię...

Poraził go okropny ból. Zakute w kajdany ciało wyprężało się, gdy przenikające duszę cierpienie przeszło każde włókno nerwowe jego ciała. Próbował krzyknąć, lecz mięśnie szyi i klatki piersiowej były zbyt stężale i nieposłuszne.

Trwało to całą wieczność; parę sekund rozciągnęło się w nieskończoność wypełnioną pulsującym bólem. Nie był to bowiem zwykły, powierzchowny ból, jaki pozostawia po sobie szybki cios nożem; ból ogarniał sobą wszystko, całą tkankę, trawił ogniem i ciało, i mięśnie, i kości jednocześnie. Gdy wreszcie ustał, Flint opadł bezwładnie, związając całym ciężarem z łańcuchów.

Gdy mógł już trochę trzeźwiej myśleć, Qiwa dawno już nie było.

O zmiernych młoda Niewolnica przyniosła jedzenie: suszone supłaki i wodę.

Wygłodzony Flint rzucił się łapczywie na posiłek. Okrutny ból wyssał zeń całą energię, a dotkliwą karą było ponadto zmniejszenie racji o połowę. Krzepkiemu olbrzymowi mocno to doskwierało. Na szczęście męka już rankiem się skończy.

Ponieważ był skrupowany łańcuchami, kobieta musiała go karmić; wkładała mu do ust jedzenie, jakby był niemowlęciem lub kretynem. To również stanowiło część kary. Ból, głód i upokorzenie — sfery nie. Trzydniowy, upokarzający i surowy wyrok stanowił najlepszą gwarancję, że dziewięćdziesiąt procent skazanych nieprędko powtórzy swoje przewinienie.

Flint penetrował pamięć Øro, lecz nie trafił na najmniejszy ślad tej Niewolnicy. Była nadzwyczaj piękna i najwidoczniej od niedawna na tej plantacji.

— Kim jesteś? — spytał wprost, zwyczajem Niewolników.

Zarumieniła się w sposób absolutnie ludzki — Niewolnicy byli humanoidami — a on zrozumiał, że zadał je zbyt pochopnie. Pamięć bowiem podpowiedziała mu, że nie zadaje się takich pytań kobiecie bez istotnych powodów. Jeśli ona nie będzie zainteresowana tym mężczyzną, po prostu uchyli się od odpowiedzi. — Jestem Cle z A[th] — odparła.

Jego pamięć Øro zaczęła znowu pracować: Flint nie chciał już popełniać więcej błędów! A[th] była odległą planetą Niewolników; małą, lecz posiadającą wśród nich niezwykle mir. W ubiegłym stuleciu była widownią trzech wielkich powstań. Dlatego też Panowie rozrzucali wciąż mieszkańców A[th] po całej Sferze Kanopusa, nie chcąc dopuścić, by owo gniazdo buntu znów osiągnęło masę krytyczną.

Panowie i Niewolnicy — instruowały go wspomnienia — rozwinęli się na sąsiednich planetach systemu Kanopusa. Stadium rozumne osiągnęli w tym samym mniej więcej czasie, jednak obecność łatwo przetwarzalnych metali w skorupie planety Panów dała im potężny impuls do rozwoju technicznego. Bódźca takiego zabrakło Niewolnikom; rasa Panów zatem pierwsza rozpoczęła podbój Kosmosu i przybyła do swych sąsiadów jako zdobywcy. Panowie rozpaczliwie cierpieli na brak taniej siły roboczej i natychmiast pojęli, jaka nadarza się im gratka. Zadbali przede wszystkim o to, by Niewolnicy nie mieli okazji poznać najbardziej podstawowych osiągnięć techniki, pozbawiając ich tym samym jakichkolwiek szans osiągnięcia pozornej nawet równości. Stan ten utrzymywał się już od tysiąca lat — lat dłuższych od ziemskich, choć dużo krótszych niż na rodzinnej planecie Flinta, Najdalszej. Gdy Panowie rozprzestrzeniając się osiągnęli wreszcie status Sfery, Niewolnicy rozprzestrzerali się wraz z nimi wykonując najczarniejszą robotę. Większość z nich poddawała się losowi obojętnie — nieliczni jednak wciąż stawiali opór.

— Wy z A[th] jesteście męznego ducha — rzekł Flint z N*kr również — odparła zadowolona.

Flint postanowił wykorzystać nadarżającą się sytuację. Nie będzie już przekonywał

nadzorcy, ale może uwierzą mu niektórzy niewolnicy stojący niżej w hierarchii; jeśli tylko zachowa ostrożność. To najlepszy punkt wyjścia.

— Mam jutro być zwolniony — odezwał się. — Czy chcesz pracować obok mnie?

— Chciałabym — odparła niepewnie.

Jeszcze więcej wspomnień o obyczajach Niewolników. Z rozkazu Panów nie istniały trwałe związki między kobietą a mężczyzną, gdyż struktura rodziny wytwarza poczucie lojalności w stosunku do kogoś innego niż Panowie. Istniały jednak czasowe związki. Tak śliczna dziewczyna jak ta zawsze znajdzie mężczyznę. Flintowi najbardziej zależało na nawiązaniu kontaktu z niezależnymi umysłowo Niewolnikami, którzy zrozumieliby jego położenie. Następnie wykorzystując to zwróci na siebie uwagę Panów. Serce Flinta rzecz jasna, wciąż było wierne Honeybloom, na Najdalszej, lecz skąd ma Cle o tym wiedzieć?

W ogóle wyglądałoby to podejrzanie, gdyby nie zwrócił uwagi na jej urodę. Jeśli pragnie wypełnić swą misję, musi dobrze odegrać swą rolę.

A to znaczyło, że będzie miał przeprowadę z jej aktualnym narzeczonym.

— Kto?

Sam ton, jakim zadał to pytanie, wyrażał już pogardę dla tego kogoś, kogo imię ma być wyjawione.

— 8 mg z Y*jr.

I znów pamięć, Øro usłudźnie dostarczyła wyjaśnień: Y*jr to twardy lud! Jego członkowie, co do jednego, byli wojownikami; a ciało Øro osłabło od tortur! Trudno, innego wyjścia jednak nie było.

— Spotkam się z nim.

Rumieniąc się z wyraźnym zadowoleniem, Cle włożyła mu do ust ostatni kęs. Dobrze musiał jej doskwierać związek z tamtym, skoro tak skwapliwie zbliżyła się do skazańca. W jakież bowiem inny sposób mogła uwolnić się od niechcianego chłopaka — w dodatku takiego, który starłby zapewne na proszek każdego, kto się jej spodoba?

Z nastaniem ciemności pojawiły się gwiazdy i Flint mógł wreszcie się zorientować, gdzie jest. Wiedział dotąd, że trafił do Sfery Kanopusa — tam go bowiem wysłano. Była to Sfera rozmiarami zbliżona do Sfery Sol — o średnicy nieznacznie przekraczającej dwieście lat świetlnych — i na dobrą sprawę mógł się znajdować w dowolnym miejscu tej Sfery; zapewne gdzieś w pobliżu samego Kanopusa — w promieniu paru parseków.

Konfiguracje gwiazdne naturalnie znacznie różniły się od tych, jakie oglądał na niebie swej Sfery; zdołał jednak rozpoznać kilka gwiazd. Jasnoczerwona z pewnością było olbrzymią Betelgeuzą, a błękitnawa musiała być Riglem, jedną z najjaśniejszych gwiazd w tym sektorze galaktyki. A to znaczyło, że między nimi powinien znajdować się... tak, tuż poniżej Rigla: potrójne światło Pasa Oriona. Owe trzy błękitnobiałe gwiazdy drugiej wielkości to Alnitak, Alnilam i Mintaka; każda z nich oddalona od Sol i Kanopusa

o około pięćset — tysiąc sześćset lat świetlnych. Ponieważ jednak patrzył na nie z innego punktu odniesienia, nie znajdowały się one pomiędzy Betelgeuzą i Rigm; sama jednak konstelacja nie uległa wątpliwości. Już wiedział, gdzie jest.

Przypatrywał się nowym konfiguracjom gwiazdnym, dokonując w pamięci obliczeń, których punktem triangulacyjnym był Pas, i stopniowo obraz wypełniał się szczegółami. Znajdował się na planecie krążącej wokół gwiazdy po drugiej stronie Kanopusa. Sam Kanopus był tu niezwykle jasny — trzykrotnie jaśniejszy niż Syriusz widziany z Ziemi (nie był to najwłaściwszy sposób wyrażenia tego, co widział, lecz nie dbał o to w tej chwili) a Syriusz jest przecież najjaśniejszą gwiazdą na ziemskim niebie. Z tego wszystkiego wynikała potrzeba wyznaczania punktów orientacyjnych w galaktyce, ponieważ w każdym zakątku galaktyki na niebie pojawiają się nowe, niewielkie gwiazdy, które tylko z powodu bliskości wydają się niezwykle jasne. Niech będzie błogosławiona galaktyka za stworzenie Betelgeuzy, Rigm i Pasa Oriona!

Samej Sol oczywiście nie było widać. Gdyby nawet mógł zobaczyć odpowiedni skrawek galaktycznego nieba, to i tak nie dostrzegłby jej bez teleskopu. Odległa o ponad dwieście lat świetlnych stanowiła gwiazdę dziewiątej wielkości, a jasny Syriusz, teraz wielkości pięć i pół, byłby na granicy widzialności.

Wyobrażał sobie przez chwilę, jak wygląda Kanopus obserwowany z Ziemi. Znajduje się w konstelacji Argo, w Okręcie; ściślej w kilu okrętu Argonautów. Mitologiczny bohater Jazon wraz z pięćdziesięcioma Argonautami wyprawił się za morze w poszukiwaniu słynnego Złotego Runa, przeżywając w drodze wiele sławnych przygód. Pokonał między innymi smoka, z którego zębów, rzuconych przez Argonautów na urodzajną glebę, wyrósł zastęp męźnych wojowników. Sam Jazon poślubił córkę króla, czarodziejkę Medeę — kobietę o zadziwiająco zmiennych przymiotach. Z punktu widzenia Ziemia owa gwiazda-kil miała awanturniczą i gwałtowną historię, i pasowała do Sfery sprzyjającej śmiertelnej walce.

Flint zapadał w krótkie drzemki przerywane uderzeniami przepisanej karą bólu. Z konieczności musiał załatwiać swe potrzeby po prostu sobie pod nogi, traktując to wszystko zresztą z filozoficznym spokojem jako zło konieczne. Wkrótce skończy się ta udręka. Nie próbował już więcej mówić Qiwowi, jaki jest jego rzeczywisty status, ale też nie wykazywał skruchy. O świcie został uwolniony... by cały dzień pracować na polu.

8 mg z Y*jr był tak okazały, jak się tego spodziewał Flint. Wielki i odrażający, o zawziętych oczach i ciele poznanym bliznami, pozostałością wielu dawniejszych potyczek. Flint był zatem rad, że Øro posiadał ciało nie mniej wielkie i potężne; będzie mu ono potrzebne. Cały dzień spędził przy boku Cle zrywając supłaki z ich giętkich łodyg i odyskiwał nadwątlone karą siły. Wciąż jeszcze czuł osłabienie, choć nie było tak całkiem złe.

Pamięć podpowiadała mu, jak w takich razach zachowywał się Øro. Niewolnik, nie zważając na ból, parł po prostu do przodu z taką determinacją i brawurą, że silniejsi nawet przeciwnicy ustępowali mu pola. Gdyby tylko Øro był inteligentniejszy, mógł zostać dobrym przywódcą Niewolników, może nawet Nadzorcą. Lecz nigdy nie udało się mu zatrzymać kobiety na dłużej. Po prostu brakło mu polotu i dowcipu, a nie potrafił trzymać jej przy sobie wbrew jej woli. Na tym polu nie był groźnym przeciwnikiem i wielu uważało, że lepiej dać Øro tę czy inną kobietę, bo i tak wkrótce ją utraci.

Tym razem jednak miał przeciw sobie mieszkańca Y*jr, któremu duma i wrodzony sadyzm, tak charakterystyczny dla tego plemienia, kazały dać solidną nauczkę Øro.

Walkę kontrolował Nadzorca Qiw. Miał on zadbać, by robotnicy nie wyrządzili sobie zbytnej krzywdy. Panowie godzili się na takie pojedynki pod warunkiem, że ich własność nie dozna jakiegoś uszczerbku. Można było sobie zadawać ciosy, im boleśniejsze, tym lepiej, ale nigdy trwałych okaleczeń.

Na Najdalszej Flint zawsze wygrywał. Zawdzięczał to swej sile, szybkości i niezwykłej koordynacji ruchów, a częściowo też znajomości technik walki, których nauczył go Szaman. Główną jednak zasługę miał w tym jego własny mózg. Flint potrafił błyskawicznie orientować się w sposobie i taktyce walki przeciwnika i wykorzystywał jego błędy.

8 mg ruszył do walki niczym zapaśnik. Flint zszedł z linii ataku i wyróżnął przeciwnika na odlew w czaszkę. Od potężnego uderzenia Flintowi zdrętwiała ręka; zamierzał uderzyć w kark. Lecz było to jego ludzkie doświadczenie nie mające tutaj żadnego zastosowania. Stawy Øro miały nieco odmienną budowę i palce dłoni nie zaciskały się w prawdziwą pięść. Głowa 8 mg natomiast nie miała na potylicy normalnej kości, lecz przechodziła w szyję chrząstkowym grzebieniem. Nie wiadomo czemu te różnice były niewidoczne i dopiero po uderzeniu okazało się, jak sprawy stoją. W rezultacie od ciosu bardziej ucierpiał Flint niż 8 mg.

Pośród widzów przeszedł szmer zdziwienia, gdyż Øro zachowywał się w walce zupełnie inaczej niż mieli to w zwyczaju Niewolnicy. W istocie uderzenie miękką dłonią w twarde kark dawało wyraz najwyższej pogardy dla przeciwnika.

Flint spostrzegł, że Qiw drgnął i zaczął się mu z uwagą przyglądać. W porządku, niech się dziwi. Flint już przedtem próbował mu wszystko wyjaśnić!

Rozwścieczony obelgą 8 mg ruszył do przodu jak bokser. Flint zwodem uniknął jego pierwszego ciosu, obrócił się wokół osi, schwycił ramię przeciwnika i ostrym skrętem tułowia założył dźwignię. To powinno wystarczyć, a ból ostudzi zapał rywala do dalszej walki.

8 mg jednak próbował się wyrwać. Flint całym ciężarem ciała runął więc niespodziewanie na ziemię, pociągając za sobą przeciwnika, przygważdżając jego rękę do ziemi. Nagle rozległ się trzask i 8 mg zaskowyczał. Flint złamał mu rękę.

Wcale tego nie chciał. Ludzkie ramię nigdy by tak łatwo nie pękło. Lecz i tym razem nie wziął poprawki na obcą budowę ciała. Niewolnikom bowiem łokcie zginały się w przeciwną stronę niż u ludzi.

Zbliżył się Qiw. Obejrzał dokładnie złamanie, po czym odezwał się do swojej brzoisty Niewolnika.

— Panie, melduję o uszkodzeniu własności.

Pan odezwał się natychmiast melodyjnym głosem.

— Szczegóły.

— Typowa walka, panie. O kobietę. Złamana górna kończyna.

— Do uratowania?

— Staw. Rekonwalescencja nieopłacalna.

— Zamierzone?

Qiw spojrzął spod oka na Flinta, zaskoczony najwidoczniej, że ktoś tak głupi potrafi tak walczyć.

— Przypadek.

— Zlikwidować uszkodzoną własność. Pięć dni kary dla sprawcy.

Pięć dni kary! Flint nie musiał wcale grzebać w pamięci, by pojąć, co to znaczy. Dla Øro byłoby to po prostu kolejne, niezwykle przykre doświadczenie — dla Flinta jednak mogło oznaczać katastrofę. Każdy dzień jego pobytu tutaj w obcym ciele, to dalszy ubytek aury Kirliana. W końcu utraci swą tożsamość stając się po prostu Øro. Ekspert na Ziemi twierdzili, że może przebywać w transferze kilka miesięcy — lecz nie byli tego zupełnie pewni. Dopiero gdy wypełni misję i wróci, można będzie przeprowadzić dokładniejsze pomiary, ile tej aury w rzeczywistości ubyło. W każdym razie byli pewni jednego: poza ciałem powinien przebywać tyle tylko, ile to będzie absolutnie konieczne. Pięć kolejnych dni głodu i cierpienia, po tamtych trzech... nie, to się mogło z pewnością źle skończyć i nie warte było ryzyka.

Qiw nastawiał kasetę kar na częstotliwość 8 mg. Każdy Niewolnik miał na torsie wytłoczony kod i kasetę można było do niego dostroić i przesłać strumień prądu w to właśnie ciało, a nie inne. Qiw nastawił tarczę na dwunastkę.

— Nie! — skowyczał 8 mg czołgając się w jego stronę, wlokąc za sobą bezwładne ramię. — Wyzdrowieję! Szybko wyzdrowieję!

Lecz Qiw włączył kasetę. 8 mg z Y*jr zeszytniał w okropnej męce, po czym padł bezwładnie na pokrytą kurzem ziemię. Tortura trwała pięć, dziesięć, piętnaście sekund, bez przerwy — i w końcu stężałe mięśnie Niewolnika zwiotczały.

8 mg z Y*jr był martwy. Ciągły, o najwyższym napięciu ból przekroczył punkt tolerancyjny; zgładził umysł, a wraz z umysłem ciało. Była to okropna śmierć.

Tak samo umarł Øro opróżniając swe ciało dla Flinta.

Qiw odwrócił się. — Teraz Øro z N*kr — rzekł przestrajając kasetę.

Flint kopniakiem wybił mu ją z rąk. Głośny jęk przerażenia dobiegł ze strony otaczających ich Niewolników. Flint skoczył po kasetę, zdając sobie sprawę, że nie ma dlań ucieczki, dopóki urządzenie będzie sprawne i w pobliżu. Podniósł je w górę i roztrzaskał o kamień.

— Bransoleta! — krzyknął ktoś. Cle. — Nie daj mu wezwać pomocy!

Lecz było za późno.

— Zagrożenie! Niewolnik poza kontrolą! — krzyczał Qiw.

Flint zakręcił się na miejscu i runął w jego stronę.

— Imię? — dobiegł ciepły, spokojny głos Pana.

Flint chwycił jedną ręką obręcz, drugą pchnął Qiwa w tył. Bransoleta ześlizgnęła się z przegubu Nadzorcy.

— Øro z N*kr! — ryknął w mikrofon Flint. — Øro! — Tym razem nie dbał już o nadanie swemu głosowi intonacji Niewolnika, co było nie tylko naruszeniem przepisów, ale wręcz zbrodnią. — i wepchnij to sobie w dmuchawkę!

Dla istoty ludzkiej byłaby to ledwie zrozumiała aluzja, lecz dla Pana z Kanopusa okazała się aż nadto przejrzysta. Ich rasę natura wyposażyła w rurki, przez które strawione resztki pokarmu były wydalane pod ciśnieniem — lub, w miejscowym slangu, “wydmuchiwane”.

Flint roztrzaskał bransoletę i odwrócił się do skamieniałych Niewolników.

— No, który idzie za mną na wolność? — spytał wyzywająco.

— Ja! — krzyknęła Cle.

Ale tylko ona.

— Uciekajmy zatem — powiedział rozdrażniony Flint. — Przecież nie mogą na tej planecie żyć tylko takie mięczaki. — Pogardliwym ruchem dłoni wskazał zbitych w gromadkę Niewolników.

— Wzgórza — odparła. — Żyją tam Wolni Niewolnicy — dzicy. Jeśli uda się nam dotrzeć w góry, zanim nadejdą Panowie...

Niewolnicy byli przerażeni; bali się zarówno atakować, jak i pomagać buntownikom.

Za wyjątkiem Nadzorcy Qiwa. Pozbawiony kasety i komunikatora swego Pana, ruszył na Flinta z gołymi rękami.

Flint z łatwością odparował niezdarny cios i podciął nogi Nadzorcy. Qiw runął na ziemię jak worek piachu, uderzył o coś głową i znieruchomiał.

A Flint pomyślał: “Zbyt łatwo poszło”. Qiw nie zostałby przecież nadzorcą, gdyby był tak niezdarny czy głupi. Czemu nie rozkazał po prostu lojalnym Niewolnikom obezwładnić Øro?

Czyżby zależało mu na ucieczce Øro i Cle? Naturalnie nie mógł pozwolić na to otwarcie; zapłaciłby za to stanowiskiem, a prawdopodobnie i życiem. Odegrał więc

zgrabną komedię — wdał się niby to w bójkę, podobnie jak uczynił to niedawno 8 mg. Każdy z obecnych zaświadczy, że próbował i że został pokonany. Czegóż innego się można spodziewać po zwyczajnym Niewolniku?

Czy Panowie zorientują się w jego grze? Jeśli tak, kara dla Qiwa nie będzie symboliczna.

— Zaczęłeś niebezpieczną grę, Nadzorco — mruknął Flint. Pędzili przez rozległe pole supłaków. — Wiesz, jak małe mamy szansę — odezwał się Flint nie zwalniając biegu.

— Może nie — odparła Cle oddychając ciężko. — Panowie myślą, że Niewolnicy nie mają własnego rozumu — nie docenią nas. Myślę ponadto, że Qiw przytrzyma ich, ile tylko zdoła.

Zatem i ona zrozumiała działanie Nadzorcy! Qiw musiał chyba pojąć to, co przekazał mu Flint, skoro pozwolił na ucieczkę niebezpiecznych Niewolników? A jeśli zrozumiał, czemu natychmiast nie odesłał Øro do Panów, by ci przesłuchali go dokładnie?

Samo pytanie sugerowało odpowiedź: Qiw i w nie chciał, by Flint skontaktował się z Panami i Nadzorca był do końca wierny swym braciom; Flint albo musiał zamilknąć, albo znaleźć się wśród Wolnych Niewolników. Zdał się zatem na bieg wydarzeń; ostrożnie, nie ryzykując swej pozycji — a gdy nadarzyła się okazja, podjął działanie.

Zdał się na bieg wydarzeń? Z całą pewnością Nadzorca celowo polecił właśnie Cle z A[th] karmić Flinta; znał jej buntownicze serce, nieokiełznaną naturę i wiedział ponadto, że szuka nowego, silnego mężczyzny. Bardzo chytre!

Cle wydała cichy, stłumiony okrzyk. Flint obejrzał się.

Nad polami sunął w ich stronę lotem ślizgowym spodek Panów.

W szczerym polu nie było przed nim ani ucieczki, ani ukrycia. Zostawili za sobą wyraźny ślad ciągnący się przez zarośla supłaków, a spodek lecąc pełną mocą potrafił rozwijać prędkość dźwięku.

Pamięć Øro była zupełnie nieprzydatna; informowała tylko, że spodki uzbrojone są w promienie bólu, które z łatwością przenikają przez listowie, kamienie czy wszelkie osłony, za którymi mogliby się skryć zbiegowie — a rażąc, nie czyniły ofiarom żadnej trwałej szkody. Nastrajały się same; nie wymagały skalowania jak kasety kar. Panowie mieli wielusetletnie doświadczenie w tych sprawach!

Stanowili tu władzę, z którą Flint miał się właśnie skontaktować, lecz w obecnej sytuacji z pewnością zignorują jego posłanie jako brednie zbuntowanego Niewolnika. Qiw zapewne złożył raport sugerujący, że Øro oszalał z przedawkowania bólu. Zgrabny wybieg Nadzorcy.

Nade wszystko zaś Flint coraz bardziej wątpił w to, czy istotnie pragnie oficjalnego kontaktu z Panami. Może lepiej dać szansę Niewolnikom? Sfera Sol przed wiekami wniosła niewolnictwo jako przejaw barbarzyństwa niegodnego cywilizowanych istot.

Jeśli więc Sol połączy się z tymi Niewolnikami...

— Będziemy walczyć, Øro? — ostatkiem tchu spytała Cle.

— Tak! — rzucił, choć nie miał zielonego pojęcia, jak to zrobić. Mimo przerażenia uśmiechnęła się. — Na A[th] rzucało się kamieniami — powiedziała.

— Kamieniami? W ultradźwiękowe spodki?

— Panowie myśleli, że mamy bomby, i otaczali się polem ochronnym, a wtedy nie mogli razić promieniami.

— Wspaniale, Cle! — wykrzyknął Flint w lot pojmując jej intencje.

— Tak, wspaniale — rzekła wygładzając futro. Niewolnice pyszniły się swym futrem, zupełnie jak ludzkie dziewczęta... nie, ludzie mają włosy. — Jest tylko jeden problem.

Spodek już był nad nimi: talerzopodobny pojazd, wystarczająco pojemny, by pomieścić w sobie dwóch lub trzech Panów. Flint schylił się w poszukiwaniu kamieni.

— Jaki problem? — spytał grzebiąc desperacko w gęstwie supłaków.

— Tutaj nie ma kamieni — wyjaśniła Cle.

Było to pole uprawne. Jasna rzecz, że nie znajdą na nim żadnych odłamków skalnych!

Flint jednak miał już w życiu okazję zwalczać technologię ery kosmicznej sposobami epoki kamiennej. Doszedł wówczas do wniosku, że bystry i rozgarnięty człowiek paleolitu może sobie poradzić z głupim astronautą. Może, lecz nie musi. Zależy to od konkretnych okoliczności. Obecna sytuacja nie była jednak taka, o jakiej śnił.

Niemniej Cle poddała mu myśl. Panów można oszukać. Są skłonni nie doceniać Niewolników, po czym, zaskoczeni, reagują nerwowo. Można to wykorzystać — zapewne.

Ze spodka wytrysnął promień. Cle jęknęła; tym razem już z bólu, nie ze strachu. Promień trafił ją w stopę. Przewróciła się i potoczyła w gęste zarośla. Kolejna wiązka chybiła celu.

Flint schwycił jagodę supłaka i zerwał ją z krzaka. Owoc był jeszcze niedojrzały, zielony, twardy, toteż gwałtowne pociągnięcie wyrwało całe pnącze. Flint cisnął jagodą w spodek. Jego ramię, odmiennie zbudowane niż ręka człowieka, nadało pociskowi niespodziewany impet.

Jagoda uderzyła w spód pojazdu i odbiła się nie czyniąc szkody.

Kolejna wiązka przeznaczona była dla Flinta; musnęła mu ramię w chwili, gdy ciskał kolejny owoc. Dwunastka; paralizujący, nieznośny ból! Zupełnie jakby coś rozłupywało kości, paliło ciało na popiół, a wrząca krew parowała z rozdartych tętnic i żył. Jagoda wypadła mu z bezwładnej dłoni, a ramię stężało od okropnego bólu; każdy z jego sześciu palców wykręcił się w inną stronę. Flint również zwałił się w pnącza supłaków.

Lecz było to przypadkowe trafienie. Niezwykle trudno było utrzymać się w celu, gdy zarówno on, jak i spodek znajdowali się w ruchu. Kiedy więc wiązka zesła z celu, ra-

mię Flinta szybko ozdrowiało. Był wdzięczny za ich wynalazek: ból nie pozostawiający trwałych śladów.

Leżąc w gęstych zaroślach Flint i Cle nazrywali całe garście jagód. Tym razem Flint celował wyżej.

Spodek nie był opancerzony. Wyglądał jak talerz do zupy, otwarty od góry, dzięki czemu pilot miał swobodę obserwacji we wszystkich kierunkach. Znaczyło to również, że póki nie postawi pola ochronnego, jest bezbronny. W przypadku zaś włączenia tego pola nie będzie mógł atakować.

Teraz dopiero Flint ujrzał pilota. Był sam; najwyraźniej uznano, że to wystarczy do załatwienia tej sprawy.

Jagody ciskane przez Flinta i Cle odbijały się od burt i spodu pojazdu, nie czyniąc jednak żadnych szkód, drażniąc tylko pilota. Pan nie włączył pola; krążył wolno, skupiając całą uwagę na Øro. Żadnych histerycznych reakcji! Pan dobrze zdawał sobie sprawę, że uciekinierzy nie mają bomb, i starał się tylko tak kierować pojazdem, by najsukuczniej razić promieniami.

Flint uskoczył, lecz wiązka znów go razila, tym razem w pierś. Natychmiast chwycił go paroksyzm bólu i zaczął tracić przytomność. W ostatniej chwili, gdy już padał, ból nieoczekiwanie minął. Z trudem odzyskał równowagę. Zdawał sobie sprawę, że wiele już nie wytrzyma takich ciosów.

Teraz spodek obniżył lot i Flint miał go prawie na wysokości oczu. Pan spoglądał nań zza krawędzi pojazdu; smukła, ciemna, zakapturzona sylwetka, której rysy trudno było rozróżnić pod słońce. Flint uświadomił sobie, że nie wie nawet, jak wyglądają Panowie. Øro nigdy nie widział żadnego z nich z bliska, gdyż ilekroć w zasięgu wzroku pojawił się Pan, odwracał oczy:

Flint ujrzał wprost swej twarzy wylot projektora promieni. Tym razem ból nie będzie już przejściowy; Pan był pewien swego.

Flint rzucił się na ziemię i wiązka, niczym ostrze noża, tylko musnęła mu plecy. Podczołgał się błyskawicznie pod pojazd, kryjąc się za jego krawędzią przed kolejnym promieniem.

Pan jednak był mistrzem manewru. Spodek cofnął się błyskawicznie schodząc jeszcze niżej ku ziemi. Straszliwy promień śmignął obok przycupniętego Flinta.

Po przeciwnej stronie spodka wynurzyła się z zarośli Cle i cisnęła weń garścią ziemi. Pan obrócił pojazd i strzelił wiązką w jej kierunku. Trafił dokładnie: Cle zeszywniała i upadła na ziemię z ustami rozwartymi w bezgłośnym krzyku.

Flint skoczył w stronę spodka i zacisnął palce na jego krawędzi. Ciężar ciała ściągnął pojazd w dół.

Pan w mistrzowski sposób wyrównał lot i z ostrym przyspieszeniem wystrzelił w górę — z uwieszonym na krawędzi Øro-Flintem.

Flint zdawał sobie sprawę, że za chwilę poczuje ból w palcach zaciśniętych na krawędzi pojazdu. Pojazd był już bardzo wysoko i upadek skończyłby się tragicznie.

Szarpnął gwałtownie ciało wykorzystując mięśnie Øro w sposób, w jaki nigdy nie były dotąd wykorzystywane. Spodek zakołysał się i ziemia w dole jakby się przechyliła w jedną stronę. Flint zgiął swe ciało wyrzucając w górę nogi.

Palce przeszył mu ostry ból, lecz stopy miał już zaklinowane wewnątrz pojazdu. Przekręcił się i potoczył, przeklinając w duchu zginające się w przeciwną stronę stawy, które przez to były dużo mniej sprawne niż normalne stawy w ludzkim ciele. Ostatecznie jednak wylądował w kabinie pojazdu.

Trafiła go kolejna wiązka — giętki pyton bólu, ale Flint toczył się już siłą bezwładu. Uderzył w Pana.

Pamięć Øro niosła jedno straszliwe ostrzeżenie: już samo dotknięcie Pana oznaczało śmierć Niewolnika. Jakiegokolwiek działanie przeciw nim było w ogóle nie do pomyślenia. Lecz Flintowi, synowi wolnej, niesfornej i prymitywnej Najdalszej ze Sfery Sol obce były takie restrykcje.

Promień już mu nie zagrażał: wytracony z rąk Pana i wyrzucony za burtę projektor promieni szybował w dół. Flint chwycił zakapturzoną postać i odciągawszy od urządzeń sterowniczych cisnął w środek pojazdu. Przyszło mu to z łatwością, gdyż stwór był nadzwyczaj lekki; jak papier, jak uskrzydłony owad.

Wyrwany spod kontroli spodek zawirował, skręcił pod ostrym kątem i zaczął ześlizgiwać się w dół. Flint trzymał Pana w twardym uścisku.

— I co powiesz w obliczu śmierci? — spytał.

Stworzenie odwróciło się twarzą w jego stronę; miało ogromne owadzie oczy, a dolna część twarzy przechodziła w również owadzią szczękę.

— Nie jesteś Niewolnikiem! — odrzekło bez śladu lęku w melodyjnym głosie.

Flint pchnął pana w kierunku studzienki pilota. Gdy tylko wieloczołowe owadzie nogi trafiły na stery, pojazd wyrównał lot. Pan zachowywał kamienny spokój.

Teraz Flint mógł już spokojnie wyjaśnić, kim jest i co porabia na tej planecie. Zawahał się jednak. Czemu ma niby wchodzić w kontakt z tymi pasożytami i umacniać ich władzę, podczas gdy humanoidami są akurat Niewolnicy? Naturalna skłonność istoty ludzkiej kierowała się ku Niewolnikom, nie ku insektoidalnym Panom.

— Już nie jestem Niewolnikiem — rzekł Flint. — Teraz pokaż mi, jak kierować pojazdem, lub sprawię, że obaj roztrzaskamy się o ziemię.

Insektoid siedział nieporuszony. Czyżby miał nerwy ze stali? A może w ogóle był pozbawiony uczuć?

— Zabieram cię na przesłuchanie. Twój sposób zachowania sugeruje, że nie jesteś Niewolnikiem pomimo twego życiorysu. To w najwyższym stopniu osobliwe.

Flint był pełen podziwu dla jego odwagi. Pan próbował blefować! I proponował do-

kładnie to, czego pragnął Flint... przed godziną.

— Zabiorę cię do Wolnych Niewolników — odparł Flint. — Chyba że wolisz zaraz umrzeć.

— Możemy umrzeć — zgodził się spokojnie Pan, w chwili gdy spodek zataczał zgrabną pętlę. — Ale kierować pojazdem będę ja.

Najwyraźniej nic nie było w stanie zmienić jego decyzji.

— A więc ja przejmę stery — odparł Flint chwytając Pana w pól.

Ramiona przeszył mu ból i wypuścił przeciwnika ze zdrtwiałych rąk.

— Włączyłem pole osobiste — wyjaśnił Pan. — Możesz wybierać: albo jedziesz ze mną, albo wysiadasz. — Wskazał głową krawędź spodka.

Flint zrozumiał, że nie dobieje targu. Pan po prostu nigdy nie ustąpi Niewolnikowi — ani żadnej innej istocie.

W połowie zaciśniętą ręką rąbnął z całych sił Pana w głowę. Dotknięcie pola odbiło się upiornym bólem smagającym każdą kość ręki, lecz najstraszliwsze nawet cierpienie nie było już w stanie osłabić tego ciosu. Czaszka Pana wgięła się jakby upleciono ją ze słomy.

Spodek znów zawirował. Na szczęście z chwilą śmierci Pana znikło pole ochronne i Flint bez kłopotów wyszarpnął martwe ciało zza pulpitu. Z rozmachem wyrzucił je na zewnątrz i sam zajął miejsce w studziencie. Zmieścił się tam z trudem; jego ciało było większe i odmiennie zbudowane.

W otworze natrafił na wiele gałek i pedałów, rozmieszczonych bardzo niekorzystnie. Flint nie miał pojęcia, jak należy się nimi posługiwać, lecz bez chwili namysłu zaczął je sprawdzać na chybił trafił. Nagle pojazd szarpnął i zaczął ostro pikować w dół. Nie był to statek typu ziemskiej kapsuły zawieszony na drucie, lecz normalny pojazd swobodnie latający, gdzie najmniejsze zawahanie się lub błąd pilota mogło doprowadzić do katastrofy. Flint przywarł palcami do oparcia i poruszał palcami stóp, szukając odpowiedniej kombinacji.

Spodek zahamował, wykręcił pętlę i znów runął ku ziemi, prawie wyrzucając Flinta za burtę. Ale człowiek już chwycił. Było tam kilkanaście nożnych sterów, a każdy miał wiele pozycji. Jeden ustalał położenie spodka, inny sterował prędkością, inny jeszcze służył do regulacji wysokości. W chwili gdy Flint miał już wyrznąć w ziemię z szybkością połowy Macha, udało mu się zwolnić, wyrównać lot i zawiesić pojazd w powietrzu. Po chwili wzniosł się nieco wyżej i ruszył z powrotem do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć Cle.

Dostrzegł ją z łatwością. Biegła ile sił przez pola w kierunku odległych jeszcze wzgórz. Rozsądna dziewczyna! Obniżył lot na tyle, na ile się odważył — i chwiał się w powietrzu nie opodal biegnącej.

— Hej, Cle z A[th]! — krzyknął. Zaskoczona i przestraszona dziewczyna odwróci-

ła się.

— Øro! — krzyknęła zdumiona. — W jaki sposób się uratowałeś?

— Nieważne — odkrzyknął. — Właż tutaj do mnie! Na wzgórze zajedziemy szykownie!

Wolni Niewolnicy byli zdumieni.

— Zabiliście Pana? — dopytywali się wciąż, nie mogąc w to uwierzyć.

— Jeszcze raz, po kolei — powtórzył Flint. — Jestem wysłannikiem Sfery Sol, sąsiada Sfery Kanopus, transferowanym w to właśnie ciało. Zabiłem Pana i zdobyłem spodek, by nawiązać z wami kontakt. Pomogła mi w tym Cle z A[th]. Jeśli się zorganizujecie, rozpoczniecie bunt, opanujecie tę planetę i rozniesiecie powstanie po całej Sferze, usuwając Panów, przekażę wam technologię transferu.

— Tak — westchnęła Cle. — Tego właśnie zabrakło A[th]. Transferu!

Lecz Wolni Niewolnicy stali bez ruchu w milczeniu, pełni wątpliwości. Byli hałastrą źle ubranych i wygłoszonych istot. Niewolnicy z plantacji wyglądali nie tylko na zdrowszych, ale i dużo szczęśliwszych.

Flint zrozumiał, że nic tutaj nie działo. Nie były to istoty ludzkie; setki lat bezlitosnej eliminacji złamały kręgosłup tej rasie. Do wzniecenia zwycięskiej rebelii byli zdolni w tym samym stopniu, co udomowione zwierzęta w Sferze Sol. Mogli wprowadzić, gdy ucisk przybierał zbyt ostre formy, wpaść w szal, lecz wybuchom tym brakowało organizacji normalnej rewolucji. Nic dziwnego zatem, że nazywano ich Wolnymi Niewolnikami. Tak też było w rzeczywistości: Niewolnicy bez Panów.

W równym stopniu rozczarowana była Cle.

— Gdybyś przybył na A[th] w ubiegłym stuleciu — westchnęła. Pojawił się przywódca Wolnych Niewolników. Najwidoczniej do tej pory trzymał się na uboczu i skryty w tłumie wysłuchał tego, co miał do powiedzenia Flint. Postawa Wolnych Niewolników uległa radykalnej zmianie: stali się bardziej karni. Może więc istniała jakaś nadzieja!

— Jestem T%x z D)(d — odezwał się przywódca głosem pozbawionym intonacji Niewolnika. Tak, ten mężczyzna miał autorytet! — Powiedziałeś nam wiele interesujących rzeczy i dostarczyłeś to cudo techniki. Lecz dowodzi to jedynie, że jesteś tutaj — a nie, że jesteś z nami. Nie wierzę, że zdobyliście ten pojazd własnymi rękami; dali go wam Panowie i przysłali jako szpiegów, żebyście rozbili naszą grupę.

— To kłamstwo! — warknął Flint widząc zarazem, że Wolni Niewolnicy nie wierzą im. Argumentacja T%x była przekonująca, a oni wierzyli swemu przywódcy.

— Lecz nim was zabijemy, wyśpiewacie całą prawdę. — T%x wyciągnął kasetę kar ukradzioną niewątpliwie Panom.

— Ależ to się na nic nie zda — rzekła Cle. — Øro poddawany był przez trzy dni torturom jedenastego stopnia i nie załamał się. I mówi prawdę, a ja mu wierzę. Żaden

Niewolnik nie dokonałby tego, co on.

— Prawdziwy Niewolnik, to nie — zgodził się T%x. — Ale szpieg współdziałający z Panami, udający ból...

— Ohyda! — parsknęła obelżywie, akcentując pałeczkę. T%x chwycił ją za ramię.

— Ładna jesteś! — wykrzyknął. — Wezmę cię do swego harem!

Kopnęła go w krocze, w pełni humanoidalne. Uderzenie było powierzchowne, lecz i tak T%x wpadł w furję. Flint postąpił krok do przodu, lecz zatrzymały go oszczepy Wolnych Niewolników.

— Ją torturujemy pierwszą! — krzyknął T%x. — Jaki jej numer?

Dwaj mężczyźni chwycili Cle i odczytali numer na ramieniu dziewczyny. T%x zaczął pracować nastrajając kasetę. Gdy tylko się z tym uporał, przekręcił tarczę.

Cle zeszywniała. Kasetę działała więc bez zarzutu.

— Gadaj teraz, szpiegu — warknął ponuro T%x. — Czemu pracujesz dla Panów?

— Nie pracuję dla... — krzyknęła dławiąc się pod wpływem bólu szóstego stopnia.

— Przestań! — wykrzyknął Flint. — Mogę udowodnić moje pochodzenie. Powiem ci wszystko o...

— Na ciebie przyjdzie pora niebawem — przerwał T%x. — Na razie, dziewczyno-szpiegu, kto jeszcze z tobą współpracuje?

— Nikt! Jestem uczciwą A[th]...

Tym razem ból osiągnął poziom dziewiąty i trwał zbyt długo. Ciało Cle skręciło się i osunęło na ziemię. Twarz dziewczyny była groteskowo wykrzywiona, kształtne nogi rozrzucone szeroko, a ich mięśnie drgały konwulsyjnie. Ktoś z tłumu zarechotał zło-wrogo.

Flint wyszarpnął włócznię z rąk najbliższego Wolnego Niewolnika i zdzielił go drzewcem, zwalając z nóg. Była to broń, w której władaniu Flint był mistrzem — w każdym ciele, w jakim się znajdował! Ruszył z impetem na T%x, lecz pozostali runęli nań hurmem, obalając na ziemię, obezwładniając.

— Jeszcze raz, szpiegu — odezwał się T%x do Cle. Widać było że widok jej cierpienia podniecił go. Był sadystą z natury i zadawanie bólu pobudzało go seksualnie. Znaczyło to również, że nie można się po nim spodziewać litości. — Jaki jest plan Panów?

Cle z trudem łąpała powietrze. Starła z ust ślinę wymieszaną z kurzem.

— Nic nie wiem o... — wyszeptła... i skoczyła w jego stronę. W połowie ruchu przeszedł po niej dreszcz bólu. Dwanaście. Na ustach dziewczyny wykwitły czerwone bąble piany. Flint nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widział. Po całym jej ciele przebiegały drgawki, szeroko rozwarte oczy były szkliste. Bezwolnie oddała mocz i kał. Wolni Niewolnicy rechotali śmiechem.

— Wyłącz! — ryknął Flint. — Powiem ci wszystko, cokolwiek zechcesz!

Lecz T%x nie wyłączał. Patrzył zafascynowany, jak to coś, co było Cle, zwija się

w drgawkach u jego stóp.

Naraz ruch ustał. Dziewczyna rozprężyła się, jakby zapadła w sen; tak samo zwiotczał 8 mg z Y*jr, ten, któremu złamał rękę.

— T%x — przerwał ciszę czyjś zdenerwowany głos — myślę, że ona jest...

— Martwa — odmruknął T%x wyłączając kasetę. — Taki jest koniec szpiegów.

Oddychał ciężko.

Lecz Cle wcale nie była martwa. Jej ciało wciąż oddychało.

T%x przekręcił tarczę ponownie, na próbę, mając najwidoczniej nadzieję, że uda mu się zadać jeszcze trochę bólu ofierze. Bez skutku jednak.

— Dziwne... — mruknął.

— Straciła rozum! — krzyknął wstrząśnięty Wolny Niewolnik. — Zabiłeś jej umysł! Zaskoczony T%x zastanawiał się chwilę.

— Świetnie — odezwał się. — To nawet lepiej. Zabiorę ją do swej groty i będę używał do woli bez żadnego oporu z jej strony.

Skierował wzrok na Flinta.

— Dawaj swój numer.

Flint pojął, że ten zboczeniec torturuje i zabija dla samej tylko przyjemności; wydobyć zeznań jest tylko wymówką. Pan ze spodka był lepszym stworzeniem, wrogiem, ale nie sadystą. I nie był głupcem.

Na niebie pojawiły się spodki — osiem lub dziewięć. Wolni Niewolnicy rozbiegli się w popłochu, lecz zatrzymały ich promienie bólu. Dali się zapędzić z powrotem na środek polany. Jak było!

Flint skoczył do swego spodka. Przeczłogał się nad krawędzią i wepchnął nogi w otwór sterowniczy. Kopnął pedał wznoszenia.

Nic się nie wydarzyło.

— Pojazd został unieruchomiony — z głośnika umieszczonego w spodku dobiegł łagodny głos Pana. — Pozostań tam, gdzie jesteś.

Mimo ostrzeżenia Flint zerwał się i próbował wyskoczyć na zewnątrz. Trafił w ściannę niewidzialnego pola bólu. Aż zgiął się w pół. Nie było sposobu uniknięcia przenikającej ciała tortury; mięśnie stężały mu niezależnie od woli, uniemożliwiając wszelką kontrolowaną akcję.

Po chwili ból zmalął.

— Pozostań tam, gdzie jesteś — powtórzył miękko głos.

Teraz już ból nie przekraczał pierwszego czy drugiego stopnia. Przy najmniejszym jednak ruchu wzrastał do ośmiu czy dziewięciu. Flint zrozumiał: był jeńcem.

— Jestem B: :1 — odezwał się Pan kierujący przesłuchaniem. — Zgodnie z twoim oświadczeniem złożonym zbiegom jesteś agentem Sfery Sol, naszego galaktycznego są-

siada. Czy przybyłeś tu, by rozniecić zarzewie buntu pośród populacji Niewolników?

— Udław się własnym kokonem — odparł Flint.

— Domyślam się, że zamierzałeś mnie obrazić — odparł łagodnie B: :1. — Nie reagujemy na uwagi Niewolników; skoro jednak jesteś z innej Sfery, stanowisz przypadek szczególny i trudno cię traktować zgodnie z naszymi obyczajami. Ponieważ zabiłeś jednego z nas, status Obcego jest dla ciebie korzystny.

Flint milczał.

— Mamy narkotyki — ciągnął Pan. — Sprawiają one, że każdy Niewolnik, niezależnie od swej woli, wyjawia wszystko, co wie. Lecz skoro nie jesteś Niewolnikiem, stosowanie tego środka nie byłoby wskazane. Nie chcemy wchodzić w konflikt z naszymi sąsiadami i nie szukamy waśni ze Sferą Sol. Pragniemy tylko, by pozostawiono nas samych.

Flint spodziewał się tortur i takie postawienie sprawy zmieszało go. Jak ma postąpić?

— Jak się domyślamy, panowie Sfery Sol są humanoidami i zmylił cię zapewne wygląd Niewolników — ciągnął rozsądnie B: :1. — Lecz teraz już zdajesz sobie sprawę, że Niewolnicy nie są wcale cywilizowani. Dopóki nie przejęliśmy nad nimi kontroli, ich historia była jednym pasmem gwałtu i przemocy. Mnożąc się bez opamiętania, wpędzili swą planetę w ubóstwo, gdyż szybko wyczerpali niezastąpione bogactwa naturalne, jak na przykład kopaliny. Skażenie środowiska zbierało obfite żniwo. Nie wyprzedzili nas w przestrzeni kosmicznej, gdyż byli zbyt zajęci toczonymi między sobą wojnami, w których niszczyli środowisko z istic samobójczą pasją. Dopiero my przynieśliśmy ludzkości Niewolników pokój i zdrowie, wprowadziliśmy tak im potrzebną kontrolę i modernizację. Inaczej wytrzebiliby się doszczętnie lub cofnęli do poziomu prawdziwego barbarzyństwa. Jako przedstawiciel sferycznego gatunku rozumnego jesteś spokrewniony z nami, z cywilizowanymi, bez względu na różnice budowy fizycznej.

Cały problem leżał w tym, że to była prawda. Wolni Niewolnicy byli nieokrzesanym bydłem i to wcale nie z powodu bydlęcego mnożenia się. W przeciwieństwie do nich Panowie traktowali Flinta z grzecznością pomimo obelg, jakimi ich obrzucał. Byli... dorośli.

— Czemuś na samym początku nie poinformował Niewolników o swoim poselstwie? — spytał B: :1. — Mam na myśli tych z plantacji.

— Próbowałem! Lecz nie chcieli mnie słuchać. — Flint zerwał się na nogi. — Ty sukiny! Podszedłeś mnie!

— To oczywiste, że nie jesteś Niewolnikiem. Twój sposób zachowania temu przeczy. Skoro wiemy, że przez pomyłkę Øro z N*kr poddany został owej okropnej karze, jedynym racjonalnym wytłumaczeniem jest to, że jego umysł uległ zagładzie, a ciało przyjął Obcy. Wiemy, że takie rzeczy są możliwe; miało to już raz miejsce w przeszłości.

— Jesteś bardzo bystry — odparł niechętnie Flint. Postanowił nie wspominać o Qi-wie z V^ops, nadzorcy Niewolników. Po co narażać porządną w końcu istotę na kłopoty?
— Niewolnicy po prostu mi nie uwierzyli... żaden z nich.

— Bo są ciemni — odparł B: :1, wydając szcękoczułkami lekki klekot wyrażający zrozumienie. — Dla nich transfer to zabobon, dzieło szatana. Lecz mogłeś przecież niezwłocznie skontaktować się z nami.

— Mogłem? — spytał zaskoczony Flint. Nie miał już cienia wątpliwości. Musi wejść w układy z Panami. Po to zresztą został tu przysłany.

— Sprawdź to w pamięci swego ciała.

Flint posłusznie sięgnął... i odkrył, że faktycznie jest tak, jak mówi Pan: każdemu Niewolnikowi przysługuje prawo prośby o widzenie się z dowolnym Panem w dowolnym miejscu i czasie. Prośba taka była zawsze spełniana, a skarga szybko i sprawiedliwie rozpatrzona. Sprawiedliwość była niewzruszona — w zakresie dopuszczalnym przez system. Niewolnicy posiadali prawa, żarliwie strzeżone przez samych Panów.

Mógł złożyć taką petycję nawet podczas odbywania kary i w ciągu godziny mieć osobisty kontakt z Panem. Jego misja szybko osiągnęłaby cel, gdyby tylko od początku pragnął wypełnić ją w taki właśnie sposób. Lecz on wolał walczyć i szukać humanoidalnych Niewolników.

Czego pragnął — wywyższenia takich bestii jak T%x? Z pewnością w ten sposób nie zbawiłby galaktyki! Był głupcem, pozwalając przelotnym wrażeniom i subiektywnym uczuciom zakłócać przebieg swej misji. Nie popełni już więcej takiego błędu!

— Jestem Flint z Najdalszej — rzekł oficjalnie. — Jak się domyśliłeś, ze Sfery Sol. Przybyłem, by przekazać wam sekret transferu.

— Nie potrzebujemy transferu — odparł natychmiast B: :1.

Flint stropił się.

— Nie żądamy zapłaty. Chcemy, byście dysponowali techniką transferu. Wyjaśnię zaraz dlaczego.

B: :1 zatrzepotał szybko swym płaszcz-skrzydłem, wyrażając tym gestem zarówno zrozumienie, jak i odmowę.

— Transfer zniszczy nasz system. Ekonomia niewolnicza funkcjonuje najlepiej, kiedy tożsamość jest nierozdzielnie złączona ze swym oryginalnym ciałem. Gdyby Panom i Niewolnikom dana została możliwość wymiany ciał — nawet na krótko — wywołałoby to brzemienne w skutkach niepokoję.

Flint zadumał się. Sam niewiele pojmował z zawilosci polityki i ekonomii, lecz Pan z pewnością orientował się w tych sprawach.

— Stawka jest dużo wyższa niż wyłącznie interes waszego systemu — rzekł Flint.
— Zagrożona jest cała galaktyka.

— Możliwe. Lecz w chwili gdy zaczniemy mieszać się w sprawy sąsiednich Sfer, te

z kolei zaczną się mieszać w nasze. Ponieważ nie chcemy tego, staramy się unikać konfliktów z innymi Sferami.

— Nawet za cenę zagłady was wszystkich — Panów i Niewolników razem wziętych?

— Musimy żyć zgodnie z naszymi nakazami — nawet za cenę takiego ryzyka.

Flint potrząsnął głową w zupełnie nie niewolniczym geście. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Niemniej powinien był przewidzieć i taki obrót sprawy. Tak samo przecież zachował się Pan ze spodka; wolał umrzeć niż oddać choć ułamek ze swej niezależności.

— Zgoda, nie będę was zmuszał. Wróć do domu.

— Znakomicie. Skonstruujemy urządzenie transferowe, by odesłać cię z powrotem, a następnie zniszczymy je. Myślę, że twój rząd zrozumie nas.

Flintowi jak żywa stanęła przed oczyma Rada Ministerialna Imperialnej Ziemi. O, tak, owe tępe pały na pewno rozumieją takie stanowisko!

Trzech Panów-techników omówiło z nim całą kwestię. Byli inteligentni i w lot pojęli zasady, które im wyłożył; dużo szybciej i lepiej, niż on sam je pojął. Wyrecytował niepojęte formuły, zapamiętane dzięki jego eidetycznej pamięci, a ich zachwytiło budzące dreszcz piękno i prostota tej logiki. Na początku przekazał im wiadomości o aurze Kirliana, a oni tak dostosowali swą aparaturę, by wychwytywała emanację.

— Jak wiecie — mówił Flint — większość istot posiada aurę o podstawowym poziomie intensywności. Niektóre jednostki jednak posiadają to pole silniejsze... tak właśnie jak ja.

Wszedł do komory pomiarowej. Tarcza ich instrumentu była w stanie zarejestrować natężenie aury do stu jednostek; wskazówka jak oszalała przeskoczyła na samą górę podziałki i tam stanęła. Na technikach wywarło to odpowiednie wrażenie.

— Teraz musicie tak zmodyfikować jeden z waszych matermiterów, by skupił się wyłącznie na aurze — pouczał Flint. — Będzie to nieco skomplikowane, aura bowiem bez reszty przenika ciało. Macie tutaj wzory...

W istocie nie było to wcale proste. Panowie używali innego rodzaju matermiterów; za ich pomocą mogli wprawdzie przesyłać większe ładunki oszczędniej, ale za to na dużo krótsze odległości, maksymalnie do dziesięciu lat świetlnych, średnio do pięciu. Przemierzali swą Sferę skokami, od systemu do systemu, a sieć ich szlaków międzygwiazdnych była tak znakomicie rozplanowana, iż Sfera w dużo mniejszym stopniu niż Sfera ludzi odczuwała skutki regresu na Obrzeżu. Niestety, ich technika matermisji była kompletnie różna od znanej w Sol.

Ponieważ transfer jest udoskonaleniem matermisji, informacje Flinta były tu nieprzydatne. Fachowiec z pewnością poradziłby sobie, lecz Flint, niewykształcony prostak z epoki kamiennej posiadał tylko mechanicznie wyuczone wiadomości — prze-

znaczone do sprzętu innego typu. Panom natomiast dopracowanie wszelkich szczegółów transferu zajmie z pewnością miesiące lub lata.

Flint zatem nie potrafił przekazać sekretu transferu. I nie miał jak wrócić do domu — nawet za pomocą matرمىjsji.

— Zajmiemy się tobą — z właściwym insektoidom wdziękiem mówił B: : :1. — Być może w najbliższym dziesięcioleciu czy dwóch skontaktuje się z nami inna ze Sfer i zostaniesz odesłany.

Niewielka pociecha, a Panowie wyraźnie ani się spodziewali ani sobie życzyli takiej wizyty.

— W ciągu najbliższych miesięcy, a może prędzej, stanie się to już bez znaczenia — wyjaśnił Flint. — Moja aura Kirliana zanika z dnia na dzień i za kilka miesięcy będę już tylko... Niewolnikiem!

— Zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce na plantacji supłaków — pocieszył Pan.

— Wielkie dzięki!

Nic tylko bezmyślna harówka wymuszona kasetą kar! W dodatku bez ślicznej Cle u boku.

Przypomniął sobie o dziewczynie.

— Cle, Cle z A[th]... co się z nią stało?

— Nie zaprzątaj sobie nią głowy — odparł B: : :1.

— Ale jednak zaprzątam. Pomogła mi, przeszła tortury. Myśleli, że jest waszym szpiegiem...

— Bo była.

Flint wytrzeszczył oczy, lecz twarz Pana pozostawała nieprzenikniona. Po cóż zresztą miałby kłamać?

— Sądziłyśmy, że uda się jej dotrzeć do najsilniejszego gniazda oporu Wolnych Niewolników — wyjaśnił B: : :1. — Stale zdarzają się drobne kradzieże, bunty, podpalenia zbiorów. Wiedzieliśmy o T%x z D)(d i jego bandzie. Jeśli nawet Cle dowiedziała się czegoś więcej, nic o tym nie wiemy. Jej umysł zaprogramowany był na samodestrukcję w obliczu groźby ujawnienia zadania.

Zatem i tak nie mogła zdradzić Qiwa. Flint, który ze zrozumiałych względów zmienił front, w dalszym ciągu czuł sympatię do Niewolnika, który okazał się tak szczery, bystry i odważny.

— Chciałbym ją zobaczyć — rzekł.

Pan wykonał gest przeczenia jednym ze swych cienkich, czarnych odnóży.

— Jest w lecznicy dla Niewolników. Tutaj, w tym kompleksie możesz poruszać się swobodnie — znamy ciebie. Na zewnątrz jednak radzę nie wychodzić.

— Jestem więźniem?

— Nie. Ale na zewnątrz możesz przez pomyłkę zostać potraktowany jak Niewolnik.

Oczywista sprawa!

— W takim razie może ktoś mógłby mnie eskortować — do lecznicy i z powrotem.

B: : :1 wykonał inny gest, tym razem aprobaty.

— Idź do stacji Niewolników.

Było oczywiste, że Pan — mimo całej swej uprzejmości — traktuje go jako kogoś pokrewnego Niewolnikom. Na to już jednak nie było rady; Flint nie wypełnił swego zadania i to już nie wina Pana. Wyszedł.

Do posiadłości Panów Niewolnikom wstęp był wzbroniony. W razie potrzeby wzywani byli do znajdującej się w sąsiedztwie stacji Niewolników. Ze zrozumiałych względów żaden z Panów nie raczyłby osobiście eskortować kogoś, kto tak przypomina Niewolnika. Wyznaczają zapewne specjalnego Niewolnika.

Flint natychmiast go poznał.

— Qiw! — zawołał. — Qiw z V^ops!

Nadzorca był również zdumiony widokiem Flinta.

— Øro z N*kr! Jesteś na wolności?

— To długa historia. Nie jestem tym, na kogo wyglądam.

Wolnym krokiem zmierzali w kierunku lecznicy.

— Wyglądałeś na buntownika — mówił Qiw. — Lub Obcego. Robiłem, co w mojej mocy, by przeszkodzić ci w ucieczce.

— Dziewczyna była agentką Panów. I ja również współpracuję z nimi obecnie.

Zawsze zdyscyplinowany Qiw nie zdołał ukryć odruchu niepokoju.

— Zatem już wiedzą...

— Panowie wiedzą, żeś uczynił wszystko, co w twojej mocy, by zapobiec naszej ucieczce. Być może dziewczyna byłaby innego zdania, lecz zginęła, nim zdołała cokolwiek powiedzieć. A od czasu, gdy zabiłem Pana, stało się oczywiste, że ty, zwykły Niewolnik, nie byłeś w stanie mnie zatrzymać.

Nawet gdyby próbował...

Qiw milczał. Flint pozornie go uspokoił, ale Panowie z pewnością nie dali wyprowadzić się w pole. By niby dlaczego do wykonania tego konkretnego zadania wezwali z plantacji tego właśnie Niewolnika?

Cle leżała na pryczy w izolatce. Na jej widok ogarnęła Flinta litość pomieszana z żalem. Nieistotne, czy była szpiegiem, czy też nie; była śliczną, wdzięczną dziewczyną i zginęła okrutną śmiercią.

— Czy mogę wejść do środka

— Ona nie ma świadomości — przypominał Qiw. — Nic jej nie przywróci do życia.

— Wiem. A jednak... — Flint nie potrafił wyrazić, czego w istocie pragnie, bo sam dobrze nie wiedział. Miał uczucie, że stoi nad zwłokami drogiego przyjaciela: wstrząśnięty, bezradny, świadom tego, że nie jest w stanie tej utracie zaradzić. Żal. I jakaś prze-

wrotna radość, że on żyje, że jemu się udało... tym razem.

Qiw obojętnie dotknął zamka w jakiś skomplikowany sposób i drzwi się rozsunęły. Flint wszedł do środka, a nadzorca, prawdopodobnie z szacunku dla śmierci, pozostał na zewnątrz. Gdy tylko Flint przekroczył próg, drzwi się zamknęły, rozdzielając ich. Odniósł przykre wrażenie, że jest uwięziony — ale był to problem akademicki. Żadne więzienie nie mogło być tak skuteczne jak niemożność transferu.

Spoglądał długą chwilę na nieruchomy, oddychający kształt, zastanawiając się, czy dziewczyna jest obudzona, czy też śpi. Lecz tak naprawdę pogrążona w bezświadomości Cle nigdy już nie miała się przebudzić. Być może zresztą była w lepszym położeniu niż on...

Jakiś wewnętrzny impuls kazał mu jej dotknąć. W końcu to, co jej się przydarzyło, w dużym stopniu było z jego powodu. Była niezwykle piękna i zasługiwała na lepszy los. Nawet jako szpieg wykazała tyle ducha...

— Cle... — szepnął dotykając jej skóry.

I poczuł znajomy wstrząs potężnej aury Kirliana.

Niespodziewanie Cle usiadła. Zarzuciła mu na szyję ramiona i mocno je zacisnęła. Tuliła Flinta w objęciach!

Nie... ona go dusiła! Oszołomiony tą pozorną zemstą z za grobu i szczególnym oddziaływaniem na siebie ich aur — gdyż jej była równie silna jak jego! — Flint mimo to zareagował automatycznie. Chwycił jej drobne nadgarstki w swe dłonie i oderwał od szyi. Jej dużo słabsze, kobiece mięśnie nie potrafiły sprostać jego sile. Trzymał ją przed sobą na długość wyciągniętych ramion.

— Skoro taka jesteś w nieświadomości, nie chciałbym poznać twych wszystkich możliwości — mruknął.

— Co ty wyprawiasz? — krzyknął Qiw. — Połóż ją! Profanujesz zwłoki!

Sądził najwidoczniej, że to Flint zabrał się do dziewczyny.

Cle próbowała kopnąć go w krocze, lecz Flint, zaprawiony w walkach — i z mężczyznami i z kobietami — domyślił się, co mu grozi, i z łatwością uniknął ciosu. Następnie z całej siły pchnął ją na łóżko.

Wtedy przeszył go ból. Zesztywniał oparty o drzwi. To Qiw nastawił kasetę kar na jego numer.

— Zwłoki są święte — mruczał ponuro Qiw.

— Ale ona wcale nie jest martwa! — Flint ciężko łapał powietrze. Ból nastawiony był na trójkę — wystarczająco mocny, by go porazić, ale nie na tyle, by zupełnie go unieruchomić. Qiw miał doświadczenie. — Spójrz tylko na nią!

Istotnie, Cle nie była martwa. Zerwała się już z pryczy i ruszyła na ogłuszonego trzystopniowym bólem mężczyznę. Chwyciła go i cisnęła nim o ziemię; Flint poznał, że jest dobrze wyszkolona w walce. Pochyliła się nad nim ruchem tak szybkim, aż niedostrze-

galnym, i ścisnęła mu krtań, palcami szukając tętnicy. Nie zdążyła już jednak jej wymacać.

Flint poczuł, że ból minął. Drzwi rozwarły się i do środka wpadł Qiw. Oderwał dziewczynę od Flinta i jej z kolei nacisnął któryś ze splotów nerwowych. Natychmiast straciła przytomność, a Flint upewnił się w swej opinii o Qiwie: Nadzorca potrafił walczyć. Tylko udawał tak ociężałego i niezgrabnego.

Flint siedział i masował szyję.

— Nie wiem, czy nie byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś pozwolił jej mnie wykończyć, a następnie sam ją zabił. Nieszczęśliwy wypadek w odpowiednim czasie.

Qiw spojrzał nań uważnie spod oka.

— Wy, Obcy, myślicie, że wszyscy Niewolnicy są głupi... a co gorsza — że Panowie też są głupi. Oni wiedzą przecież, co zrobiłem; nie ukarali mnie, gdyż nic by to nie dało. Wiedzą jednak, że już zawsze będę lojalny. Są sprawiedliwi, a ja się czegoś nauczyłem. Gdyby oskarżyli mnie otwarcie, musieliby też mnie ukarać. Ja straciłbym swoją pozycję między Niewolnikami, a oni użytecznego służę.

Flint skinął głową.

— Ja też wyciągnąłem z tego naukę. — Panowie i Niewolnicy; rozumieją się wzajemnie doskonale. A on, wtrącając się, postąpił głupio.

Zanieśli Cle do granicy posiadłości Pana. Pojawił się B: : :1.

— To dziwne — zauważył wysłuchawszy relacji o agresji Cle.

— Popełniliście chyba omyłkę zakładając, że utraciła świadomość — rzekł Flint.

— Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Zanieście ją do sali przesłuchań.

Qiw cofnął się.

— Panie, mnie nie wolno wchodzić... B: : :1 skierował wzrok na Niewolnika.

— Wolno ci robić to, co ci powiem. — Flint zorientował się, że pod tymi zwykłymi słowami kryje się wyraźna nagana. Słowo Pana jest prawem!

Skinieniem głowy Qiw wyraził akceptację kary. W każdym razie, jeśli czymś zawinił, to nadmiarem gorliwości. Następnie dźwignął bezwładne ciało Cle i ruszył w stronę pawilonu.

Zamyślony Flint postępował za nim. Panowie nie byli więc ślepo wierni ustalonym przez siebie prawom.

W sali przesłuchań technicy zmierzili aurę Kirliana dziewczyny. Wskazówka natychmiast skoczyła na samą górę skali.

— Kolejny transferowiec — odezwał się B: : :1. — Masz szczęście.

— Ależ ona chciała mnie zabić — zaprotestował Flint. — Gdyby nie Qiw...

— To jest właśnie dziwne — zgodził się B: : :1.

Cle poruszyła się. Otworzyła oczy.

— Obca istoto, induktor bólu jest nastrojony na częstotliwość twego ciała — rzekł do

niej Pan. — Nie próbuj żadnej agresji — i zwracając się do Flinta, rzekł: — Pytaj ją.

Tak, oczywiście! — Kim jesteś? — zaczął.

— Przybyłam... znaleźć cię — odpowiedziała Cle.

— Pochodzisz ze Sfery Sol?

— Tak, z Sol.

Flint potrząsnął głową.

— Nie wiedziałem, że transferują jeszcze innego posła.

— To normalna procedura — zapewnił B: :1. — Agent wspierający, wysyłany bez wiedzy pierwszego. Pierwszy nie jest w stanie zdradzić tego, o czym nie wie, a drugi może go wspomóc w wypadku niepowodzenia lub nieszczęścia. Też stosujemy podobny system.

Flint uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy był naiwny. Poczul do siebie wstręt.

— Więc czemu mnie zaatakowałaś? Przecież wypełniałem swą misję.

— Nie poznałam cię — wyjaśniła Cle. — Zorientowałam się tylko, że jestem uwięziona, a ty dotknąłeś mego ciała. Ja... ja źle zrozumiałam twoje intencje.

Po magicznym zetknięciu się aur Kirliana? Niczego sobie nieporozumienie!

— Całkiem zrozumiała pomyłka — wtrącił B: :1. — Lecz kwestia jej intencji może być w prosty sposób wyjaśniona. Należy ustalić technikę jej transferu.

Chytre, chytre!

— Posiadasz informacje o transferze... inne niż moje? — spytał Flint.

— Ta-ak — odparła z lekkim wahaniem.

— Idź zatem z technikami — rozkazał B: :1.

Jeden za Panów wręczył Qiwowi kasetę kar; do tego rodzaju zadań delegowano zazwyczaj Niewolników. B: :1 jednak wykonał dyskretny gest, po czym jeden z Panów odebrał kasetę kar z rąk Qiwa i podążył za dziewczyną. Qiw nie mając nic specjalnego do roboty stał niezdecydowanie w miejscu. Najwyraźniej tutaj, w sanktuarium Panów, czuł się nad wyraz nieswojo.

B: :1 odwrócił się w stronę Flinta.

— Analiza wzoru tej kobiety wykazała poważne różnice w stosunku do twoich — mówił czytając wydruki wręczone mu przez jednego z techników. — Zupełnie jakby była nie tylko inną osobowością, ale należała do innego gatunku niż ty. Nie kwestionujemy twoich motywów... ale coraz bardziej wątpimy w jej.

Bystre! Panowie nie skierowali byle kogo do kontaktów z Obcymi! Flintowi nigdy by nie przyszło do głowy porównywać i analizować specyfiki wzorów Kirliana.

— A może ona jest z Sol — odezwał się. — Sądziłem, że Sfera Sol nie dysponuje poza mną aurą silniejszą niż dziewięćdziesiąt osiem — ale utrzymujemy nieoficjalne stosunki z Polarianami i innymi. Jeśli któraś z ich Sfer postanowiła nas wspomóc...

— Możliwe. Dla naszej aparatury dziewięćdziesiąt osiem jednostek stanowi już mar-

gines błędu. Nie chciałem cię martwić.

— Podstawową wadą waszej aparatury jest to, że nie potrafi mierzyć aury powyżej stu — odparł Flint. — Ja osobiście mogę określić w przybliżeniu względne natężenie aury Kirliana — a aura Cle zbliżona jest mocą do mojej. Około dwustu. Wątpię zatem, by była człowiekiem.

— Nam wyłącznie chodzi o twoje bezpieczeństwo, aby uniknąć dalszych powodów do przyszłych kontaktów między naszymi Sferami — jak też między nami i którąś ze sprzymierzonych z wami Sfer.

— Rozumiem — odrzekł sucho Flint. B: :1 zwrócił się teraz do Qiwa.

— A ty? Twoje zdanie?

— Panie, wierzę jemu, nie jej. Zaatakowała go bez żadnego powodu. Trzymaj ją w zasięgu kasety.

— Czy na twoją opinię nie ma wpływu fakt, że kobieta, Cle z A[th], była naszą agentką i posiadała informacje sprzeczne z twoim własnym interesem? Osobowości nie można przenosić; jednakże obecna istota posiada dostęp do pamięci i umiejętności Cle.

Qiw zastanowił się nad podchwytliwym pytaniem.

— Być może i ma wpływ. Nie znam się na tym, Panie.

— I jeszcze jedno. Jak możesz nie wierzyć jej, a wierzyć temu człowiekowi z Sol? Oboje są transferowcami.

— To racja, Panie. — Zażenowanie Qiwa nie słabło. — Ale Øro postępował uczciwie: ta kobieta próbowała go zabić. Może faktycznie straciła głowę, lecz wówczas nie sprawiała takiego wrażenia.

B: :1 zwrócił się do Flinta.

— W tej materii jesteśmy jak Niewolnicy, którzy obserwują zjawiska pobieżnie, ale ich głębszego znaczenia nie rozumieją. Stąd opinia Niewolnika jest trafna. Bardzo możliwe, że Cle współdziałała z nami tylko pod groźbą kasety kar i przy najbliższej okazji znów podniesie na ciebie rękę. Możliwe też, że naprawdę pochodzi z Sol lub którejś z zaprzyjaźnionych z wami Sfer i sądzi, że torturami zmusiliśmy cię do uległości. Decyzję co do dalszych jej losów pozostawimy tobie; nie chcemy się mieszać do żadnych rozgrywek pomiędzy Sferami.

— Odeślijcie ją wraz ze mną na Sol — odparł Flint. — Jeśli jej oryginalnym ciałem jest ciało ludzkie, to trafi pod właściwy adres.

Zamilkł i po chwili namysłu zmienił zdanie.

— Albo nie. Odeślijcie ją dzień później. Muszę przeprowadzić dokładne badania. Jeśli kłamie, będziemy już gotowi na jej przyjęcie.

— A jeśli nie jest z waszej Sfery, co się z nią stanie? — zapytał Pan.

Flint wzruszył ramionami.

— Nic. Jeśli nie znajdzie się w naszej Sferze odpowiedni nosiciel, do transferu zapew-

ne w ogóle nie dojdzie. Albo czeka na nią ciało, albo transmisja się nie odbędzie. Jeśli tak, możecie być pewni, że nie jest nam przyjazna.

— Wasza Sfera nie będzie więc mieć zastrzeżeń, jeśli przebadamy tę kobietę? — upewnił się B: :1.

— Nie będzie żadnych zastrzeżeń — odparł Flint, zdając sobie sprawę, jak bardzo sumienne będzie to badanie.

B: :1 zwrócił się do Qiwa.

— Zaznajomiliśmy się ze sprawami o znaczeniu galaktycznym. Wróć teraz na swe stanowisko. Jako karę masz tylko to: jeśli kiedykolwiek usłyszysz coś, co ma związek z tymi sprawami, natychmiast mi donieś.

— Panie — rzekł z ulgą Qiw.

Flint w zadumie pokiwał głową. Na tym więc ma polegać pokuta Nadzorcy: został szpiegiem Panów. A cała sprawa tak została przedstawiona, jakby Niewolnik został mianowany doradcą politycznym. Żadnych tortur, żadnych nawet wymówek! To się nazywa zarządzanie i organizacja.

Po odejściu Niewolnika, B: :1 odezwał się do Flinta:

— Ponieważ wszystko potoczyło się tak nieoczekiwanym torem, a nasze wnioski są tak niepewne, wskazane będzie odejście od naszej poprzedniej polityki niezaangażowania. Przystąpimy do waszej koalicji.

Flintowi opadła szczęka — w czysto ludzkiej reakcji.

— Zmieniliście zdanie, gdy Sol transferowała kolejnego agenta? — Jedna taka wizyta to anomalia. Dwie natomiast sugerują wzór.

Nie istniałby powód do niepokoju, gdyby obie wizyty złożyła nam Sfera Sol. Lecz w sytuacji, jaka zaistniała, bardziej wydaje się prawdopodobne, że jakaś trzecia, zapewne wroga Sfera włączyła się do rozgrywki, być może w celach konkurencyjnych. Nie należy również wykluczać, że pojawią się inne jeszcze Sfery, które szukają kontaktów. A zatem z punktu widzenia naszych interesów my również powinniśmy się włączyć do gry, niejako w kontrakcji, zgłaszając oficjalny akces do współdziałania z waszymi Sferami. Dokładnie przeszukamy nasz rejon przestrzeni w poszukiwaniu Obcych. Nie ma zatem potrzeby, aby jakieś jeszcze Sfery kontaktowały się w tym celu z nami.

A więc jednak sukces! Flint nie miał złudzeń, że to jakieś jego szczególne zalety przyczyniły się do powodzenia misji. Panowie z Kanopusa sami odkryli drogę powetowania sobie strat, a jednocześnie utrzymania w izolacji. Flint błądząc po omacku trafił na tę drogę.

Nie nadaje się do takich rzeczy. Jeśli kiedykolwiek jeszcze zostanie transferowany ze Sfery Sol, niewielkie będą szansę na sukces, a nawet na przeżycie. Co za komedia omyłek! Ale ostatecznie z sytuacji, do której nie dorósł, wyszedł obronną ręką.

Koniec był normalny. Wiedza Cle wystarczyła; technicy, dokonując niewielkich,

lecz istotnych modyfikacji, dostosowali swoje matemitery do potrzeb transferu. Zaprogramowali je na środek Sfery Sol. Cle trzymana pod strażą Niewolnika wyposażonego w nastrojoną kasetę kar, czekała na późniejszy transfer.

Flint wszedł do komory transferowej.

4

Jeziro Marzeń

wiadomość wstępna misja zniszczenia niebezpiecznej istoty o 200 jednostkach zawiodła

— szczegóły? —

wysłany agent o 200 jednostkach kontakt nawiązany dzięki podejrzliwości mieszkańców kanopusa niemożność eliminacji transferowca sol konieczność dostarczenia sferze kanopusa informacji o transferze

— CO?! —

by zgodnie z dyrektywą zataić pochodzenie agenta i rozproszyć wątpliwości uzasadnione przechwycenie przez nas agenta podczas retransferu z kanopusa

— uzasadnione? raczej agent oszołomiony ekwiwalentną aurą stracił imperatyw misji płeć agenta? —

żeńska

— właśnie a celem istota męska natychmiastowa reorientacja agenta by następnym razem obowiązek stawiał przed przyjemnością i ponowne wyznaczenie do akcji w sprzyjającej chwili musimy niestety działać przez osobników o wysokim kirlianie ich lojalność nigdy nie będzie do końca pewna —

POTĘGA

— CYWILIZACJA —

Flint posuwał się ogromnymi skokami nad powierzchnią Luny, ogromnego księżycy planety Ziemia, zostawiając za sobą stację górniczą w kraterze Posejdona. Pojedynczy tłok skoczka pacnął w niegościnną powierzchnię dna krateru, sprężając się jak pogo*, a następnie rozprężył gwałtownie wyrzucając Flinta do przodu szerokim łukiem. Z powodu małej grawitacji Flint ważył tutaj mniej niż normalnie, ale ciężki, starego typu skafander górniczy, który miał na sobie, ważył dwa razy tyle co on sam. W rezultacie jego masa wynosiła dwie trzecie tego co zwykle i potrzebował skoczka, by

* Pogo — podobna do szczudła sprężynowa zabawka z poprzeczką na stopy i uchwyty dla rąk, używana do skakania (przyp. tłum.)

pokonać trasę wystarczająco szybko.

Skierował się na zachód, ku wyrwie w ścianie krateru. Stacja była jeszcze głębiej, w subkraterze w dnie Posejdona, pokrytym kopułą, wewnątrz której panowało normalne ciśnienie atmosferyczne. Jamę tę wydrążyła sama natura; dopiero potem ludzie wykorzystali ją jako dostęp do niezwykle bogatych złóż aluminium, tytanu, magnezu, krzemu i żelaza. Przed trzema wiekami, gdy budowano pierwsze kopalnie na Księżycu, koszt tych przedsięwzięć był olbrzymi, lecz inwestycje zwracały się szybko i wielokrotnie. Kopalnia Posejdona była już prawie wyeksploatowana, jak większość złóż w tym kwadracie — jak w ogóle cała Luna — lecz tak długo, jak malejące zasoby mineralne warte były więcej niż ich eksploatacja, kopalnie funkcjonowały. Główny jednak ciężar zaopatrywania Imperium w kopaliny spoczywał na kopalniach Merkurego — jednej z planet Sol — oraz na ogromnych satelitach planet zewnętrznych, Ganimedesie, Tytanie i Trytonie. Luna pomału odchodziła w zapomnienie.

Straż w kopalni była mało czujna. Pozwoliło to podającemu się za wędrownego górnika Flintowi ukraść skafander i skoczek, dzięki któremu powinien szybciej dotrzeć do miejsca, które sobie wybrał. Zanim Ziemia go tu znajdzie, on zniknie wszystkim z oczu. Powierzchnia Luny była tak upstrzona śladami innych skoczków — z braku atmosfery i zjawisk meteorologicznych każdy odcisnięty ślad pozostawał tu na stałe — że jego ślady zgubią się w plątaninie obcych tropów. A gdy on już wydostanie się poza krater i zniknie z bezpośredniego pola widzenia, żadna pogoń nie będzie mu groźna. Błogosławiona owa postrzępiona krawędź krateru!

Udało się. Średnica krateru liczyła sobie od osiemdziesięciu do stu kilometrów w zależności od miejsca, z którego ją mierzono. Kopalnia leżała daleko od środka, więc Flint miał do przebycia tylko jakieś trzydzieści kilometrów. Dzięki skoczkowi pokonał tę odległość w godzinę. Czasu więc miał dosyć; kolejna zmiana górnicza nie zacznie się wcześniej niż za dwie godziny.

Obrzeże krateru, oglądane z daleka, wyglądało niepozornie i krucho, w rzeczywistości zaś było potężnym łańcuchem górskim o szerokości kilku kilometrów, choć nie zbyt wysokim. Pierścień ów uformował się w wyniku uderzenia olbrzymiego meteorytu przed milionami, a może miliardami lat; impet wypchnął materię w górę tworząc skalisty pierścień. Nie, nie był to wulkan; na Księżycu aktywność wulkaniczna była słaba. Po zachodniej stronie ściana skalna obniżała się i Flint bez trudu przedostał się na zewnątrz po rozległym, skalnym rumowisku. Wprawdzie niszczenie krajobrazu Luny było zabronione przez prawo Sfery, jednak jacyś górnicy za pomocą ładunków wybuchowych przebili drogę ułatwiającą przebycie łańcucha górskiego. Przejście to było zbyt małe, by je wypatrzyć na zdjęciach robionych z Ziemi, więc nie wszczęto żadnego śledztwa w tej sprawie. Stało się to zresztą dawno, jeszcze w czasach rozkwitu górnictwa na Lunie, kiedy to w ciągu kilku godzin wydobywało się metal wartości milionów solariań-

skich dolarów. Górnicy — kobiety i mężczyźni — byli twardymi, prostymi ludźmi, których nawet Imperium, dopóki pracowali, wolało zostawiać w spokoju. Zawód górnika w tamtych czasach, wolny już od dawnej zmory zawałów i pylicy, był ideałem młodzieży. Górnicy byli śmiałymi, zarabiającymi krocie bohaterami, niezmiernie popularnymi wśród tych, co nigdy nie opuszczali swej planety.

Wynurzywszy się ze skalnego pasażu Flint znalazł się na Mare Serenitatis, Morzu Spokoju — rozległej, prawie zupełnie gładkiej równinie skalnej ciągnącej się jakieś sześćset kilometrów. Dawni Solarianie, obserwując przez teleskopy z mglistej, zaciągniętej chmurami Ziemi swój olbrzymi księżyc, owe równiny zakrzepłej lawy (*mare* były tu pochodzenia wulkanicznego!) określali mianem mórz, oceanów, zatok i zgodnie z tym nadawali im nazwy. Owa pomyłka została sprostowana, kiedy człowiek osobiście stanął na powierzchni Luny — może nawet jeszcze wcześniej — lecz intrygujące nazwy pozostały.

— Mam nadzieję, że nie zmoczę sobie nóg — mruknął Flint. Zainstalowane w ska-fandrze radio było naturalnie wyłączone; byłby głupcem, gdyby włączywszy je ułatwił pościg za sobą.

Nóg nie zmoczył, natomiast pneumatyczna noga skoczka wzbijała w górę tumany pyłu, który natychmiast opadał ponownie na ziemię. W środowisku pozbawionym powietrza najłżejsze nawet substancje natychmiast opadają na podłoże. Przy każdym wyskoku skoczka mógł wyrzucić poza Masyw Wężowej Fałdy, ramienia skalnego, które wyrastało z pierścienia Posejdona. Gdyby był w stanie wzbić się jeszcze wyżej, dostrzegłby przeciwległą krawędź Morza Spokoju oraz przesmyk prowadzący do jeszcze rozleglejszego *Mare Imbrium*, Morza Deszczów. Wówczas na linii jego wzroku znalazłby się jeden z kraterów tego morza, zapewne krater Archimedes. Flint, który z uwagą niegdyś studiował mapę Luny, miał ją teraz cały czas przed oczyma — widziałby zatem po północnej stronie rozległy masyw Kaukazu, a na południu Apeniny. Góry na Ziemi wzięły swe nazwy od gór na Lunie — a może zresztą odwrotnie. Dalej powinny znajdować się jeszcze trzy inne kratery, lecz nimi sobie Flint nie zaprzętał głowy. I tak z powodu silnej krzywizny powierzchni Luny byłyby one niewidoczne, a ponadto wcale nie zamierzał do nich dotrzeć.

Przesuwając nieco środek ciężkości ciała Flinta skrzywił skoczkiem na północ. Posuwał się wzdłuż krateru Posejdona, którego dno zasłonięte było otaczającym go pierścieniem skalnym. Przed nim rozciągało się *Lacus Somniorum*, Jezioro Marzeń. Pierwotnemu człowiekowi, jakim był Flint, przemawiała do wyobraźni taka obrazowość nazw. On marzył — o ucieczce, o wolności, wreszcie o powrocie na Najdalszą do ukochanej, zielonoskórej Honeybloom. Pnottl ze Sfery Knyfth z wnętrza galaktyki zmusił go do podjęcia trudnej i niebezpiecznej misji. Rzeczywistość Sfery Kanopusa była jednak inna od tej, jaką sobie wyobrażał. Nie spotkał tam istot o wysokim Kirlianie, był torturowany i cu-

dem tylko uniknął śmierci. Jedyna istota wysokiego Kirliana, jaką tam napotkał, okazała się jeszcze jednym transferowcem. Flint nie nadawał się do takich zadań; zaspokoił już swój głód przygód. Nawet nie potrafił wypełnić misji; dopiero dziewczyna wydostała go z pułapki. Niech ona zatem ruszy z kolejnym poselstwem! Impy nie będą go długo szukać. Wiedzą, że zapas powietrza w skafandrze wystarczy mu zaledwie na dzień, więc będą przekonani, że zginął. Śmierć zatem była jedynym wyjściem dla niego.

Ale Flint samobójcą nie był. Miał konkretny cel, odległy zaledwie o pięćset kilometrów na północ. Krater Burg — gdzie mieściła się opuszczona kopalnia z pozostawionymi w niej zapasami tlenu, wody i żywności. Był to jeden z kilkunastu kraterów w okolicy, i zanim Impy sprawdzą je wszystkie — jeśli w ogóle mają taki zamiar — to jego już tam dawno nie będzie. Niewielkie mają szansę wytropić go i schwytać.

Odległość była spora; jej przebycie, nawet skoczkiem, zajmie co najmniej piętnaście godzin. Miejsce, do którego zmierzał, wybrał blisko punktu — nie za blisko — w którym kończyć się będzie zapas powietrza w skafandrze. To powinno jeszcze bardziej utrudnić pościg. Lecz księżycowe widoki straciły już swe atrakcje. Sunął mozolnie ponurą, ciągnącą się w nieskończoność równiną, zamknięty w ciasnej ciszy skafandra.

Przypominał sobie coraz więcej rzeczy, o których mówił Szaman. Traktował je jako historyjki opowiadane dla rozrywki lub doraźnej przyczyny, jak na przykład polowanie na dinozaury. Dopiero teraz zrozumiał ich właściwe znaczenie.

Przed epoką matermisji przeludniona Ziemia zaczęła odczuwać rozpaczliwy głód surowców i przestrzeni życiowej. Kolonizacja za pomocą statków wielopokoleniowych nie spełniła pokładanych w niej nadziei i była zbyt kosztowna. Próbowano zatem kolonizować okolice Ziemi. Pierwsi osadnicy trafili na Lunę, a niezbędne surowce potrzebne do zagospodarowania czerpali już z zasobów miejscowych. Eksploatowano nie tylko Lunę i planety, lecz również sam Kosmos, wyciągając zeń wszystko, co tylko w nim było: skalne i lodowe meteory, planetoidy. Dużo łatwiej i taniej przychodziło czerpać z tego co znajdowało się pod ręką, niż dowozić z Ziemi, przewyciężając potężną grawitację planety. Wiele z tych wolno krążących w Kosmosie odłamów skalnych dzięki swym rozmiarom umożliwiło z czasem założenie na nich kolonii.

Wewnątrz szczelnych kopuł wypełnionych powietrzem powstawały rozległe ogrody, a wirowy ruch powodował w nich normalny dobowy cykl. Rotacja ta dzięki sile odśrodkowej zapewniała też normalną grawitację. Kiedy Szaman wyjaśniał Flintowi zjawisko grawitacji, ten nic z tego nie pojmował. Dopiero później lot promem kursującego między Ziemią a Luną sprawił, że kwestię tę rozumiał nazbyt dobrze, dzięki “chorobie wirowej”. Rotacja w niewielkim pojeździe zapewniała wprawdzie normalną wagę ciała, lecz głowa będąca bliżej środka niż stopy była lżejsza niż dolne partie ciała. Ciało na takie zachwianie równowagi reagowało paskudnym samopoczuciem. Flint, który nigdy w życiu nie chorował, przeżył to okropnie. Praktyczną wiedzę o grawitacji i siłach od-

środkowych zdobył zatem w sposób nader dotkliwy. Wiedzieć, a rozumieć to dwie różne rzeczy! A Flint wiedział dużo, lecz pojmował niewiele. Na promie zrozumiał wiele, ale czuł to we wnętrzościach.

Ministrowie Imperialnej Ziemi przeliczyli się zakładając, że jest bardziej naiwny niż w rzeczywistości. Mimo swej wiedzy mylili się sądząc, że niewiedza jest synonimem głupoty (nikt nie jest wolny od dychotomii wiedzy-zrozumienia!). Nafaszerowali go wiedzą o najbardziej rozwiniętych technikach galaktycznych — o matermisji i transferze — pokładając nadzieje w jego fenomenalnej pamięci eidetycznej. Recytował najdłuższe teksty i zestawy formuł, których znaczenia nie pojmował. Nauczyli go czytać — tyle, by wszystko doń docierało. A w rozmowach był jak wysoko wykształcony nieuk. Nauczono go najprzeróżniejszych technik walki i sposobów wychodzenia cało z opresji... Nie przewidzieli jednego: że tę praktyczną wiedzę on obróci kiedyś przeciw nim. Ucieczka od Ministra Obcych Sfer, zakupienie na czarnym rynku paszportu turystycznego, zamiana miejsc z niezadowolonym górnikiem przebywającym na urlopie i dotarcie do kopalni Posejdona były już dla Flinta dziecinną igraszką.

Jeden transfer wystarczył w zupełności; teraz zamierza wrócić do domu, do Honeybloom. Jedyne wzniesienia i depresje, które pragnie odtąd studiować, leżą na mapie jej ciała. Musi tylko wynaleźć sposób, by go matermitowano z powrotem.

Wymagało to niezłego namysłu. Skok z Ziemi na Najdalszą kosztował dwa biliony dolarów. Tutaj, na Księżycu, będzie miał dużo czasu, by się dobrze zastanowić. Z pewnością istnieje jakiś sposób dostępny dla sprytnego człowieka pierwotnego...

Jałowy krajobraz ciągnął się w nieskończoność. Zalegał lekki półmrok i skoczek z Flintem rzucał ostry, długi cień wskazujący wschodnią stronę. Cień umykał w dal, gdy skoczek wzbijał się w górę; gdy lądował, cień jakby wybiegał mu na spotkanie. Za każdym razem z trudem nadażał na pacnięcie skoczka o grunt. Czy mógłby się pomylić i nie zdążyć? Flint uśmiechnął się niedowierzająco. Nie sądził, by mogło się to zdarzyć — ale nic nie jest doskonałe!

Już dobrze oddalił się na północ od Krateru Posejdona i był na Jeziorze Marzeń. Trzysta kilometrów na wschód krzywizna powierzchni Księżyca skrywała w mroku inne kratery. Posuwał się na północ w stronę niewielkiego Krateru Daniela i biegnącego doń równolegle Krateru Grove. Ale mógł je widzieć tylko w chwili apogeum wysokości; horyzont znajdował się tu o tyle bliżej niż na Najdalszej, na Ziemi czy niewolniczej planecie Kanopusa; Luna istotnie była bardzo malutka. Z drugiej jednak strony brak atmosfery niezwykle wyostrzał perspektywę. Lecz Flint umysłem potrafił “widzieć” nie gorzej niż swymi bystrymi oczyma. Jego fotograficzna pamięć, połączona z doskonałym wzrokiem, niezwykle wzmacniała ogólną percepcję. Podobnie jak aura Kirliana potęgowała percepcję życia.

Wędrował godzina za godziną. Jako myśliwy z paleolitu mógł pokonywać ogromne

przestrzenie — lecz nigdy dotychczas takich odległości nie skakał. Maszyna amortyzowała wprawdzie uderzenia o grunt, lecz mechanizm równowagi ciała Flinta zaczynał się męczyć. Flint zbliżał się już do ledwie widocznych depresji Plana i Mason — zapewne starych, zwietrzałych kraterów; choć co tu właściwie mogło powodować zwietrzienie! Na mapie leżały obok siebie i z małymi pagórkami w swoich centrach przypominały do złudzenia kobiece piersi z sutkami — lecz teraz wyglądało to zupełnie inaczej. Flint sunął nierówną, pofałdowaną powierzchnią Jeziora Marzeń i nawet te dwa bliźniacze kręgi nie potrafiły zwrócić jego myśli ku rozkoszynom wizjom Najdalszej i Honeybloom. Zmęczenie brało górę nad miłymi wspomnieniami.

Nieoczekiwanie skoczek wykonał rozpaczliwy, przerwany w połowie skok, opadł na ziemię i znieruchomiał. Skończyła się energia.

Flint znajdował się właśnie w Kraterze Piana, świadom swego przykrego położenia. Każdy skoczek wprawdzie przed użyciem ładowano do pełna, lecz były to urządzenia stare i zużyte, dalekie od pełnej wydajności. Ten skoczek przebył już blisko czterysta kilometrów, i gdyby Flint poruszał się w linii prostej od stacji na północ, energii wystarczyłoby w zupełności. Musiał jednak sporo nadłożyć, by wydostać się z Posejdona, a ponadto często zbaczać z drogi, wymijając większe przeszkody i nierówności terenu. Tak więc do celu pozostało mu jeszcze jakieś sto kilometrów.

Resztę drogi zatem przebyć musi pieszo. Nie ma innego wyjścia. Przynajmniej będzie teraz używać innych mięśni.

Posuwał się żwawo do przodu ogromnymi susami, z szybkością dziesięciu-piętnastu kilometrów na godzinę. Był lekki, mimo skafandra, i silny, lecz rękawy i nogawki kombinezonu nie były przystosowane do tego typu ruchów. Materiał był mało elastyczny i przy każdym ruchu drażnił ciało.

Po kolejnej godzinie przebył krater Polana i znalazł się na ogromnej płaszczyźnie Lacus Mortis, Jeziora Śmierci. W jej właśnie środku znajdował się cel wędrowki: Burg, mały krater w porównaniu z sąsiednimi — Herkulesem i Atlasem na wschodzie oraz Arystotelesem i Eudoksusem na zachodzie. Och, miał w głowie całą, jakże plastyczną mapę, cudownie jasną i klarowną, jakby oświetloną zachodzącym z wolna słońcem. Jeszcze dalej na północ rozciągał się długi i rozległy płaskowyż *Mare Frigoris*, Morza Chłódów. Wszystko sprowadzało się do tego, by przedostać się z jednego punktu mapy na drugi. Tak łatwo wiedzieć, tak trudno wykonać!

W miarę ubywania drogi rosło zmęczenie, malała prędkość. Łokcie i kolana krwawiły od nieustannego tarcia o sztywne złącza kombinezonu. Powietrze było coraz gorsze — choć teoretycznie powinien mieć kilkugodzinną rezerwę; chyba że podobnie jak skoczek, skafander też nie był w pełni sprawny. Uszkodzony skafander — tego mu jeszcze brakowało!

Jakież to dziwne; na terenach o miłych nazwach — Morze Spokoju, Jezioro Marzeń

— wszystko szło jak z płatka. Gdy tylko trafił na Jezioro Śmierci, marzenia zmieniły się w koszmar. Cóż zatem przytrafić by się mogło, gdyby trafił bardziej na wschód, na Morze Kryzysów, lub na zachód, na Ocean Burz? Lepiej na południe, na Morze Cisy lub Morze Nektaru!

Ale samym powtarzaniem słodkich nazw nie odmieni ponurej rzeczywistości. Nie miał już cienia wątpliwości; powietrze prawie się skończyło, a on, od miejsca, gdzie zostawił skoczka, nie przebył nawet połowy dystansu. Nawet nie mógł jeszcze dojrzeć Krateru Burg. Podejrzenia Impów co do jego śmierci mogą się nieoczekiwanie sprawdzić.

Ale czy to takie złe? Lepiej umrzeć, niż być niewolnikiem! Tak powiedział ktoś w dawnych czasach w Sferze Sol. Być może nadzieje, które pokładał w ucieczce, były tak samo iluzoryczne jak owe miłe księżycowe nazwy. Bo rzeczywistość jest tylko ta ciemniejąca, pozbawiona powietrza próżnia.

Upadł. Szybka hełmu zanurzyła się w grząskim, księżycowym pyłe, lecz pasy przytrzymujące mu głowę nie pozwoliły, by rozbił sobie nos o szkło. Nie była to pozycja niewygodna. Leżał plackiem na ziemi i odpoczywał — lecz mimo to dyszał. Powietrze było już prawie niezdatne do oddychania. Nie miał nawet sił się podnieść; cała jego energia życiowa została wyczerpana, tak jak miała być wyczerpana energia galaktyki przez mieszkańców Andromedy. W jakimś punkcie utrata energii pochodzącej z wzajemnego oddziaływania na siebie jąder atomowych powoduje zanik ich spistości — i materia, taka jaką zna ta galaktyka, przestaje istnieć.

Ci Ministrowie Imperialnej Ziemi nie byli jeszcze tacy najgorsi. Starali się po prostu wykonywać swoją pracę. Choć nie zachwycała ich perspektywa współpracy z barbarzyńcą z epoki kamiennej, no cóż — musieli to robić i robili. A Panowie z Kanopusa, choć wyzyskiwacze i poganiacze niewolników, też zachowali się rozsądnie. Zaniechali prowadzonej od zarania swych dziejów polityki izolacji, by ratować wspólną galaktykę. Porzucili natychmiast swe marzenia o całkowitym odosobnieniu.

A kobieta, która dotarła jego tropem do Kanopusa — kim była? Minister Obcych Sfer zaklinał się, że nie wysłał żadnego agenta i tę część raportu Flinta przyjął z największym zdumieniem. Flint jednak wiedział, że Sol dysponuje kobietą o aurze bliskiej stu jednostkom i że wysłana została z jakąś misją. Zatem Ministrowie ukrywają coś przed nim, a to się Flintowi bardzo nie podobało. Szkoda, że nigdy więcej już jej nie spotkał i nie poznał prawdy. Czyżby w jakiś sposób sama się transferowała, przeczuwając jego intencje? A jeszcze przedtem próbowała go zabić! Musi zatem pochodzić z jakiejś nieznannej, wrogiej Sfery. Co więcej, posiadała aurę taką jak on; należała do jego gatunku...

A już niedługo ten gatunek zmniejszy się o jednego osobnika; Flint był coraz słabszy, jak chory człowiek. Nie choroba wirowa, lecz porażenie księżycowe.

— Do diabła! — mruknął. — Przecież nie mogę umrzeć tutaj w ten sposób. Zdychać w smrodzie! Jeśli już umierać, to szybko, elegancko, od uczciwego pchnięcia włócznią. Ci przekłęci Andromedanie...

Włączył radio w skafandrze.

— Dobrze... koniec wakacji... przyjeżdżajcie i zabierzcie mnie stąd — powiedział wyraźnie do mikrofonu i zemdlął.

5.

Kłos Pszenicy

wiadomość transfer kirliana sfera sol do sfery spika 200 jednostek

— na to czekamy wysłać ponownie agentkę —

POTĘGA

— CYWILIZACJA —

Jak poprzednio, przeskok był natychmiastowy i bezbolesny. Flint stwierdził, że wciąż w płuca wodę, lecz wcale się przy tym nie krztusił. Był w morzu, wypychał strumień cieczy skrzelami umiejscowionymi w okolicy ramion — z tym, że nie miał żadnych ramion.

W porządku. Jego transferowana osobowość zawsze dotąd okazywała się generalnie ludzka. Zawsze, to znaczy dotąd raptem dwa razy. Człowiek nurkujący w akwalungu nie musiał się zresztą zbyt długo przyzwyczajać. Flint wiedział przecież, co tutaj za stanie: Ministerstwo zdając sobie sprawę, że Imperialna Planeta Sfery Spika reprezentuje cywilizację podwodną, polecili, by Flint, tak na wszelki wypadek, nauczył się nurkowania. Dla człowieka, który dopiero na Ziemi ujrzał po raz pierwszy w życiu ocean, było to wielkim przeżyciem.

Zgiął ręce i nogi; odkrył, że zamieniły się w płetwy. Doskonałe do pływania, ale nieprzydatne do manipulacji przedmiotami. Jednak owe płetwy były zakończone palcami. Człowiek w głębinowym skafandrze; tak, to dobre porównanie.

— Bopek wrócił do siebie! — rozległ się w pobliżu jakiś głos. W środowisku wodnym brzmiał niezwykle wyraźnie; woda doskonale przewodziła dźwięki.

— Płyn, Bopek! — naglił inny głos. — Twój organizm musi zupełnie się odnowić.

Flint płynął. Potężne ramiona-płetwy i nogi młóciły wodę, popychając go gładko do przodu. Świeża woda przechodziła przez organizm regenerując go, dodając sił. Było to bardzo zgrabne ciało w przyjaznym środowisku. A jednak Flint odczuwał jakiś ból. Odwrócił oczy, kierując wzrok w stronę dolegającego miejsca. Przyszło mu to niespodziewanie łatwo — jego oczy bowiem znajdowały się na giętkich i elastycznych szypułkach, które umożliwiały spoglądanie we wszystkich kierunkach.

Ciało miał bulwiaste jak balon i cokolwiek mgławicowe — jakby nie posiadało skóry i ostatecznie sformowanych kształtów. W swej tylnej części zwężało się przechodząc w pieniste zakończenie. Nabierał ustami wodę, przepompowywał ją przez cały organizm i wypuszczał w postaci drobnych banieczek. Był to jego układ oddechowy, pokarmowy i wydalniczy. Wydawał się najprostszy, najskuteczniejszy i najwygodniejszy — dopóki woda była świeża. Zresztą człowiek w akwalungu czy skafandrze próżniowym na Księżycu też umiera, jeżeli jego środowisko nie zostanie odświeżone...

Rzecz jasna, ludzie na Ziemi podobnie oddychają wspólnym powietrzem, wydalając na zewnątrz nie przyjęte przez organizm resztki. Rośliny i bakterie odświeżają bez przerwy środowisko — tak samo jak się to dzieje tutaj, w wodzie. Był to wspaniały system, bez porównania lepszy niż ograniczający skafander.

Ale część jego ciała była zgnieciona, a piana miała nienaturalny wygląd i barwę. Rozległa powierzchnia jego ciała ucierpiała, pozbawiona odżywczego przepływu. Woda morska była niczym krew: gdy przestaje płynąć arteriami, tkanka obumiera. Jeżeli rana jest zbyt rozległa, regeneracja staje się niemożliwa.

Ciało było tak poważnie uszkodzone, że utraciło całą swą aurę Kirliana: zgąsło duchowo. Lecz potężna emanacja Flinta animowała je, przywracała do życia. To co było zabójcze dla aury o intensywności jeden, niewiele znaczyło dla aury dwustukrotnie silniejszej.

Posiadał zatem i ciało i osobowość. Lecz doświadczenia transferowca wyniesione ze Sfery niewolniczej nie pozwalały mu ujawnić się zbyt pochopnie. Najpierw powinien poznać naturę społeczeństwa i miejsca, w które trafił. I dopiero wtedy przystąpić do kontaktu — prosto, we właściwy sposób, bez groźnych nieporozumień.

Zwiad rozpoczął od penetracji nowego umysłu. Jego zawartość nie była wprawdzie od razu w pełni zrozumiała, lecz tym się nie przejmował. Obcy umysł musiał być przydatny, bo taka jest już natura transferu.

Chociaż Flint znał na pamięć całą symbolikę transferu, samo zrozumienie mechanizmu pozostawało mgliste. Transfer był natychmiastowy, jak maternisja. Transferowany obiekt mógł być “przepromieniowany” w określone miejsce, zazwyczaj na jakąś planetę w obrębie Sfery, ale nie wymagał żadnej stacji odbiorczej. Musiał tylko istnieć tam jakiś nosiciel, w którego przybywająca aura Kirliana mogła się wcielić. Nie istniało niebezpieczeństwo nie znalezienia takiego nosiciela lub połączenia się z nieodpowiednim ciałem; jeśli w docelowym rejonie nie było odpowiedniego umysłu, aura po prostu wracała, reanimując swoje przyrodzone ciało. Były też inne warunki, jakim odpowiadać musiało ciało nosicielskie; przede wszystkim musiało ono należeć do istoty tak samo rozumnej i tej samej płci co transferowiec. Dlaczego tak się działo, nie było całkiem jasne; tego nie wiedzieli nawet solariańscy technologowie. Ale transfer działał, i to się liczyło.

Flint zatem wiedział, że ma do dyspozycji ciało istoty rozumnej płci męskiej, lecz po-

dobnie jak poprzednio musi dokładnie poznać budowę i możliwości fizyczne tego nowego ciała, jak również uporządkować natłok bezładnych wspomnień; znajomość języka posiadał bowiem automatycznie. Płynął więc jakiś czas, aż zebrał wszystko w uporządkowaną całość. Swój umysł i ciało pobudzał wzmożonym przepływem wody.

Nazywał się Bopek, Uderzacz. Był kurierem. Rasa zamieszkująca Spikę dzieliła się na trzy rodzaje istot rozumnych, wszystkie podwodne: Uderzaczy, Falowców i Sykaczy, a tutaj była strefa Uderzaczy. Jako kurier musiał przeprowadzać Falowców ze strefy Falowej — poprzez Korytarz Neutralny — do enklawy Falowców.

Czy miało to jakiś sens? Flint wyobraził sobie świat pływających psów, kotów i myszy, trzech gatunków zwierząt, które pomogły człowiekowi w kolonizacji Najdalszej. Flint był zatem psem wiodącym kota poprzez siedlisko myszy do enklawy kotów. Nie dosłownie: po prostu wskazywał drogę. Było rzeczą niesłychanie istotną — płatanina sygnałów ostrzegawczych napłynęła z pamięci i doświadczeń jego nosiciela — by trzymać te trzy gatunki w całkowitej separacji, za wyjątkiem specjalnych okazji. Dwa rodzaje mogły swobodnie ze sobą przebywać, bez względu na ilość osobników, ale nigdy wszystkie trzy na raz. Najwidoczniej koty pożerają myszy tylko w obecności psów, a psy gonią koty, gdy myszy patrzą.

Aktualnie w strefie Uderzaczy (psy) realizowano ogromne przedsięwzięcie budowlane, wymagające ścisłej współpracy z Sykaczami (myszy). Sykacze zatem musieli mieć czasowo dostęp do tej stref. Część planu jednak wymagała kooperacji z Falowcami (koty). Ponieważ ci nie mogli wejść do strefy mieszanej, zakreślony został specjalny kanał kurierski, którym poruszały się tylko dwa gatunki na raz. A ponieważ strefę Uderzaczy znali w dostateczny sposób tylko rdzenni mieszkańcy, służyli oni za przewodników pozostałym gatunkom.

Tak, to już zaczynało być jasne; owa garść informacji o systemie Spiki na razie w zupełności Flintowi wystarczała. Jego ciało nosicielskie eskortowało Falowca, unikając spotkania z Sykaczami. Musiał jednak popełnić jakiś błąd lub podążyć w niewłaściwym kierunku; dość, że wprowadził go na tereny właśnie wyburzane i część ogromnej konstrukcji, runęła, przygniatając ich oboje. W środowisku wodnym naturalnie sam przebieg katastrofy jest dużo dłuższy niż w powietrzu i pływające istoty mogą szybko umknąć z zagrożonego miejsca, toteż poszkodowani uniknęli zupełnej zagłady, lecz wstrząs i rozmiary katastrofy były zbyt duże. Aury Kirliana rozproszyły się, pozostawiając ciała żywe, lecz pozbawione dusz. Transferowana z Sol aura Flinta ożywiła natychmiast puste ciało Uderzacza, podczas gdy Falowiec...

Co się z nim stało? Był wyjątkowo okazałym przedstawicielem swego rodzaju, istną kocią królową, tygrysią.

Popłynął z powrotem, by się dowiedzieć.

Towarzyszący mu Uderzacze rozszerzyli Korytarz Neutralny w czasową enklawę

Falowców. Llyana Falowiec pozostawała nieprzytomna i żadnymi sposobami nie potrafili przywrócić jej życia; samo jej ciało wszakże żyło.

Nie miał żadnych wątpliwości. Podobnie jak jego nosiciel, pozbawiona została swej duszy Kirliana. Ale żaden Obcy nie czekał, aby animować jej opróżnione ciało. Była całkowicie martwa.

Jaka szkoda. Była to utrata naprawdę wspaniałego osobnika. Patrząc na nią Flint/Bopek wygrzebał z pamięci informację o kryteriach urody gatunku Falowców i odkrył ze zdumieniem, że Llyana pośród nich zajmowała tę samą pozycję co Honeybloom pośród kobiet. Podobnie jak on sama miała szypułki oczne i mgławicowy zarys ciała, lecz pozbawiona była mocnych płetw. Jej masa była też zbliżona do jego, choć reszta ciała miała inne proporcje; było ono długie i kręte. Poruszała się trochę jak ryba, a trochę jak wąż, wijąc się i falując całym ciałem. Ponadto kiedy on i pozostali Uderzacze poruszali się w pozycji horyzontalnej, trochę jak pływające żółwie w ziemskim morzu, Llyana przybierała postawę pionową, mając ciało spłaszczone po bokach jak większość ryb. Jedni z Falowców byli zbyt długie i ciency, inni z kolei zbyt pękaci; Llyana była w sam raz.

Flint zachichotał w duchu na samą myśl, że nie tak dawno jeszcze byłby przerażony samą kontemplacją podobnego stworzenia, a już wszelkie rozważania na temat wdzięcznych ruchów ślicznej przedstawicielki rodzaju Falowców potraktowałby jak najbardziej ponury żart. Zadziwiające, jak sama tylko zmiana ciała i mózgu potrafiła odmienić kryteria estetyczne.

Llyana też miała uszkodzoną tkankę. Ratujący ją Uderzacze wlewali jej do ust wodę tworząc płetwami odpowiednio silny strumień, starając się w ten sposób sztucznie podtrzymać przy życiu Falowca. Zakładali — z ich punktu widzenia całkiem słusznie — że skoro Uderzacz ozdrowiał, ona również powinna. Nie zdawali sobie sprawy, że Bopek wcale nie przyszedł do siebie, lecz został animowany przez obcego ducha. Przez Flinta.

Pojawił się zespół medyczny.

— Sprowadźcie ją Korytarzem Neutralnym do enklawy Falowców — polecił przewodzący im Uderzacz.

Mówił, jak wszystkie tu istoty rozumne, wibrując wewnętrzną płetwą o żebra; głos wydobywał się z ust, lecz nie miał nic wspólnego z oddychaniem.

— A ty do lecznicy Uderzaczy — rzekł do Flinta. — Wprawdzie się poruszasz, lecz doznałeś podobnych obrażeń. Musimy być pewni, że jesteś zdatny do dalszej służby.

Nikt nie dyskutuje z przełożonym. Flint skierował się posłusznie tam, gdzie podpowiedziała mu pamięć, i trafił do lecznicy. Była to na wpół unosząca się w wodzie budowla zakotwiczona w głębinie na mocnej, plecionej wstędze. Plecionka ta stanowiła symbol trzech rozumnych gatunków Spiki: Uderzaczy, Falowców i Sykaczy. Podpłynął do sekcji ostrego dyżuru, gdzie medycy nałożyli mu na rany maść gojącą. Poczuł na-

tychmiastową ulgę; nie zdawał sobie sprawy, jak mocno naprawdę był poraniony.

— Nie wolno ci się na razie przemęczać — ostrzegł medyk. — To doskonały środek, ale u niektórych pacjentów wywołuje niewielkie oszołomienie. Musisz odpocząć przez cykl czy dwa.

— Dzięki — odparł Flint i odpłynął.

Czuł się nie tylko lepiej; czuł się doskonale. Pomknął w rozkosznie chłodną wodę. Obrócił swe ciało i sunął ślizgowym ruchem, z szypułkami ocznymi skierowanymi do dołu. Nie zwracał dotąd uwagi na otaczającą go scenerię, lecz teraz mógł już rozluźnić się i podziwiać jej piękno.

Było tu wiele źródeł światła. Większość pochodziła od planktonu, maleńkich stworzeń, które odżywiając się mniejszymi jeszcze organizmami wodnymi, same z kolei były pożerane przez większe stworzenia, w tym też przez rozumne. Kolor planktonu zależał od jego gatunku; stworzenie, którego organizm potrzebował akurat jakiegoś szczególnego składnika pożywienia, znajdowało ów składnik kierując się właśnie kolorem. Pożywanie się było zatem uczcą zarówno dla smaku, jak i dla oka. Flint, niepomny ostrzeżeń medyka, na każdy gatunek planktonu spoglądał łakomym okiem.

Popłynął w głąb. Większość gatunków ryb ziemskich posiada pęcherze wypełnione powietrzem, które zapewniają im pływność, ale i uniemożliwiają zarazem szybkie zmiany głębokości. Jego obecne ciało było lepsze; mógł je dowolnie kurczyć lub rozszerzać do pożądanego rozmiaru, w związku z czym był w stanie bez wysiłku i przykrych skutków nurkować głęboko i szybko wracać na powierzchnię wody. Gdy zbliżył się do dna morza, ujrzał tam zwierzęta zakotwiczone do morskiego dna. Unosiły się podrygując lekko w prądach wodnych, a ich długie i giętkie opony sięgały dna. Stworzenia te posiadały grzebienie o zawitym wzorze oraz sieć rurek, przez które precedzały wodę. Były bajecznie kolorowe. Kwiaty morza. Niektóre z nich wydawały przyjemny dźwięk, którym wabiły morskie owady, co siadały na ich barwnych grzebieniach i zapylały je. Były to wszakże prymitywne formy życia; wszelkie bardziej rozwinięte stworzenia były niezmiennie trój płciowe.

Flint dryfował swobodnie w górę delektując się wciąż nowymi wrażeniami. Nigdy by nawet nie przypuścił, że życie pod wodą może być tak błogie. Ujrzał pozbawiony barwy pas oznaczający koniec strefy Uderzaczy. Stworzenia niższego szczebla mogły swobodnie przekraczać granicę, lecz on zdawał sobie sprawę, że powinien natychmiast zawrócić. Górę wziął jednak duch odkrywcy! Poza tym jest kurierem, a zatem wolno mu przekraczać bariery, prawda?

Znalazł się w strefie Sykaczy. Ala frajda! Emocja oglądania obcego terytorium zwiększała jeszcze jego zachwyty. Mógłby tak krążyć bez końca!

I nagle ujrzał przed sobą coś wyjątkowego. Była to para istot: Falowiec z Sykaczem. Naturalnie, Falowce pracowały obecnie w strefie Sykaczy, podobnie jak Sykacze w stre-

fie Uderzaczy. Tak długo, jak trzech przedstawiciele tych trzech gatunków nie zejdą się w jednym miejscu, nie ma żadnych problemów.

Dlaczego więc odczuwa takie wzrastające, tajemne, prawie obsceniczne podniecenie?

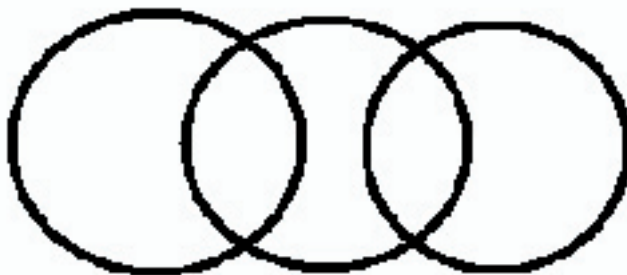
Sykacz również posiadał mgławicowy korpus i oczy na szypułkach, ale brakowało mu obu płetw i pionowego spłaszczenia. Przemieszczał się za pomocą odrzutu wody z głównego przewodu swego ciała. Towarzyszył temu lekki szmer, od którego rodzaj ów brał nazwę. Stworzenie to potrafiło rozwijać ogromne prędkości; posiadało zwłaszcza zdolność błyskawicznego startu.

Lecz nie to w tej chwili interesowało Flinta. Od razu gdy dojrzał parę stworzeń, w nim samym zaszła jakaś zmiana. Poczuł jakiś zdrożny, ale potężny przymus, który kazał mu wyrwać do przodu, prosto na tamtych. Żeby tylko nie spostrzegli się w porę!

Udało się. Zanim pojęli, co się święci, było już za późno. Zderzył się z nimi.

Było to niezwykle delikatne uderzenie. Jego ciało nie odepchnęło ich ciał; jedynie pokryło się z nimi. Część jego ciała przecięła się z Sykaczem, a część przeniknęła przez Falowca. Ich masa była tak rozrzedzona, że dopiero w miejscu połączenia powstało ciało stałe.

Y*jr Ów stan częściowego przeniknięcia był wysoce ekscytujący i zniewalający. Trzymał teraz w mocnym uścisku każdą z obu istot; nie płetwami, lecz masą swego ciała. Schematycznie wyglądało to tak, z Flintem w środku:



Zebrał siły i dźwignął się w górę. Gdy jego ciało wygięło się na brzegach, środek się rozdzielił i w wyniku tego obie istoty zostały przyciągnięte bliżej siebie. Wówczas wygiął się na zewnątrz, wciągając w siebie jeszcze więcej ich masy, powiększając tym samym powierzchnię krycia, doświadczając przy tym nieprawdopodobnej rozkoszy.

Szeregiem drgań sprawił, iż ciała Sykacza i Falowca zetknęły się ze sobą — wewnątrz jego własnego ciała. Teraz już i oni się przyłączyli, sprawiając, iż pulsowanie stało się jeszcze potężniejsze; było już zwykłą koniecznością. Flint ponownie zebrał siły i wzmocnił uścisk.

Potężnym skurczem wciągnął obie istoty w swoją masę, a potem w ich ciała nawzajem. Ów proces był bolesny, a zarazem niesłychanie ekstatyczny. Prawdę mówiąc było to szczytowanie.

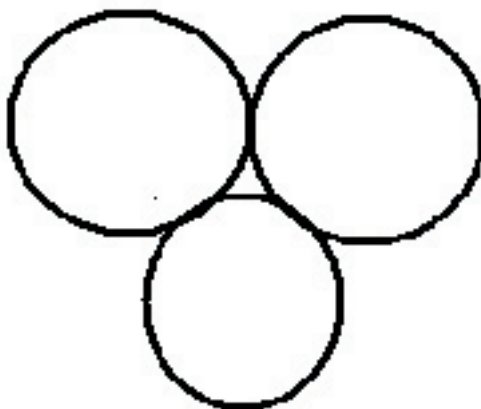
Orgazm...

Pierwszy transfer ustalił Flintowi wzór. Wiedział, że znajduje się w obcym ciele, ale nie zapominał, iż jest człowiekiem; i tak być powinno. Ciągłe myślał o sobie jak o człowieku. Wszelkie obce doznania przekładał na ludzkie odpowiedniki z taką łatwością, że już po paru chwilach robił to bezwiednie. Intelktualnie, postrzegał wszelkie szczegóły i porównywał z doznaniem swych innych ucieleśnień, ale było to tak, jak człowiek porównuje ze sobą różne światy. Wszystko z nich mogło ulegać zmianie, lecz on fundamentalnie pozostawał człowiekiem. Tak samo tutaj, w świecie Spiki; choć zaadaptował się do nowej, wodnej postaci — to mimo wszystko pozostał pływającym mężczyzną. A Falowiec, którego eskortował — pływającą kobietą. Słowem, jak to określił w myślach, system psiokociomysi. Może inny, ale wciąż zrozumiały.

W obecnej chwili jednak doznawał czegoś, co wykraczało poza ramy jego poprzednich doświadczeń. Nie dawało się to już w żaden sposób przełożyć na pojęcia ludzkie czy zwierzęce.

Był to seks — trójpłciowy.

Jego ciało, pobudzone instynktem, kontynuowało swój heroiczny wysiłek zmierzający do zupełnego scalenia się trzech mas. Nie, nie do zupełnego; każda z istot zachowywała część ciała, która się nie pokrywała, z pozostałymi, dwie części pokrywające się, oraz najmniejszy fragment, pokryty podwójnie.



Własna, nie pokryta część była płynna, prawie gazowa w swym rozrzedzeniu; pojedynczo przenikające się części były kleiste, a fragment pokryty podwójnie miał konsystencję stałą.

Trzy istoty przenikały się wzajemnie — lecz nie tak, jak mężczyzna wnika w kobietę. Nawet nie jak trio — dwaj mężczyźni i kobieta. Oni współwnikali w siebie.

Flint nie potrafił tego porównać z żadnym ludzkim aktem. Było to absolutnie obce. Nie tyle perwersyjne, co niepojęte.

Wymykało się wszelkim próbom ujęcia w kategoriach racjonalnych. Flint nie potrafił już dłużej myśleć o sobie jako o przybyszu z Sol; pograżył się bez reszty w obcym po-

rzędu rzeczy.

Utracił zdrowy rozsądek. Widział siebie jako dwie nie dające się ze sobą pogodzić istoty; jedną — ludzką i drugą... potwora. Umysł człowieka nie może istnieć w martwym ciele meduzy. Było to jeszcze gorszym więzieniem niż najcięższa choroba. Musi się z niego wydobyć!

Tkwił jednak w pułapce. Transfer osobowości, raz dokonany, nie może zostać cofnięty. Do domu może wrócić wyłącznie za pomocą retransferu. A to znaczy, że wpierw musi wypełnić swe zadanie.

Ciało nosiciela kontynuowało swój odrażający akt, wywołując obsceniczną rozkosz. Ożywiona pornografia zalewała go swą okropnością. Zareagował gwałtownie, ze skrajnym obrzydzeniem; z całej siły wyrwał się z tego nieznośnego już połączenia.

Kulista masa rozerwała się. Flinta oślepił ból, będący zarazem przejmującą rozkoszą szczytowego spełnienia. Pozostała dwójka stworzeń, wciąż ze sobą połączonych, odleciała od niego niczym wypuszczona z łuku podwójna strzała. W chwilę potem i one rozerwały się w subeksplozji tak gwałtownej, że połączone dotąd ze sobą fragmenty zostały wyrwane z ich ciał, tworząc kolejną, odrębną masę.

Flint, odczuwający już tylko ulgę z uwolnienia się, odpłynął jak najszybciej zostawiając tę jatkę za sobą. Nie dbał zupełnie, co stanie się z pozostałą dwójką; najpierw sam musi uwolnić się od wstrętnego posmaku, jaki to wszystko w nim pozostawiło.

Nie potrafił. Akt wstrząsnął nim do głębi — a teraz, gdy było już po wszystkim, przyszło zrozumienie. A to było jeszcze gorsze. Nieoczekiwanie zrozumiał los dziewczyny zgwałconej na Najdalszej — uświadomił sobie, że nosiła w sobie dziecko gwałciciela, że musiałyby je nosić i wychowywać, a ono samym swym widokiem wciąż przypominałoby jej okropne przejście. Na Najdalszej nieślubne pochodzenie było największą hańbą. Flint, jak inni mężczyźni, wzruszył tylko ramionami mówiąc: "wielka szkoda" i przestał myśleć o skrzywdzonej dziewczynie — nie mówiąc już o jakiegokolwiek pomocy dla niej czy wsparciu. Gwałciciel, pochodzący z innego plemienia, w jakiś czas potem został stratowany przez dinozaura i sprawa sama się zakończyła. Później dziewczyna, ku zdumieniu Flinta, popełniła samobójstwo. Zgłosił się do pomocy przy pogrzebie — w rzeczywistości to Szaman skłonił go do tego — i zaniósł zwłoki na miejsce wystawienia, gdzie pozostawił je na pastwę sępodaktyli i innych drapieżników, które miały oczyścić kości z mięsa. Przyglądał się jej nagiemu ciału — była młoda, a ciąża mało zaawansowana — i dziwił się, że tak niemądrze poświęciła życie, skoro została już pomszczona przez los. Kilkanaście dni później wrócił, by zebrać jej kości i pogrzebać w miejscu, w którym sypiała. Tylko w taki sposób jej duch mógł zaznać spokoju. Nawet te drobne kosteczki były kształtne i piękne w swej czystej białości, za wyjątkiem paru rozłupanych dla szpiku przez większe zwierzęta. Kości te Flint połączył i związał, by duch dziewczyny nie pozostał okaleczony, a następnie pochował je w pozycji skulonej pod podło-

gą chaty. I choć zrobił wszystko jak należy, dziewczyna po śmierci nie zaznała spokoju. Przez całe miesiące jej duch nawiedzał chatę i w końcu plemię musiało zmienić miejsce pobytu. To było przykre. Flint wciąż łamał sobie głowę nad głupotą dziewczyny. Szaman uchylał się od wyjaśnień, choć sprawiał wrażenie przygnębionego. Tak oto teraz, pojmując już, w czym właściwie wziął udział, zaczynał rozumieć, czemu owa nieszczęsna dziewczyna postąpiła tak, jak postąpiła.

Gwiazda Spika (podwójna gwiazda, podobnie jak jego rodzimy Etamin) widziana z Ziemi, znajduje się w gwiazdozbiornie Panny. Istniało wiele legend o tej dziewicy, uznawanej przez niektórych za pierwszą boginię żniw i zbiorów. Ponieważ jednak plemię Flinta — będąc raczej w paleolicie niż w neolicie — nie osiągnęło jeszcze poziomu rolniczego, sam Flint identyfikował tę konstelację z Erygoną Wcześnie Zrodzoną. Ojcem Erygony był Ikarius. Po jego śmierci córka powiesiła się z rozpacz — kolejna zdumiewająca reakcja, którą Flint nagle zaczął pojmować. Na Najdalszej ludzie rzadko kiedy dożywali wieku czterdziestu lat; gdy więc ktoś żył dostatecznie długo, by doczekać szczęśliwego ślubu swych dzieci, to nie było powodów do żalu po jego śmierci. W końcu obowiązek swój wypełnił. Rodzice Flinta zmarli niestety, gdy chłopiec liczył sobie dzieśnięć solariańskich lat. Miał jednak sporo szczęścia, gdyż zabrał go do siebie Szaman, zapewniając dużo lepszy byt, niż chłopiec wiódł dotychczas. Flint z całą pewnością nie miał powodów do samobójstwa. Ale tutaj zrozumiał, że dla kogoś, kto żywi głębokie przywiązanie do innej osoby — lub rzeczy — utrata tego kogoś może spowodować pragnienie śmierci. Dziewica Erygona — patronka pszenicznych łąnów — została wzięta do nieba z kłosem pszenicy w dłoni, a kłosem tym jest właśnie gwiazda Spika*. Być może podanie o śmierci starego Ikariusza jest tylko eufemizmem; tak naprawdę Erygona mogła być zgwałcona, a dowodem na to byłaby ta właśnie planeta gwałtu.

Lecz dla mężczyzny było to nie do przyjęcia! Piękna dziewczyna jest po to, by zostać zapłodniona w taki czy inny sposób, ale wszelkie sugestie co do mężczyzny budziły wstręt. Próbował wymazać ze swej świadomości tę przerażającą wizję; nie chciał jej nawet zrozumieć. Próbował odepchnąć to poniżone ciało, jak usuwałby posokę z jelit zabitego zwierzęcia, zdając sobie sprawę, że i tak wysiłek jego nie zda się na nic, ale mimo to wciąż próbując, podobnie jak ciężarna dziewczyna usiłowała odsunąć od siebie znieprawione dziecko.

ustalenie kierunku dokonane

Co? Obcy głos mówił w jego mózgu. Nie w głowie, bo Flint jej nie posiadał — była to tylko część nękającego go problemu! — lecz w mózgu zintegrowanym z jego systemem receptorów ciśnienia, narządami równowagi, regulatorem gęstości i układem odruchowym. Gdzie w tej skomplikowanej mieszance powstałych nagle synapsów i sprzężeń zwrotnych pojawił się obcy przekaz.

*spica — łac. kłos (przyj. tłum.).

Próbował skupić uwagę na Obcym. To mogła być droga ucieczki! Ale wszystko, co potrafił wydobyć ze swej jaźni, to rysunek trzech kół. Dwa z nich stykały się ze sobą obwodami, a trzecie było w lekkim oddaleniu. Pierwsze nosiło nazwę RODZIC, drugie MACIERZ, a trzecie, oddalone — KATALIZATOR. Cóż to mogło znaczyć?

— wysłać agentkę tym razem niech się lepiej spisze! —

I znów obcy głos. Mówił w nieznanym języku lub seriami symboli znaczeniowych, które jednak w jakiś sposób były dla Flinta zrozumiałe. Sens obrazu również stawał się jasny: każde z kół oznaczało istotę ze Spiki. Trzy istoty, trzy funkcje — lecz która jest która? Za każdym razem, gdy skupiał uwagę na tym problemie, wydawało się mu, że ustawienie jest inne. Uderzacz, Falowiec, Sykacz... rodzic, macierz, katalizator... pies, kot, mysz. Czasami Uderzacz jest psem, a innym razem kotem lub nawet myszą. Pies łączy się z kotem, dając życie myszy? Nie, to nie tak.

A przecież to zrobił! Czemu więc nie potrafi tego zrozumieć?

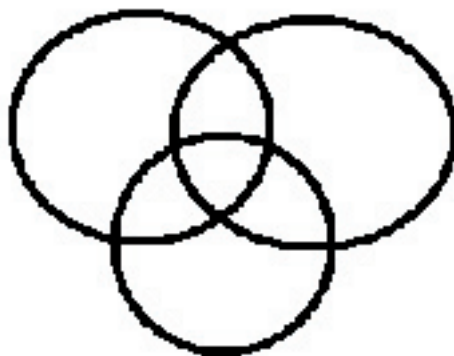
Ponieważ, tak jak u ludzi, zjawisko reprodukcji funkcjonowało tu najlepiej na zasadzie instynktu, nie zrozumienia. Rozumowe ujmowanie tych spraw prowadzi do takich wynaturzeń jak kontrola urodzin, a natura takich rzeczy nie znosi.

Nieoczekiwanie sobie uświadomił, że owe sfery czy koła pochodzą z pamięci jego nosiciela; były to wspomnienia kursów edukacji seksualnej, pornograficznych w swoim znaczeniu, lecz koniecznych. “Czemu trzy gatunki trzymane są zawsze oddzielnie?” — zapytał wówczas niedojrzały Bopek. Wyjaśniono mu, a prawda nim wstrząsnęła. Podobnie jak Flint był wstrząśnięty widokiem dorosłego współplemieńca wypychającego to w młodą dziewczynę. Krzyczała, wierzgając gwałtownie nogami, a Flint myślał wówczas, że mężczyzna próbuje ją zamordować. Lecz on ją tylko zranił, a i to widać niezbyt groźnie, gdyż tylko trochę krwi pokazało się między jej nogami. Odtąd dziewczyna była traktowana we wsi jak dorosła kobieta, która odbyła rytuał inicjacji, pomimo że piersi dopiero zaczynały się jej rozwijać. W ciągu jednego roku solariańskiego wyszła szczęśliwie za mąż; był to przekonujący dowód, że nie doznała żadnej krzywdy. Taka była edukacja seksualna Flinta w typowym wydaniu z epoki kamiennej: z początku niepokojąca, lecz potem czas pokazywał, że nie ma żadnych powodów do obaw. Następnego roku śmiał się, gdy młodzież rozbierała się do dorocznej ceremonii oględzin, a jeszcze w następnym — gdy doszedł przepisowego wieku — sam wziął udział w takiej ceremonii. Lecz kiedy w jego życie wkroczyła Honeybloom, wołał już samotność we dwoje. Obrzęd obrzędem, a miłość miłością. Rozumiał zatem doskonale szok Bopka i jego późniejszą stopniową akceptację. Taka była zwykła kolej rzeczy.

Wywołał w pamięci kolejny schemat, na którym znajdowały się takie same trzy sfery, ale stykające się ze sobą obwodami, jak granice gwiazdnych imperiów. A może była to analogia: kiedy Sfera Sol wymieniała technologię ze Sferą Antares (choć Sol była wówczas zaledwie układem planetarnym, gdyż dopiero otrzymana od Antares tajem-

nica matemisji umożliwiła realizację programu kolonizacji międzygwiazdnej) — czy była to forma spółkowania? Stosunek kulturalny. Nie byłoby to złe porównanie. Lecz młody Bopek drżał ze zdożnego podniecenia. Kontakt trzech płci! Obecne ciało Flinta pulsowało.

Flint przypomniał sobie taką pornografię:



POTĘGA

—CYWILIZACJA —

— Wynos się z mego umysłu! — ryknął Flint pod adresem tych rozbłysków znaczeniowych.

Dobrze, na czym stanął? Kot — rodzic — pies... Nie, nie kot, lecz katalizator. Zapomnij o ziemskich zwierzętach, zajmij się tutejszą symboliką.

Nigdzie dotąd nie przedstawiano tych trzech istot razem, stykających się. Flint połączył swoje wspomnienia ze wspomnieniami Bopka — i wszystko zaczynało być jasne. Ludzkim odpowiednikiem — nie było tu dokładnych paralel, lecz musiał znaleźć pewne odniesienia, by zyskać jako taką orientację — było pachnące, miękkie łoże z paproci na ustronnej polanie, ułożona ponętnie na nim naga dziewczyna i całujący ją nagi mężczyzna o nabrzmałym członku. Trójkąt o zagiętych kolicie bokach między trzema styczonymi kołami odpowiadał trójkątom włosów łonowych; dwa trójkąty, które miały się za chwilę pokryć. Przywrą do siebie i pokryją tworząc pojedynczą masę, jaką Flint już znał. Bez wątpienia, czysty seks. Intymność, sprośne podniecenie, chichoty, wstrzymywanie, żądza, niewysłowiony popęd, współprzenikanie...

: :JEDNOMYŚLNOŚĆ: :

— Płyn! — krzyknął głośno Flint, wyrażając tym jednym słowem nakładające się na siebie, przepełniające go żądzą i potępienie, fascynację i odrazę, przerywane obcym, znaczącym komunikatem. Żaden lepszy wyraz nie istniał, ponieważ jego obecne ciało nie było w stanie wymówić ludzkiego słowa.

W kilka chwil potem był już bezpieczny w strefie Uderzaczy. Tutaj, gdy podniecenie i szok spowodowane odkryciem prawdy już minęły, powróciła identyfikacja z jego no-

sicielem. Znowu był Flintem — w obcych warunkach, z obcą świadomością, akceptacją i cynizmem — ale niewątpliwie sobą. Nauczył się praktycznie tego, co dotychczas pojmował wyłącznie rozumowo: był tutaj obcy. Mógł wyglądać i zachowywać się jak trójpłciowy mieszkaniec układu Spiki, lecz wcale nim nie był. Stał się obcą emanacją używającą miejscowego ciała; demonem, który zawładnął ciałem biednego, miejscowego chłopca. Nie należał do tego społeczeństwa i nie ograniczają go tutejsze konwencje.

Okres dezorientacji w tym świecie przyniósł mu wiele materiału do rozmyślań. Miał nadzieję, że już nigdy więcej nie zapomni o swej podstawowej obcości w stosunku do nosiciela i nie da się pochwyć w sidła odruchowych zachowań seksualnych. Lecz, co ważniejsze, jego aura Kirliana, wrywająca się z ciała nosiciela w próżnym wysiłku oddzielenia się od niego, w zagadkowy sposób wpływała na zewnątrz, wychwytyjąc w ośrodku transferowym jakieś wiadomości. Początkowo go to zdeorientowało, lecz Flint, jakkolwiek naiwny, jeśli idzie o życie seksualne w układzie Spiki, nie był wcale durniem. Posiadał między innymi fenomenalną zdolność skutecznego kojarzenia informacji. Jego dezorientacja składała się z trzech elementów, które powinien zanalizować: wstrętu do zachowań obecnego nosiciela, instrukcji co do sposobu rozmnażania się Spikan oraz obcego przesłania. Kwestia pierwsza była sprawą prostą: Flint nie był Spikaninem, a Spikanie nie byli ludźmi i nie mogło być mowy o jakimkolwiek transferze moralności. Ważne było, że pojął to, zaakceptował, a nawet mógł wykorzystać różnicę. Miał bowiem za zadanie nie chronić siebie czy rozprzestrzeniać kulturę Sfery Sol, ale włączać inne Sfery do koalicji w imię ratowania galaktyki.

Bezsprzecznie istniała jednak jakaś Sfera, która usiłowała temu przeszkodzić. Posłała tropem jego transferu do Kanopusa agentkę, która wcale nie miała mu pomóc, lecz go zgładzić. Nie wyszło jej, a co więcej — jak na ironię — zmuszona była mu pomóc, by zataić swe pochodzenie. Obce głosy w jej mózgu wskazują, że miała być przysłana za nim tutaj, do Kłosa Panny.

I on już dobrze wie, w czyje ciało gościnne wejdzie jej aura.

Musi działać szybko, gdyż agentka stanowi dlań śmiertelne niebezpieczeństwo. Zna technikę transferu i usunawszy go, wróci do swojej Sfery. Prawdopodobnie nie będzie zmuszona nawet szkolić w tym celu Spikan. Posiada tak zaawansowaną wiedzę, że stać ją na samodzielne dokonanie transferu. A może to jej władze potrafią ściągnąć ją z powrotem, bez urządzenia transferowego po tej stronie. Nie powinien ryzykować. Musi unieszkodliwić ją pierwszą i powiadomić o wszystkim Sferę Sol. Być może Minister Obcych Sfer na podstawie jego informacji wywnioskuje, o jaką Sferę chodzi. Mogą też transferować Flinta do Sfery Knyfh celem konsultacji z tamtejszymi ekspertami. Jedno nie ulega wątpliwości: galaktyczni sprzymierzeńcy muszą wrogą Sferę namierzyć i zneutralizować, w przeciwnym bowiem razie koalicja zostanie unicestwiona, zanim jeszcze podejmie jakieś kroki przeciwko Andromedzie.

Czy zdoła schwytać w pułapkę obcą agentkę i wydobyć z niej prawdę? Odrzucił ten pomysł. Nie miał w takich sprawach doświadczenia, a poza tym tutaj było to ryzykowne. Najlepiej jakoś ją unieszkodliwić, wrócić na Imperialną Ziemię i niech wysyłają specjalną ekipę, która się już z agentką upora. A może zabrać ją ze sobą do Sfery Sol — nie, raz już próbował i się wymknęła. Nie może powtórzyć błędu. Należy wszystko tak rozegrać, by nie dać jej żadnych szans.

Stale miał w pamięci Cle z A[th] w Sferze Kanopusa, śliczne, małe stworzenie o humanoidalnych kształtach. Ciało nosiciela nie jest naturalnie transferowanym umysłem i nie potrafił określić natury stworzenia, jakie przyjęło jej kształty, niemniej nie potrafił rozdzielić tych dwóch elementów. Ciało było sprawą istotną; musiał przed samym sobą przyznać, że nigdy by nie pokochał Honeybloom, gdyby była szpetna. A co więcej, aura Kirlianowej istoty z obcej Sfery była równie silna, jak jego; nęciła. Ostatecznie ruszył do innych Sfer między innymi po to, by ustalić poziom swojej aury. Tamta może i jest jego wrogiem, ale on mimo to wcale nie pragnie jej zabić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Pojawili się dwaj Uderzacze.

— Jesteś oskarżony o gwałt, Bopek — odezwał się jeden z nich. — Masz udać się z nami na przesłuchanie.

— Gwałt? — Flint był zupełnie oszołomiony. Nigdy...

— Czy nie opuściłeś bez zezwolenia strefy Uderzaczy, by udać się do strefy Sykaczy?

Ho-ho, naruszenie odrębności stref to poważna sprawa. Wiedziałyby o tym, gdyby zadał sobie nieco trudu i poszperał dokładniej w pamięci nosiciela. Był bardzo nierozważny. Lepiej się przyznać.

— Byłem pod wpływem maści leczniczej...

— I tam spostrzegłeś parę Sykacza z Falowcem i wzięłeś na siebie rolę katalizatora, zmuszając tym samym do mimowolnego przeniknięcia?

— Nie zdawałem sobie sprawy...

— I w wyniku tego związku zrodzony został potomek Sykacz, zmuszając tym samym pierwotnego Sykacza do nieoczekiwanego rodzicielstwa?

Flint zdał sobie sprawę, że wpadł w poważne kłopoty. Nieświadomy sposobów rozmnażania się tego gatunku istot, oszołomiony maścią, nie poświęcił wystarczającej ilości czasu na zbadanie w mózgu nosiciela wszelkich restrykcji kulturowych tego społeczeństwa. Cała kwestia wydawała się mu skomplikowana i nie mająca żadnego związku z jego misją. Dopiero teraz wszystko było jasne: kopulacja stanowiła połączenie trzech istot, niemożliwe dla dwóch, konieczne w chwili pojawienia się trzeciej. Trzeci osobnik pełnił rolę katalizatora, zmuszającego tamtych do natychmiastowego kontaktu. Zupełnie jak w grze nożyczki-papier-kamień, w którą grał jeszcze jako dziecko na Najdalszej — choć w rzeczywistości istniały tam takie rzeczy jak nożyczki czy papier.

Skojarzenia po prostu określały wynik. Nożyczki cięły papier, papier owijał kamień, kamień tępił nożyczki. Płeć katalizatora określała zatem płęć potomka — choć potomek nigdy nie był tej samej płci co katalizator. Stąd ów zawiły system stref, w których jednocześnie przebywały tylko dwie płcie; gra nie mogła się rozpocząć do chwili pojawienia się trzeciej.

Ponieważ wielkie przedsięwzięcia budowlane wymagały umiejętności wszystkich trzech gatunków, ustanowione zostały podstrefy, a kurierzy przeprowadzali Falowców przez strefę Uderzaczy do odpowiedniej podsfer, nie napotykając po drodze Sykaczy. Kiedy Bopek wkradł się w strefę Sykaczy, popełnił przestępstwo takie samo, jak obcy mężczyzna wdzierający się do cudzego haremu. Natknął się tam natychmiast na Sykacza i goszczonego Falowca, i stał się katalizatorem zmuszającym do natychmiastowego przeniknięcia. Wedle obowiązujących w tej kulturze norm był to klasyczny gwałt.

Był zatem winny.

Lecz nie mógł sobie pozwolić na zwłokę, jaką pociągnęłyby za sobą rozprawa i kara. Agentka obcej Sfery krąży już zapewne w pobliżu i Flint musi ją unieszkodliwić, nim ta zorientuje się w sytuacji i unieszkodliwi jego. Zadanie jest ważniejsze od etykiety Spiki.

— Przykro mi, koledzy — rzekł.

I popełnił najbardziej odrażający czyn, na jaki stać było istotę rozumną ze Spiki. Po prostu ich “bzyknął”. Wyobraził ich sobie jako Sykacza i Falowca, a siebie jako katalizator. Nadał swe ciało i pokrył dwójkę Uderzaczy, wciągając ich jednocześnie w siebie.

Był to czyn przerażający, możliwy do pomyślenia tylko w najordynarniejszych dowcipach. Fala straszliwej odrazy przeniknęła umysł jego nosiciela; był to nikczemny, homoseksualny gwałt! Lecz zdesperowany i cyniczny po ostatnich doświadczeniach Flint zmusił tę dwójkę do przemknięcia się, po czym sam jak najszybciej wypchnął ich z siebie i wciąż jeszcze złączonych cisnął daleko w wodę.

Obaj Uderzacze byli nieprzytomni z przerażenia i odrazy, Flint zaś winien najwyższej kary. Jego mózg Uderzacza nakazywał mu wymierzyć samemu sobie karę w formie samobójstwa. Lecz Flint już się dopasował i wyleczył z braku równowagi psychicznej, a doświadczenia wyniesione z poprzedniego kontaktu seksualnego uodporniły go w wystarczającym stopniu. Czuł do siebie wstręt, lecz płynął naprzód.

Prowadzony niezawodnym zmysłem orientacyjnym Bopka szybko trafił w pobliże miejsca, gdzie ocknął się w swym obecnym ciele. Ranna stale jeszcze przebywała w tymczasowej podstrefie, pływając niezdecydowanie we wszystkich kierunkach. Przybył w samą porę, gdyż po nieoczekiwanym odzyskaniu świadomości miano ją właśnie odprowadzić do swojej strefy.

Mógł to być również podstęp, lecz Flint musiał zaryzykować. Podpłynął śmiało do medyków.

— Widzę, że moja klientka wróciła już do siebie. Dobra robota! Muszę więc teraz odprowadzić ją do wyznaczonego jej na budowie miejsca.

Najwidoczniej nie dotarła tu jeszcze wieść o jego serii przestępstw. Zadowoleni z przekazania odpowiedzialności medycy oddali mu pacjentkę.

Tak jak powiedział, “Llyana” ruszyła za nim bez protestu. Umysł transferowca nie zdążył się jeszcze zorientować w skomplikowanym schemacie rzeczywistości Spiki. Należało zatem rozpraszać uwagę agentki tak długo, aż się nadarzy sposobność wyłączenia jej z gry.

Lecz najpierw musi się przekonać, czy jest ona rzeczywiście tą wrogą agentką, a nie przypadkowym, niewinnym Falowcem. Dotknął jej ciała.

Miała potężną aurę, równie intensywną jak jego własna.

— A więc rozpoznałeś mnie — odezwała się. — Znasz cel mojej misji.

— Próbowłaś zabić mnie tam, w Kilu Okrętu — odparł. — Ale teraz tu, w Kłosie Panny, gdy nadarzy się sposobność, odpłacę ci miłością.

— Kłos Pszenicy? — zapytała zaskoczona. — Miłość?

Była zdezorientowana i również próbowała grać na zwłokę, aż trafi na sprzyjający moment, by go zabić. Ale on miał tę przewagę, że już dobrze poznał ten teren.

— Opowiem ci o pszenicy — mówił Flint, gdy płynęli obok siebie. Zauważył mimochodem, iż “Llyana”, mimo okaleczeń, porusza się płynnie i z wdziękiem. Czyżby aura Kirliana należąca do ślicznego stworzenia wyszukiwała równie kształtne ciała nosiciele? A może to tylko w wyniku animacji? Już po raz drugi jest taka śliczna — mógł to być jednak czysty przypadek.

— Mój gatunek zaczął się cywilizować, kiedy opanowano sztukę uprawy pszenicy. Pszenica to zboże, ziarno trawy, rodzaj rośliny. Czy na twojej rodzinnej planecie są rośliny uprawne?

— Są. Ale nie pszenica.

— Ziarno to posiada wiele wartości odżywczych i daje się łatwo przechowywać. Umożliwiło to moim przodkom, bardziej cywilizowanym niż ja, magazynowanie żywności na okres jałowych zimowych miesięcy. Rozcierali to ziarno między kamieniami, formowali bryły i wypiekali tak zwany chleb. Ten sposób produkcji żywności bez porównania zwiększył ich szansę przeżycia. Opanowanie uprawy pszenicy nazywano Rewolucją Neolityczną, ogromnym postępem młodszej epoki kamiennej. Musieli bowiem nauczyć się przy okazji wielu innych rzeczy: wyplatania koszy, by to ziarno przechowywać, a także sprawiedliwego rozdziału żywności; co z kolei prowadziło do innych umiejętności. W rezultacie pszenica spowodowała powstanie nowoczesnej cywilizacji.

Jak gładko powtórzył uczony wywód Szamana! Sam Flint, człowiek z paleolitu, przejawiał niewielkie zainteresowanie takimi sprawami. Ale i tym razem był to kolejny okruch wiedzy, która — w zetknięciu ze zdumiewającymi przejawami cywilizacji za-

awansowanej w rozwoju — stała się dlań nagle zrozumiała.

— Pszenica była tak ważna, że człowiek umieścił ją nawet na niebie. Układ Spiki zwany jest właśnie Kłosem Pszenicy, spoczywającym w rękach Panny. Ta zasłania nim obnażone dolne części ciała, bo jest najwidoczniej wstydliva. Ale powiązanie pszenicy ze Spiką jest jeszcze głębsze.

— Ja nie widzę tu żadnych powiązań — odparła. Chciała ciągnąć tę rozmowę, mając nadzieję zyskać na czasie i w końcu go przechytryć. Poprzednim razem próbowała zamordować go natychmiast; teraz jest dużo ostrożniejsza, cel jednak przyświeca jej ten sam.

— Chodzi o sposób rozmnażania się pszenicy — pogodnie ciągnął Flint. Jeśli plan się powiedzie, wyeliminuje ją z gry nie czyniąc przy tym fizycznej krzywdy. Nie chce zabijać istoty o tak potężnej aurze!

— Pszenica ma składniki zarówno męskie, jak i żeńskie: słupki i pręciki. Lecz to nie wystarcza. Potrzebny jest jeszcze trzeci element, który umieszcza pyłek we właściwym miejscu. Tym elementem jest wiatr. On właśnie przenosi ten pyłek z jednej rośliny na drugą; bez niego pszenica nie mogłaby się rozmnażać. Inne rośliny korzystają w takich przypadkach z pośrednictwa owadów. Tak więc wiatr i pszczoła mogą być uważane za katalizatory: powodują zapłodnienie, jakkolwiek same w sobie są bezpłciowe.

Zbliżali się do końca strefy Uderzaczy; dalej rozciągała się już strefa Sykaczy, terytorium zakazane. Dzięki swym wywodom zdołał odwrócić uwagę “Llyany” i ta nie zdążyła się jeszcze połapać w sytuacji.

— Mieszkańcy Spiki są takim właśnie gatunkiem trójpłciowym — ciągnął Flint prowadząc ją przez granicę. — Są na swój sposób wymienni. Trzecia płć jest zawsze katalizatorem inicjującym sam akt, lecz nie biorącym w nim udziału; właśnie jak wiatr lub pszczoła. Dwie pozostałe płcie natomiast przyjmują rolę rodzica lub macierzy, w zależności od tego, w jakim porządku się spotkają. To trudne do wyjaśnienia. Może najlepiej wytłumaczyć na przykładzie katalizatora. Jeśli katalizatorem jest Uderzacz, potomek będzie Sykaczem. Jeśli katalizator jest Falowcem, to urodzi się Uderzacz. A gdy katalizatorem będzie Sykacz...

I oczywiście natknęli się na Sykacza, ponieważ znajdowali się w ich strefie. Ten ujrzał ich i próbował jeszcze ich wyminąć, lecz Flint ruszył ku niemu pociągając za sobą “Llyanę”, zmuszając go do wtargnięcia w ich masę. Sykacz zareagował tak jak człowiek, który napotkał kopulującą parę. Tutaj jednak samo przyglądanie się nie wystarczało; Sykacz musiał się włączyć. Bo taka już była natura tego gatunku: bliskość stanowiła i zaloty, i zarazem spełnienie.

Sykacz obrócił się i ruszył w ich stronę. “Llyana” jeszcze nie uświadamiała sobie niebezpieczeństwa; wyjaśnienia Flinta, pomimo ich ścisłości, odciągnęły skutecznie jej uwagę od poszukiwania praktycznych wiadomości zawartych w pamięci jej nosicie-

la. Nie wyjawiał jej całej prawdy, tak jak ludzie nie wyjawiają wszystkiego małym dzieciom.

Sykacz bowiem był ową trzecią istotą, oddzielną, katalizatorem. Nie płeć, ale pozycja określała rolę trzech współuczestników kontaktu seksualnego. Ponieważ zbliżające się przeniknięcie było bezwiedne — przynajmniej ze strony “Llyany” — technicznie stanowiło ono gwałt. Ewentualnie śledztwo wykazałoby, że Uderzacz i Falowiec byli intruzami w strefie Sykaczy, oczyszczając tym samym z zarzutu gwałtu Sykacza. Flint, jako kurier Bopek, musiał o tym wiedzieć. Zatem to on był faktycznym gwałtcielem. Ponownie.

Tak więc przymus bliskości oddziaływał na Sykacza. Jak jeleń ściągający łanię w okresie rui, wydłużając swe ciało runął na Flinta i “Llyanę”. Teraz już i ona pojęła, że święci się coś niedobrego.

— Pokrywasz mnie! — zawołała, niczym szturchnięta w tłoku kobieta, oburzona, lecz nie chcąc zbyt głośno wyrazić swej skargi. Próbowwała odskoczyć w bok, lecz już nie mogła.

Gwałtowny ból przeniknięcia targnął ich ciałami. Pobudzony działaniem katalizatora Flint — zupełnie jakby był to kubek sfermentowanego miodu lub łożo z wonnego listowia, czy też widok nagiej dziewczyny o bujnych kształtach — robił już tylko to, co nakazywała mu natura jego obecnego ciała.

“Llyana” była cudownym stworzeniem; dosłownie. Tak zachwycająco przenikalnego ciała oraz tak gładkiego i zaokrąglonego torsu Flint nigdy jeszcze nie doświadczył. Była istotą stworzoną do przenikania, przesiąkania, pokrywania i zlewania — i Flint wszystko to z nią robił, gdy tylko upajający katalizator zamknął ich w swym wnętrzu. A jej potężna aura Kirliana wzmagiała tylko siłę doznań. Pomyślał o Honeybloom, w którą też tak głęboko wnikał ciałem, i natychmiast całe jego jestestwo wezbrało przypiływem przemożnego uczucia miłości. Nie było ono znów tak bardzo różne od miłości uprawianej przez ludzi, lecz zgoła doskonalsze, gdyż obecność istoty katalizującej wzmagiała tylko intensywność zespolenia. Nie istniały tutaj wątpliwości czy wahania, kobiece nastroje czy niezaradność mechanicznej kopulacji. A i sam zasięg wnikania w siebie był o wiele większy: angażowało się w to całe ciało, a nie wyłącznie jeden, niewielki organ. Jak w idealnym programie — sukces za każdym razem.

“Llyana” broniła się.

— To... to... jestem gwałcona! — protestowała. — Kim jesteś? Co wyprawiasz?

— Jestem Sissix Sykacz — odparł katalizator. — Pragnę zaznaczyć, że to wcale nie ja szukałem tego związku, ale też i nie będę się mu sprzeciwiał. Oboje jesteście tak dorodnymi okazami.

Katalizator faktycznie nie miał powodów do niezadowolenia: kataliza była bowiem największą przyjemnością, jaką miał do zaoferowania ten świat, a w dodatku nie pocią-

gała za sobą żadnych konsekwencji. Macierz była odpowiedzialna za potomka, rodzic oddawał zdrowy kawałek własnego ciała, katalizator natomiast przeżywał wyłącznie potrójny orgazm. Wizją raju u rozumnych mieszkańców Spiki był ciepły ocean pełen par o odmiennej płci; dany osobnik mógł krążyć od jednej do drugiej pary w ciągłym procesie katalizy. Nieustająca ekstaza!

— Twoje ruchy tylko zwiększają wzajemne oddziaływanie — rzekł do “Llyany” Flint, wiedząc, że było to jakby doradzanie gwałconej dziewczynie, by zaprzestała oporu.

— Toż to... kopulacja! — zaskowyczała wstrząśnięta “Llyana”. Jej słowa docierały do Flinta zarówno poprzez aparat mowy, jak i za pośrednictwem całego świata; wszak ich systemy nerwowe przenikały się wzajemnie.

Flint nigdy dotychczas nie doznawał tak szalonej rozkoszy. W ludzkim ciele zarówno rozkosz, jak i ból aktu płciowego odczuwane były indywidualnie. Nie występował żaden transfer doznań, co najwyżej podniety zewnętrzne. Tutaj było inaczej, tutaj była otulająca rozkosz dosłownego przenikania się, zlewania w jedno z istotą swego gatunku. Sissix i Llyana złali swe bodźce z impulsami Flinta, tworząc symfoniczną jedność o zadziwiającej głębi i intensywności. Poprzednim razem Flint — mimowolny katalizator — był zbyt wzburzony, by w pełni docenić przyjemność; teraz dopiero się rozkoszował.

— I to jaka kopulacja! — zgodził się Sissix. — Nic dziwnego, że szukaliście katalizatora! Nigdy dotąd nie brałem udziału w tak potężnym zespoleniu. Całkiem przypadkowo uczestniczę w doznaniu cudowniejszym nawet od tych, które przeżywałem w świadomie dobieranych związkach.

— Ależ ja nie należę do twego gatunku! To obrzydliwe! — protestowała Llyana.

I oto właśnie otwarcie wyznała swe obce pochodzenie. Ponieważ nieostrożnie przyznała się do niego w obecności świadka (więcej niż świadka, skoro weryfikacja zaistniała w percepcji totalnej, nie wyłącznie wzrokowej czy słuchowej), Flint wygrał swoją partię. Przeniknięty, był w stanie czytać to wprost z jej ciała, wymusić dalsze wyznania. Jego obrona przed zarzutem gwałtu opierać się właśnie będzie na jego tożsamości jako posła ze Sfery Sol i na tożsamości “Llyany”, jako... właśnie, jako kogo?

— Jesteś... agentką nieprzyjaznego systemu, niesłuchanie odległego, jeszcze dalszego niż Sfera Knyfh... nie, to w zupełnie innym kierunku... — odbierał z jej umysłu mimo przemożnego imperatywu koncentracji wyłącznie na akcie prokreacyjnym. — Twoją rodzinną Sferą jest...

— Nie! Nie! — zaskowyczała, a każdy nerwowy dreszcz przebiegający po jej ciele wzmagął jego rozkosz do szaleństwa. — Trzy różne rasy... zoofilia!

Jakież doznania omijają ludzi, niezdolnych do czerpania ich wprost z organizmów partnerów! Doznanie orgazmu partnera; kopulacja samych orgazmów, piramida upojeń niemożliwych do osiągnięcia przez żadną pojedynczą istotę.

— Cóż za doznanie! — zachłysł się Sissix, przechwytyjąc część tych impulsów.

— Czuję się, jakbym płynął otchłannym, bezkresnym oceanem, pełnym świetlistych ryb...

— To najgłębsza przestrzeń kosmiczna — wyjaśnił Flint. — Te światła to gwiazdy. Jesteśmy Obcymi z dalekich Sfer.

— Nieee! — krzyknęła Llyana. Jednak nie zdołała już tego dłużej ukryć; zdradził ją własny system nerwowy, tak potężnie animowany przez aurę Kirliana. Rzeczywistą przyczyną wzmożonych doznań Sykacza były te dwie intensywne aury; on zaś przenikał ich przepojone aurą ciała i na tę krótką chwilę był istotą wywyższoną. Tak, Sissix z pewnością potwierdził obce pochodzenie swych partnerów.

Flint przeżywał już orgazm; teraz wiedział, że miłość uprawiana z Honeybloom nigdy nie wprowadzi go w takie uniesienie jak ta, z Obcymi. Honeybloom posiadała przeciętną aurę; żadną zgoła w porównaniu z jego potężną emanacją. Aury Llyany/Cle miała około dwustu jednostek; dorównywała jego własnej. I nic nie mogło tego przebić. Wzajemne przenikanie się intensywnych aur, połączone z fizyczną i psychiczną rozkoszą zespolenia seksualnego...

I wtedy "Llyana" znalazła wyjście — a Flint znów mógł ocenić, dzięki temu, że jego nerwy w tej chwili były jej nerwami, jak jest mądra i opanowana. Zataiła swe pochodzenie i cel misji poprzez całkowite oddanie się współpartnerom.

Przeżywali orgazm. Wciągali się w siebie bez reszty, tworząc z ciał zwartą, twardą jak kamień kulę. Potrzeba spełnienia była tak potężna, iż wydawało się, że ich zespolona substancja rozprysnie się na tysiące kawałków.

I tak się też stało. Rozkosz zamieniła się w rozdarcie. Gwałtowność eksplozji wstrząsnęła nimi do głębi. Wprawieni w ruch przez atomowe jądra ich potrójnego zespolenia, rozprysnęli się w trzech kierunkach. Flint doświadczył okropnego bólu, gdy z ciała wydarty mu został duży fragment; potem on sam runął w wodny przestwór: ranny, cierpiący, lecz zaspokojony.

Zgadzał się z Sykaczem w zupełności: cóż za doznanie!

W normalnej sytuacji trzech uczestnicy takiego związku rozdzielali się po osiągnięciu szczytu, pozwalając impetowi nadanemu eksplozją nieść się jak najdalej od pozostałych partnerów. Flint jako rodzic i "Llyana" jako macierz utracili część swych ciał i potrzebowali czasu, by zaleczyć rany i odzyskać pełny rozmiar. A ponieważ oboje już wcześniej ucierpieli w wypadku, który w ogóle umożliwił im zajęcie nosicieli, regeneracja taka była niezbędna. Sissix naturalnie, jako katalizator, nie poniósł szwanku. Gdyby Flintowi przydarzyło się jeszcze jedno takie połączenie — w innej roli niż katalizator — utraciłby kolejną porcję ciała, a to byłoby już po prostu zabójcze. Powinien zatem, dla własnego bezpieczeństwa, jak najszybciej opuścić strefę Sykaczy. Rozumiał już, że istnienie stref nie wynika tylko z pruderii, lecz jest warunkiem koniecznym przetrwania tej rasy. Niekontrolowana kopulacja byłaby zgubna!

Niemniej pływał dookoła, poszukując “Llyany”. Było to ryzykowne, ale konieczne. Musiał zdobyć zupełną pewność, że wyłączył ją z gry.

Gdy wreszcie ją odnalazł, falowała obok niemowlęcia tego samego gatunku co ona. Maleństwo było jeszcze z grubsza tylko sformowane i zasadniczo bezpłciowe, lecz brak płetw oraz narządu odrzutowego wskazywał już na jego gatunek. Dzieci musiały być bezpłciowe, by uniknąć mimowolnego wciągnięcia w połączenie, które mogło przynieść śmierć. Jak ludzie, osiągnęli dojrzałość w stosownym czasie.

— No proszę, co za szczęśliwe macierzyństwo — powitał ją Flint.

Odwróciła się w jego stronę wijąc jak wąż. Falowce mają dużo bardziej gibkie ciała od Uderzaczy. Wprawdzie pod nieobecność katalizatora utraciła całą swą atrakcyjność seksualną, niemniej była wyjątkowo urodziwym stworzeniem.

— Szakrew! — parsknęła.

Zachichotał na tyle, na ile obcy narząd mowy na to pozwalał.

— Nie można kłać w języku Spikan. Nie ma tu odpowiedników, a fonetyka jest zbyt niedoskonała. Sądzę, że teraz chcesz powiedzieć “kolera!”

— Szakrew! Kolera! — wybuchnęła gwałtownie.

— Tylko nie przy dzieciach, proszę — zwrócił uwagę. — Lepiej pozwól mi się wyprowadzić ze strefy Sykaczy, bo się natkniemy na kolejnego samotnego katalizatora. Nie sądzę, byś miała znowu chęć.

Nadęła się, jakby miała za chwilę pęknąć. Lecz ostrzeżenie poskutkowało, bo bez dalszych komentarzy ruszyła za nim, a za nią potulnie mały. Mogła być sobie Obcym, ale miała spikańskie ciało, a ono podlegało biologicznym instynktom macierzyńskim; jak pośród ludzi, jeśli nawet dziecko poczęte zostało w wyniku gwałtu.

— Czemuś to zrobił? — spytała bardziej powściągliwie.

— By zmusić cię do wyznania, skąd pochodzisz — odparł. — Udało mi się, choć muszę przyznać, że niezupełnie zlokalizowałem twoją Sferę. Ponadto nie chciałem dopuścić, byś mnie zamordowała lub w jakiś inny sposób przeszkodziła w wypełnieniu zadania. Z dzieckiem, o które musisz się troszczyć, nie polecisz za mną, prawda? Nie podążysz do innych Sfer.

— Sza... — zaczęła i urwała, spoglądając na niczemu nie winne dziecko. A Flint był zdumiony, jak łatwo przyszło mu się pogodzić z nową sytuacją: dosłownie w kilka minut czasu Sol kopulował i został ojcem. A to tutaj, to jego dziecko... z kompletnie obcej matki.

— Jeszcze się spotkamy.

— Mam nadzieję — odparł. — Naprawdę chciałbym powtórzyć to, co było przed chwilą — ja we własnym ciele, a ty również w ludzkiej skórze. Jesteś prawdziwą kobietą.

— A ty mężczyzną — przyznała po chwili milczenia. — Nigdy jeszcze nie zetknęłam

się z aurą porównywalną z moją. Nie doceniłam cię zakładając, że jesteś prymitywnym przedstawicielem swego gatunku.

— Bo jestem — zgodził się Flint. — Jestem człowiekiem z epoki kamiennej. Lecz to wcale nie znaczy, że nie mam rozumu.

— To prawda — odezwała się nagle i głos jej stwardniał. — Lecz już nie powtórzę tego błędu. Dwukrotnie zawiodłam; to wystarczy.

On też dwukrotnie darował jej życie, choć zapewne powinien ją zabić. Jeśli nie uczynił tego, to tylko z powodu jej fascynującej aury oraz z ciekawości, z jakiej pochodzi Sfery.

— Ale na razie dbaj o nasze dziecko — rzekł pogodnie. — Sądzę, że upłynie jakieś sześć miesięcy mojego czasu, zanim stanie się ono niezależne i samodzielne. O ile znam naturę transferu, wiem, że macierzyńskie instynkty wezmą w tobie górę i nie skrzywdzisz małego — twoje obce ciało nie pozwoli ci na to. Nie możesz wrócić do domu, dopóki nie osiągnie ono właściwego wieku. Inaczej umrze. A nie możesz go zabrać ze sobą, gdyż jego aura Kirliana jest nieodłącznie związana z tym ciałem i z tą planetą, a w jakimkolwiek innym ciele zaniknie. Mam tylko nadzieję, że starczy ci aury na tak długi okres czasu.

— Wiesz, że jest równie silna jak twoja!

— Dobrze. Zatem jesteś na cały miesiąc zwolniona z obowiązków, a gdy wrócisz do domu, będziesz się musiała przez taki sam okres regenerować. Ja zaś dokończę swoją misję w innych Sferach. Potem nie będziesz już miała powodów szukać mnie i zabijać. Zadanie będzie wykonane. Czy na pewno nie życzysz sobie, bym przesłał wiadomość do twojej rodzinnej Sfery, że jesteś chwilowo zajęta?

— Unieszkodliwiłeś mnie! — krzyknęła z wściekłością.

— Twoje słowa są muzyką dla mego zmysłu słuchu — odparł, uświadamiając sobie, że przecież nie posiada uszu: fale dźwiękowe odbierał całym ciałem. — No, nie chciałem zabijać tak uroczonego stworzenia jak ty. Może już po tym wszystkim zejdziemy się jednak ponownie? Bo tym razem było bardzo przyjemnie.

Tym razem nawet obecność dziecka jej nie powstrzymała:

— Szakrew!

Zbliżali się Uderzacz. Ich krawędzie lekko musowały w reakcji na niewybredne słownictwo. Flint pojął, że nie uniknie aresztowania. W jego planie była luka. Jest przestępcą i mogą go wcale nie wysłuchać.

— Zaproponuję ci teraz układ — rzekł szybko do "Llyany". — Ty nie wniesiesz przeciw mnie oskarżenia o zmuszenie do przeniknięcia, a ja nie wspomnę słowem o twoim obcym pochodzeniu.

— Kolera! Nie mam zamiaru cię kryć. Spowoduję, że przetrzymają cię tak długo, aż twoja aura zaniknie.

— W porządku, zatem ja powiem im wszystko — odparł swobodnie mimo strachu, który go ogarnął. — A Sykacza wezwę na świadka.

Zwrócił się do najbliższego Uderzacza.

— Jestem obcą istotą rozumną w ciele tego Uderzacza — oznajmił — Wasze przepisy kulturowe mnie nie dotyczą. A ten Falowiec...

— Zgadzam się... — warknęła “Llyana”.

— ...jest niezamierzoną ofiarą mojej nieznamości miejscowych zwyczajów. Proszę zaprowadzić mnie do Rady Uderzaczy na przesłuchanie.

— Uczynimy to — odparł ponuro Uderzacz. — A ty, poszkodowana, czy wnosisz sprawę przeciw tej istocie?

— Nie — odparła niechętnie “Llyana”. — To był przypadek. Cieszę się ze swego potomka. Proszę tylko o zapewnienie mi powrotu do mojej strefy.

— Jak sobie życzysz — zgodził się Uderzacz. — Takie rzeczy się zdarzają.

Gdy “Llyana” z małym została już odesłana, Flinta zaprowadzono przed oblicze Rady. Usłużna pamięć nosiciela podpowiedziała mu, że członkowie Rady są wystarczająco bystrzymi istotami, by należycie ocenić sens jego posłania i pojąć własny interes takiej współpracy. Ostatecznie ten trójpłciowy gatunek nie stworzyłby imperium gwiazdne-go bez wiedzy o wszechświecie i znajomości wysokiej techniki. A osiągnięcia uzyskane przez te podwodne istoty muszą budzić podziw i szacunek; dobrze świadczą o ich możliwościach i przedsiębiorczości. Wkrótce zatem wypełni misję i wróci do domu.

Miał tylko nadzieję, że nie pojawią się dwaj Uderzacz, których “bzyknął” — by świadczyć przeciw niemu. Prawdopodobnie w ogóle zatają ów wstydlivy epizod; jak człowiek, który również wolałby się nie przyznawać, że został zgwałcony przez homoseksualistę. Sprawiedliwość nie jest warta takiego rozgłosu.

Żałował nieco rozstania z “Llyaną”. Wątpił, czy jeszcze napotka tak intensywną aurę Kirliana. A poza wszystkim “Llyana” okazała odwagę i inteligencję. Byłaby z wielu względów idealnym dla niego partnerem.

Lecz wówczas pomyślał o Honeybloom. Przypomniał sobie, że nie może poślubić istoty nie będącej człowiekiem. Bo w jaki sposób mogliby ze sobą pozostać, skoro ich aury będą zanikać? Nie, Flint należał wyłącznie do swojej rasy.

6

Oko Woźnicy

wiadomość agentka zatrzymana w spicie musi przez jakiś czas tam pozostać

— wiemy! a kirlian-cel? —

retransformowany do sfery sol późniejszego transferu brak

— to sprawdź wskaźniki matermisji, idioto! —

kirliancel matermitowany do układu capelli w obrębie własnej sfery

— szczegóły o układzie —

kultura renesansowa despotyczna ośrodek wewnętrznego oporu wobec dominacji planety ziemia pewne wpływy agentów ze sfer antykoalicyjnych zwierzchnictwo intryganckiej królowej

— wspaniale ten system sam zadba o nasze interesy! —

POTĘGA

—CYWILIZACJA —

Capella znajdowała się, ogólnie rzecz biorąc, w kierunku Sfery Nath, lecz tylko w jednej szóstej drogi od Sol, czyli w odległości czterdziestu pięciu lat świetlnych. Jej najbliższym skolonizowanym sąsiadem był Kastor, odległy od niej mniej więcej tyle, co Syriusz od Sol. Cóż znaczy dla przyjaciół odległość ośmiu czy dziesięciu lat świetlnych? To nie to, co sto lat świetlnych z okładem, dzielących Etamin od Sol. Flint stale żywił nadzieję, że pewnego dnia wróci na swą rodzinną planetę; niestety, Capella nie była po drodze.

Przybył nie zapowiedziany po południu, w swoim własnym cieple — dzięki temu, że Sol dysponowała tu matermiterem. Dyżurny stacji, blado-białawy typ w czarnej tunice Imperium, przedstawił się jako ambasador Jones z Ziemi. Gdy Flint podał swoje dane, ten sprawdził je w grafiku dziennym i natychmiast stał się dużo uprzejmniejszy.

— Nigdy dotąd nie spotkałem prawdziwego mieszkańca Najdalszej — zaznaczył.
— Myślałem, że na tej planecie panuje jeszcze...

— Epoka kamienna — dokończył za niego Flint. — Zgadza się. A ja rzeczywiście jestem zielonym olbrzymem. Póki nie pochwyliły mnie Impy, naprawdę zajmowałem się łupaniem kamienia. Przybyłem tutaj... — zawahał się.

— Nie miej obaw; wiem, o co chodzi. Wszystko to jest w twoim dossier. Jesteś naszym głównym agentem transferowym przebywającym na urlopie, by odzyskać w pełni aurę. Rozumiem, że zanika ona cokolwiek podczas transferu.

— Tak. A nie pozwolili mi udać się do mego rodzinnego świata. Podejrzewali, że umknę do lepszego żywota.

— Ha, ha — roześmiał się z przymusem ambasador, choć Flint mówił całkiem poważnie. — No, tutaj zajmujemy się tobą. Dziś wieczorem mamy szczególną okazję. Dobra królowa Bess wydaje bal urodzinowy. Capella, jak wiesz, znajduje się dokładnie w połowie skali regresu kulturalnego i technicznego. Postśredniowiecze, wczesne Odrodzenie, choć nie jest to oczywiście określenie zbyt precyzyjne. Można by sądzić, że w ciągu tych trzystu lat, jakie minęły od czasu zasiedlenia, tutejsi mieszkańcy powinni osiągnąć większy postęp. Napotkano jednak na szereg niesprzyjających czynników. Niewątpliwie możesz tutaj znaleźć szereg analogii do historii Ziemi; królowa studiuje historię i możesz się domyślić, kto jest dla niej wzorem.

— Powinienem — odparł Flint — ale ja studiowałem paleolit. Niewiele mam wspólnego ze współczesną Ziemią.

Pamiętał jednak, że Szaman określił Capellę jako “wiktoriańską”. Najwidoczniej była jednak dużo bardziej zacofana; być może zaludnienie było zbyt szczupłe, by utrzymać poziom wiktoriański.

Ambasador zachichotał ponownie.

— Poczyniłem już kroki, by potraktowano cię jako oficjalnego przedstawiciela układu Etamin. To dopiero będzie sensacja. Czy w ogóle masz pojęcie, ile kosztuje matermowanie człowieka twoich rozmiarów na odległość stu lat świetlnych?

— Dwa biliony dolarów — odparł natychmiast Flint.

Ambasador spojrział zaskoczony; najwyraźniej spodziewał się niewiedzy.

— Ach, tak. Królowej Bess powinno pochlebić, że odległy o trzydzieści parseków układ przysłała do niej pośła z hołdem. Spodziewam się, że przyjmą cię z wszelkimi honorami. Na pewno będziesz zadowolony. Mimo zewnętrznych pozorów ludzie tutaj są mało wstrzemięźliwi, szczególnie jeśli idzie o ucztowanie i, hm, panienki.

Flint pomyślał o Honeybloom pozostawionej na Najdalszej. Kiedy znów ją zobaczy? W każdym razie nie była zazdrośnicą. Tak długo nie czyniła mu wymówek z powodu jego flirtów, jak długo była pewna, że naprawdę liczy się wyłącznie ona. Ostatecznie mężczyzna jest tylko mężczyzną.

— Brzmi to obiecująco.

— Lecz najpierw musimy się odpowiednio wyekwipować. — Ambasador wy dobył całe naręczce odzieży. — Te rzeczy mogą sprawiać wrażenie dziwacznych, lecz wierz mi, tu naprawdę nosi się coś takiego. A dla ważnego pośła jak ty, te będą najbardziej odpowiednie.

— Może lepszy byłby autentyczny ubiór z Najdalszej?

— Możliwe. A jaki strój obowiązuje na Najdalszej?

— Żaden. Biegamy nago.

Ambasador ponownie zmusił się do śmiechu, a Flint zrozumiał przytyk. W układzie Capelli powinien nosić strój obowiązujący na Capelli.

Naciągnął na siebie obcisłe spodnie.

— One są okropne — poskarżył się. — O połowę ciaśniejsze od mojej własnej skóry.

— Taka moda. Masz naprawdę zgrabne nogi. Królowa ma dobre oko na takie rzeczy. Same mięśnie, żadnego tłuszczu. Teraz to.

Flint spojrział na czerwony woreczek.

— Co to?

— Suspensorium.

— Suspensorium? Wygląda zupełnie jak moszna.

— Bo tak właśnie jest. Ochraniacz krocza. Ten jest opancerzony; tak na wszelki wypadek.

— Ależ to piekielnie niewygodne! A jeśli zechce mi się...?

— Ha, ha. Można zdjąć. To nic, poczekaj, aż przymierzysz zbroję.

— Zbroję?

Ambasador przydźwigał całą kupę żelastwa.

— To jest paradna kamizela, ozdobna, ale i funkcjonalna. Zauważ te wydatne złącza w stawach, gładkość powierzchni. Mają tu prawdziwych mistrzów w obróbce metalu.

— Ja tam jestem mistrzem w obróbce krzemienia — marszcząc brwi zauważył Flint, lecz wypychał posłusznie na siebie zbroję, z donośnym, metalicznym chrzęstem. — To dużo gorsze niż stary skafander kosmiczny na Lunie!

— Z pewnością. Lecz jeszcze trudniejsze do przebicia. Ambasador krążył wokół Flinta poprawiając fachowo strój. Gdy uporali się z pancerzem, przełożył przez prawe ramię Flinta wytworną, błękitną szarfę i zawiązał mu ją na biodrze. Następnie podał pantofle z niebieskimi kokardami i jakąś błyskotkę.

— Nie jestem damą!

— Nie doceniasz historycznej roli klejnotów. Wielu wspaniałych mężczyzn je nosiło. Lecz to akurat jest zegarek, rzecz niesłychanie tutaj istotna. Królowa Bess zatrudnia nawet własnego zegarmistrza pałacowego.

Flint obejrzał dokładnie cacko: owalny przedmiot o wadze kamiennego pocisku; z jednej strony miał szkiełko, ozdobną tarczę i dwie wskazówki.

— Do czego to służy?

— Do mierzenia czasu. Zawieś go na łańcuszku i wsuń do tej kieszonki. Ona jest właśnie po to.

Kolejny przedmiot i kolejne zdziwienie Flinta.

— Tabakiera — wyjaśnił ambasador. — W środku jest sproszkowany tytoń... nie, nie rób tego!

Ale już było za późno. Flint otworzył pudełko i zrobił to, co było u niego naturalnym odruchem: pociągnął mocno nosem, by sprawdzić jak to pachnie. Gwałtowne kichnięcie sprawiło, że zawartość pudełka została rozpylona po całym pokoju, doprowadzając do kichania również ambasadora.

Kiedy atak minął, ambasador odebrał mu tabakierkę i kontynuował ubieranie.

— Myślę, że możemy się spokojnie bez niej obejść — zauważył, na co Flint przystał entuzjastycznie. — Nie będziemy również potrzebowali hełmu ani rękawic rycerskich, gdyż obowiązuje strój uroczysty. Ale szpada jest niezbędna. To oznaka godności.

— Ależ ona wcale nie ma ostrza — przeciągnąwszy palcem wzdłuż klingi zaprotestował Flint. Na Najdalszej miecze nie były jeszcze znane, lecz Szaman często o nich opowiadał i broń ta intrygowała Flinta.

— Bo to jest rapier, a nie maczeta — odrzekł ambasador. — Nie zapominaj, jaki tu jest poziom kultury. Trzej muszkietierowie... wiesz, o czym mówię?

— W moim świecie nie wynaleziono jeszcze strzelb. Ale myślę, że muszkiet był rodzajem broni palnej.

— Szczerze mówiąc, masz rację. Sam zresztą dziwię się, czemu nazywano ich trzema muszkietierami? Byli to francuscy szermierze z siedemnastego stulecia. A co więcej, było ich czterech, licząc D'Artagnana. Oczywiście posiadali muszkiety — tak samo jak ci tutaj — lecz broń palna nie jest uważana za honorową, z wyjątkiem pistoletów pojedynkowych. — Wzruszył ramionami. — No to już jesteś ubrany i jeśli tylko będziesz uważał na swe zachowanie, nie trzeba będzie robić użytku z broni. Składając życzenia królowej nie powinieneś napytać sobie kłopotów. Chyba, że wspomnisz coś na temat jej wieku, ha ha.

A zatem królowa to stare pudło. W porządku, może jej złożyć życzenia urodzinowe. No a potem odda się już bez reszty jedzeniu i panienkom.

Rytuał ubierania się zabrał nieco czasu; gdy skończyli, zapadł już zmrok. Wyszli na zewnątrz, by tam zaczekać na powóz, który miała przysłać królowa. Gwiazdy świeciły jasno, lecz Flint miał niewiele czasu, by się im dokładniej przyjrzeć; tętent kopyt oznajmił przybycie zaprzęgu. Zdażył tylko rozpoznać swą ojczystą gwiazdę Etamin, co z kolei pozwoliło mu zorientować się ogólnie, w jaki zakątek Sfery trafił, choć konstelacja, w której znajdował się Etamin, wcale nie przypominała stąd Draco, Smoka. Przesunięcie o czterdzieści pięć lat świetlnych w bok czyniło ogromną różnicę w pozornym położeniu bliższych gwiazd. Na niebie naturalnie nie było konstelacji Woźnicy, a to z tego prostego powodu, że Capella znajdowała się właśnie wewnątrz owej konstelacji, jako oko tego mitycznego wynalazcy rydwanu. Kolonie dobrze znały miejsca ich

układów gwiazdnych i mitologii ludzi i Flint nie wątpił, że rydwan stanowić tu musi istotny symbol, podobnie jak smok w układzie Etamina. Te same konstelacje widziane z różnych planet różniły się od siebie, lecz mieszkańcy kolonii, mimo iż pozbawieni widoku autentycznego ziemskiego nieba, nie tworzyli nowych, własnych nazw gwiazdozbiorów. Nawet Flint, jako dziecko na Etaminie, uczył się konstelacji układu Sol. Zresztą niektóre z nich, jak Pas Oriona, ze względu na swe niesłychane oddalenie zewsząd wyglądały tak samo.

Flint już wcześniej podejrzewał, jakiego dostanie rumaka. I rzeczywiście: przed jego oczyma pojawił się smok ciągnący rydwan.

— Mają tutaj kilkanaście gatunków zwierząt pociagowych — wyjaśnił ambasador. — Ponieważ jednak twój świat uważany jest za układ zamieszkały przez pierwotnych, surowych wojowników...

— To dobre określenie — zgodził się zadowolony Flint. Tak naprawdę, z tego, co widział i słyszał, wiele cywilizowanych kultur było daleko bardziej agresywnych i wojowniczych niż jego własna. Na Najdalszej, poza indywidualnymi potyczkami, nie istniało coś takiego jak wojny, ale każdy mężczyzna lubił uważać siebie za wojownika. Ambasador chrząknął.

— Tak, spodziewają się zatem, że będziesz raczej szorstki, brutalny, o gwałtownym usposobieniu. Lecz pamiętaj, dworzanie królowej są wytrawnymi szermierzami, a także wyśmienicie strzelają z pistoletu. Nikt nie jest im w stanie dorównać. Rób wszystko, żeby nie wdać się w pojedynek! W ogóle w pałacu nie wyciągaj broni.

— To równoznaczne wyzwaniu, prawda? — spytał Flint, kiedy słudzy, niczym małe holowniki ciągnące okręt, wprowadzili smoka. — Lecz czemu mieliby zawracać sobie głowę wysłannikiem z innego systemu, który przybył tu wyłącznie z życzeniami pomysłności dla ich królowej?

— Normalnie nic by ci nie groziło. Lecz ostatnio było tutaj trochę niepokojów. Tutaj bujnie kwitnie pałacowa intryga; to nieodłączna część obyczajów tej epoki. Niedawno królowa poleciła ściąć głowę swemu ostatniemu kochankowi, za zdradę. Nawiasem mówiąc był winien, a ona jest bardzo sprawiedliwa w tych kwestiach. Ale wzmogło to tylko ogólny zamęt.

— Boją się, by nie poleciało więcej głów?

— Nie. Chodzi o to, że każdy młody szlachcic stara się wkręcić w łaski królowej, mając nadzieję zostać jej kolejnym kochankiem. Ponieważ królowa sprawuje tutaj absolutną władzę, jej szczególne względy znaczą bardzo wiele. Gdy więc jest w kiepskim nastroju, jej uczucia dzieli cała planeta. Pojedyńki są bardzo częste. Lecz jak już powiedziałem, jesteś poza tym wszystkim i dopóki z kimś nie zadrzesz, jesteś bezpieczny. Sol nie przysłała oficjalnego delegata, a ja zostaję tutaj, w ambasadzie. Immunitet dyplomatyczny sięga tylko dotąd. Plotki o transferze rozniosły się szeroko, a mieszkańcy Capelli

posiadają pomieszane, średniowieczne pojęcia o nim. Rzekłbym, że generalnie panują tutaj nastroje antynaukowe. Czy wiesz, co znaczy słowo inkwizycja?

— Nie — mruknął Flint, notując jednocześnie w pamięci, że powinien się tego dowiedzieć w sprzyjającej chwili; ambasador bowiem wymówił to słowo z tak znaczącą intonacją, że musi ono oznaczać jakieś przerażające rzeczy.

— Nieważne, tak czy owak królowa Bess stłumiła inkwizycję. Niemniej panuje tutaj generalnie wrogi stosunek do Obcych; wszystkie tego rodzaju kultury mają do tego skłonność. Dla nich Ziemia jest obca. Tak więc i Sol i Syriusz mają tutaj nie najlepszą reputację; chyba dlatego, że Capella jest gwiazdą sto piętnaście razy jaśniejszą od Sol. Ale Etamin cieszy się dużymi względami, zapewne dlatego, że jest odległy i prymitywny. Tak więc bądź ostrożny, nie wspominaj o transferze, a będziesz się dobrze bawił.

— Dobrze bawił — w samym środku tego kotła animozji?

— Jak na człowieka z epoki kamiennej masz całkiem przyzwoite słownictwo! Może zresztą przesadziłem. Tych, którzy są w łaskach, traktuje się tu bardzo przychylnie, a kiedy już królowa wydaje bal, to wierz mi, niczego podobnego nie spotkasz w całej Sferze Sol. Ich damy są bardzo swobodne i, hm, chętne. Lecz radziłbym raczej nie... no...

— Czemu nie? — Flint był bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony.

— Czemu? Królowa... — Ambasador przerwał na chwilę. — Rzeczywiście niewiele wiesz o tej kulturze, prawda? Naturalnie, skąd mógłbyś wiedzieć. Tak, nie przemyślałem wszystkiego do końca. Sądzę, że powinieneś to ze sobą zabrać na wszelki wypadek.

Wyciągnął w jego stronę dłoń z płaskim plastikowym przedmiotem cielistego koloru.

— Przyklep to sobie do podniebienia.

— Po co?

— To komunikator. Radio nadawczo-odbiorcze. Za jego pośrednictwem będzie do nas docierał każdy dźwięk z twego otoczenia, również każde wypowiedziane przez ciebie słowo. Jednocześnie będzie ono za pomocą twojej struktury kostnej przekazywać ci wprost do uszu niesłyszalne dla otoczenia rady, jak masz postępować... to tak na wszelki wypadek.

— Na wypadek czego?

— Jesteś bardzo bezpośredni.

— Coś kręcisz. Skoro ma to być zwykłe przyjęcie, po co te wszystkie środki ostrożności?

Ambasador westchnął.

— Zasadniczo nie spodziewamy się kłopotów. Ale sytuacja jest niepewna, a ty jesteś ważną osobą. Gdyby spotkało cię tutaj coś złego, poleciałaby moja głowa. Obawiam się, że dosłownie. Cieszysz się wielkimi względami Imperialnej Ziemi.

— Bez liczenia się z moimi gustami — odburknął Flint.

— Może trochę przesadzam, ale zastanawiam się coraz bardziej nad celowością twojego udziału w przyjęciu. Zawsze możemy wytłumaczyć...

— Nie, chcę tam iść — odrzekł zdecydowanie Flint. Włożył do ust radio i docisnął je językiem do podniebienia. Przyłgnęło natychmiast. Było niewielkie i przeszkadzało mu tylko na początku. A ponieważ w takim samym stopniu, co ambasador, cenił własną skórę, radio mogło okazać się użytecznym zabezpieczeniem.

Zaprząg czekał z coraz gwałtowniejszymi oznakami zniecierpliwienia. Flint zbliżył się wolnym krokiem do rydwanu i bacznie popatrzył na smoka.

— To dopiero zwierzę! — odezwał się z uznaniem.

— Oczywiście. Królowa posiada najlepsze. Nie obawiaj się, jest całkowicie obłaskawiony i zna drogę.

Flint obserwował potwora. Niezależnie od imponujących rozmiarów zwierzę posiadało w sobie jakiś szlachetny rys. Ze względu na ogromne kostne narośla wzdłuż kręgosłupa przypominał nieco dinozaura. Nie był to jednak typ dinozaura z Ziemi czy z Najdalszej, lecz prawdziwy smok o ognistym oddechu i świetlistych skrzydłach. Jego nogi zakończone były szponami tak masywnymi, że przypominały raczej kopyta; każde z nich mogłoby z łatwością zmiażdżyć człowieka. Tak, wspaniały!

Jakby czując na sobie wzrok Flinta stwór odwrócił swą kiwającą się na falistej szyi głowę i łypnął stalowymi ślepiami. To nie przenośnia: powierzchnia gałki ocznej lśniła jak wypolerowany metal.

Obłaskawiony? Flint przypomniał sobie chwilę, gdy spojrzął w oczy tkwiącemu w pułapce dinozaurowi — Staremu Parskaczowi. Ten smok najwyraźniej pogardzał człowiekiem. Flint dostrzegł we wzroku potwora wyzwanie.

Postąpił do przodu i wyciągnął rękę.

— Nie dotykaj go! — wrzasnął ambasador takim samym rozpaczliwym tonem, jak kiedy Flint otwierał tabakierkę — i znów za późno. Prawa dłoń Flinta spoczęła już pewnie na potężnym pysku.

Smok wyraźnie się nadął z powodu tej obelgi. Z wnętrza jego brzucha, niczym z rozpalonego pieca, wydobył się stłumiony ryk. Nos bestii rozgrzał się; z nozdrzy buchnął kłęb pary, parząc Flintowi stopy. Ten jednak stał pewnie, spoglądając bestii w oczy. Potwór musiał odwrócić wzrok.

Ambasador gapił się na to z rozdziawionymi ustami.

— Ryzykowne to było — rzekł w końcu ocierając z czoła pot; a może tylko resztki skroplonej pary. — Są one wprawdzie oswojone, ale to bynajmniej nie domowe pieśczochy. Tolerują uprzęż, gdyż lubią biegać. Ale tylko wybrani pogromcy mogą dotykać ich łbów. Kiedy pogromca umiera, smoka przeważnie trzeba uśmiercić, by nie zdziaczał. Musisz mieć widocznie oko woźnicy, ową legendarną tutaj siłę wzroku. To rzadkie.

Flint wzruszył ramionami. Wiedział dobrze, że to nie wzrok, lecz jego dotyk poskro-

mił smoka. Znał doskonale ten typ stworzeń i czuł do nich szacunek pozbawiony jednak lęku. A co więcej, miał przecież aurę Kirliana szczególnej mocy. I miał ją również smok. Zwierzęta, podobnie jak ludzie, posiadają aurę, lecz o zmiennej intensywności. To stworzenie posiadało ją mocną i zareagowało na Flinta w ten sam sposób, jak Flint zareagował na aurę Pnotla ze Sfery Knyfh. Człowiek i smok poczuli do siebie wzajemny szacunek.

Flint wdrapał się na rydwan i ujął lejce w dłonie. Lekko nimi szarpnął i smok ruszył.

— Nie pozwól mu biec za szybko — rozległ się głos.

Flint rozejrzył się, lecz nikogo nie dostrzegł.

— Gdzie jesteś? — spytał zdumiony; w smoki wierzył — ale w duchy nie.

— Tutaj. Mówi ambasador. Używam radia.

Głos faktycznie dobiegał Flinta z wnętrza własnej czaszki.

— Dobrze, będę o tym pamiętał. Smok zresztą sam wcale nie zamierza skrócić sobie karku.

Okolica pogrążona była w mroku i porastająca poboczne roślinność tworzyła ciemniejsze, niewyraźne plamy; jak na Najdalszej, jak na każdej innej planecie. Flint, w przyływie nostalgii, przeniósł wzrok na niebo. Ujrzał rozrzedzoną chmurę Mlecznej Drogi, a z jej boku jasną, dużą łatę galaktyki Andromedy; dokładnie w tym samym miejscu co i na niebie Najdalszej. Błysnęła mu myśl, że wszystkie jego przygody wzięły się ze złowrogich działań tej odległej gromady gwiazd.

Znów spojrzął na znajdujący się właśnie w połowie nieba Etamin. Dom, jakże odległy! Co porabia teraz Honeybloom? A Szaman — czy spogląda w niebo?

Smok znał drogę. Trafiał już na swoje smocze ścieżki i nabierał szybkości, przy gwałtowniejszych przechyłach i skrętach rozpościerając, dla lepszej równowagi, swe szczątkowe skrzydła. Kłęby białej pary strzelały mu z nozdrzy wysoko w niebo, a potem, opadając w dół, spowijały Flinta gorącym, wonnym obłokiem. Flint wiedział, że sama para jest niewidoczna; to co na niego spadało, to już drobniutkie kropelki wody, kiedy ognisty oddech smoka ochładzał się w zimnym powietrzu. To nieważne; przyjemnie było dosięść smoka i przynaglać go do jeszcze szybszego pędu. A zwierzę ze swej strony, jakby doceniając uznanie Flinta, zwiększało jeszcze szybkość, tak że koła rydwanu waliły całym impetem po nierównościach traktu. Gnali na złamanie karku, a Flint pozwalał zwierzęciu na wszystko. Rydwanem szarpało tak gwałtownie, że wydawało się chwila mi, iż pojazd rozleci się w kawałki — ale Flinta jazda upajała. Czy tak właśnie czuli się bogowie przemierzający przestwory niebios?

Intrygowała go jedna rzecz. Czemu królowa nie przysłała swemu gościowi rydwanu z woźnicą? Delikatny, cywilizowany człowiek, jak ambasador, mógłby odnieść poważne obrażenia, a nawet postradać życie. Czy miała to być próba? Wybuchnął śmiechem, gdy

kolejna chmura skroplonej pary zrosiła mu włosy. Jeśli królowa jest tak bardzo ciekawa temperamentu i odwagi mieszkańców Najdalszej, to wkrótce zobaczy!

Otoczeni kłębamii pary, przybyli do pałacu. Było to skupisko budynków o rozmaitych kształtach i rozmiarach, przepysznych budowli z kolumnami i wieżyczkami, łukami i wiszącymi mostami — stanowiącymi zapewne zlepek średniowiecznej ziemskiej architektury. Jaki rodzaj budowli powstał, gdy sympatycznie barbarzyńscy Goci przekształcili się w architektów gotyku? Był to materialny przykład regresu kulturowego rosnącego w miarę zbliżania się do pogranicza cywilizowanej Sfery. Dotyczyło to zresztą wszystkich Sfer, obojętnie jakie gatunki rozumne w nich dominowały, i brało się z ograniczeń energetycznych. Posiadając nieograniczone zasoby energii każda Sfera mogłaby utrzymać najwyższy stopień rozwoju cywilizacyjnego. A może było to właśnie błogosławieństwem: nielimitowane zasoby energii otworzyłyby wrota do podbojów galaktycznych, istniało zaś wiele gatunków rozumnych dużo wyżej rozwiniętych niż ludzie. A tak, wiele Sfer bujnie rozkwitało w swych centrach, podczas gdy ich zewnętrzne obszary obumierały. Historia w żadnym wypadku się nie powtarzała, a technika wpływała na kulturę. Tam gdzie rapier stanowił szczyt techniki, etykieta przyznawała szczególne prawa najlepszym szermierzom. Wzory ziemskiej historii pomagały utrwalać formy, ale wyłącznie w generalnych zarysach, z wieloma odstępstwami. Ten pałac był taki, jaki był, a miejscowe wzorce stanowiły, iż tak jest dobrze.

— Dziki smok! — wrzasnął ktoś, kiedy wpadli na dziedziniec. Mężczyźni rozbiegli się, rozciągając ogromną sieć, w którą próbowali pochwycić rozszalałą bestię. Lecz Flint tylko roześmiał się na ten widok i lekko ściągnął wodze. Smok zaskrzeczał i stanął jak wryty dokładnie tam, gdzie sobie życzył Flint, a olbrzymie pazury bestii wydarły głębokie bruzdy w ubitej ziemi. Flint, otoczony tumanami kurzu i pary, zeskoczył na ziemię, poklepał przyjaźnie smoka po nozdrzach i dostojnym krokiem ruszył prosto w kierunku głównej bramy zamku.

Zdumionemu lokajowi oznajmił krótko swe imię i nazwę planety, z której pochodził, podczas gdy inny pacholek odprowadził smoka, który rzucił Flintowi krótkie, lecz znaczące spojrzenie. Wzajemne porozumienie aur Kirliana występowało niezależnie od gatunku istot i ich poziomu umysłowego. Na razie Flint miał inne sprawy, lecz obiecał sobie odwiedzić jeszcze smoka. Wolał jego towarzystwo od kompanii zwykłych istot ludzkich.

Tam gdzie było jedno zwierzę o wysokim Kirlianie, powinny być i inne. Czy wszystkie smoki są takie jak ten, czy to był wyjątek? Przypuszczalnie zwierząt nie poddawano testom na aurę Kirliana; niewielu tubylców rozumiało sens badań prowadzonych przez Imperium. Flint jako dziecko, a potem młody wojownik, też jeszcze nic z tego nie pojmował. Teraz jednak już rozumiał, w czym tkwiła tajemnica jego myśliwskich sukcesów na Najdalszej, a przypuszczalnie i sprawność w obróbce krzemienia. Pewne zwierzęta,

a nawet przedmioty martwe posiadają aurę i Flint jest z nimi podświadomie związany.

— Oooch, ale przystojniak — rozległ się kobiecy głos, gdy tylko Flint przekroczył wrota.

Flint odnalazł wzrokiem osobę, do której ten głos należał. Była to dziewczyna, jakiej dotychczas jeszcze nie widział. Miała piękną twarz, a piersi wyjątkowo wyniosłe i bujne, sprawiające wrażenie, jakby miały za chwilę rozerwać suknię i wydostać się na zewnątrz. Ale reszta jej ciała była groteskowa. Ramiona aż do nadgarstków były obrzydliwie opasłe, a biodra przechodziły pod kątem prostym w ogromny zadek niczym przerosnięty bagienny pagórek — masywny kopiec opadający pionowo na podłogę. Spod obszernej spódnicy sterczały dwa kołki i po chwili dopiero Flint zorientował się, że to jej stopy przybrane w pantofle. Cała twarz, ręce i niepokojące rozcięcie między piersiami dziewczyny były jasnoblękitne.

— Nigdy jeszcze nie widziałeś kobiety? — spytała.

— Nie gap się tak — upomniał głos w czaszce; to ambasador przystąpił do pracy. — Nie mogę widzieć tego co ty, lecz sądząc po głosie przypuszczam, żeś natknął się na kogoś ze świty pałacowej, osobistą służącą królowej. Ona...

— Zamknij się — mruknął Flint niezadowolony z tego wdzierania się w jego sprawy.

Błękitna dziewczyna posłała mu figlarne spojrzenie.

— Proszę?

— To nie do ciebie — odparł szybko Flint. — Mówiłem do mego zbyt szybko bijącego serca. Nigdy dotąd nie spotkałem takiej piękności.

Szaman zapewne nie pochwaliłby go za takie łągarstwo, lecz wydawało się ono niezbędne.

— Hej! Zrobisz tu karierę — wtrącił ambasador. — Kupiłeś już bilet.

Flint zastanawiał się chwilę, co to takiego — bilet.

Dziewczyna zarumieniła się ślicznie, co przejawiało się tym, że jej twarz, piersi i dłonie pociemniały, stając się prawie zielone. W tej barwie wyglądała dużo lepiej. Flint dopiero teraz sobie uzmysłowił, że służba na zewnątrz również miała błękitną skórę, czego nie dostrzegł w półmroku zalegającym dziedzińcu. Podobnie jak on i jego rodacy byli zieloni, mieszkańcy Sol biali, brązowi i czarni, tak na Capelli żyli ludzie błękitni. Wszystko to zależało od środowiska, a konkretnie od rodzaju promieniowania gwiazdy, w której blasku mieszkali.

— Zapewne jesteś posłem z Etamina. Wiemy, że żyją tam prawdziwi mężczyźni.

— Tak — zgodził się Flint. — Czy mogłabyś zaprowadzić mnie do...

— Sali tronowej — odpowiedział ambasador.

— Sali tronowej — zakończył Flint. — Jestem tutaj po raz pierwszy.

— Z ochotą, panie — odparła kładąc mu dłoń na łokciu, a następnie biorąc go pod

rękę. — Nazywam się Delle.

— A ja Flint z Najdalszej — odparł, gdy zmierzali długim korytarzem. — Pochodzę z barbarzyńskiego świata.

— Tak. Wszędzie już dotarła wieść, jak utarłeś nosa Staremu Piekielnikowi. Musiało to być...

— Smokowi? — Ależ naturalnie; podobnie jak na Najdalszej najbardziej złośliwy dinozaur nosił sugestywne i budzące respekt przezwisko Starego Parskacza, tak tutaj najbardziej złośliwego smoka nazywano Starym Piekielnikiem. A wieści najwidoczniej krążyły tu z szybkością światła; chyba że dziewczyna akurat tkwiła w oknie. — To wspaniałe zwierzę — dodał.

— On już spalił jedenastu mężczyzn — odparła. — Zbliża się do rekordu. Zazwyczaj zwierzę jest zabijane już po trzech, lecz ten jest ulubieńcem królowej. Jej nigdy nie wyrządzi krzywdy: można śmiało iść o zakład. Musiała zajść jakaś pomyłka, gdyż nie jest przeznaczony do użytku poza terenami pałacowymi.

— Bardzo interesujące — rozległ się głos w jego czaszce. — Mieli przysłać oswojone zwierzę.

— Jak powiedziałem — ciągnął Flint — jestem człowiekiem pierwotnym. Więc proszę, nie obrażaj się... ale nie znam waszych strojów. Czy twój odbija prawdziwe kształty?

— Prawdziwe kształty? — wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

— Na mojej planecie kobiety mają szczuplejsze ramiona i...

— Uważaj! — warknęło mu w czaszce.

— ...nogi — kończył Flint.

Delle zaśmiała się tak serdecznie, że jej piersi aż trzepotały w sztywnych półkulach stanika.

— Zaraz ci pokażę.

Rozejrzała się po korytarzu, po czym zaciągnęła go do wnęki w murze. Gdy była pewna, że nikt ich nie widzi, ściągnęła przez ramię część ramiączka sukni, obnażając bark i resztę piersi.

— Popatrz. Rękawy są wywatowane. Taka jest moda, a poza tym grzeją w chłodne noce. Pod nimi jestem całkiem szczupła.

I cała błękitna.

— Och — westchnął Flint. — Wybacz barbarzyńcy.

— I tyś naprawdę myślał, że to wszystko to ja?

— Nie byłem pewien. Spódnica...

— Myślałeś, że mam taki gruby zadek! — wykrzyknęła uradowana. — No to sobie popatrz!

Mówiąc to podciągnęła w górę wydęty kłęb spódnicy i sztywnej halki, wystawiając

na pokaz parę tak szczupłych i kształtnych nóg, że Flintowi zaparło dech.

— To tylko krynolina, rodzaj tiurniury pod suknią. Pod spodem jestem zwyczajnym człowiekiem. Mam wszystko, czego potrzebuje kobieta. Tutaj, połóż rękę...

— Uważaj! — krzyknął głos w jego czaszce.

— A po co? — spytał Flint zarówno ambasadora, jak i dziewczynę.

— Abyś poczuł moje udo — wyjaśniła Delle. — Abyś się przekonał, że jest prawdziwe, jak wszystkie inne, co do czego masz jeszcze wątpliwości. Wszystko znajdziesz tutaj.

— Ponieważ chce cię uwieść bez żadnych skrupułów — ambasador wyjaśniał jednocześnie niczym głos sumienia. — Jesteś przystojnym mężczyzną z atrakcyjnej, prymitywnej planety i dziewczyna zyska przez to rozgłos. Nie pozwól na to. Przypuszczalnie królowa pragnie twoich usług, a tymczasem wyczerpiesz się przy dworze trochę wyżej tylko stojącej w hierarchii od pokojówki. To bardzo niewłaściwe.

Oho! Flint nie znał różnicy między dworką a pokojówką, ale zaczął coś pojmować. Najpierw smok, teraz flirt — też zapewne próba. Królowa żywiła w stosunku do niego poważniejsze zamiary, niż przypuszczał. Położył dłoń na jędrnym udzie.

— Znakomite! — przyznał szczerze, przesuwając palce wyżej, do wypukłych pośladków. — Jakże żałuję, że nie mogę sprawdzić dokładniej.

— Och, przecież możesz — odparła namiętnie Delle. — Znam pokój, do którego nikt nie zagląda. Jest tam olbrzymie łóżce...

— Ale konieczność złożenia królowej Bess życzeń urodzinowych jest sprawą tak palącą, że wszystko inne przy niej blednie. Nie wolno mi zwlekać.

Wymawiając słowo “palącą” uszczyptał dziewczynę w pośladek tak mocno, że odruchowo podskoczyła i odsunęła się.

— Wspaniale! — odezwał się ambasador. — Jesteś urodzonym dyplomata.

Nie, pomyślał Flint. Nie dyplomata. Po prostu lubił sam podejmować decyzję, uwozić raczej niż być uwodzonym. Im bardziej ktoś popychał go w jakimś kierunku, tym bardziej on trzymał się własnej drogi. O czym ten drań gadający w jego czaszce przekona się we właściwym momencie. Ambasador zanadto się tym wszystkim interesuje.

Dziewczyna nie mogła mieć żadnych pretensji. Była lojalna wobec swej królowej — zapewne jej wysłanniczką, dokładnie wykonującą polecenia. Niewolniczy świat w Sferze Kanopus nauczył Flinta nie mylić stosunków łączących panów ze służbą. Ludzie, którzy zawiedli królową, mogą zapłacić głową. A nie ulega wątpliwości, że cokolwiek dzieje się w tym pałacu, nie uchodzi uwagi monarchini. Miejsce to było niczym gigantyczna pajęczyna (jedno z bardziej intrygujących zjawisk w systemie Sol) i biada temu, kto w trakcie lotu nieopatrznie w nią wpadnie.

Już spokojnie dotarli do drzwi głównej sali.

— Teraz musisz czekać na herolda — wyjaśniła Delle. — Następnie zbliżysz się po-

woli i złożysz królowej hołd.

— W porządku — mruknął ambasador. — Poprowadzę cię. Potem nie powinieneś mieć już żadnych kłopotów. Gdy zaczną krążyć trunki, prawie wszystko będzie dopuszczalne.

Flint szczęknął zębami na znak, że przyjął to do wiadomości. Zapewne później ambasador pójdzie sobie spać i zostawi podejmowanie decyzji Flintowi. W sprawach jedzenia, trunków i panienek Flint nie potrzebuje dobrych rad.

— Jego Ekscelencja Lord Pumpernikiel, Poseł Nadzwyczajny z Układu Sheriton w królestwie Barana — oznajmił herold.

Niski, pękaty mężczyzna podszedł drobnymi kroczkami i złożył głęboki ukłon królowej, która była jeszcze poza zasięgiem wzroku Flinta.

— Jego Wysokość Pupdubel z Polluksa, Najmiłościwszy Car Bliźniaków, Szlachty z Gemini.

Wysoki, chudy, starszy mężczyzna kroczył prosto, potykając się prawie o własną szpadę, a Flint dusił się ze śmiechu. Pupdubel z Polluksa? Brzmiało to jak dźwięk, który wydawał smok puszczając wiatry.

Lecz następna prezentacja była jeszcze gorsza.

— Regent Legendarnej Zielonej Planety, Latorośli Gwiazdy Etamin, Pogromca Smoka, Flint z Najdalszej! — wykrzykiwał herold.

Flint stał nieruchomo, oszołomiony śmiałością wyszukanych tytułów, jakie mu przypisano. Najdalsza nie posiadała Regenta, a on nie piastował żadnego stanowiska nawet w swoim plemienu. Czyżby chcieli z niego zakpić?

— Podchodź! — krzyczał głos w czasie. — Wszystkie ich tytuły są niedorzeczne. Popdod z Polluksa jest tylko ambasadorem, takim samym jak ja. On nie zawahał się ani chwili!

A więc Popdod przekształcił się w Pupdubla. Ambasador ma rację. Flint nie powinien w ogóle narzekać.

Ruszył śmiało i po chwili ujrzał wreszcie stojącą przed tronem królową. Była niska i błękitna, ale wyglądała imponująco w swych wywatowanych rękawach i krynolinowych obręczach, które czyniły ją jeszcze bardziej pękatą niż Delle. Szaty utkane miała z grubego pikowanego, przetykanego złotą nicią materiału. W każdym zakamarku stroju pysznie skrzyły się drogie kamienie. Szyję okręcało jej kilkanaście wysadzanych klejnotami naszyjników, zwisających do połowy ciała, aż poza krawędź opadającej pionowo sukni. Z karku, na wysokość dobrej stopy ponad głowę, sterczały wysokie krezy i konstrukcje z drutu. Włosy zakrywała peruka, dzięki której królowa sprawiała wrażenie, że pod spodem jest niemal łyśa. Na czubku peruki, niczym wieńcząca kościół wieża, usadowiła się korona. W prawym ręku monarchini dzierżyła berło — symbol władzy.

— Skłoń się — ponaglał głos. — Powoli i głęboko.

Flint stanął na wprost królowej Bess i zgiął się nisko.

— Jednak maniery ma nienajgorsze — odezwała się królowa.

Jej głos był szorstki i nieco skrzekliwy. Była krzepką niewiastą, nie młodą, ale i nie starą, z tak intensywnym makijażem na twarzy, że ta wyglądała jak przerażająca maska. Flint podejrzewał, że jej ciało pod wyszukany ubiórem w zupełności odpowiada temu, co prezentuje ów ubiór: rozdęte niczym beczka mocnego trunku. Być może dlatego właśnie popierała taką modę: zakryć swoje wady i wdzięki innych.

— Musisz wiedzieć, że jest wierną kopią prawdziwej Elżbiety Angielskiej — zaznaczył ambasador. — Oblepia się makijażem, bo tak samo czynił oryginał; pod spodem jest w rzeczywistości nieco młodsza. Jak Elżbieta, Bess jest twarda i bystra. To nie zbieg okoliczności: studiowała historię. Nie zapominaj o tym ani przez chwilę. Złóż jej życzenia urodzinowe, lecz nie waż się wspominać o wieku.

To byłoby mało prawdopodobne; Flint nie znał jej wieku, a ambasador już wcześniej ostrzegał go przed tym. Z całą pewnością była starsza od najstarszej kobiety z plemienia Flinta na Najdalszej.

— Planeta Najdalsza przesyła ci hołd i najlepsze życzenia urodzinowe, miłościwa królowo.

— Cała planeta! — wykrzyknęła chichocząc zgoła męskim głosem. — Witamy cię, wysłanniku ze Smoka.

— Teraz wycofuj się — odpowiedział ambasador. — W kolejce czekają inni, a ty masz już spokój. Królowa Bess zaakceptowała cię.

Flint wycofał się. Jak dotąd nieźle; skoro najgorsze ma za sobą, reszta wieczoru powinna minąć bez problemów. Po komnacie roznosiła się już smakowita woń potraw, a w kącie dostrzegł ustawione beczki z trunkami. Był głodny i spragniony, a potem może nawet będzie miał sposobność wyjść i bez pośpiechu popatrzeć na gwiazdy. To dobra strona nocnych uczt: na niebie świecą gwiazdy.

Wpadł na kogoś. Na jego drodze pojawił się młody człowiek, którego przed chwilą jeszcze tutaj nie było. Ubrany był w obcisłe brązowe trykoty, wywatowane suspensorium, jaskrawoczerwoną pelerynę, na twarzy miał zaś butny, szyderczy uśmiezek.

— Wybacz — odezwał się głośno młodzieniec. — Nie wiedziałem, że cierpisz na zaburzenia wzroku. Dureń ze mnie, że nie uświadomiłem sobie od razu, iż ktoś tak zielony na twarzy jak ty, musi mieć kłopoty ze zdrowiem.

— Szuka zaczepki — ostrzegł ambasador. — Zignoruj go. Dwór pełen jest młodych próżniaków szukających powodów do zwady.

— Zieleń jest moim naturalnym kolorem — odparł łagodnie Flint. — Większość ludzi wie, że jest to spowodowane promieniowaniem mojej gwiazdy i atmosferą planety, z której pochodzę. Wzrok mam doskonały, lecz przyznaję, że oczy akurat miałem skierowane na królową, a nie posiadam dodatkowej pary jeszcze gdzieś indziej.

— Twierdzisz, że ja posiadam? — spytał dandys sięgając dłonią do główki szpady. Sprawiał wrażenie, że aż się prosi o to, by go obrazić. — Ja, lord Boromo z Rydwana?

— Zignoruj go — powtórzył głos w czaszce. — Znam to imię. To notoryczny awanturnik, a przy tym świetnie włada bronią. Ma na sumieniu kilkunastu niewinnych ludzi. Ale jeśli wyciągnie broń tutaj, w obecności królowej, obrazi ją i jego głowa się potoczy. Więc ty nie wyciągaj swojej szpady!

Flint odwrócił się plecami do młodego człowieka, choć bardzo miał ochotę zdrowo mu przyłożyć. Boromo jednak nie miał zamiaru ustąpić.

— Tylko kompletny barbarzyńca może potrafić kogoś znaczniejszego od siebie i nie wiedzieć, że należy przeprosić.

— Słusznie — odparł Flint odchodząc. Wśród zebranych w sali rozległ się szmer śmiechu. Było w tym coś więcej niż przelotne zainteresowanie zwadą.

— Boromo jest o ciebie zazdrosny — odezwał się ambasador.

— Próbuje cię sprowokować do pojedynku i zabić lub w najgorszym razie upokorzyć i tym zdobyć uznanie dla siebie. Takie panują tu reguły gry. Zagrałeś dobrze, oddając zniewagę — lecz nie spodziewałem się tego. Byłoby chyba lepiej, gdybyś pożegnał się i wrócił do ambasady.

— W chwili gdy bał zaczyna się naprawdę? — spytał Flint, dodając w myślach: a temu szczeniakowi dać satysfakcję ucieczką? — Nie, całkiem mi tu dobrze — mruknął skręcając w stronę trunków.

Zza kotary dobiegały pierwsze tony muzyki. Eleganccy dworzanie zaczęli płaśy z dziewczętami w krynolinach. Ruchy ich były odmierzone i majestatyczne, stylizowane jak tańce godowe pewnych gatunków zwierząt. W takt muzyki beczułkowate spódnice zaczęły się poruszać, a następnie kołysać niczym ogromne dzwony, sugerując powabne i nęcące kształty ukrytych pod nimi tyłeczków. Flint zauważył swoistą metodę w tym skomplikowanym sposobie ubierania: odpowiednia sugestia była bardziej podniecająca niż zwykła golizna. Honeybloom, tam na Najdalszej, była niezwykle rozkoszna w swej nagości — lecz brakowało jej sztuki zręcznego prowokowania, jaką posiadały te zapudełkowane piękności.

Nieoczekiwanie pojawiła się Delle.

— Czy zaprosisz mnie do tańca, przystojny pośle ze Smoka? — spytała zuchwale.

Flint nie miał pojęcia, jak się to tańczy, i podejrzewał, że próbując ośmieszy się tylko. Ale też nie uważał za stosowne przyznawać się do tego.

— Wolę popatrzeć — odparł.

Wydęła wargi robiąc kwaśną minę.

— Panie, obrażasz mnie.

Zbliżył się kolejny goguś, równie jaskrawo i bez smaku ubrany, jak poprzedni.

— Czyżbyś ośmielił się obrazić damę? — spytał.

— To zależy od damy — odparował Flint.
Goguś nadął się.
— Takiego zarozumiałstwa i bezczelności nie można tolerować!
— Dlaczego nie? — spytał Flint.
Pojawił się pierwszy lalusz, Boromo.
— Temu zwierzakowi brakuje poczucia honoru — stwierdził.
— Ostrze szpady byłoby skutecznym na to lekarstwem — oświadczył drugi, a Flint dostrzegł błysk porozumienia w ich oczach.
Delle rzuciła gniewne spojrzenie na Flinta.
— Pozwolisz im tak do siebie mówić?
Flint udał zdziwienie.
— Myślałem, że zwracają się do siebie nawzajem.
Kolejny szmer śmiechu przebiegł po komnacie. Obaj awanturnicy poczerwienieli, a ich dłonie dobrze wyćwiczonym gestem sięgnęły po główne szpad.
— Hola! A co to takiego? — rozległ się głos królowej, majestatycznie sunącej w ich stronę.
— No, no — odezwał się ambasador. — A więc zamieszane w to są i Bess, i ta panna. Muszą wiedzieć, kim jesteś, o Kirlianie, o wszystkim.
Flint zgodził się z tym. Zaczęły się chyba kłopoty. Zdarzyło się zbyt wiele drobnych epizodów. Przypuśćmy, że ci ludzie, do tego stopnia antynaukowi, są przeciwni sformowaniu galaktycznej koalicji? Eliminując go mogą zadać skuteczny cios tej sprawie. Nie mieli wszakże odwagi uczynić tego jawnie z obawy przed potężnym dwudziestoczwartowiecznym okrętem bojowym, jaki zostałby z całą pewnością wysłany z najbliższej floty kosmicznej Imperium. Jedna salwa oddana z takiego statku obróciłaby w przynę połowę planety, cofając ją dosłownie w mroki średniowiecza. Muszą więc próbować subtelniejszych środków.
Trafił w gniazdo żmij. Ale wciąż posiada atuty: ów domniemany krążownik międzygwiazdny, głos ambasadora w czaszce, wreszcie własny spryt. Śmiałe posunięcia mogą przynieść pożądane rezultaty. Podróż tutaj nie była wcale gorsza niż transfer do obcych Sfer!
— Ten bałwan obraził twój majestat, pani — rzekł lord Boromo.
Flint skłonił się lekko w stronę królowej.
— Obawiam się, że zaszło nieporozumienie, królowo Bess. Nikogo nie obraziłem.
— Proszę, a teraz nazywa mnie kłamcą! — dramatycznie wykrzyknął Boromo.
— Wzywam wszystkich tu obecnych na świadków, że...
A zebrani naturalnie poprą jego sprawę, byle tylko doprowadzić intrygę do końca. Czekali tylko na ostateczną decyzję królowej.
— Wysłałam po ciebie gwardzistę Imperium — odezwał się ambasador. — Ale to zaj-

mie trochę czasu. Graj na zwłokę, jak długo ci się uda. Ale cokolwiek się wydarzy, nie wyciągaj broni! Bo wtedy i my już będziemy bezradni.

Królowa zwróciła twarz w stronę Flinta; ujrzał w jej oczach błysk wahania i kalkulacji. Najwidoczniej nie była jeszcze pewna, ile może zaryzykować.

— Nie spodziewałem się, że Smok przyśle swego posła po to, by zakłócić nasz bal — odezwała się w końcu.

Lecz Flint miał już dosyć takich pułapek na myszy.

— Nawet Smok może się w końcu zirytować ujadaniem psów — warknął.

Królowa Bess szeroko otworzyła usta. Obaj gogusie wyciągnęli do połowy szpady z pochew.

— Obrza majestatu! — wykrzyknęli zgodnym chórem. — Udziel nam zgody...

Królowa prawie niedostrzegalnie skinęła głową. Szpady wysunęły się z pochew całkowicie... i Flint zareagował.

Rąbnął na odlew w twarz lorda Boromo; zaciśnięta pięść wyrznęła go z całą mocą w szczękę. Awanturnik runął na ziemię jak trafiony maczugą — co faktycznie miało miejsce, gdyż pięść barbarzyńcy, wzmocniona jeszcze w Sferze Sol treningami karate, była jak maczuga, zdolna zgruchotać najtwardszą kość. W następnej chwili Flint chwycił śmigającą w jego stronę klingę szpady drugiego zawadiaki. Dzięki temu, że broń nie posiadała ostrza, nie rozciął sobie palców. Zatrzymał impet broni, przekręcił ją z łatwością i wyłuskał z dłoni przeciwnika. Chwycił obiema dłońmi szpadę i napinając z całych sił mięśnie, przełamał klingę na pół. Następnie podskoczył do bezbronnego mężczyzny i kolanem kopnął go w suspensorium. Goguś jak kłoda zwałił się na podłogę, a Flint rzucił na ziemię połówki złamanej szpady.

Trwało to tylko chwilę, a Flint nawet nie wzburzył sobie fryzury i nie zmiął ubrania. Ponownie zgiął się w ukłonie przed królową.

— Smok przeprasza, że dopuścił, by psy sprawiły przykrość miłościwej królowej, i prosi o wybaczenie.

— Nawet nie sięgnął po broń! — westchnął ktoś w ciżbie.

— Dwaj najwybitniejsi szermierze królestwa!

Królowa na tyle, na ile było ją stać, uśmiechnęła się łaskawie. Nie mogła przyznać się do jawnego współudziału w spisku wymierzonym w Imperialną Ziemię, a jednocześnie nie chciała wystawiać na widok publiczny swego niepowodzenia. Gdyby Flint jej groził, wezwałaby po prostu gwardię pałacową. Ale Flint stanął rycersko po jej stronie, zachował się jak sprzymierzeniec, zatem sytuacja zrobiła się niezręczna.

— Smok wykazał więcej męstwa w przeprosinach niż inni w zwycięstwie — zauważyła. — Niech Smok postanowi, jak postąpić z tymi awanturnikami.

— Zawiedli ją jako zabójcy — wyjaśnił głos w czaszce. — Śmierć jest karą; nie tylko za to, że nie wypełnili zadania, ale i po to, by zapewnić ich milczenie. Nie sprzeci-

wiaj się temu.

Tego jednak Flint nie lubił. Mógł zabić w ferworze walki, ale nigdy tak, z zimną krwią. Zdawał sobie zarazem sprawę, że królowa wciąż poddaje go próbie. Prawdziwy przyjaciel nie zawaha się przed spełnieniem jej życzenia.

— Smok nie zabija psów — oświadczył. — Pozwól im zmasać winę przez wierną służbę w roli woźniców twego smoczego rydwanu. — Równało się to właściwie karze śmierci, gdyż Stary Piekielnik z pewnością nie odniesie się przyjaźnie do takich typów, zwłaszcza gdy dobra królowa życzy sobie ich śmierci. Ale odpowiedzialność już spadnie na nią. — Jeśli nie wywiążą się z tego zadania i zginą, niech ich ciała zostaną porzucone drapieżnikom na pustkowiu, a gdy kości będą już czyste, należy zakopać je pod podłogą domów, w których mieszkali za życia. W ten sposób ich duchy nadal będą służyć królowej.

Zapadła głucha cisza. Flint zaproponował honorowy pogrzeb plemienny z Najdalej, lecz był świadom, iż tym bardziej oświeconym ludziom może się to wydać zupełnie czymś innym. A ponadto uchylił się od natychmiastowego wykonania wyroku śmierci. Jaka będzie reakcja królowej?

— Mój człowiek jest już prawie na miejscu — odezwał się ambasador.

— Zjeżdżaj, Impie — odparł bezgłośnie Flint.

— Twój miecz, Smoku — rzekła królowa wyciągając błękitną rękę.

Coś źle obliczył. Kogo zamierzała zgładzić — jego czy ich?

Flint posłusznie wyciągnął broń, chwycił palcami klingę i wyciągając ją przed siebie, wsunął rękojeść w wyciągniętą dłoń królowej. Gdy tylko metal dotknął jej palców, po mieczu przebiegło coś jakby lekkie wyładowanie elektryczne. Broń przeniosła do ręki Flinta impuls silnej aury Kirliana!

— Klęknij — rzekła stanowczym głosem.

No cóż, uczynił wszystko, co w jego mocy. Karą za niewypełnienie rozkazu mogła być tylko śmierć. Ale nie miał zamiaru błagać o darowanie życia. Jeśli źle ocenił królową, to wyłącznie jego wina. Uklęknął.

Królowa Bess uniosła miecz, po czym opuściła go w dół. Ostrze dotknęło najpierw prawego, a następnie lewego ramienia Flinta.

— Pasuję cię na Lorda Męstwa — rzekła z namaszczeniem. — Powstań, rycerzu Smoku.

Kompletnie oszołomiony Flint wypełnił rozkaz, królowa zaś oddała mu szpadę.

Zmrużyła oczy i odezwała się szeptem, który tylko on mógł dosłyszeć.

— Podejrzewałam, że masz silną aurę, kiedy ujarzmiłeś Starego Piekielnika. To wyjątkowa bestia — i mój osobisty pupil. Dzisiejszej nocy, po uczcie, będziesz miał sposobność ponownie udowodnić swą śmiałość. Przyjdź do moich komnat.

Ostatnie słowa wypowiedziała na tyle głośno, że dosłyszało je całe towarzystwo. Po

sali przeszedł szmer zaskoczenia i podziwu.

— O to właśnie jej chodziło — rozległ się w czaszce również przerażony głos ambasadora. — Od miesiący nie miała kochanka. I niestety, musisz tam jednak iść. Przemycimy ci afrodyzjak, byś sprostał zadaniu...

Flint wsunął język pod odbiornik radiowy, odlepił go od podniebienia i połknął urządzenie. Głos natychmiast zamilkł.

— Oby związek Imperium z Królestwem był równie mocny jak to, czego tej nocy doświadczymy — rzekł z emfazą.

— A więc zniszczyłeś radio Impów — mruknęła.

Wiedziała! Prawdopodobnie miała cały czas nasłuch. Kultura tej planety mogła być jeszcze pretechnologiczna, lecz istniały widać sposoby zdobycia wytworów wysokiej techniki i zmyślna władczyni zapewniła je sobie. Nie było to wcale sprzeczne z prawem; Ziemia popierała rozwój kolonii. Nic dziwnego zatem, że ją zainteresował. Z tymi ciągłymi radami otrzymywanymi z ambasady Sol musiał rzeczywiście sprawiać wrażenie obrotnego, szpiega.

— Imp obraził mnie... i ciebie — odezwał się Flint. — Nie potrzeba mi szpiegowania za pomocą wysokiej techniki. Prawdziwy mężczyzna pozna prawdziwą kobietę — choćby ta była królową.

— Będiesz zaskoczony, jak młoda może być królowa, kiedy zmyje makijaż.

— Mam nadzieję, że będzie pełnoletnia — odparł Flint unosząc brew.

— A w twojej kulturze istnieje coś takiego jak wiek przyzwolenia?

— Naturalnie, że nie.

Uśmiechnęła się lekko, spoglądając na powalonych pyszałków; już teraz wyglądała dużo młodziej. Flint dotąd sądził, że kobiety się malują po to, by wyglądać młodziej; tu jednak prawda okazała się inna.

— Zatem jesteś z Najdalszej — rzekła.

— Tak, lecz wypełniam zadanie zlecone mi przez Ziemię. Zapewne wiesz jakie.

Uśmiechnęła się znowu.

— Przyznaję, że w przeszłości żywiliśmy poważne wątpliwości co do polityki Imperium. Ale myślę, że teraz nie będzie już nieporozumień. Imperium przysyła bardzo interesujących posłów.

Odwróciła się i odpłynęła majestatycznie w kierunku tronu.

Znow zaczęła grać muzyka i podjęto przerwane tańce. Delle uśmiechnęła się do Flinta.

On zaś wiedział, że minie wiele dni, a może tygodni, nim dostanie królewską dyspensę od swych obowiązków. Bess była kobietą z prawdziwego zdarzenia — silną, energiczną, inteligentną — a aura Kirliana dodawała jej tyle atrakcyjności, że przy królowej blade były wszystkie inne pałacowe piękności.

Z wielu względów tutejsi ludzie byli jeszcze dziwniejsi niż obce stwory z innych Sfer. Niemniej Flint spodziewał się, że spędzi wśród nich wiele pięknych i niezapomnianych chwil. Tutaj, w układzie Capelli.

7.

Ogon Małej Niedźwiedzicy

wiadomość podmiotowy kirlian transferowany do sfery polarnej agent nadal nieosiągalny

— polarna jest najbardziej rozwiniętą sferą w tym regionie! przygotować kolejnego agenta konieczność natychmiastowej likwidacji podmiotu —

Dostrzeżenie czynniki miejscowe dopuszczają infiltrację tylko przez doświadczonego agenta o wysokim kirlianie

— jakie czynniki? —

polariańska filozofia kolistości istnienie kultu taroka system długów znakomita sieć wywiadowcza

— czy te same czynniki nie pohamują misji istoty podmiotowej? —

prawda

— POTĘGA —

co?

— koniec, idioto, potęga, jak to, czego potrzebujemy —

och, przepraszam, CYWILIZACJA

— (co za bałagan!) —

RAPORT — REKONESANS SFERYCZNY

Do Jego Absolutnej Kolistości, Premiera Polariańskiego:

O Największe z Kół, oto mój raport: jak mi poleciłeś, ulokowałam się na drodze tego, którego poszukuje nasza Sąsiednia Sfera, tego o nadzwyczaj intensywnej aurze Kirliana, Solarianina Flintkowała. Przejęłam go, gdy podążał na miejsce łowów jego Wodza “Potężnej Tyczki”. (Solarianie, O Sławetny Obrocie, nie używają koła na obrzeżu swej Sfery i przejawiają tendencje do myślenia kategoriami sztywnych, ruchomych prętów, za których pomocą się poruszają. Zatem “Potężna Tyczka” lub “Mocna Włócznia” znaczą w wolnym tłumaczeniu “Wielki Krąg”, bez urazy dla ciebie.) Nawiązaliśmy rozmowę i Obcy Flintkował, kamieniarz, wyświadczył mi grzeczność zapraszając do towarzystwa w drodze, na co przystałam. Podczas wspólnej podróży oddaliśmy sobie wzajem-

nie drobne przysługi, a zarazem miałam okazję do fizycznego kontaktu z nim i stwierdziłam, że posiada najpotężniejszą emanację Kirliana, z jaką się w ogóle zetknęłam; sto, a może dwieście razy silniejszą od mojej, zwyczajnej. Przechwycony przez nas raport solariańskiego rządu był ścisły: to może być najsilniejsza jednostkowa aura w naszej galaktyce.

Upewniwszy się o tym, O Czcigodny Sprawco Ruchu Kolistego, nie mogłam się w zręczny sposób odłączyć, gdyż nie dotarliśmy jeszcze do prymitywnego polowania Solarian. Flintkowałowi groziło niebezpieczeństwo, a ponieważ utrzymujemy przyjazne stosunki z tymi laskowatymi osobnikami, czułam się zmuszona jakoś go chronić. Choć jego ciało jest groteskowe, tak jak u całego tego gatunku, w naszym rejonie Galaktyki Miriady Pyłków nie istnieje nic takiego jak jego Kirlian. W rzeczywistości, nie ośmielając się niczego radzić tak Potężnemu Obrotowi jak Twoja Kolistość, byłabym skłonna obracać się ku jak najsilniejszym koligacjom kulturowym i ekonomicznym ze Sferą Solarian, a to ze względu na możliwość badań tego zadziwiającego okazu Kirliana. Być może gdy wejdziemy w posiadanie sekretu transferu — proszę wybaczyć; kontakty z Solarianami wpłynęły na mój słownik: miałam na myśli, kiedy nastąpi nasz obrót transferu — zapewne odkryjemy sposoby wzbudzania podobnych aur wśród naszego gatunku, gdzie aktualnie najwyższa intensywność wynosi około pięćdziesięciu.

Miałam okazję uchronić życie Flintkowałowi od zagłady niesionej przez zwierzę, na które polowali, “Starożytnego Nos-Sapacza” (większość gatunków solariańskich, zarówno rozumnych, jak i tylko odczuwających, posiada oddzielne narządy oddechowe zdolne do wytwarzania dźwięków, szczególnie w wypadku infekcji; w ten sposób stworzenie owo bez przerwy trąbi i parska i stąd jego nazwa, tłumaczona raz jako “Wiekowy Trębacz”, kiedy indziej jako “Stary Parskacz”). Ale później Flintkował uchronił również moje życie od podobnego niebezpieczeństwa. W ten niezamierzony sposób wymieniliśmy długi życia i zostaliśmy zmuszeni do zawarcia Ugody — pierwszej, jeśli się nie mylę, między Polarianinem i Solarianinem. (Nie było też ich wiele między Polarianami i Nathianami. Tak naprawdę Wymiany takie między Sferami są bardzo rzadkie.) (Ale oczywiście Sfera Nath jest z nami w najdłuższym kontakcie.) Zatem kończę swój raport w momencie wzajemnie złożonej obietnicy i wycofuję się z obserwacji tego przypadku. W żaden sposób nie stracę zainteresowania mym Bratem w Długu, a jeśli kiedykolwiek pojawi się w naszej Sferze, domagam się wobec niego Priorytetu.

OD: Małego Łożyska; Agentki Polariańskiej Tsopi, Oddział Obwodowy.

ZAŁĄCZONY OKÓLNIK Wielkiego Koła:

Jak bezczelnie to Małe Łożysko wkręca się w sprawy Kolistę, ośmielając się informować nas o historii, a nawet udzielać porad! Lecz mimo jej częstego odchodzenia od właściwego tematu oraz skróconego wirowania, należy do naszych najlepszych agentów

polowych. Zauważ, jak subtelnie, w interesie swej misji, narzuciła się Solarianinowi i jak lojalnie chroni teraz swoje interesy, gdy wyłudziła Wymianę Długów. Ta mała tarcza potoczyła się w miłość do obcej tyczki, oszołomiona jego aurą Kirliana. Piękna i Bestia! Chce zapewne dostać się do Kręgu Rekordów: oto pierwsza Wymiana Długów między Polarianinem i Solarianinem. Wręcz domaga się Spełnienia! Świetnie, możemy się pokręcić w tym wirze; jeśli Solarianin Flintkował w ogóle się tu pokaże (mało prawdopodobne!) — należy przeznaczyć Tsopi na jego przewodniczkę. Jeden lub dwa cykle przymusowego kontaktu z Obcym uleczy się z takich zachcianek; zyska rozgłos i wkrótce jej koło będzie się normalnie obracać. (Nigdy nie uwzględnilibyśmy takiej petycji, gdyby Tsopi nie była tak sprawną agentką, bystrą jak wirczyk.)

Flint zaczął się przewracać; próbował wysunąć do przodu stopę, ale odkrył, że stóp nie posiada. Zagarnął rękami powietrze: nie miał i rąk.

Pochwyciła go w pół silna, giętka macka.

— Delikatnie, przyjacielu — w jego lśniącej skórze zabrzmiał miękki głos. — Używaj koła, obecnie jesteś Polarianinem. Żadnych laskowatych kończyn, żadnych ludzkich odruchów. Myśl kuliście.

Użył koła, łapiąc chwiejną równowagę. Było to jak balansowanie na płynącej rzeką kłodzie drewna: musiał być cały czas w ruchu, by uniknąć katastrofy. Zarówno fizycznej, jak umysłowej.

— A więc wiesz! — odezwał się Flint odkrywając, że mówi za pomocą małej wirującej kulki na końcu swego ciała, przytkniętej do jasnej skóry.

— Nasze Sfery utrzymują ze sobą stosunki dyplomatyczne — mówił tamten. — Otrzymaliśmy w kapsule wiadomość, że przybywasz do nas. Zostałam zatem ściągnięta tutaj z Obrzeża, by ci towarzyszyć.

Dopiero teraz zaczął się szczegółowo przypatrywać swej towarzyszce. Nie posiadała oczu, lecz cała powierzchnia jej skóry była receptorem promieniowania świetlnego. Dzięki temu widziała może odrobinę mniej wyraźnie, ale w stopniu zupełnie wystarczającym, trochę jak ludzkim widzeniem peryferycznym rozciągniętym do pełnego koła — a raczej pełnej sfery. Mogła dosłownie patrzeć we wszystkich kierunkach naraz. Flint zatem znajdował się w towarzystwie Polarianki o niezwykle miłych proporcjach ciała, poczynając od małej kulki, a kończąc na wielkim kole. W istocie była bardzo piękna.

— Zatem wiesz, że jestem ze Sfery Sol, a nazywam się Flint — odparł. — Mogę wiedzieć, kim ty jesteś?

— Jestem Tsopi ze Sfery Polarnej — odrzekła.

Coś mu się zaczęło kojarzyć.

— Topsy... z Najdalszej?

Zajaśniała przyjaźnie.

— Ta sama, Flint.

— Ale powinnaś być teraz na Obrzeżu, dwieście lat świetlnych stąd...

— Zażądałam prawa pierwszeństwa. Jesteśmy rodzeństwem w długi.

Ach, tak. Przypominał sobie, że faktycznie przywiązywała do tego jakąś wagę. Uratowali sobie wzajemnie życie w walce ze Starym Parskaczem. Ale...

— I twój rząd matermitował cię dwieście lat świetlnych po to tylko, byś mnie niańczyła?

— Taki u nas zwyczaj — odrzekła. — Pomogę ci we wszystkim.

Energia wartości kilku bilionów dolarów po to tylko, by ją tutaj ściągnąć — bo taki ich zwyczaj. Nawet mu się to spodobało. Nie tylko dlatego, że ograniczona pamięć nosiciela podpowiadała mu, iż Tsopi jest bardzo piękna; również dlatego, że znał ją od stro-ny ludzkiego doświadczenia. I szanował ją. Po raz pierwszy widział obcą istotę z dwóch punktów odniesienia — człowieka i transferowca; a to tylko rozszerzało perspektywę.

Lecz najpierw interes.

— Muszę przekazać twemu rządowi sekret transferu.

— Będzie jeszcze po temu okazja — odparła. — Za kilka dni spotkamy się osobiście z Wielkim Kołem.

Miejscowe dni, podpowiedziała mu pamięć, są nieco dłuższe od dni na Najdalszej czy na Ziemi, lecz zasada ich jest taka sama.

Jego kulka mówiąca wydała dźwięk zbliżony do tego, jaki wydaje paznokciec człowieka drapiący o kamień. (Zauważył mimochodem, że mała kulka do mówienia nazywa się kulką, podczas gdy kula służąca do poruszania się nosi miano koła, jakkolwiek obie posiadały ten sam kształt sferyczny. A kończyła była albo żeńską macką albo męskim ogonem.)

— Za parę dni! Topsy, to bardzo pilne!

— Będzie okazja — powtórzyła jak pielęgniarka uspokajająca niecierpliwego pacjenta.

Flint postanowił się na razie nie upierać. Tsopi go znała i przykładała najwidoczniej dużą wagę do związku z nim. Czy próbuje mu coś przekazać? Po zwyczajnych przecież w układzie Capelli intrygach Flint spodziewał się wprawdzie, że tutaj, w Sferze Polarnej zaskoczą go też pewne komplikacje, ale był rozczarowany.

Tsopi wskazała mu wejście do budynku. Do złudzenia przypominał siedzibę Ziemskiej Rady Ministerialnej, z rozległymi salami, wysokimi sufitami, klimatyzatorami i brakiem jakiegokolwiek roślinności. Co sprawia, że wszystkie cywilizacje tak ściśle trzymają się tego schematu? Pamięć nosiciela natychmiast mu podpowiedziała, że dla Polarian jest to całkiem naturalne, zgoła przyjemne: osobnicy tej rasy, podobnie jak rdzenni Ziemianie, uwielbiają otaczać się monumentalną architekturą.

Jak stworzenia pozbawione rąk wznosiły takie gmachy? I znów pamięć podsunęła

mu odpowiedź: Polarianie byli biegli w okrężnych manipulacjach przedmiotami i pomysłami. Nie nosili elementów prostopadłościennych, lecz toczyli kule do budowli. Tam gdzie człowiek kładł cegły, Polarianin przytaczał kamienie; gdzie człowiek wbijał gwoździe, Polarianin kładł klej. A efekt końcowy był raczej podobny, zupełnie jakby cywilizacje same z siebie kształtowały się w pewne konfiguracje, bez względu na gatunek tworzących je istot rozumnych. Nie istniały w tej Sferze prostopadłościany drapaczy chmur, lecz kopulaste diuny służące tym samym celom.

Tam gdzie na Ziemi byłyby schody, tutaj zjechali gładką pochylnią. Naturalnie pochylnie były dużo wygodniejsze dla kół, podobnie jak schody dla nóg. Pochylnie zresztą znajdowały się tu wszędzie, dostrajając się do ogólnej opływowości wzorów architektonicznych.

Z powodu dużego tłoku musieli posuwać się jedno za drugim. Ciągący się przed Flintem ślad Tsopi był słodki; posiadał prowokacyjny, kobiecy smak.

Smak? Flint skupił się i po chwili już wiedział. Polarianie zostawiali za sobą smakowy ślad swego koła, podobnie jak ludzie zostawiają zapach. Nie, znacznie więcej. Było to świadome oznaczenie swego przejścia, jak ślad ziemskich ślimaków. Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy w życiu ujrzał ślimaka na brzegu bezkresnej zatoki oceanu, pod dziwnie błękitnym niebem Ziemi. Dzisiaj nie poświęciłby już ani chwili uwagi barwie nieba jakiegokolwiek planety; niebo jest po prostu koloru nieba, właściwego dla danego świata. Lecz ów smak; każdy Polarianin był niczym wężący nieustannie ogar. Było to całkiem naturalne i tak naprawdę Flint z trudnością potrafił sobie wyobrazić, by mogło być inaczej.

— To są nasze generatory energii — mruknęła Tsopi o jego skórę, w ujmujący sposób odrzucając do tyłu swoją mackę. Ten rodzaj porozumiewania się był niezwykle przyjemny: dotyk i rozmowa jednocześnie. Polarianie byli gatunkiem żyjącym we wspólnocie i wymagali dużo więcej poczucia koleżeństwa niż istoty ze Sfery Sol.

— Orbitujące mikrosatelity — ciągnęła Tsopi — odbijają od generatorów połowę światła słonecznego mijającego naszą planetę.

Generatory te z kolei dostarczają energię dla naszego systemu przekazywania materii. Pozostałe potrzeby energetyczne są zaspokajane przez...

— Ośrodek władzy. — Flint dotknął własną kulka jej ciała; nie do wiary, ależ to było przyjemne! — Najwyższego Ministra, Regenta, przywódcę...

— Wielkie Koło — uzupełniła. — W rzeczywistości jest on bardziej koordynatorem skupiającym wszystkie spirale. Nie istnieje u nas podobna do waszej...

— Wszystko jedno, jak się nazywa; ten, do kogo powinienem się zgłosić. Czy jest gdzieś w pobliżu?

— Tak, Koło jest tutaj. Ale nie ma...

— Wybacz, jeśli urażam twoją wrażliwość — przerwał jej Flint. — Dobrze mi w two-

im towarzystwie i pragnę wiele się dowiedzieć o twojej Sferze. Lecz moja misja ma znaczenie ogólnogalaktyczne. Najpierw obowiązek, potem przyjemności.

Odsunął kulkę od jej skóry i skręcił w najbliższe odgałęzienie korytarza.

— Nie rozumiesz — zabuczała o podłogę, ruszając za nim. — Nie robimy rozróżnienia... najpierw musi być...

Lecz Flint, w jakimkolwiek ciele, świetnie umiał mylić pogoń. Przyspieszył, dobrze już panując nad kołem — a było ono doskonałe, mimo że sferyczne. Tsopi z łatwością prześcignęłaby jego ludzkie ciało na płaskim terenie, ale jego umysł w połączeniu z ciałem zdrowego Polarianina był już dla niej zbyt silnym przeciwnikiem. Przeleciał kolejne skrzyżowanie, pomknął pochylnią i ukrył swój trop pośród bezliku innych smaków na często uczęszczanej trasie. W kilka chwil umknął Tsopi, podobnie jak umknął swoim prześladowcom na Lunie, trzy światy temu.

Lecz tam, na ogromnym, jałowym księżycu Ziemi, nie zdołał uciec swemu losowi. Nosił bowiem w sobie przeznaczenie. Marne to wszak porównanie; obecnie nie uciekał wcale przed wypełnieniem misji, lecz przeciwnie, aby ją wypełnić.

Zatrzymał się, by już po fakcie rozważyć powody swej nagłej ucieczki. Ufał swemu pierwotnemu instynktowi, jakkolwiek jego umysł wzbraniał się przed bezkrytycznym podporządkowywaniem się odruchom. Cywilizowane aspekty jego umysłu zaczynały brać górę i musiał je uwzględniać. Dlaczego uciekł od tak uroczej i chętnej do pomocy istoty, jaką była Tsopi? Zwłaszcza, że poznał ją u siebie w domu, na Najdalszej; razem ścigali dinozaura; a raczej byli razem ścigani. Starego Parskacza nie ścigał nigdy nikt!

Owszem, mogła stanowić groźną przeszkodę w wypełnieniu zadania. Nawet niezamierzenie. Jego uwaga mogła bowiem skierować się na tory bardziej romantyczne; Tsopi była nie tylko słodka w smaku, ale i sympatyczna. Nie chciał zbrukać wspomnień o Honeybloom, goniąc za pierwszą piękną macką, jaką napotkał. Mógł jednak wyjaśnić Tsopi, jak ważny jest cel jego misji, gdyby się naprawdę postarał. Nie jest to więc jedyny powód. Musi lepiej poszperać.

Wreszcie dotarło do niego: Tsopi zbyt wiele o nim wiedziała. A to czyniło ją niebezpieczną, bez względu na to, jak dobre miała intencje. Dopóki nie spotka się z władzami tej Sfery, jest zagrożony: gdyby się mu coś przytrafiło, Polarna stracona dla koalicji galaktycznej. Sol teraz próbowała już słać innych agentów do różnych Sfer, na przykład do olbrzymiego Sadora, żaden z nich jednak nie powrócił. Pamiętając niemiłe przygody w Sferach Kanopus i Spika, Flint domyślił się, czemu te próby zawiodły. Tylko on sam zdołał pokonać zawilóści transferu w obce ciała i obce kultury, i bezpiecznie powrócić do Sol. Udało się mu to dwukrotnie, zarówno dzięki szczęściu, jak i własnej przemyślności. Obecna wyprawa zapowiadała się dużo prościej od dotychczasowych — ale nie mógł mieć zupełnej pewności. Nie wolno mu zwlekać z wypełnieniem zadania, choćby powody tej zwłoki wydawać się mogły w tej chwili nie wiadomo jak atrakcyjne.

Ale i to jeszcze nie cały problem. Za każdym razem, gdy docierał do sedna swych obaw, odkrywał kolejny, głębszy poziom. Czy Tsopi naprawdę jest tak niewinna i ma tak dobre intencje? A może w rzeczywistości jest właśnie ową sprawną agentką antykoalicyjną, zwerbowaną świadomie lub zawiądnęta przez obcy transfer? Nie posiadała silnej aury Kirliana — ale nie mógł mieć pewności, że zmysły polariańskiego ciała potrafią wyczuć lub zataić istnienie aury. Jeśli ciało Tsopi jest w posiadaniu innego stworzenia, może to być Cle z A[th] lub Llyana Falowiec ze Spiki — istota, które animowała tamte ciała. Nawet mało niebezpieczna sytuacja może się nieoczekiwanie skomplikować. Być może właśnie ta jego lekko paranoiczna podejrzliwość sprawiła, że wyszedł cało stamtąd, gdzie inni przepadli? Jeśli Tsopi jest rzeczywiście transferowcem, stanowi śmiertelne zagrożenie. Oczywiście możliwość, że opanowała ją złośliwa, tajemnicza istota z obcej Sfery, która usiłowała go już dwukrotnie zgładzić, wydawała się niewielka; tamtą uwięził przecież w ciele nosicielskim. Niemniej należało liczyć się z tym, że dziecko mogło umrzeć oswabdzając tym samym matkę, albo też zadanie zostało przekazane komuś innemu. Potrafili wytropić jego transfer; wszystko zatem sprowadzało się do jednego: jak bardzo im na nim zależy?

Niemniej Tsopi była tu przed nim. Jeśli więc szpiedzy nie mieli dostępu do informacji Sfery Sol, z absolutną pewnością można wykluczyć obcy transfer. Nie byłiby w stanie przecież wytropić jego transferu, dopóki on nie został transferowany! A jednak nie dawało mu spokoju, że nikt uprzednio go nie powiadomił, iż jest oczekiwany w Sferze Polarnej. Mogło to być zwykłe przeoczenie biurokraty; takie rzeczy często się zdarzały. Rada Ministerialna, co było do niej podobne, zapomniała go powiadomić o swych planach wobec niego. A może Polarianie mają tak sprawną sieć wywiadu, że znaleźli dostęp do tajnych planów Sol i robią z tego użytek. Jeśli okaże się, że Tsopi jest niewinna, przeprosi ją jak najuprzejmiej — ale już po przekazaniu Wielkiemu Kołu technologii transferu.

Na razie jednak musiał działać w pojedynkę — jak zwykle. Tym się akurat nie przejmował. Najlepiej załatwić to samemu.

Gdzie konkretnie może przebywać Wielkie Koło? Ponieważ Tsopi niewątpliwie spowoduje pościg — czy jakiś inny toczący się jego odpowiednik — musi działać szybko. Gdzieś w pamięci ciała jego nosiciela powinien znaleźć odnośne informacje. Zmitrężył jednak tyle czasu na zgłębianie swych motywów, że nie mógł już sobie pozwolić na dokładne wertowanie tej biblioteki. Przede wszystkim potrzebował czasu. Poprzednie misje oduczyły go działać pospiesznie. Mimo to musi działać szybko — a więc paradoks.

Przeciął ślad zapachowy wabiący do chwilowej bezpiecznej przystani każdą znajdującą się w kłopotach istotę. Był to zostawiony tutaj świadomie zapach kapłański — zapewne jakiegoś polariańskiego mnicha. Ponieważ Flint nie chciał działać ani powoli, ani też na osłep, mogło to stanowić dobre rozwiązanie. Ruszył tropem.

Z taką wskazówką chwilę tylko zajęła mu droga przez splątaną sieć ramp i odnalezienie sanktuarium.

Zatrzymał się w portalu, gdzie ślad przyniósł mu nagle posmak ostrzeżenia. Był to zapach głupiutkiego, młodego stworzenia, ambitnego i inteligentnego, staczającego się nieoczekiwanie w przepaść. A kojarzyło się to wszystko z płonącym ogniem, płynnością wody, rozrzedzeniem powietrza i twardością gruntu. Ogólna sugestia smaku mówiła, że nie było to wyłącznie miejsce schronienia, ale i wiedzy — większej, niż przeciętny umysł mógł pragnąć.

Nie było to zagrożenie samo w sobie. Flint nie obawiał się wiedzy; przeciwnie, pragnął jej jak najwięcej. Przetoczył się przez próg.

I pochylnia zapadła się. Z przerażeniem runął w ciemność — Polarianie byli równie jak Solarianie wrażliwi na upadki — i wyciągnął rozpaczliwie ogon, by uchwycić się czegoś, podeprzeć. Żadnej podpory jednak nie było.

W końcu jego koło dotknęło ściany, a raczej bardzo ostro nachylonej powierzchni, zbyt stromej, by się po niej dało posuwać. Jednak, aby się uchronić przed podrapaniem, wprawił w ruch koło i przyłgnąwszy do stromizny zaczął się staczać nieco bardziej świadomie. Z pewnością nie uratowałoby go to przed katastrofą, lecz była to odruchowa reakcja ciała; Polarianin wolał umierać z obracającym się kołem.

Stromizna stopniowo malała, a ściana zakrzywiała się w powierzchnię, na której mógł już znaleźć zaczepienie dla koła. Nie odczuwał tu smaku; nikt tędy ostatnio nie przechodził. Obecnie był to już tylko stromy tunel, który umożliwił pewne wyhamowanie impetu.

Stopniowy spadek wyrównywał się, choć podłoże cały czas było irytująco pozbawione smaku. Flint wyhamował łagodnie na samym dole. Przeleciał niemały dystans, lecz ostatecznie nie wyrządził sobie krzywdy. Wszystko w porządku, ostrzeżenie u wejścia spełniło swoją rolę. Ścigający go nie ruszą za nim na oślep — chyba że jest tu jakieś inne wyjście. Nie — pamięć jego nosiciela wzbudzona dramatycznym upadkiem podpowiedziała, że przybysze zawsze używali tego właśnie otworu, wychodzili zaś inną, też jednokierunkową trasą, zamykając w ten sposób pełne koło. Była to wiedza powszechnie dostępna, jemu również — gdyby tylko wiedział, w które miejsce umysłu zajrzeć. Dlatego też nie chciał już więcej działać na oślep, bez dokładnego rozpoznania pamięci. Kolejna pułapka mogła się bowiem okazać dużo bardziej niebezpieczna.

Kiedyś będzie musiał poszukać sposobu obejścia wstępnej blokady informacji. Dotychczas całe jego zachowanie przypominało wysiłki w celu natychmiastowego przyswojenia sobie wszystkich reguł nowej, niebywale skomplikowanej gry lub pogryzienia orzecha tak dużego, że nie mógł zamknąć ust, a nawet włożyć go do nich. Z tym, że na razie nie posiadał w ogóle ust. Gdyby istniał jakiś stenograficzny zapis, system natychmiastowego pojmowania... ale w takim przypadku Llyana Falowiec z pewnością

wykorzystałaby go unikając romantycznej pułapki, w jaką wpędził ją Flint. Może więc brak takiego kompendium bardziej dotąd pomógł mu, niż zaszkodził.

Przybył — właśnie, dokąd? Pamięć jego nosiciela nie potrafiła tu pomóc; to ciało nigdy nie było wewnątrz świątyni tarotystów. Nie dlatego, by stanowiła ona jakąś szczególną tajemnicę; po prostu tak jak wpadnięcie do głębokiego dołu czy nocleg w nawiedzanej pieczarze, było to doświadczenie, bez którego swobodnie można się obejść.

Tarotyzm, który trafił tu przypadkowo — był nazwą kultu, systemu wierzeń, jak usłyszał kiedyś na Ziemi. Podstawą tego kultu było twierdzenie, iż wszelkie wyobrażenia boskości są słuszne. Owa koncepcja tu wyrażona była smakiem, a mimo to nie można jej było nie rozpoznać ze względu na symbol u wejścia do świątyni. Pierwszym kluczem w talii jest błazen — głupiec. Flint powinien był natychmiast sobie wszystko skojarzyć, gdyż wiedzę tę posiadał już w swej ludzkiej pamięci. Jaką korzyść może wyciągnąć z dokopywania się do pogmatwanych zakamarków mózgu nosiciela, skoro pomiąja swój własny?

Ale skąd, na galaktykę, wziął się tutaj tarotyzm? Ludzka religia u Polarian? Nie istniały przecież prawie żadne kontakty, szczególnie między ośrodkami kulturalnymi Sfer. Wprawdzie na planecie Etamina, Najdalszej — w ojczyźnie Flinta leżącej na pograniczu obu sfer — ludzie i Polarianie współżyli ze sobą przyjaźnie, ale tarotyzm jeszcze tam nie dotarł. Zatem jak...?

Nieoczekiwanie stanęła przed nim ciemna sylwetka Polarianina. Flint nie spostrzegł jego nadejścia. Prawdopodobnie był on tu cały czas, ale dopiero teraz, w narastającym świetle, wyłonił się z cienia. Tego właśnie Flintowi brakowało: ostrego, bezpośredniego widzenia dwojga ludzkich oczu, które trudno było zwieść. Wrażliwość Polarian na światło była w większości przypadków wystarczająca, lecz w trudniejszych warunkach bezużyteczna. Ciało to bowiem orientowało się głównie smakiem, a wzrok, dotyk i słuch miały znaczenie drugorzędne.

— Jestem Hierofantem — odezwała się istota. — Jaki jest twój Znak?

Flint przyłożył kulkę do własnej skóry. Pamięć nosiciela była pusta; nie mogła w niczym pomóc.

— Nie rozumiem.

— To jest Świątynia Zrozumienia — odrzekł Hierofant. — Czy pragniesz, by twoja tożsamość jądrowa stała się jawna, czy ukryta?

— Ukryta — rzekł Flint. Nie chciał zdradzać przed kapłanem swego pochodzenia ani celu misji.

— Spytajmy zatem Arkana o twój Znak — twój symbol. W rzeczywistości wyboru dokonasz sam, choć pozornie na ślepo; żaden znak prócz właściwego nie będzie odpowiedni dla twej aury Kirliana.

Aura Kirliana! Jak dużo wie Hierofant?

— Wiem niewiele; święte księgi wiedzą dużo — odpowiedział Hierofant. — Nie trwóż się, nie uczynimy ci nic złego; nie zatrzymamy cię ani nie będziemy ci się naprzykrzać. Chcemy ci tylko udzielić pomocy, po którą przybyłeś.

— Trafiłem tutaj w poszukiwaniu samotności, możliwości zbadania swego umysłu — odparł Flint. Tyle mógł powiedzieć bezpiecznie.

— Doskonale. Zatem potasuj symbole taroka...

Jak pozbawione rąk stworzenie może cokolwiek potasować? Ponieważ jednak odnosiło się to do codziennych czynności manipulacyjnych, pamięć nosiciela dostarczyła natychmiast odpowiedzi. Uruchomił ogonem mechaniczny tasownik znajdujący się obok, na podwyższeniu. Skrętami kulki spowodował, że drukowane karty w oświetlonej komorze mieszały się i mieszały, aż w końcu ich układ stał się całkowicie przypadkowy. Wtedy wskazał na chybił trafił, dotykając innego przycisku. Karta wyskoczyła i odwróciła się, pokazując swój symbol.

Potoczył po niej kulką. Przedstawiała samotnego Polarianina trzymającego wyciągniętym ogonem lampę, której źródłem blasku była gwiazda. Z pozoru prosta figura — a jednak obok widział równoległy symbol: jeden pływający plemnik.

Zadanie Flinta polegało na dostarczeniu tajnych informacji obcym Sferom — wieści, które przeobrażą owe Sfery, a jednocześnie umożliwią im znaczne rozprzestrzenienie swych wpływów i połączenie się w galaktyczną unię. Był właśnie owym małym plemnikiem zmierzającym do olbrzymiego jaja każdej ze Sfery, by zapłodnić je w sposób szczególny. Jego wiedzą był blask gwiazdy — słabo widocznej z powodu odległości, lecz o wielkim znaczeniu. Tak, tarok wybrał dobrze!

— Jesteś Pustelnikiem, dziewiątym kluczem — odezwał się Hierofant. — Samotnym dawcą światła kryjącym swe prawdziwe oblicze. Mówisz: "Gdzie jestem ja, ty również możesz być". Choć idziesz sam, twe światło wskazuje drogę tłumom.

Jak dużo wie ten sukinsyn (choć w pojęciu Polarian nie istniało nic takiego jak sukinsyn; była to czysto ludzka inwektywa)?

— Nie obrażaj, proszę, swymi podejrzeniami Świątyni — odezwał się Hierofant. — Szanujemy twoje sekrety, a ponadto jesteśmy społecznie i politycznie neutralni. Świątynia taroka wykracza daleko poza sprawy ziemskie. Skoro klucz jest trafny, to dlatego, żeś ty tak wybrał, nie my.

— Wybacz — odparł Flint. — Rzeczywiście jest trafny.

— Postąpimy obecnie zgodnie z twoją wolą, Pustelniku — ciągnął Hierofant. — Możesz dostać osobną celę do medytacji lub też przystąpimy wspólnie do odczytywania Arkanów, aby ułatwić ci rozmyślania.

Flint przybył tu w poszukiwaniu oddzielnej celu, obecnie jednak zmienił zamiar. Tarotyzm był osobliwy i w jakiś sposób powiązany ze Sferą Sol. Zapewne będzie to jakaś pomoc, jeśli Flint dowie się o nim więcej.

— Wybieram odczytywanie.

— Rozdaję zatem klucze w takim porządku, w jakim sam je rozłożyłeś — odezwał się Hierofant. — Stań na płycie animacyjnej i nic się nie bój. Żadna krzywdą cię tu nie spotka; ujawni się tylko twój własny umysł. I nic z tego, co wyjawia tarok, nie wyjdzie poza mury świątyni bez twojej zgody.

— Dziękuję. — Flint potoczył się do kręgu, który zajaśniał nagle światłem.

Gdy tylko dotknął go kołem, przekształcił się w Pustelnika w długiej szarej sukni, stojącego w ciemnościach, na wierzchołku góry. W wyciągniętej prawej ręce trzymał wysoko swą gwiazdną lampę, lewą zaś wspierał na kiju. Spoglądał w dół, tam gdzie żółte światło lampy rzucało jasny blask, przenikając ostrą smugą mroźne, nieruchome powietrze. Nie był Błaznem; rozważał każdy swój następny krok i wybiegał myślą naprzód. Jego stopy, spoczywające na śniegu, odczuwały chłód.

Flint wyskoczył z komory. Miał postać człowieka — nie Polarianina! Ręce, nie ogon; stopy, nie koło. Spoglądał bezpośrednio — nie peryferycznie. Oczy.

— Odebrałem to — odezwał się Hierofant. — Pochodzisz ze Sfery Sol i jesteś zapewne transferowcem, aczkolwiek nie wiedzieliśmy, że twój gatunek posiada już ów cudowny sekret. Twoja animacja jest najsilniejsza, z jaką się w ogóle zetknąłem, co sugeruje prawdziwie wyjątkową aurę Kirliana. Czy jesteś Założycielem i przybywasz, by nas poprawić?

Jego skóra rozbłysła lekliwie, a ciało przybrało postać kulistej masy. Gdy Polarianina ogarnia strach, traci kontrolę nad kształtowaniem swego ciała.

— Jestem ze Sfery Sol, ale nie jestem waszym Założycielem — odparł Flint. — Przybyłem tutaj z misją, która nie ma nic wspólnego z tarotyzmem. Moja obecność w tym miejscu jest całkiem przypadkowa.

A jednak zdumiewające, że jego intensywna aura tak ściśle powiązana jest z animacją; z pewnością musiało tutaj istnieć jakieś powiązanie. Czyżby animacja była nie-mechanicznym, nieodczuwalnym sposobem rozpoznawania aury Kirliana? Jeśli tak, to czysty przypadek doprowadził go do niezwykle doniosłego odkrycia.

Hierofant odzyskał spokój.

— Nie chodzi o to, że mamy powody obawiać się takiej wizyty; postępujemy wiernie w myśl zasad Arkanów. Ale już sama obecność Założyciela, po tylu stuleciach, sugerowałaby jakieś poważne wydarzenie.

— Rozumiem — odparł dużo spokojniejszy Flint. — Szanuję twoje tajemnice, jak ty szanujesz moje; żadne informacje o tym nie wydadzą się poza to pomieszczenie. A teraz oddajmy się interpretacjom.

I ponownie wtoczył się do komory. Kiedy wróci do Sfery Sol, musi dowiedzieć się czegoś bliższego o tarotyzmie i jego Założycielu.

Znów pojawił się Pustelnik — tym razem w postaci Polarianina. Karta dyktowała

symbol, lecz animował go jego umysł. A raczej czyniła to jego aura Kirliana. Mógł do pewnego stopnia sterować tym obrazem. Przy tasowaniu ustalił porządek kart — lecz jeśli nawet miał w tym jakiś udział element nadprzyrodzony, to układ wcale przez to nie tracił na ważności. Flint wierzył w supernaukę, lecz w głębi duszy akceptował też magię. Stale był człowiekiem paleolitu, znał dobrze skutki rzucanych uroków, a cywilizowanych zachowań nauczył go Szaman, czarownik plemienny, wciąż najmądrzejszy człowiek, jakiego Flint spotkał w życiu. Czy naprawdę istnieje jakaś różnica między supernauką a magią?

— Ta cię nakrywa — rzekł Hierofant dotykając maszyny, która wydała pierwszą kartę. — Ona właśnie określa wpływ na ciebie, atmosferę, jaka cię otacza.

I Flint odkrył, że stoi w kolistym wieńcu, nagi i bezpłciowy, otoczony czterema figurami: leżącego zwierzęcia, Polarianina, dinozaura Starego Parskacza oraz drapieżnej bestii z kołem zamiast nóg. Figury te na swój specyficzny, zawiły sposób symbolizować miały cztery stany materii: gazowy, płynny, stały i energię. Dokładniej: powietrze, wodę, ziemię i ogień; cztery pierwiastki, jak na wrotach Świątyni.

— Jest to klucz Kosmosu — wyjaśnił Hierofant. — Korona Magów. Znaczy, że twoja misja dotyczy całej galaktyki i ma wpływ na wszystkie stworzenia. Jest to również klucz wielkiej obietnicy: to co robisz, jest dobrem sięgającym po doskonałe.

Flint nie odrzekł nic. Zgadzał się z kartą w zupełności — któż by się zresztą nie zgodził? To pochlebstwo, nic więcej. Jeśli taka jest praktyczna natura wróżb taroka, to Flint traci tylko czas.

— Ta cię przecina — ciągnął Hierofant wyciągając kolejną kartę. — Przedstawia to, co jest ci przeciwne.

Przed Flintem pojawiła się piękna królowa zasiadająca na tronie; w jednym ręku dzierżyła berło, w drugim kwiat. Przed nią stał kot.

— Dobra królowa Bess — mruknął kwaśno przypominając sobie doświadczenia wyniesione z systemu Capelli.

Lecz to wcale nie była królowa Bess, ale wyłącznie umowna postać, której ostatecznego znaczenia Flint nie potrafił pojąć. Skupił się chcąc dokładniej ją określić i wyobrażenie przekształciło się w Polarianina: istotę żeńską tocącą się po ciągnącej się w górę pochylni, poniżej której pełzły języki ognia. Obok niej posłusznie posuwał się drapieżnik na dwóch kołach.

— Strzeż się Królowej Energii! — oznajmił Hierofant. — Zauważ ów niszczący płomień; to jej znamię.

Królowa Energii. Zadanie Flinta wiązało się z problemem cywilizacji, którym był problem energii. Transfer umożliwi Sferom podniesienie poziomu cywilizacyjnego bez wzrostu nakładów energetycznych — a obca galaktyka próbuje wykraść energię galaktyce Mlecznej Drogi, niszcząc tym samym jej substancję. Krótko mówiąc, karta trafiła

w cel; jeszcze konkretniej niż karta pierwsza. Lecz ślepy los mógł rzucać zarówno trafne, jak i zupełnie chybione symbole.

— Ta cię wieńczy — mówił Hierofant wyciągając dalszą kartę do animacji. — To idea, o którą walczysz, twój najlepszy potencjał.

Potężna warownia, nie kwadratowa, jakie spotyka się w Sferze Sol, ani okrągła, jak u Polarian, lecz coś pośredniego między nimi. Na obwodzie były cztery potężne wieże o równie nieokreślonym charakterze: jedna płomienna, jedna wypełniona wodą, jedna pusta i jedna pełna. Znów cztery stany skupienia bądź cztery pierwiastki natury.

— Czwórka stanu stałego — rzekł Hierofant. — Symbol potęgi. Lecz przede wszystkim jest to sprawa utrzymania tego, co już posiadasz, oraz osiągnięcia równowagi za pomocą negocjacji. A także — dodał nieco wstydliwie — dotyczy poziomu czysto osobistego i oznacza miłe wieści od damy.

To skierowało myśli Flinta ku uroczej Tsopi. Czy tarok jest w stanie cokolwiek o niej powiedzieć?

— Ta znajduje się pod tobą — mówił Hierofant ponownie wyciągając kartę. — Fundament, podstawa twego zadania.

Był to krater na Lunie, konkretnie rejon znany pod nazwą Jeziora Śmierci, przedstawiony tak, jak go widział w chwili swej kapitulacji, kiedy wybrał kontynuację zadania i zrezygnował z samotnej śmierci. Obraz z kolei zaczął się oddalać, zupełnie jakby Flint wznosił się w górę. W końcu widział jak na dłoni cały krajobraz tego rejonu księżycy Ziemi: Jezioro Marzeń, kratery Burg, Posejdon, Herkules i Atlas, Morze Spokoju... a następnie większe Morze Deszczów, Morze Chłodu i Ocean Burz. W końcu widział już całą twarz Księżyca. Była to faktycznie twarz: Człowiek w Księżycu, Jezioro Marzeń zaś było jego lewą brwią. Im bardziej się oddalał, tym twarz była mniejsza, a horyzont planetarnego pejzażu rósł. Wyłoniły się dwie wieże i para drapieżników siedzących nad brzegiem rzeki, wyjących do tej księżycowej twarzy.

— Księżyc — kontynuował Hierofant. — Ten z twojego Imperium. Kilka tylko planet dostąpiło błogosławieństwa posiadania tak bliskiego i wspaniałego towarzysza. Księżyc jest symbolem tajemnicy, symbolem ukrytych żądz, przerażenia, lęku nadciągających z zatrutej i pozbawionej powietrza ciemności...

— Wiem! — Ta karta aż zapierała dech swą trafnością. Polarianin pospiesznie mówił dalej.

— A to już jest za tobą. To właśnie minęło. Pojawił się rozpędzony rydwan.

— Wystarczy! — wykrzyknął Flint dotykając kulka ściany. Nie chciał wywlekać na jaw tego wszystkiego, co przytrafiło się mu w Oku Woźnicy w układzie Capelli, Były to piękne przeżycia ze smokiem o potężnym Kirlianie, a przede wszystkim z królową Kirliana, która, jak obiecała, w łóżku okazała się niezwykle młoda. Wszystkie dotychczasowe karty rozpoznały go z piekielną dokładnością, trafiając o wiele zbyt bli-

sko celu.

— A to przed tobą — rzekł Hierofant wyciągając szybko jeszcze jedną kartę.
— Bardzo prawdopodobne, że przedstawia ona twoje następne zadanie.

Było to ludzkie serce przebite trzema szpadami.

— Trójka Gazu, oznaczająca smutek.

Tym razem tasownik wyciągnął kolejno cztery dalsze klucze — a płyta animacyjna natychmiast rozdzieliła się na cztery części, tak że wszystkie symbole pojawiły się jednocześnie.

Pierwszy przedstawiał Polarianina zawieszonoego bezsilnie ogonem, tak że jego koło — zupełnie bezużyteczne — nie mogło dotrzeć do ziemi. Samo stworzenie jednak nie sprawiało wrażenia, że jest w opałach.

— To ty, niezdolny do podjęcia wyważonej decyzji. Następna była wieża rażona gromem.

— Twoje złudzenia zostaną wkrótce rozwiane, robiąc miejsce nowemu zrozumieniu.

Sześć szpad, których ostrza stykały się ze sobą w środku krzyża.

— Szóstka Gazu: twoje obawy i nadzieje wyrażone wedle pojęć naukowych. Twoje zadanie z pewnością dotyczy jakiejś koncepcji nowoczesnej techniki.

I w końcu roztańczony ludzki szkielet dzierżący kosę.

— Dziwna animacja. My, Polarianie, nie posiadamy kości — ale to określa, co ma być, kulminację tych wszystkich wpływów. Jest to...

— Wiem! — wykrzyknął Flint. — Śmierć!

— Niekoniecznie — sprostował spieszenie Hierofant. — Nazywa się to również Transformacją, przeniesieniem z jednego miejsca w inne. Z każdym nowym doświadczeniem umiera w nas jakaś niewielka część, a zarazem coś nowego się w nas odradza. Życie samo w sobie może być rozpatrywane jako proces umierania.

— Możliwe — zgodził się Flint. — Lecz nie sądzę, by mogło to nas gdziekolwiek zaprowadzić. Wszystko pochodzi ze mnie, prawda? Dlatego też jest tak niezwykle trafne. A zatem przedstawia wyłącznie zdarzenia, które moim zdaniem nastąpią, nic więcej. Rzeczywistość natomiast może być całkiem odmienna.

— To co ma się zdarzyć, wynika z tego, czym jesteśmy — wyjaśnił Hierofant. — A ty jesteś kimś szczególnym. Interpretacja nie przepowiada przyszłości, lecz przedstawia tylko to, co znajduje się w tobie. I w takim znaczeniu jest wiążąca. Twoje zadanie jest ważne; nie wolno ci go porzucić.

— Nawet o tym nie myślę. Ale potrzebuję szczegółów. Na przykład, kim jest ta nękająca mnie Królowa Energii? Czy możesz podać jej imię?

— Nie, nie twierdzę, że w pełni rozumiem sens twojej interpretacji. Ale ty możesz ją rozpoznać. Wezmę zatem ten klucz jako Znak i bliżej go określe, używając kluczy, tak

jak sam je rozmieściłeś.

Wszystkie wyobrażenia znikły i pojawiła się płomienna królowa.

— To ją nakrywa.

Pojawiło się kolejne wyobrazenie: olbrzymie, śmiejące się, kozłonogie i rogate stworzenie.

— Diabeł! — wykrzyknął Flint. — I popatrz tylko: przykuł nas łańcuchami do swego kija...

Do żerdzi Szatana rzeczywiście przykute były dwie małe ludzkie figurki. Znajome figurki.

— Szatan jest Bogiem w oczach ignorantów — mruknął Hierofant. — Czy rozpoznajesz te dwie postacie, męską i żeńską, jako siebie i Królową Energii?

— Tak, naturalnie... i już wiem, kim ona jest! — zamilkł, by po chwili dodać: — Nie, nie wiem; nie widziałem jej w naturalnym kształcie lub w ludzkim wcieleniu. Próbowала mnie dwukrotnie zgładzić i zapewne spróbuje po raz trzeci. Jak mogę ją powstrzymać?

— Zobaczmy. To ją przecina. — Pojawiły się cztery szpady. — Czwórka Gazu. To oznacza rozejm. Nie jesteś w stanie jej zniszczyć, możesz ją tylko unieszkodliwić... zadeklarować poniechanie wrogich kroków, jeśli ona wyrazi na to zgodę.

— Ha! Mogę z nią pertraktować, jeśli ją poznam. Czy potrafisz zweryfikować jej polariańską tożsamość lub ustalić, czy ona w ogóle tu jest?

— Możemy spróbować. Gdzie widzisz jej wpływ?

— W kluczu najbliższej przyszłości — Trójce Gazu. Smutek. Jeśli tutaj jest, z pewnością będzie przyczyną mego smutku. No a przede wszystkim muszę wypełnić swoje zadanie do końca.

— Masz doskonałą pamięć do układu — zauważył Hierofant. Był to jednak kolejny przejaw eidetycznej pamięci Flinta, która wraz z nim wniknęła w mózg ciała nosiciela.

— A więc jak sobie życzysz: Znakiem będzie Trójka Gazu.

Ponownie pojawiło się potrójnie przebite serce.

— To nakrywa Znak.

A na wierzchu pojawiła się...

— Królowa Cieczy.

— Nie Królowa Energii? — wykrzyknął zdumiony Flint.

— Stanowczo inna kobieta. Czy znasz jakąś o właściwościach wody? Delikatną, prężną, piękną, wiotką, oddaną i kochającą. Taką jak płynący strumień, niezbyt pojętną, lecz roztroptą na swój ponadczasowy sposób, cnotliwą, idealną małżonkę...

— Honeybloom! — pełnym bólu głosem wykrzyknął Flint, spoglądając na potrójnie przeszytą klingami pierś Królowej, całą wolą zmuszając to serce do bicia, wbrew temu, że przebite szpadami było martwe.

— Miałem ją poślubić, nim się to wszystko zaczęło. Ale ona nigdy by mnie nie skrzywdziła!

— Być może nieumyślnie. To ją przecina.

Flint krzyknął przerażony, gdyż dziesięć straszliwych ostrzy zmierzało w stronę ciała Królowej, niosąc śmierć.

— W twoich interpretacjach przeważa Gaz — zauważył Hierofant. — A to kolor Kłopotu. Oto Dziesiątka — znaczy katastrofę. Nie twoją — jej. Czy jesteś pewien, że nigdy...

— Muszę do niej wracać! — wykrzyknął Flint. — Biedna, słodka Honeybloom, moje zielone maleństwo! Czeka na mnie...

— Tarok — który, jak ci wspomniałem, jest wyłącznie animacją wiedzy, jaką już sam posiadasz — sugeruje, że jest za późno.

— Nie wierzę w to! Zaraz po wykonaniu zadania, nie dbając, co powiedzą Impy... tak, będę musiał to sprawdzić. Moje zadanie! Proszę, zróbmy dodatkowy odczyt właśnie na jego temat.

— Musimy wybrać dla niego Znak...

— To dotyczy Wielkiego Koła. Muszę się z nim widzieć — natychmiast.

— Wielkie Koło! Byłby to klucz Dziesiątki, Koło Fortuny, najważniejszy klucz dla wszystkich Polarian.

Uformował się: wielki krąg zwieńczony sfinksem.

— Twoje wyobrażenia ze Sfery Sol są fascynujące; nigdy nie widziałem ich tak wyraźnie animowanych. Mam na myśli zarówno ich treść, jak i wyrazistość. Założyciel...

— No, prędeż...

— To go nakrywa. — Ukazały się trzy berła, a w ich tle pałac. — Czwórka Energii. Spełnienie, spokój...

— Tak, dalej.

— To go przecina.

Kobieta na czele linii uformowanej z długich szpad.

— Ósemka Gazu. Przeszkoda. Przypadkowa wprawdzie...

— Wiem kto mi stanął na drodze, zapewne bez złych intencji. Polariańska kobieta, młoda, piękna...

— Wydała potomstwo?

— Chodzi ci, czy ma dzieci? Nie sądzę. Ona jest naprawdę rozkoszna, lecz nie...

— Zatem jej Znakiem jest Paż Stanu Stałego. — Uformowało się wyobrażenie Tsopi.

— Tak, to ona! Sprawdź ją. Chcę wiedzieć, czy jest moim wrogiem.

— Ta karta ją określa.

Wyobrażenie stanowiły dwa przelewające się puchary.

— Dwójka Cieczy oznacza harmonię, miłość. Tutaj nie ma wrogości.

— Jest więc niewinna!
— Tak ty uważasz. Przychyliłbym się do tego sądu.
— Co ją przecina?
— To. Dwójka Stanu Stałego oznaczająca zmianę. Nie jest to w zasadzie negatywne wskazanie...

To Flintowi wystarczyło.

— Dzięki. Teraz muszę niestety ruszyć w drogę. Czy mógłbyś mi wskazać drogę do Wielkiego Koła?

— Naprawdę nie radzę...

— Wiem, że nie radzisz. Ale pomogłeś mi — naprawdę pomogłeś! I sam podjąłem decyzję.

Hierofant zalsnił ustępliwością.

— Nie narzucamy się z radami, jeśli Pytający ich sobie nie życzy. Pokażę ci mapę.

Mapę stanowiła kula z misternym wzorem smoków. Niczego podobnego Flint dotychczas nie używał, lecz odpowiadało to jego aktualnym potrzebom.

Wkrótce znalazł się u wejścia do Pałacu Wielkiego Koła. — Przynoszę istotną wiadomość dla Jego Kolistości.

Strażnik był niewzruszony.

— Kim jesteś?

— Transferowanym emisariuszem Sfery Sol.

Strażnik przyjął to do wiadomości, jakby była to rzecz naturalna.

— Koło żałuje, lecz nie może cię obecnie przyjąć.

— Nie może rozmawiać z wysłannikiem innej Sfery? — z niedowierzaniem w głosie zapytał Flint. — Ależ to pilne!

— Istnieje niewyrównany dług.

— Dobrze, tak czy owak zobaczę się z nim. — I Flint wepchnął się do środka.

— Proszę, odstęp — rzekł strażnik. — Nie chcę cię unieszkodliwić.

Lecz Flint był już w pałacu, przekonany, że żołnierz nie zaatakuje rozpoznanego już emisariusza z zaprzyjaźnionej Sfery.

Jednak strażnik strzelił, trafiając go w koło strumieniem chropowatego proszku.

Efekt był natychmiastowy i straszny. Powierzchnia toczna koła stała się boleśnie ostra, i Flint z miejsca stracił nad nim panowanie. Do właściwego operowania sferycznym kołem konieczne było jednolite i gładkie tarcie; ciało bez przerwy czyniło drobne ruchy korekcyjne celem utrzymania równowagi. Gdy podczas ruchu kompensującego poślizg koło trafiało nieoczekiwanie na szorstką powierzchnię, kończyło się to silnym szarpnięciem, a całym ciałem z ogromną siłą odrzucało w bok. Tu poprawka na bardziej chropowate podłoże nałożyła się na dotychczasowy ruch korekcyjny, powstał wzrastający szybko ruch nieskoordynowany i wszystko skończyło się haniebnym upad-

kiem.

Nagle pojawiła się Tsopi. Niewątpliwie strażnik powiadomił ją, gdy tylko Flint się mu przedstawił.

— Plint! — krzyknęła w stronę rozciągniętego na ziemi ciała. — Jak to się stało?

— Ten ceber łańcuchowy tak mnie urządził, Topsy — wyjaśnił kwaśno.

— Próbował dostać się do Wielkiego Koła — powiedział strażnik.

Nie zareagował na dwuznacznik Flinta, gdyż w języku Polarian nie istniało podobieństwo między słowami “Cerber” i “ceber”. Pomysły można było tłumaczyć; kalamburów w żaden sposób. Niemniej w Sferze tej psy istniały; były to dwukołowe, niezwykle szybkie zwierzęta mięsożerne, łatwo dające się oswojać.

Tsopi rozbłysła zmartwieniem.

— Nie możesz się jeszcze z nim spotkać! Sądziłam, żeś już to zrozumiał.

— Myślałem, że to ty zrozumiałaś, iż muszę się z nim widzieć. Moje zadanie...

— Aż tyle znaczy dla ciebie? — spytała. — Ryzykujesz obrażenia...

— Obrocie słodki, aż tyle znaczy.

Zalśniła przykrością.

— Nie będę ci zatem utrudniać toczenia się. — Owinęła jego korpus giętkim ogonem i postawiła pionowo. Jej dotyk był cudowny.

— Paź Stanu Stałego — mruknął jej w skórę próbując jednocześnie swego koła. Szorstki proszek został rozrzucony impetem jego upadającego ciała i Flint mógł już się poruszać... ostrożnie. — Cieszę się, że mogę ci ufać.

— Byłeś w Świątyni Taroka! — odmrunknęła. — Nigdy nie wpadłoby mi do głowy tam ciebie szukać, Rycerzu Gazu.

— Nie, jestem Pustelnikiem — odrzekł.

Pamiętał jednak, jak często kolor Gazu, określanej lśniącymi szpadami (symbolika miała oznaczać, że tną one powietrze?), pojawiał się w jego interpretacjach.

— Już nie. Po raz drugi mi się nie wyslizgniesz. — Zatrzymała się przed ogromnymi drzwiami. — Czy jesteś pewien...?

— Tak.

Czyżby nagle stało się to takie proste?

Pchnęła drzwi, które otworzyły się zupełnie jak każde drzwi w Sferze Sol, na Ziemi. Oczywiście podobnie jak istoty obdarzone kończynami używają pewnych kolistych urządzeń, tak samo Polarianie stosują mechanizmy typu wahadłowego. Nic nie istnieje w stanie czystym. Ruszył za Tsopi.

Wewnątrz znajdował się tron: wysoka, ozdobna pochylnia górująca nad wspaniałym, obcym ogrodem. Na tronie znajdował się Wielkie Koło; stary i raczej przywidły Polarianin.

— Wasza Kolistość, przywiodłam ci Flinta z Najdalszej, Posła Sfery Sol — oznajmi-

ła Tsopi.

Monarcha zalśnił zainteresowaniem.

— Czyżby twój dług został tak szybko wyrównany? Tsopi zawahała się.

— Mów głośniej, proszę! — rzucił Wielkie Koło.

— Ja... ja oddaję go — szepnęła Tsopi do podłogi, kuląc się jak winny kundel.

— Ty co? — Koło podtoczył się bliżej, górując nad nimi na wysokiej rampie.

— Ja...

— Słyszałem dobrze za pierwszym razem! Kobieto, czy pragniesz obrazić zarówno swoją Kolistość, jak i samą siebie? Mnie niczego nie oddajesz! Z chwilą gdy jednostka zaczyna ustępować swych praw społeczeństwu, w naszej Sferze pojawia się tarcie.

Tej aluzji Flint nie pojąłby, gdyby wcześniej nie doświadczył już proszku. Tarcie znaczyło nieszczęście!

— Co by rzekła Wielka Tyczka ze Sfery Sol, gdybyśmy potraktowali jego posła tak chropawo? Przestań więc kręcić się bezużytecznie w miejscu. Wyrównaj ten dług! Pragnę, by jego misja została wypełniona, a ty byś jak najszybciej wróciła do służby. W przeciwnym razie osobiście pozbawię cię koła! Zmarnowałaś już kilkanaście godzin kręcąc się za własną macką, podczas gdy ten tu gaworzył sobie z Hierofantem — a sekret transferu posiada najwyższą rotację.

— Wasza Kolistość — odezwał się Flint. — Chciałbym tylko...

— Och, zabrać stąd to koślawe koło! — zniecierpliwiał się Wielkie Koło.

Tsopi pociągnęła Flinta za sobą.

— Gdy wpada w złość, staje się zupełnie niekolidnie rozdrażniony — prawie bezdźwięcznie mruknęła mu skórę.

— Możesz się założyć o swoje małe łożysko, że tak! — ryknął jeszcze za nim Koło. Przyłożył swą kulkę do Królewskiej Pochylni, która zadziałała jako urządzenie rezonujące, wzmacniające dźwięk. Królewskość miała swoje prawa.

Zjechali na zewnątrz pałacu.

— Dobrze, wyjaśnij. Będę słuchał — odezwał się Flint.

— Nie jest to łatwe do wyjaśnienia — odparła. — Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy sami.

— Niezwykła prośba jak na uwielbiającego towarzystwo Polarianina.

— Dobrze, gdzieś, gdzie będziemy sami — zgodził się Flint. — Ale wtedy już wyjaśnisz?

— Spróbuję. Ale mogą istnieć bariery kulturowe...

— Doświadczyłem już kultur dziwniejszych niż ta — odparł mając na myśli trójpłciowych mieszkańców Spiki.

— Twoja własna jest wystarczająco dziwaczna — zgodziła się rozbłyskując zwykłym sobie humorem. Pomyślał o Ziemi, o Capelli i musiał przyznać rację.

Potoczyli się w górę, do windy. Szczelina rozwarła się w okrągłą komorę, a gdy znaleźli się w środku, pneumatycznie zamknęła. Nastąpiło gwałtowne szarpnięcie, po czym wrota się rozwarły i wytoczyli się na zewnątrz... prosto w przyprawiającą o zawrót koła gęstwinę.

Flint gwałtownie zahamował.

— Toż to inna planeta!

— Oczywiście, na Rodzinnej Kuli nie ma już takiej dziczy. To niewielka planeta wypoczynkowa, odległa o piętnaście parseków. Nie podoba ci się?

— Zostaliśmy tak sobie matermitowani pięćdziesiąt lat świetlnych?

— A czemu nie? Jaki może być lepszy użytek z techniki, jeśli nie zbliżenie do natury?

— Cena... transport naszej pary musiał kosztować bilion dolarów...

— Jak już próbowałem ci wytłumaczyć wcześniej, nasz system wartości różni się od waszego. Lubimy towarzystwo, ale nie tłok. Koncentracja jest koniecznym warunkiem dla pełnej wydajności. Wybieramy zatem kompromis; lepiej wydatkować energię, niż żyć w niewygodach.

— Ależ to nieodpowiedzialne marnotrawstwo!

— My tak tego nie odczuwamy. Pozwalenie, by światło gwiazd ulatywało bezproduktywnie w przestrzeń — to dopiero marnotrawstwo! Gromadzimy energię gwiazdową i wykorzystujemy ją do własnych celów. Niemniej zgadzamy się, że transfer jest dużo lepszy. Dzięki tobie wiemy już, jakie on daje korzyści.

— Próbuję go wam przekazać! Czemu mnie nie słuchacie?

— To między innymi chcę ci wyjaśnić. Chodź, korzystajmy z rozkoszy tej planety.

Posuwał się obok niej ścieżką biegnącą przez las. Drzewa nie miały ani pnączy, ani gałęzi, lecz garby gąbczastej substancji zakończone dużymi tarczami wychwytyjącymi światło słoneczne. W ogólnych zarysach przypominały sylwetki Polarian, tak samo jak ziemskie drzewa ze swymi podobnymi do nóg korzeniami, gałęziami jak ramiona i wyprostowaną sylwetką przypominają ludzi. Najwidoczniej przed wiekami na tej planecie zaszczerpiono polariańską roślinność. Tak właśnie było; teraz gdy sam do tego doszedł, pamięć nosiciela to potwierdziła. Lecz to co wiedział, wynikało z tego, co pamiętał: były to najprawdziwsze drzewa.

— Nazwałaś mnie Rycerzem Gazu — odezwał się. — Skąd ci przyszła taka myśl?

— Tarotyzm pojawił się tutaj trzysta lat temu; był efektem jednego z pierwszych bezpośrednich kontaktów z kulturą Sfery Sol — odpowiedziała. — Nigdy się nie przyjął jako powszechny kult, lecz uzyskał pewną kolistość. Zdomowił się, a same karty dostarczają interesującej rozrywki tym, którzy nie przypisują im żadnych filozoficznych wartości — tak jak w twojej własnej Sferze. Myślę, że najbardziej efektownym elementem taroka są animacje. Z tego też względu wielu z nas z taką pasją oddaje się in-

terpretacji taroka; niektórzy nawet przyswoili sobie go jako wiarę, a generalnie ma on wpływ na naszą kulturę. Mężczyźni i kobiety, którzy już się reprodukowali, noszą miano Królów i Królowych; ci, którzy jeszcze nie — Rycerzy i Paziów. Jak widzisz, zachowaliśmy pierwotne solariańskie nazewnictwo. Kolory zależne są od przymiotów charakteru lub od sytuacji. W ten sposób ja, istota zasadniczo żyjąca na tej planecie, jestem Ziemią, czyli Ciałem Stałym. Ty natomiast, osobowość ruchliwa, spoza tej planety, o tożsamości wyrażanej całkowicie aurą Kirliana, jesteś Gazem, czyli Powietrzem. Wedle archaicznych terminów Solarian ja jestem Monetą, a ty Szpadą.

— Faktycznie, jesteś monetą — zgodził się. — Toczysz się i jesteś cenna.

— Dziękuję — odparła wibrując kulką o jego ciało w bardzo podniecający sposób.

— A ja w swoim czasie widziałem wiele walk, zatem jestem Szpadą. Ale tak naprawdę to obrabiałem krzemień — wytwarzam broń. Bardzo dobrą broń.

— Wiem o tym. Wtedy cię poznałam. Pamiętasz?

— Istotnie. — Zamilkł na chwilę. — Znałeś mnie jako istotę ludzką. Jestem zatem dla ciebie postacią tyczkową, pełną kantów i kości. Czy to ci nie przeszkadza?

— Nie. Popieramy kontakty zewnętrzne i współpracę międzygatunkową. To część naszej natury. A naturę Solarian znamy od wielu stuleci. Sam tarok sprawił, że utożsamiliśmy siebie z kolistością Monet, a Solarian z pchnięciem Szpady. Przesłaniem taroka jest teza, że wszystkie układy są ważne, bez względu na to, jak dziwaczne mogą się na początku wydawać. Wiem, jak wspaniałą jesteś postacią w obcym kształcie. A ponadto łączy nas wzajemny dług. No i teraz znajdujesz się tutaj, w formie obrotowej, przybrawszy Postać Stanu Stałego. Bardzo się cieszę.

— A mimo wszystko nie pozwalasz mi... Wielkie Koło nie pozwala mi wypełnić misji.

Zatrzymała się na uroczej kępie twardego listowia ponad bystrym strumieniem. Na jego powierzchni igrało ptactwo wodne z kończynami w postaci kół łopatkowych. Większe, dwukołowe zwierzęta czmychały natychmiast, wystraszone pojawieniem się rozumnych. Niegdyś wszystkie stworzenia na ojczystej planecie Polarian były dwukołowe, lecz z czasem istoty rozumne wyprostowały się na jedno koło, przekształcając drugie w ową służącą do porozumienia się kulkę. Model ten nie był Flintowi obcy; rasa człowieka przeszła podobną drogę od podstawy czworonożnej do dwunożnej.

— Spróbuj zrozumieć — odparła. — Dla nas jednostka jest najistotniejszym elementem kręgu. Wiedza istnieje wyłącznie po to, by zaspokajać potrzeby obywateli. Jeśli interesy osobnika kolidują z interesami społeczeństwa, pierwszeństwo ma osobnik.

— Ależ to wsteczne! Rząd powinien zawsze służyć dobru większości.

— W kulturze pchnięcia zapewne tak. Ale tutaj nie. — Wykonała drobny ruch ogonem, zupełnie jak człowiek pomagający sobie rękami w celu podkreślenia trudnego punktu dyskusji. — Co dobre dla jednostki, dobre jest również i dla społeczeństwa.

— Ależ scentralizowane społeczeństwo musi wówczas runąć! — Flint nie znał się na naukach politycznych czy ekonomicznych, lecz jego stanowisko zdawało się nie do zbicia.

— Zgoda; to prawda, że brak nam owego dynamizmu, który cechuje wasz gatunek zbudowany z mięśni i kości. Ale za to osiągnęliśmy cudowną równowagę obracającego się koła. Więcej osiągamy poprzez kompromis i wzajemny szacunek niż przez siłę.

— No i wasza Sfera posiada średnicę dwukrotnie większą od naszej — dodał Flint. — Wcale nie twierdzę, że wszystko tu rozumiem, lecz przyznaję, że mi się to podoba. A co się dzieje, gdy następuje konflikt interesów pomiędzy jednostkami?

— To właśnie podstawa naszego społeczeństwa. Jest nią forma wzajemnego długu. Muszą go wyrównać wzajemnie.

— Dług. Tego właśnie nie pojmuję. W jaki sposób...

— Rozbieżne interesy muszą być pogodzone. Frakcje muszą się połączyć. Interes jednego osobnika musi zgodzić się z interesem innego, tak by nie istniała żadna dychotomia. Mógłbyś nazwać to miłością.

— Miłuj nieprzyjaciela twego? — Flint przypominał sobie kolejny fragment mądrości Szamana, fragment, którego nigdy nie zrozumiał do końca.

— Nie ma żadnego wroga. Jedynie dług, co ma zostać wyrównany.

Flint myślał przez chwilę.

— Niech się zastanowię, czy potrafię to ująć w prostych słowach — powiedział. — A raczej w krzywych, w tym przypadku.

— Kolistych — odpowiedziała. — Na Sol linia prosta stanowić może rozwiązanie większości problemów; tutaj jednak obowiązuje spirala.

— Tak. Ty i ja uratowaliśmy sobie wzajemnie życie, jesteśmy zatem nawzajem dłużni sobie to życie. Obopólny dług, niezwykle trudny do spłacenia. Przede wszystkim nie możesz mi odebrać tego życia. W naszej kulturze pchnięcia określilibyśmy to jako układ wzajemnie się znoszący — siły równe i przeciwstawne. Ale gdyby nanieść to na spiralę, wywoła niezłe obroty. Równe i przeciwstawne pchnięcia ustawione po przeciwnych stronach koła sprawią, że zacznie ono wirować dwukrotnie szybciej. Zatem... — urwał, bo zaczął rozumieć. — Miłe wieści od damy...

— Zdaję sobie sprawę, że w twojej kulturze obowiązują inne konwencje — rzekła. — Masz skłonność do zapadania się w sobie; jest to zapewne naturalna konsekwencja twego popędu skierowanego na zewnątrz.

— To właśnie mówiłem! Szaman wyjaśnił mi to jeszcze wtedy, gdy niczego nie rozumiałem i musiałem dobrze wyteżać umysł, by się w tym połapać. Na każde działanie przypada równie silne przeciwdziałanie.

— Tak. Jesteście gatunkiem ekspansywnym, ekstrawertycznym — a zarazem introwertycznym, popadającym w ksenofobię. Wyraża się to w waszym systemie dobierania

się w pary. Poszukujesz obcej osoby w celu prokreacji, a następnie zawierasz z nią związek na przeciąg całego życia. Nam wydaje się to niesłychane. My wolimy łączenie się w pary ze znajomymi partnerami, lecz bez formowania tak ograniczających związków.

— A więc panuje u was poligamia?

— Nie, to niewłaściwe wytłumaczenie. Dobieramy się w pary ze względów społecznych lub ekonomicznych, lecz nasza miłość jest intensywna, póki związek trwa. Na koniec jest dziecko — i poprzez ten akt kreacji wszelkie długi ulegają zmazaniu, różnice wyrównują się w dziecku. Rozdział jest skończony; nigdy nie łączymy się ponownie z tym samym partnerem.

— Dla nas takie związki byłyby po prostu frywolne — odrzekł Flint. — Łączenie się w pary jest równoznaczne z małżeństwem, związkiem trwałym. Taki jest właśnie mój stosunek do Honeybloom, Królowej Cieczki lub Wody, Pucharów albo Serc, wedle kart. Gdy powrócę na Najdalszą, poślubię ją.

— Rozumiem to i życzę wam jak najlepiej. Jest to bowiem wasz układ. Lecz w tej chwili jesteś częścią kultury Polarnej i nie możesz wypełnić swego technicznego zadania, dopóki nie wymażemy naszego długu. Nie ma żadnego konfliktu między mną a Honeybloom — użyła imienia w wersji oryginalnej, gdyż w pojęciach Polarian nie istniał żaden termin równoznaczny; nie było tu żadnych kwiatów, a więc pszczoł i miodu — więc kochaj mnie teraz i nigdy więcej. Możesz to potraktować jako obowiązek, gdyż Wielkie Koło życzy sobie przede wszystkim wyrównania naszego długu, potem zaś niezwłocznie cię przyjmie.

A zatem, kuliście, polityka przekształciła się w seks.

— Na Ziemi nazwano by to prostytutką.

— Nie rozumiem tego terminu.

Istotnie, nie mogło tutaj istnieć takie słowo, lecz musiał użyć ludzkiego pojęcia.

— Pozwól, że będę nieco drobiazgowy — odezwał się. — Mogę uprawiać seks czysto przypadkowo, lub z konieczności, by wypełnić misję; mogę też wziąć ślub. A ty mi proponujesz coś pośredniego: miłość przelotną. Ponadto nawet jeszcze nie wiem, jak to się tutaj robi. Nie masz żadnych... czy w ogóle wiesz, jak to robią Solarianie?

— Tak — odparła rozbłyskując niesmakiem. — Jest to znowu liniowe. Męczyzna wypycha swój mały wyrostek w kobiecym...

— W porządku, orientujesz się. A teraz w jaki sposób Polarianin sprawia, że męskie nasienie łączy się z kobiecym jajem?

— Wolałabym ci pokazać — odrzekła.

— Prędzej bym się nauczył, gdybyś wpierw mi to wytłumaczyła — odparł z rosnącą irytacją. Ta niechęć do stawiania kropki nad "i"... lecz oczywiście taka jest już natura Polarian.

— Dlaczego nie pozwoliłeś mi dokończyć opisu aktu Solarian? — odparła pyta-

niem.

— Aktu Solarian? — Przez chwilę był zbity z tropu.

— Jak mężczyzna sprawia, że jego wyrostek twardnieje i...

— Och, między ludźmi nie rozmawia się otwarcie o takich rzeczach. A już na pewno nie w mieszanym towarzystwie. — Postanowił grać na zwłokę. — Rozumiem. Pewne rzeczy lepiej robić, niż opisywać.

— Tak, lecz pamiętaj, że z waszego punktu widzenia może to wyglądać równie niesmacznie, jak wasz sposób z naszego. Dla nas akt Solarian jest agresywny i nienaturalny. Bo jeśli mężczyzna pcha zbyt mocno lub nie trafia w otwór...

— Dobrze, już dobrze! — Flint wykonał płynny ruch ciałem. — Jak ustaliliśmy, lepiej działać niż mówić. Nie obiecuję, że będę idealnym partnerem, ale...

— Czy to prawda, że przedstawiciele twego gatunku nie potrzebują żadnych instrukcji, by wykonać akt prokreacji?

— Prawda. Ktoś spojrzy na dziewczynę taką jak Honeybloom i jeśli tylko ona ma ochotę, wszystko idzie naturalnym torem. — Postanowił przemilczeć kwestię gwałtu, bo ona z całą pewnością by tego nie zrozumiała. — Ponadto lepiej widzimy; pobudza się zmysł wzroku.

— Ale my posiadamy lepszy smak — odparła Tsopi. — Naśladuj mnie.

I powoli zaczęła zataczać krąg.

Potoczył się za nią — i podjął niezwykle zmysłowy smak. Zostawiała za sobą miłosną woń elektryzującą całe jego nosicielskie ciało. W odpowiedzi jego gruczoły zareagowały męskim odpowiednikiem; wiedział, że Tsopi, gdy tylko zatoczy pełne koło, trafi na jego trop. Oto była kolistość w pełnym znaczeniu!

Krażyli i krażyli niczym dwójka cyrkowych akrobatów na jednakowych rowerach. Powoli zacieśniali spiralny krąg, intensyfikując pobudzenie zmysłu smaku. Do diabła z obowiązkiem, pomyślał; to dopiero jest frajda. Każdy smak, który Tsopi zostawiała za sobą, był prawdziwą pieszczotą — fizyczną i psychiczną. Tsopi była bardzo ponętym stworzeniem, a zaloty jeszcze wzmagaly jej atrakcyjność. Zbliżali się coraz bardziej do siebie, aż w końcu wirowali już wokół wspólnego środka, jak dwie bliźniacze, stykające się niemal ze sobą planety.

Nagle Flint się zatrzymał.

— Nie — powiedział, mimo że całe jego ciało pulsowało żądzą spełnienia. — Nie w ten sposób.

Rozczarowana, przerwała taniec.

— Czyżbyś nie chciał wyrównania długu?

— Nie jako transakcji handlowej. Miłość jest miłością, a moja misja misją. Nie chcę tego mieszać ze sobą.

W istocie było to dużo subtelniejsze; raz już, w systemie Capelli, pomieszał ze sobą te

dwie rzeczy. Lecz co innego rozkoszować się wzajemnym oddziaływaniem zapoczątkowanym względami politycznymi, a co innego osiągać korzyści polityczne poprzez akt miłosny. Akt taki musi uzasadniać sam siebie. Zbyt polubił Tsopi, by ją wykorzystywać, i choć ona sama chce zostać wykorzystana — wręcz się tego domaga — on nie potrafi się zmusić. Jego misja stała się czynnikiem niszczącym ważność jego osobistego oddziaływania. Obecnie był w wystarczającym stopniu Polarianinem, by postawić osobistą sprawę na pierwszym miejscu, ale jeszcze zbyt mało, by poprowadzić ją w taki właśnie sposób. Niech nikt nie powie, nie pomyśli nawet, że zjednął sobie Tsopi wyłącznie po to, by wypełnić zadanie!

— Ależ w naszej kulturze tak się właśnie robi!

— Ale nie w naszej — ja jestem Solarianinem.

— Wielkie Koło nie zobaczy się z tobą, jeśli...

— Jeśli nie złamię własnych zasad? Na takich warunkach w ogóle się z nim nie spotkam.

Zupełnie jakby ją uderzył — i uderzył, w sensie metaforycznym. Polarianie żywili skrajny szacunek dla praw jednostki, a on powiedział, że jego prawa zostały pogwałcone przez jej działania podejmowane w dobrych intencjach.

— Próbując wyrównać dług wszystko skomplikowałam — odezwała się. — Źle zrobiłam, że ci się narzucałam. Powiem Wielkiemu Kołu, że dług został wyrównany.

— Bo i nigdy nie istniał żaden dług! Dla nas, ludzi, ratowanie życia przyjacielowi jest obowiązkiem, a uchylenie się — zwykłym tchórzostwem, może nawet morderstwem. Ty uratowałaś mnie, a ja ciebie; jeśli nawet istniał jakiś dług, już wtedy został wyrównany. Tak jest w mojej kulturze i do niczego innego nie mogę sobie rościć prawa.

— Szkoda, że cię dotąd lepiej nie rozumiałam — odrzekła. Jej głos był matowy; zapewne drewno było wilgotne i tłumilo dźwięk.

Wrócili do matermitera, ale do środka nie weszli.

— Nie możemy dopuścić, by Wielkie Koło nas ujrzał — wyjaśniła. — Natychmiast pojąłby, że nie...

— Pojąłby? — zdziwił się, lecz zdał się całkowicie na Tsopi. — Jak więc...?

Ale już pamięć nosiciela podsunęła mu odpowiedź. Polarianie udoskonalili technikę mikromatermisji do tego stopnia, że mogli przysyłać własne kapsuły z wiadomościami o rozmiarach żywej komórki. Utrzymując ich ciągły strumień zapewniali sobie dosłownie natychmiastową łączność. Kapsuły te mogły przenosić całość wrażeń dźwiękowych i wizualnych, choć zasadniczo obrazy były zbędne i niewarte zachodu. W tym przypadku zachowanie obojga mogło zdradzić, że dług nie został wyrównany.

Tsopi podała kod identyfikacyjny pałacu, a Flint wprowadził go w szyfrator przekazu. Wielkie Koło odpowiedział natychmiast.

— Więc już szczytnałeś w ogon Małą Niedźwiedzicę, co? Teraz dopiero Flint so-

bie uświadomił, że dosłowne znaczenie imienia Tsopi w języku Polarian to “Mała Niedźwiedzica”; tutejszy niedźwiedź był drapieżnikiem w zachowaniu podobnym do swego ziemskiego imiennika, lecz o odmiennym wyglądzie. No i naturalnie Gwiazda Polarna znajdowała się w konstelacji Ursa Minor, Małej Niedźwiedzicy, dokładnie w jej ogonie. Mitologia nieba, podobnie jak karty taroka, była nieprawdopodobnie trafna. A może to tylko jego życie zostało tak niesamowicie zdominowane przez gwiazdy i karty? Trudno powiedzieć.

— Hmm, tak — odparł Flint zaskoczony poufałością ze strony władcy Sfery. — Teraz pragnąłbym przekazać klucz do mechanizmu...

— Weź matermiter. Już go zakodowałem.

A więc Koło gotów jest udzielić osobistej audiencji.

— Dziękuję.

Po prawdziwym wyrażaniu podziękowań nie było tutaj stosowane; większa uprzejmość tworzyła dług, mniejsza zaś uwydatniała jedynie kolistość i nie wymagała dodatkowych wyrażań. Połączenie zostało przerwane.

Odwrócił się do Tsopi.

— No to już po wszystkim. Chodźmy.

— Nie mogę — odparła. — Koło nie powinien mnie zobaczyć.

— Ach, tak.

W jaki sposób się zmieniła? Za wcześnie, by można było rozpoznać ciężę, jeśli u Polarian oczywiście występuje coś takiego. Informacja na ten temat z pewnością znajdowała się w głębokich pokładach pamięci jego nosiciela, lecz były tam też blokujące hamulce emocjonalne. Zdaje się, że poprzedni właściciel utracił życie właśnie w wyniku nieudanego romansu. Klucz do najistotniejszych treści danego gatunku leżał, jak widać, w tym, czego ten gatunek strzegł najpilniej: w sposobie prokreacji. Ale zadanie Flinta było sprawą zbyt nagłą, by pozwalać sobie na zabierające czas introspekcje. A w chwili gdy jest już umówiony z Kołem, dociekania takie stają się zbędne.

— Ale dokąd w takim razie się udasz?

— Poszukam spokoju. A ty nie pozwól, by Jego Kolistość musiał czekać.

— W porządku. Na razie.

Potoczył się w kierunku matermitera. Przy odrobinie szczęścia przekazanie miejscowym technikom równań transferowych nie zajmie zbyt wiele czasu. Wtedy wróci i ostatecznie uporządkuje sprawy z Tsopi — na swój sposób. A raczej zaokrągli je, według miejscowej terminologii.

Wytoczył się w kosmoporcie średniowiecznej planety w Sferze Polarnej. Poznał to już z daleka po architekturze; pamięć nosiciela nic nie zawierała na ten temat. W Polarnej naturalnie, tak jak w innych Sferach, występował regres odśrodkowy. Dlatego też transfer był tak cenny. Był natychmiastowym, tanim sposobem komunikacji, który zanieść

mógł zdobyć cywilizacji na samo Obrzeże i tam je utrwalić; w najgorszym razie zaś ograniczyć regres. Nie była to jednak kwestia wyłącznie sprawnej komunikacji; nawet na Imperialnej Ziemi istniały zacofane regiony.

Pojawił się portowy urzędnik.

— Witaj, Flincie ze Sfery Sol — zabręczał. — Jestem Dligt, polariański Kołowiec tego regionu. To wielce kuliście z twojej strony, że pomożesz nam w tym trudnym kontakcie.

— Witaj, Dligt. Rozumiem, że mam się spotkać z Wielkim Kołem — odparł niepewnie Flint.

— Oczywiście. Zaraz po rozmowie z Obcymi. Nie wyobrażam sobie, co byśmy zrobili bez twojej uprzejmej pomocy.

Do czego dąży Koło? Najwyraźniej zmiana planów była zamierzona; Kołowiec Dligt został powiadomiony o jego przybyciu. Coś się tutaj najwyraźniej dzieje.

— To niewielki odwrót — odparł grzecznie Flint. — Ale by wszystko było jasne, mógłbyś mi dokładnie wytłumaczyć, czego się po mnie oczekuje?

— Chętnie — odparł urzędnik wskazując ogonem żółtawe niebo. — Na pobliskiej orbicie znajduje się okręt ze Sfery Sol. Jeden z waszych statków wielopokoleniowych. Nie wiemy, w jaki sposób się do nich odezwać, gdyż przebywali w podróży przez wasze trzysta lat i nic nie wiedzą o naszej Sferze. Wydaje się, że automaty statku wybrały tę planetę jako nadającą się do zasiedlenia i wkrótce zostanie podjęta próba lądowania. To że planeta jest już zamieszкана przez odmienny gatunek istot rozumnych, może wywołać u nich ogromny szok. Ale skoro jesteś tutaj, prawdziwy Solarianin, przedstawiciel ich gatunku — bez urazy...

— Ależ ja nigdy nie widziałem statku kolonizacyjnego — zaprotestował Flint. — Moja planeta została zasiedlona sto ziemskich lat temu — około trzech i pół lat na Najdalszej. Naszego własnego statku dawno już nie ma.

— Rozumiemy to. Mamy podobne problemy z naszym Obrzeżem, dokąd podróż w jedną stronę zabiera czterysta lat wedle waszej skali. Ten statek musiał wszakże wystartować w tym samym mniej więcej czasie co statek twoich przodków. Byliście sobie współcześni w chwili startu, a także przez dwieście lat w przestrzeni kosmicznej. Sam odczułeś fatalne skutki takiego samego regresu, jakiego my doświadczamy tutaj. Jesteś tego samego gatunku co oni, przedstawicielem kultury pchnięcia: innymi słowy, najodpowiedniejszą osobą, która może wyjaśnić im całą sytuację.

— Że nie mogą się tu osiedlić?

— Och, nie. Odmowa byłaby niekolista. Kolonia Solarian będzie tu mile widziana. Stanie się prawdziwie cennym nabytkiem dla tego świata, nieustannym źródłem stymulacji kulturowej. Ale jednocześnie muszą zrozumieć, że są w naszej Sferze gośćmi, podległymi naszym władzom. Muszą uznać zwierzchność Wielkiego Koła i nie prowoko-

wać waśni międzygatunkowych.

— Tak, oczywiście — zgodził się Flint, wdzięczny za wiedzę, którą otrzymał z koła Szamana. Raczej z rąk Szamana! Prawodawstwo sferyczne wymagało uznawania władzy rodzimego gatunku danej sfery. Z tego też względu Polarianie żyjący na Najdalszej podlegali władzom ludzkim. Prawa mniejszości gatunkowych były ściśle respektowane przez Sferę nadrzędną, a wszelkie zatargi między współzyczącymi gatunkami były surowo zabronione. Wojny między Sferami kosztowały zbyt wiele; terytoria Obrzeża niewarte były takiego wydatku. Ponadto, jak wspomniał Dligt, współistniejące ze sobą w zgodzie różne gatunki osobników rozumnych stanowiły istotny czynnik stymulujący. Naturalnie pasażerowie statku, którzy przez ostatnie trzy stulecia podróżowali w całkowitej izolacji, nie mogli być świadomi tego wszystkiego. Granice Sfery Sol zostały zakreślone ledwie przed stu pięćdziesięciu laty, obejmując przestrzeń nie zajętą jeszcze przez Sfery: Polarną, Nath, Kanopus i Spika.

— Matermitujcie mnie na pokład. Porozmawiam z kapitanem.

— Muszę wyrazić sprzeciw, choć nie chciałbym popełnić niekolistości — odezwał się Dligt o własną skórę. — Ustanowiliśmy już audiowizualny kanał komunikacyjny, choć nie nawiązaliśmy jeszcze bezpośredniego kontaktu. Wyślemy zatem na statek projekcję twego obrazu, tak że dla nich będziesz wyglądał na istotę materialną. Sądzymy, że to najlepsze rozwiązanie.

— Dlaczego?

— Przedstawiciele zacofanych regionów każdej Sfery przejawiają ksenofobię. A już wy szczególnie — wyjaśnił Polarianin. — Może ci zatem grozić osobiste niebezpieczeństwo.

— Hmm, masz rację. Jestem w obcej postaci... bez urazy.

— Uraza? Och, niekolistość — Flint słyszał już to słowo wypowiedziane w znaczeniu "uraza", lecz nie było to określenie ściśle. Musiał więc uważać i upewniać się, że w pełni rozumie to, co jest zamierzone, a nie to, czego on się spodziewa. Istniało tak wiele drobnych pułapek kulturowych. Większość z nich była niegroźna, lecz niektóre mogły sprawić rzeczywiste kłopoty. — Naturalnie, że nie. Z tego też względu tak istotna jest twoja pomoc. Widzisz sprawy z punktu widzenia Solarianina. Spotykając się z nimi, nie spowodujesz żadnej niekol... to znaczy afrontu.

A więc Dligt również starał się przystosować do manieri językowej Flinta! Niewątpliwie dyplomata.

Wielkie Koło jest przebiegły, uświadomił sobie Flint. Cała sprawa zbiegła się w czasie z przybyciem tutaj Solarianina, a zatem zostanie on wykorzystany do ułatwienia tego nastroczającego kłopotu kontaktu. Jeśli coś nie wyjdzie, Imperialna Ziemia nie będzie mogła zgłaszać zastrzeżeń. Ściśle mówiąc, wysłannik nie znajdował się pod zwierzchnictwem tutejszych władz, ale próżno było się spierać. Wyrażna niekolistość! A Flint był

niezmiernie ciekaw tych zacofanych ludzi; będzie to jak spotkanie własnych przodków w chwili, gdy ci przybyli na Najdalszą.

— Zgoda. Włączaj.

Kołowiec zaprowadził go do kabiny komunikacyjnej.

— Nasz operator cały czas będzie na podglądzie kontaktu — wyjaśnił. — W razie kłopotów wyspirali transmisję.

— Jakie mogą być kłopoty? Przecież to wyłącznie mój obraz.

— Nie jesteśmy niezawodni i wolimy zachować ostrożność.

Byli tak przezorni, że do wszystkiego dochodzili zataczając koła, pomyślał Flint. Dużo lepsze są jednak prostolinijne pchnięcia ludzkiego umysłu, które potrafią skutecznie wniknąć w sytuację i wyjść z niej.

Nagle znalazł się w statku Solarian. Wszystko tu było metalowe — płaska, gładka podłoga, gołe ściany i skomplikowany sufit. Automatyczne urządzenia utrzymywały wewnątrz statku w sterylnej czystości.

A gdzie są ludzie? Czyżby cofnęli się aż do stadium wymarcia? Statek nie potrzebował udziału ludzi w kierowaniu lotem, ale winien dbać o nich, aby byli zdolni do kolonizacji. Regres mógł doprowadzić jednak do użycia siły, w wyniku czego załoga wymordowała się nawzajem. Tak nie powinno się zdarzyć, ale mogło. Statek potrafił ochronić swoją zawartość przed każdym niebezpieczeństwem za wyjątkiem zagrożenia, jakie niosła ze sobą natura ludzka.

Flint spróbował potoczyć się do przodu — i wyszło. Podłoga kabiny komunikacyjnej była ruchoma — jak mata na rolkach — i mógł na swym kole dotrzeć wszędzie, faktycznie nie ruszając się z miejsca. Projekcja przetwarzała te ruchy podłogi w modyfikacje jego obrazu i dlatego mógł swobodnie poruszać się po statku, tak jakby naprawdę był na jego pokładzie. Doskonałe; na Ziemi nie zetknął się z niczym podobnym. Szaman jak zwykle miał rację: z wielu względów technicznych i społecznych — Sferze Polarnej należał się głęboki szacunek. W sumie sprawiała wrażenie nieco bardziej zaawansowanej w rozwoju niż Sfera Sol.

Kręcąc się po sali dostrzegł tablicę pełną guzików i tarcz. Była to więc zapewne sterownia, najwidoczniej zabezpieczona przed wścibstwem pasażerów. Natrafił też na korytarz prowadzący z tego pomieszczenia, zablokowany zamkniętymi drzwiami przypominającymi wjazd do śluzy powietrznej.

Tak, tutaj nie ma czego szukać. Potoczył się do ściany... i przez nią.

— Wiem już, jak się czują duchy — mruknął zaskoczony dźwiękiem własnego głosu. Przecież wyobrażenie jego kulki nie mogło wydawać dźwięku. Mówił zatem do ściany kabiny komunikacyjnej, a ta przekazywała jego głos aż tutaj.

Wniknął w kolejny korytarz, podobny do pierwszego. Tutaj korytarz się rozgałęział. Trzeba było wcześniej przestudiować plan statku; teraz groziło mu zabłąkanie.

W każdym razie nie będzie tu sterczał cały dzień. Jeśli skieruje się wprost przed siebie, w końcu gdzieś trafi, bo rozmiary statku są ograniczone. Minął kolejne zablokowane drzwi i nagle trafił do mieszkalnej części statku.

Aż dech mu zaparło — jakkolwiek w przypadku ciała nosiciela trudno było mówić o oddychaniu. Leżała przed nim otworem cała sekcja towarowa: monstrualna, podobna do jaskini komora z pomieszczeniami dla kolonistów umieszczonymi na zewnętrznych ścianach. Wirowanie statku zapewniało w przybliżeniu ziemską grawitację: była to o wiele prostsza, tańsza, a nade wszystko dużo bardziej niezawodna metoda niż sztuczna grawitacja. Prostota zaś na statkach kolonizacyjnych była rzeczą podstawową. Im mniejszy stopień komplikacji, tym mniejsze prawdopodobieństwo awarii: taka była podstawowa zasada.

Zgodnie z nią, konieczny na statku kosmicznym obieg substancji organicznych również dokonywany był naturalnymi środkami. Dobrane specjalnie rośliny rosły sobie swobodnie, przekształcając niektóre sekcje w istną dżunglę. Flint rozpoznał krzewy jagodowe i drzewa owocowe. Sprawiało to wrażenie rajskiego ogrodu, o którym opowiadał Szaman.

Czyżby człowiek przybył ongiś na Ziemię takim właśnie pojazdem, a legenda o rajju była jedyną pozostałością czasów regresu, który wymagał wszelkie inne wspomnienia? Jeśli tak, to skąd człowiek przybył? Czy mogły istnieć gdzieś w galaktyce takie same istoty ludzkie, zupełnie nie związane z Ziemią i Sferą Sol? Musi kiedyś o tym dobrze pomyśleć.

Ruszył w stronę najbliższego pólka z niewielkim jeziorem pośrodku. Okrążył gęsty krzew... i spotkał pierwsze żywe stworzenie.

Przerażony Flint odcoczył się gwałtownie do tyłu. Stworzenie było groteskowe. Stało na podwójnym fundamencie, z kostnymi złączami co jakiś czas. Z boków wyrastały mu dwie zakrzywione tyczkowate kończyny, rozgałęziające się na końcach w kiście miniaturowych palców. Cały stwór był kanciasty i sztywny, a ponadto nierównomiernie pokryty ciałem, co sprawiało, że niektóre jego partie wybrzuszały się jak rozlany, na wpół już zakrzepły wosk ze stopionej świecy. Na szczycie ciała znajdowała się podziurawiona kilkoma otworami głowa, w połowie zakryta spadającą grzywą włosów.

Organizm Flinta zbuntował się; poczuł mdłości, a z tym był problem, gdyż jego obecne ciało nie miało możliwości wymiotować. Flint nie znosił chorób czy groteskowości, a nigdy dotąd nie spotkał czegoś tak szkaradnego. Nie był to bowiem jakiś prymitywny potwór; lecz świadome i rozumne stworzenie.

I wtedy pojął: to istota ludzka. Naga kobieta.

Całą siłą woli zmusił się do reorientacji; jak wtedy, w systemie Spiki, kiedy w podobny sposób był rozstrojony potwornością troistego seksu. Stopniowo zaczynała brać górę jego ludzka natura. Z punktu widzenia jego gatunku była to dojrzała, młoda kobieta,

gibka, zdrowa, budząca pożądanie. Całkiem jak jego narzeczona Honeybloom. Potwór, rzeczywiście!

Jak gruntownie stopił się już z polariańskim nosicielem! Stanowiło to poważne ostrzeżenie: jego aura Kirliana zanikała w niebezpieczny sposób, pomniejszając tym samym jego ludzką tożsamość. Teoretycznie powinna zanikać w tempie jednej jednostki dziennie, lecz najwidoczniej występowały tu wahania. Musi zatem kończyć swe zadanie i jak najszybciej wracać do własnego ciała (zdusił uczucie wstrętu ogarniającego go na tę myśl), by pozwolić swej aurze odzyskać naturalny poziom. Może zanikała szybciej w wyniku znużenia powtarzającymi się transferami.

Ale w tej chwili czeka go inne zadanie: wyjaśnienie sytuacji prymitywnym istotom ze statku i przekazanie Polarianom sekretu transferu.

Dziewczyna tymczasem wyglądała na równie przestraszona jak on sam przed chwilą. Jeszcze chwila, a wpadnie w panikę.

— Nie bój się — powiedział szybko. — Nie wyrządę ci krzywdy.

Wrzasnęła rozdzierająco i zaczęła uciekać. Jej korpus i kończyny zginały się w sposób, który zaintrygowałby Flinta, gdyby ten znajdował się we własnym ciele. Nie mógł jednak dopuścić, by uciekła przerażona, ruszył więc jej śladem, doganiając z łatwością. Wyciągnął ogon i objął ją w talii — ale ogon przeszedł przez jej ciało bez oporu. Zupełnie zapomniał, że jest wyłącznie obrazem.

Podążał więc za nią, bez wysiłku dotrzymując tempa dzięki lepszemu sposobowi poruszania się.

— Posłuchaj mnie! Reprezentuję Sferę Polarną!

Stanął. Jakież z niego idiota, przemawia do niej po polariańsku. Dziewczyna w żaden sposób nie mogła go zrozumieć.

Wszystko poszło fatalnie. Przede wszystkim technicy powinni wykonać jego ludzki obraz. Odpowiednia aparatura z całą pewnością istnieje. Jako obcy człowiek zwrócili by na siebie uwagę dziewczyny, a ponadto mógł przemówić do niej w jej własnym języku. Oczywiście, lecz za późno.

Wrzaski dziewczyny postawiły na nogi całe jej plemię. Pojawili się nadzy mężczyźni dźwigając własnej roboty włócznie; prymitywnie obrobioną broń jeszcze z epoki przedkrzemiennej — to Flint dostrzegł natychmiast okiem znawcy. Jakim skarbem dla pradawnego człowieka był krzemień ze swą niezwykłą twardością i łupliwością! Ale tutaj, w otoczeniu najwspanialszego metalu, z którego zbudowany był statek, pozbawieni byli nawet dobrego kamienia. Zapewne w ogóle nie było tu krzemienia. Bez chwili wahania cisnęli niezgrabnymi ostrzami we Flinta — naturalnie bez skutku.

Gdy to ujrzeni, czmychnęli. Flint zatrzymał się. Spartaczył swoje zadanie w sposób wręcz znakomity.

— Skasujcie projekcję, zanim narobię jeszcze większego bałaganu — odezwał się.

I znów był w kabinie projekcyjnej.

— Przepraszam — rzekł. — Wszystko zepsułem. Kompletna klęska. Jako człowiek z paleolitu powinienem być jednak być przygotowany.

— Nie łam sobie tym koła — odpowiedział Dligt. — Byłeś zbyt zaangażowany, tracąc przez to przewagę odmienności. My również doznaliśmy wielu niepowodzeń podczas takich wstępnych kontaktów. Twój udział zresztą był eksperymentem z liniowością i wiele nas nauczył.

— Masz rację. Linia prosta podejścia do sprawy nie jest sposobem właściwym. Teraz już to sam rozumiem. Ale zepsułem też wasze koliste podejście. Nie wiem, jak to naprawić.

— Ani trochę. Wiedząc już, że system liniowy nie znajduje to zastosowania, powrócimy do kolistości. Wyślemy projekcję nieruchomej postaci Polarianina, w towarzystwie różnych ciekawostek, które sprawiają taką przyjemność prymitywnym umysłom. Z czasem zrozumieją, że projekcja nie powoduje żadnych kłopotów, a my z kolei dostarczymy jeszcze więcej ciekawostek. To musi doprowadzić do porozumienia, ponieważ sami będą tego pożądać. Zajmie to wprawdzie trochę czasu i wiele obrotów, lecz wynik jest gwarantowany.

— Kolistość... — rzekł Flint. — Powolna, ale pewna. Tak, teraz pojmuję. Podejrzewam, że lepiej rozumiesz pierwotny umysł niż ja.

— Po prostu widzę go w szerszej perspektywie — zgodził się Kołowiec. — Ponadto cywilizacja, jeśli nie jesteś do niej przyzwyczajony, może okazać się zwodnicza. Zmienia cię niedostrzegalnie, aż nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy stajesz się kimś innym. Przestałeś już być człowiekiem z epoki kamiennej.

— Jesteś spostrzegawczy.

— Zaledwie dobrze wyszkolony w tym zakresie.

Flint pomyślał o Tsopi, która nigdy nie starała się przeciwstawiać jego prostolinijnemu myśleniu. Czy w jej oczach wyglądał tak jak ta kobieta ze statku kolonizacyjnego wydała się jemu? Kanciasty i odrażający? A zatem i Tsopi dokonać musiała potężnego zwrotu — po to tylko, by uciec od sposobu ludzkiego myślenia, fatalnego tak dla oddziaływania społecznego, jak i dla kontaktów wstępnych.

— Nie jestem przyzwyczajony do koncepcji kolistych, choć dostrzegam ich zalety. Jesteś bardzo wyrozumiały; czy mogę zatem cię prosić, byś mi odpowiedział na liniowe pytanie w innej kwestii?

Urzędnik wyglądał na zaskoczonego.

— Liniowość jest twoją naturą; choć zrobiłeś już wiele, by ją przewyciężyć. Postaram się odpowiedzieć w taki właśnie sposób.

— Będę ci bardzo wdzięczny. Co się dzieje, jeśli jedna ze stron uchyla się od wyrównania długu mimo stosownej okazji?

— To temat połowy dzieł naszej literatury! — odparł Dligt. — Dzieje się bardzo różnie. Wielu długów w ogóle nie można wyrównać.

— Mam na myśli takie, które można wyrównać. Jeśli samiec odmawia wyłącznie dlatego, że musi wypełnić zadanie nie mające związku z długiem... takie, które może poczekać, ale...

— Odmawia wyrównania długu z powodu zwykłego kaprysu? Nie istnieje nic ważniejszego niż dług. Cała kultura ponosi uszczerbek, jeśli jakiś aspekt praw jednostki zostaje pogwałcony. Czy znasz legendę o Krążku i Łożysku?

Flint zdusił parsknięcie śmiechem (nietrudno było to zrobić, gdyż kulka za dobrze nie parskała), kiedy pojął, że tamten mówi serio.

— Żałuję, ale nie.

— Krążek był prymitywnym, lecz atrakcyjnym samcem, który mimowolnie zaciągnął wymianę długów z niedojrzałą jeszcze samicą, Łożyskiem. Jej wiek stał na przeszkodzie natychmiastowemu wyrównaniu zobowiązań, lecz gdy dorosła, odszukała tego samca. Krążek jednak nie poznał jej i naturalnie uchylił się od spółkowania. Dojrzewanie zmienia osobnika, sam to rozumiesz...

— Tak, rozumiem — odparł Flint wspominając fenomenalne zmiany, jakie zaszły w Honeybloom, kiedyś nieśmiałym i drobnym dziecku.

— Zamiast więc wytłumaczyć mu pomyłkę i zachować równowagę długu, Łożysko wolała poszukać spokoju.

To poruszyło pamięć Flinta. Tsopi użyła takiego właśnie zwrotu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Łożysko jest teraz na niebie, jako jedna ze słabiej widocznych gwiazd. To bardzo u nas znana, smutna historia.

Spełniły się najgorsze obawy Flinta. — Ona... umarła? Wolała umrzeć, niż wyznać prawdę?

— W pojęciach liniowych, tak. Wybacz mi, że stałem się kolisty. Zdaję sobie sprawę, że twoje pytanie było czysto retoryczne, lecz i tak jest to temat delikatny. Umysł polariański nie potrafi wyobrazić sobie żadnych okoliczności, które usprawiedliwiałyby tak brutalne uchylenie się od wyrównania długu.

Dligt najwidoczniej doskonale orientował się w dręczącym Flinta problemie, lecz był ogromnie rozważny — zgodnie z polariańską naturą.

— Niemniej coś tak brutalnego mogło się nasunąć prymitywnemu obcemu umysłowi — odezwał się ponuro Flint czując w środku przeraźliwy chłód. — Wybacz, popełniłem kolejny niekolisty błąd. Czy mógłbyś matermitować mnie teraz prosto do pałacu premiera polariańskiego?

— Naturalnie — odparł urzędnik. Bez zwłoki nastroił aparaturę i Flint poprzez matermiter przetoczył się do odległego o sto pięćdziesiąt lat świetlnych pałacu.

Wielkie Koło już czekał.

— A zatem zamknąłeś obrót, wysłanniku — przywitał Flinta, który nagle pomyślał sobie: co zrobił Krążek, gdy dowiedział się o losie Łożyska?

— W której z waszych konstelacji znajduje się postać Krążka?

— Dziwne, że pytasz akurat o tę konkretną postać. A może już wiesz, że znana jest jako Etamin, gwiazda twego Smoka?

— Teraz już wiem — odparł Flint. — Wiedział także, co musi zrobić.

Jakkolwiek stracił już rozeznanie, czy jest bardziej Polarianinem, czy Solarianinem, musiał przyjąć rozwiązanie polariańskie. Każdy bowiem popełniony przez niego błąd brał się z liniowego sposobu myślenia.

— Przywołam zaraz techników — odezwał się Wielkie Koło.

— Przykro mi, lecz na razie się z nimi nie spotkam. Żałuję, że twoja Sfera poniesie szkodę, lecz jej interes chwilowo koliduje z interesem jednostki. Jeśli więc wyświadczysz mi grzeczność informując o miejscu zejścia Topsy, natychmiast się z nią połączę.

Podobnie jak Krążek połączył się na niebie z Łożyskiem. Wielkie Koło milczał przez chwilę.

— Nie chcemy narzucać naszych zasad mieszkańcom innych Sfer. Nie zrozumieliśmy cię właściwie i obecnie wnosimy poprawki, liniowo ułatwiając ci wykonanie zadania.

— Zaoszczędź mi proszę wstydu i nie tłumacz wszystkiego — odparł Flint. — Nie byłoby to koliste.

— Wygląda, że przekroczyliśmy wzajemne granice.

— Tak.

— W wypadkach jak ten osobnicy udają się do Świątyni Taroka.

— Kolistość. — I Flint wytoczył się szybko z pałacu.

Na Ziemi niczego nie rozumieją; tego był pewien. Być może jego śmierć wywoła reperkusje na skalę Sfery. Lecz wszystko to miało znaczenie drugorzędne. Zanim cokolwiek uczyni, musi wprawdzie wyrównać rachunki z Tsopi. Rozumiał już wystarczająco naturę Polarian; wniknął w nią na tyle głęboko, że go zdominowała. I nie była to tylko kwestia zanikającej aury Kirliana. Potraktował Tsopi w ten sposób, że przyniosło to taki skutek, jak nieudolne sparowanie pchnięcia włócznie. Wiele mu wyjaśnił szok, jakiego doznał widząc siebie oczyma innych stworzeń, tam na statku... lecz zbyt późno. Gdyby tylko wcześniej przyłożył właściwą miarę...

Przekroczył wrota Świątyni i wszedł do środka. Powitał go Hierofant.

— Oto wraca Pustelnik.

— Rycerz Gazu — poprawił Flint. Wprawdzie już się reprodukowałam i byłam raczej Królem Gazu, lecz dotyczyło to ciała nosicielskiego ze Spiki i prawdopodobnie się nie liczyło. — Przybyłem, by połączyć się z Paziem Stanu Stałego. Chcę się stać jednym z Małą Niedźwiedzicą.

Bo kim była Mała Niedźwiedzica, jeśli nie łożyskiem?

— Muszę spytać, czy wiesz, co to znaczy? Nie pochodzisz bowiem z naszej kultury.

— Oznacza to Trójkę Gazu... i Tańczący Szkielet. Smutek i Śmierć, jak przepowiedziały karty. Nie doceniłem wówczas ich trafności, lecz...

— I nie doceniasz teraz — odparł Hierofant. — Nie możesz Paziem Ziemi zastąpić Królową Cieczy i utrzymać trafność interpretacji.

— W tym momencie są jednym — odrzekł Flint. — Uchyliłem się przed wyrównaniem długu i muszę ten błąd naprawić, wszystko jedno w jaki sposób. Połącz mnie z Topsy.

— Mówisz jak prawdziwy Polarianin — zauważył Hierofant.

— Możesz sobie kpić ze mnie do woli. Zasłużyłem na to. Ale poślij mnie do niej.

— Nie mógłbym szydzić z tak szlachetnego gestu. To faktycznie polariańska decyzja, a ty w godny szacunku sposób rozumiesz jego znaczenie i podejmujesz decyzję. Stań w komorze animacyjnej.

A więc stało się, pomyślał Flint. Dziwne, lecz nie czuł lęku. Na Lunie, mając szansę umrzeć w sposób właściwy ludziom, postanowił zachować swoje problematyczne życie. Teraz, gdy może łatwo wypełnić misję, wybiera wielką transformację śmierci. Nie było to może rozsądne liniowo, ale za to słuszne. Wtoczył się na płytę.

Wraz ze światłem pojawiła się Tsopi; tak realna, że wydawało się Flintowi, iż może jej dotknąć. Piękniejsza od wszystkich istot, jakie w życiu spotkał.

— Przybyłem, by wyrównać dług między nami — powiedział. — I... Kocham cię, Mała Niedźwiedzico.

Stała przez chwilę w miejscu, uroczo balansując na swym kole, jak zwodnicze wyobrażenie, którym była w rzeczywistości. W tej króciutkiej chwili Flint uświadomił sobie, że wyraził tylko część prawdy. Kochał inną jeszcze Małą Niedźwiedzicę: konstelację Sfery Polarnej.

Wtedy odezwała się, niezmiernie go tym zaskakując; dopiero po chwili przypomniał sobie tutejszą sprawność projekcji. Naturalnie mogli też animować jej głos.

— I ja cię uwielbiam, Obcy Kamieniu — odparła tłumacząc jego imię, jak on przetłumaczył jej. — Spotkanie z tobą tutaj jest jak zmartwychwstanie.

To bolało. Jakież sadyta nagłaśniał tę upokarzającą go rozmowę?

— Gdziekolwiek jesteś, połączę się z tobą.

— Jestem w Wielkim Kręgu.

Wokół nich uformowała się olbrzymia jasna sfera polariańskich niebios, Ostateczna Kolistość, w której cała Sfera Sol była ledwie dostrzegalną konstelacją. Rozległy się dźwięki najdoskonalszej muzyki, pojawił zachwycający smak wzajemnego oddziaływania i poczucie harmonii.

Wyciągnął w jej stronę ogon; ona w odpowiedzi swoją mackę. Zawahał się w ostat-

niej chwili, nie chcąc burzyć złudzenia, stwierdzić jej niematerialności. Ale ona przekroczyła dzielącą ich otchłań... i zetknęli się.

Zdumiony, przyciągnął ją do siebie.

— Żyjesz!

— Teraz tak — odparła. — Wielkie Koło polecił mi czekać, aby mógł naprawić zło.

A więc Jego Kolistość, gdy tylko wyciągnął od Tsopi prawdę, zamienił mu misję na wychowawczą.

— Koło ma talent do wścibiania nosa w cudze sprawy! — wykrzyknął gniewnie Flint. — Na swój sposób jest kompletnie liniowy.

— Tą metodą zachowuje swoje stanowisko — zgodziła się.

— Mimo że żyjesz, podtrzymuję wszystko, co powiedziałem. I nie dbam że wielu Polarian zaśmieje sobie do reszty kulki z mojego szaleństwa! Przybyłem, by...

— Nikt nie będzie się śmiał — zaprzeczyła. — To co zrobiłeś, jest wspaniałe, bardziej koliste niż cokolwiek, na co stać jakkolwiek tutejszą istotę. Odtworzyłeś legendę swojej gwiazdy.

Odsunął się.

— Już czas — rzekł.

— Tak.

Jak poprzednio zaczęli zataczać wokół siebie kręgi, a Flintowi stało się obojętne, czy obserwuje ich choćby i cała Sfera Polarna; zamierzał wyrównać dług w wielkim stylu.

Tsopi zostawiała swój drażniący smak, uzupełniany jeszcze smakiem Flinta. W miarę jak koła zataczając spirale kierowały się ku wspólnemu środkowi, ich ślady nakładały się na siebie, potęgując intensywność smaku.

W końcu spotkali się. Ogon Flinta i macka Tsopi połączyły się, a ich kulki zetknęły ze sobą w elektryzującym, wirującym pocałunku.

Flint odkrył, że jego ciało nie potrzebuje żadnych instrukcji. Tak jak w przypadku Solarian i wszelkich innych gatunków — rozumnych i zwierzęcych — wystarczyła sama natura. Wiedział po prostu, że nie może być to gorsze niż wtykanie zeszytniałego wyrostka w ciało kochanej istoty.

Ale sama metoda zdumiała te fragmenty umysłu Flinta, które pozostały jeszcze ludzkie. W chwili największego uniesienia padł na ziemię, uwalniając swoje koło. Nawet by mu na myśl nie przyszło, że jest to możliwe; zawsze sądził, że koło jest nieodłączną częścią jego anatomii. Toczyło się teraz wolno po podłodze, pozostawiając właściciela kaleką. Bez koła wszelki ruch był po prostu niemożliwy; tylko w wyjątkowych okolicznościach Polarianin mógł rozstać się z kołem.

Do takich okoliczności należał właśnie akt reprodukcji. Tsopi położyła się naprzeciw i przysunęła do niego, a on natychmiast pochwyił fragment jej koła w swoją opróżnioną przed chwilą komorę. Wrażenie było rozdzierająco intensywne, bo bezpośrednio;

jej wydzielina mieszała się z jego wydzieliną, a nie osłabiała ich powierzchnia ziemi, po której normalnie toczyły się koła. Macka i ogon spletały się w podwójną całość zaciskając w mocnym uścisku.

Rozpoczynał się prawdziwy akt. Krawędź tułowia Flinta spotkała się z krawędzią ciała Tsopi razem obejmując kulę, tak że najmniejszy jej skrawek nie wystawał już na zewnątrz. Zaczęli ją obracać — niezwykle szybko. Szybciej, niż to było możliwe w jakiegokolwiek indywidualnej sytuacji, gdyż pracowały napędzające mechanizmy obu ciał. Każde z nich posiadało własne wyspecjalizowane mięśnie przylepne, które dotykały powierzchni tocznej koła, wprawiając je w ruch. Wystarczało to do zwykłego przemieszczania się — a obecnie było jeszcze zdublowane.

Koło obracało się tak szybko, że stało się ciepłe, a potem gorące. Zarówno Flint, jak i Tsopi zaczęli wydzielać dodatkowy płyn, który zraszał komory kół łagodząc tarcie. Mimo to temperatura rosła; zupełnie jakby podróżowali z superszybkością. Flint wiedział już teraz, że żar przenikający ich wspólną kulę sprawia, iż staje się ona przenikalna dla specjalnych soków. Ów eliksir sięgał do wnętrza coraz głębiej, zmieniał strukturę komórkową całej ich masy i pobudzał specyficzne enzymy.

W końcu zadziało coś wewnątrz koła. Nastąpiło wyładowanie elektrochemiczne, które odczuli jak rozbłysk ognia. Było to szczytowanie, pierwsze poruszenie się ukryte w nich jeszcze głęboko animacji. Kiedy ów wstrząs poruszył ich masę, nastąpiła natychmiastowa, nie do zniesienia wręcz rozkosz. Potem wyczerpanie.

Flint i Tsopi odpadli od siebie, a uwolnione, parujące koło odtoczyło się na bok. Gdy regenerowali nadwątlone siły — co było trudne z powodu braku kół, za których pomocą normalnie jedli, oddychali i wydalali — owo wolne koło zaczęło się trząść i wyginać, jakby coś próbowało wydostać się z jego środka na zewnątrz. Lecz to coś nie wykluwało się jak pisklę z pękającego jajka; wydłużało się, rozwijało coraz bardziej, aż wreszcie pojawiło się w kształcie uformowanego już ręką natury młodego Polarianina.

Przybysz przez jakiś czas próbował swej kulki oraz koła, starał się pochwycić właściwą równowagę. Nieoczekiwanie oddalił się.

— Dzieci same potrafią zadbać o siebie — wyjaśniła Tsopi. Jej kulka cieniutko wibrowała o podłogę.

— Zauważyłem to. Ale co z nami? Zostaliśmy bez kół.

W odpowiedzi włożyła mackę do pozbawionej koła podstawy i zostawiła w niej swoją małą kulkę komunikacyjną. Podstawa zamknęła się na niej mimo różnicy rozmiarów, po czym Tsopi z najwyższym trudem uniosła się, chwytając niepewnie równowagę. Było to jej nowe koło!

Zaczęła teraz szukać wokół siebie pustą macką, aż natrafiła na ogon Flinta. Wkłęśłość po jej kulce objęła skwapliwie kulkę Flinta, podobnie jak on poprzednio pochwycił jej koło-embrion. Przez chwilę mała kulka wirowała szaleńczo w podwójnym uścisku ni-

czym w intymnym, słodkim pocałunku — miniaturowej wirującej kopulacji — po czym Tsopi odsunęła się od Flinta porywając ze sobą kulkę. Wraz z ostrym, przelotnym bólem opuściła Flinta reszta uniesienia. Był nasycony.

Ostatecznie Tsopi chybotając się dotarła do jego porzuconego koła i pchnęła je swym ciałem. Potoczyło się wolno, aż dotknęło Flinta. Zakręcił się i umieścił je w naturalnym łożysku. W pierwszej chwili było zimne i nieprzyjemne; martwa, oślizła masa. Szybko jednak jego ciało ogrzało je i odświeżyło wydzieliną powierzchnię toczną. Mógł już się poruszać. Ale nie mógł mówić.

— Nie przejmuj się — Tsopi zawibrowała swą nową kulką o jego ciało. Głos miała gardłowy i niewyraźny, jakby nie w pełni jeszcze wyczuwała nowy narząd; jego kulka była nieco większa niż jej. Nazywało się to poświatą zaspokojenia; była to aluzja do wzajemnego spełnienia. — Wkrótce wyrosnie ci nowa, podczas gdy ja otoczyłam twoje nasienie nowym białkiem i moje koło też się rozwinie niebawem do pełnych rozmiarów. U nas samica po porodzie cierpi w taki właśnie sposób, podczas gdy samiec jest niemy. — Urwała na chwilę. — O tym poprzednio zapomnieliśmy i Wielkie Koło naturalnie od razu zrozumiało, że dług wcale nie został wyrównany.

Flint był już wcześniej przekonany, że Koło dopuścił się jakiejś niekolistej intrygi. Zapewne jednak podyktowała to konieczność. W jaki sposób Wielka Tyczka — poprawka, olbrzymi fallus — nie (Flint wciąż wikłał się w symbolice przekładów, choć ta w miarę ściśle wyrażała solariańską kulturę pchnięcia), Regent czy władca Sfery Sol zareagowałby na wysłannika Polarian, który odmawia wypełnienia swego zadania? Prawdopodobnie skierowałby takiego osobnika w jakieś bezpieczne miejsce i osobiście go wypytał, by zrozumieć, co się u licha dzieje. Następnie podjąłby stosowne działanie, by rozwiązać dany problem, nie oglądając się na subtelności ludzkich konwencji.

No i wreszcie wyjaśniona została tajemnica rozmnażania się Polarian. Nasienie znajdowało się u samca, konkretnie w jego kulce komunikacyjnej, zanurzone w pożywce proteinowej. Kulka zapewniała nasieniu bezpieczeństwo i pomagała utrzymać zdolności zapładniające do chwili przekazania go partnerce, która przetworzy je w oddzielną istotę. Nie, niekoniecznie tak. Uświadomił sobie dopiero teraz, że był to tylko dodatkowy aspekt wymiany nasienia. Zazwyczaj samica wprowadzała męską kulkę wprost na miejsce swego koła, co w pojęciu ziemskim kojarzyć się mogło z pocałunkiem genitalnym. Jeśli jednak samica darzyła samca szczególnymi względami, zachowywała jego kulkę, używając swojej jako koła. Tak to się właśnie zdarzyło tym razem. W ten sposób samica zatrzymywała też jego cząstkę tak długo, jak tylko chciała. Po akcie mogła przetworzyć nasienną kulkę w koło, tworząc w ten sposób związek dwóch zespołów genetycznych, albo zatrzymać ją na zawsze.

Nie istniało nic podobnego w ludzkim sposobie prokreacji, lecz Flintowi ta metoda przypadła do gustu. Samica zajmowała tu szczególną rolę. Podczas następnego spól-

kowania Tsopi będzie bezpłodna, gdyż jej dziewicze koło nie zawiera męskiego nasienia. Jej poprzednie, które przekształciło się w potomka, było w rzeczywistości dziedzictwem własnego rodzica; w pewnym sensie spółkowało z własnym ojcem. Ale jej pierwsza kulka była jej własna, a zatem bezpłodna, toteż stała się również bezpłodnym kołem. Mogła sobie zaplanować, że uaktywni w przyszłości nasienie Flinta, gdy zaciągnie wymianę długów z jakimś samcem, którego darzyć będzie względami, a tymczasem nawiąże przelotny, nie związany z żadnym długiem romans, aby pozbyć się bezpłodnego koła. Tak, system zobowiązań, ze swymi subtelnymi niuansami stanowił niezwykle precyzyjny mechanizm.

W istocie była to odmiana trójpłciowego systemu ze Spiki, ponieważ wymagała trzech osobników do stworzenia jednego potomka. Jeden osobnik płci męskiej dostarczał nasienia, samica rozwijała je do właściwych rozmiarów, a drugi samiec bezpośrednio wywoływał poród. I dlatego właśnie nie było mowy o kolejnych spółkowaniach danej pary; samiec przecież nie mógł sam spowodować porodu z własnego nasienia. Tak więc romans mógł być wyłącznie jednorazowy i dlatego nie istniały tu żadne trwałe związki. Sama myśl — o ponownym spółkowaniu z tą samą samicą przerażała Flinta; było to jak kazirodczy związek w jego własnej kulturze. Powtórka była możliwa, ponieważ nowe koło Tsopi tutaj nie pochodziło od jego kulki, lecz było to dozwolone wyłącznie w obliczu groźby eliminacji gatunku czy nieuniknionej wymiany zobowiązań. Podobnie jak w wyjątkowych wypadkach możliwe było w kulturze Sol spółkowanie z rodzeństwem czy bliskimi krewnymi, w teorii praktykowane przez dzieci Adama i Ewy czy przez potomstwo Noego, nigdy jednak więcej. Bez wątplenia pobrzmiwały tutaj echa koncepcji “grzechu pierworodnego”: mężczyzna nie powinien zabijać brata ani zapładniać siostry.

Och, wiele tu było do przemyślenia, a zrozumienie systemu Polarian prowadziło do bardziej szczegółowego wejrzenia w jego własny, ludzki system. Potrzeba by jednak do tego całej talii kart taroka!

— Żegnaj, Flint — odezwała się Tsopi. — Dług został wyrównany.

I odjechała, chwiejąc się na swym maleńkim kółku.

Flint, jakkolwiek głęboko poruszony ostatnimi przejściami, nie czuł już do niej pożądania. Całe zagadnienie, jak sądził, skupiało się w jego kulce, którą w tej chwili posiadała Tsopi. W praktyce męska kulka była bliskim odpowiednikiem męskiego jądra i stanowiła przedmiot sprośnych żartów — podobnie jak żeńskie koło. Istniały tu bardzo ściśle konwencje językowe. I tak czułkę nazywano zawsze męskim ogonem lub żeńską macką, organem porozumiewania się była kulka, a poruszania — koło. Rozróżnienie pozornie płytkie i banalne, ale jakże wyraziste. A u korzeni tego wszystkiego leżał seks!

A co w takim razie z jego męskim kołem? Czy ono również mogłoby się przekształcić w młodego Polarianina? Na tę myśl ogarnęła go fala niewysłowionego obrzydzenia;

koło stanowiło wyłącznie masę protein, rodzaj zmagazynowanych zasobów naturalnych organizmu. Mężczyzna mógł przeżyć dłuższy okres czasu, czerpiąc z zapasów koła. Jedną ze straszniejszych polariańskich tortur — o tak, tortury były znane tutaj! — polegała na pozbawieniu mężczyzny jedzenia na dłuższy okres, tak że jego koło stopniowo kurczyło się do rozmiarów kulki. Gdy mężczyzna przypominał już kobietę świeżo po kopulacji, uwalniano go i wystawiano na pośmiewisko. Wielu wolało poszukać spokoju niż znosić takie upodlenie. Inną karą było w ogóle usunięcie koła. Dalszy wybór — życie czy śmierć — zależał wyłącznie od delikwenta.

Dosyć; biologię Polarian poznał już w większym zakresie, niż tego potrzebował. Tsopi była teraz Królową Stanu Stałego, dojrzałą kobietą; ich wzajemny dług został wyrównany, a on mógł już przekazać Wielkiemu Kołu sekret transferu. Ale...

Ale jak tego dokonać... bez kulki komunikacyjnej?

Znał odpowiedź; dokopał się do niej. Musi poczekać, aż wyrośnie nowa kulka. To żaden problem; nowe nasienie dotarło już do końca jego macki, gdzie uformowało się w jądro nowej kulki. Wystarczyło teraz rozluźnić się i spokojnie odbywać rekonwalescencję. Był pewien, że aura Kirliana się nie wyczerpała; cierpiał wyłącznie emocjonalnie, a nie z powodu zaniku pola Kirliana. Mógł przebywać w tym świecie jeszcze całe miesiące. Wystarczy czasu, aby odbudować siły fizyczne. Doskonała okazja, by dobrze poznać tę zachwycającą kulturę.

Flint wytoczył się z pola animacyjnego i ruszył w wielki, wspaniały świat.

8.

Krwawe zgłoski

raport: meldunek ugrzęzłej agentki o krytycznej sytuacji
— zwołać wszystkie dostępne byty rady —
RADA ZAPOCZĄTKOWANA UCZESTNICZA- %: :
— oho, jeden więcej niż poprzednio kontynuować —
nasz agent 200 kirlianów gotów do transferu pod warunkiem wymiany na niskiego kirliana
%transfer niskiego kirliana podmiot natychmiast zaginie! wyjaśnić powody%
agentka 200-kirlianowa jest najlepsza, zaznajomiona z misją niski kirlian po zamianie nie będzie potrzebny straci swą tożsamość, lecz przyda się na zadanie specjalne
: :teraz już nic nie wiem! jak można: :
zadanie specjalne polega na wychowywaniu potomka poczętego u naszej agentki przez wroga
%nasza najlepsza agentka spółkowała z wrogim agentem? przecież miała go zlikwidować!%
— to długa historia, %; wiedziałbyś, gdybyś uczestniczył w poprzednich zgromadzeniach —
%wcześniej byłem zajęty sprawami o znaczeniu sferycznym%
—to jest sprawa o znaczeniu galaktycznym, doniosłością przewyż... —
%nie pouczaj mnie, — ! myślisz, że jesteś o tyle lepszy gdzie byłaby ta galaktyka gdyby nie my,%%
: :proszę was, w jedności siła!: :
— a może pozwólmy im sformować tę koalicję potem się skłócą na śmierć podobnie jak my —
%dostrzeżono skrajny humor%
— przyjmijcie nasze stwierdzenie, że zamiana ta jest konieczna —
: :ale następnym razem już go zabije?: :
— niechybnie jako ofiara gwałtu jest rozgniewana żaden laser nie pali goręcej od skrzywdzonej samicy —

%zaoszczędź nam aforyzmów%

jednomysłność?

:: koniec: :

*-%: :POTĘGA CYWILIZACJA JEDNOMYŚLNOŚĆ *-%: :

Dziwnie się zrobiło Flintowi, gdy znalazł się w ludzkim ciele nosiciela, z jego kanciastymi kształtami, ostrym, dwuocznym widzeniem i słabo wykształconym zmysłem smaku. Flint spostrzegł, że zamiast chodzić, próbuje się toczyć i zawadza o własne stopy. Długi czas był Polarianinem i jego aura Kirliana mocno opadła; niewiele brakowało, a na dobre wniknęłoby w tamtą szlachetną osobowość. Obecnie traktował Sferę Polarną jako kulturę znacznie przewyższającą Sferę Sol... ale to już rozdział zamknięty. Powrót z transferu był okropny. Dolegała mu dezorientacja, bóle i drgawki. Najwidoczniej podczas nieobecności Flinta jego ludzkie ciało nabawiło się jakiejś choroby. Mogłoby to tłumaczyć kłopoty z orientacją na Polarnej; wypadało przyjąć, że związek między aurą i jej oryginalnym ciałem nigdy nie urywał się całkowicie, a przedłużona nieobecność osłabiała układ fizyczny. Współczesna biotyka i terapia jednak powinny sobie poradzić z tym problemem w ciągu kilku dni i wtedy będzie mógł przystąpić do długotrwałej rekonwalescencji.

Musieli zatem wypchnąć go ponownie w transfer, a ciało poddać specjalnym zabiegom medycznym. Uparł się przy konkretnym celu tego krótkotrwałego transferu, pomimo protestów i argumentacji, że nie ma tam odpowiedniego nosiciela. Oświadczył im, że jeśli szybko nie znajdą takowego, stracą transferowca z Kirlianem, potrzebnego do przyszłych misji.

I tak ostatecznie wrócił do domu — na swój sposób. Wrócił do systemu Drakona, Smoka — na Etamin, do swego domu.

Jakże inaczej wyglądała planeta po upływie jednego ziemskiego roku! Pnącza wydały się większe, a teren bardziej górzysty. Lecz oczywiście tutejsze pnącza przewyższały rozmiarami największe drzewa na Ziemi, a krajobraz Najdalszej z epoki kamiennej był niezwykle dziki — on zaś zajmował mniejsze i słabsze ciało.

Było to bowiem ciało kalekiego dziecka — dziewięć — czy dziesięcioletniego chłopca. Miał zdeformowaną stopę i uciętą przy łokciu rękę. Najlepszy osiągalny nosiciel w tym prymitywnym świecie!

Czasu miał niewiele i pragnął zobaczyć Honeybloom, Królową Cieczy. Tam, w Sferze Polarnej przemienił wprawdzie Tsopi z Pazia w Królową Stanu Stałego, lecz był to przelotny romans. Prawdziwie kochał ludzką dziewczynę. Podążał zatem najszybciej, jak tylko pozwalało na to kalekie ciało.

U wejścia do wioski zatrzymał go wojownik. — Nie znam ciebie, chłopcze; jaką masz tu sprawę?

Flint rozpoznał mężczyznę: Fatclub — Gruba Maczuga, zwany tak od swej ulubionej broni, masywnego, ciężkiego drąga. Nie najlepszy w sumie wojownik, wyznaczany przeważnie do straży.

— Jestem gońcem z plemienia Bagiennych Wojowników — powiedział Flint. Plemię to przebywało w odległości setek kilometrów i nikogo stamtąd tu osobiście nie znano. — Niosę wieści dla Honeybloom.

— Musiałeś być długo w drodze — odparł Fatclub. — Ta suka już tu nie mieszka.

Flint odruchowo sięgnął po swą ostrą siekiere, natychmiast jednak się zreflektował. W tym ciele niewiele mógł zdziałać, a ponadto nie chciał się zdradzać, że zna Honeybloom. Ale skąd taka obelga pod adresem najpiękniejszej, najśłodszej dziewczyny w plemieniu!?

— Wolno się poruszam — przyznał wskazując na swą jedyną rękę i kalekę stopę. — Gdzie mogę ją znaleźć?

— Tam, na wzgórzu. Razem ze swoim bękartem. — Fatclub wskazał pogardliwym gestem kierunek.

Ze swoim bękartem... I nagle Flint pojawił, co się stało. Honeybloom urodziła mu dziecko, a ponieważ Flinta nieoczekiwanie zabrały władze Impów, była niezamężna. Dlatego wygnano ją z plemienia wystawiając na wzgardę i pośmiewisko. Jakiż straszliwy ją spotkał los! Gdyby tylko wiedział...

A przecież wiedział. Rozpoznał ją jako Królową, nie Pazią Cieczy w układzie taroka, który poznał w Sferze Polarnej. Wiedział o tym cały czas; miał w końcu świadomość, skąd się biorą dzieci! Po prostu nie dopuszczał do siebie tej myśli mimo wyraźnych sugestii taroka.

Wspiął się na szczyt pagórka, zaskoczony napotykanymi trudnościami. W normalnym ciele Flint z łatwością przeskoczyłby rozpadlinę i przemknął po pnączach, odruchowo odgarniając na boki cierniste krzewy. Lecz to ułomne ciało z mozołem pokonywało przeszkody, zawsze świadome obecności drapieźników, które nie odważyłyby się pójść tropem dorosłego mężczyzny. To ciało nie było również w stanie przeskoczyć z pnącza na pnącze. Z takiego punktu widzenia Najdalsza była o wiele mniej idylliczna!

W końcu ujrzał nędzną chatę Honeybloom, a przed nią starą kobietę przeżuwającą skórę jakiegoś gada, aby uzdatnić ją na odzież. Zajęcie nudne i męczące dla zębów.

Stara kobieta? Nie, zna ją zbyt dobrze. To Honeybloom! Jej włosy spłówały; ongiś jaskrawoczerwone, obecnie przybrały barwę matowego brązu. Lśniaca zielona skóra zjaśniała niemal do koloru ziemskiej bieli. Strzeliste piersi zamieniły się w obwisłe, wyciągnięte wymiona karmiącej matki. Cały jej wdzięk znikł pod zwiędłą skórą i przedwczesnymi zmarszczkami — znamionami chorób, ciężkiej pracy i strapień. Soki przeżuwanych skór pokryły jej wspaniałe białe zęby ciemnym nalotem. Nie była już piękna.

Przenikliwy ból, jak po uderzeniu, targnął Flintem. Oto właśnie Trójka Gazu z ta-

roka — przeraźliwy smutek i krzywda ukochanej osoby. Serce przebite trzema szpadami; utratą kochanka, urodzeniem bękarta i wygnaniem z plemienia. Mogłaby nawet umrzeć — ale ma obowiązek żyć dla dziecka.

W takiej samej sytuacji całkiem świadomie zostawił Llyanę Falowca ze Spiki, nie podejrzewając nawet, że podobne nieszczęścia spadają właśnie na jego narzeczoną. Obca agentka zasłużyła sobie na to; zasłużył zapewne i sam Flint — lecz czemu to właśnie spotkało nie jego, lecz biedną, łagodną Honeybloom?

To że wytrwała na przekór bezlitosnemu plemieniu, pokazało jej charakter. Mogłaby być dobrą i wierną żoną, znosząc pogodnie zarówno dobre, jak i złe chwile. Miała o wiele więcej niż tylko urodę; tu Szaman się mylił.

Flint oczywiście mógł jeszcze wszystko naprawić wracając do niej we własnym cie-le. Zdawał sobie jednak teraz sprawę, że Imperialna Ziemia na to nie pozwoli. Nie było w Sferze nikogo, kto nawet w przybliżeniu dorównywałby mu aurą Kirliana i wykonał zadanie jak on. A zadanie musi być wykonane; w przeciwnym razie galaktyka zginie i Honeybloom w ogóle nie będzie żyła, podobnie jak wszyscy inni.

Może też sprawić, iż przesiedlą ją na inną, bardziej cywilizowaną planetę, gdzie nie będzie ciążyć na niej piętno. Pochodziła jednak z Najdalszej i nigdzie indziej nie zazna szczęścia. Nawet od plemienia usunęła się nie dalej, niż wymagała tego konieczność. Jak zniosłaby utratę swego świata?

Tarok mówił prawdę: był tu tylko smutek i nieszczęście, a on, Flint, nie mógł temu zaradzić. Nieszczęścia zaczęły się od zaćmienia gwiazdy Sol, od znaku, który odmienił jego życie. Był ofiarą przeznaczenia. On... i jego bliscy.

Ale może przynieść ulgę. Ruszył w stronę chaty.

Honeybloom spojrzała obojętnie w górę. Jej wyblakłe, pozbawione wyrazu oczy otaczała sieć zmarszczek.

— Mam wiadomość... od Flinta — rzekł Flint.

— Flint! — wykrzyknęła i na króciutką chwilę powrócił jej dawny blask urody. Natychmiast jednak twarz jej na nowo poszarzała. — Jestem znużona podobnymi drwinami. Flint nigdy nie wróci!

Był tylko jeden sposób, by to zakończyć. I on musiał to zrobić.

— Powiedział urzędnikowi Imperialnej Ziemi, zanim umarł...

— Umarł! — wykrzyknęła przerażona.

— ...honorową śmiercią wykonując zadanie dla Sfery. Ścigając potwora... — Potwora z Galaktyki Andromedy, ale nie było sensu wyjaśniać jej tego dokładnie. — Powiedział: "Przełącz mojej ukochanej żonie Honeybloom z Najdalszej, że kocham ją i przekazuję memu synowi swoje imię i zawód. Niech pozwoli obrabiać mu krzemień".

— Ależ Flint nie był żonaty...

Oto była jedna z jej wad: uczciwość.

— Powtarzam tylko wiadomość — odparł Flint. — W dokumentach Imperium jesteś zarejestrowana jako jego żona wedle prawa zwyczajowego. Ponieważ Flint zginął w służbie Imperialnej Ziemi, jesteś uprawniona do renty po nim.

Wytrzeszczała nań zdumione oczy.

— Ależ...

— Nie będzie to wielka kwota, lecz pozwoli ci odzyskać miejsce w plemienu. Jako uznana wdowa po nim, nie masz już ciążącego na tobie piętna; jeśli zapragniesz, możesz powtórnie wyjść za mąż. W takim przypadku renta przypadnie bezpośrednio jego synowi, aż osiągnie pełnoletniość.

— Kpisz sobie ze mnie? — krzyknęła. Z oczu ciekły jej łzy. Nie były to łzy radości, lecz smutku. Ileż musiała przecierpieć!

Nie wierzyła — bo i dlaczego miałyby wierzyć?

— Powiedział również: “Mój palec wciąż jest sztywny”. Nie wiem, co to znaczy.

Ale ona wiedziała. Zacerwieniła się... i uwierzyła. Nikt prócz nich dwojga nie wiedział o uroku sztywnego palca, który rzuciła na niego za to, że wszedł zbyt intymnie w jej bujne pośladki, gdy spała w cieniu jagodowych krzewów. Naturalnie zeszywniało jeszcze coś poza palcem. O tym szczególnie pamiętać mógł wyłącznie prawdziwy Flint i tylko on mógł o tym wspomnieć.

— Musisz tylko udać się do Biura Imperialnego — rzekł Flint. — Dokumenty są zatwierdzone. To wszystko, co miałem przekazać.

Odwrócił się.

— Zaczekaj, zostań! — krzyknęła, poruszona nieoczekiwaną odmianą losu. — Mam soczyste jagody... pewnie jesteś głodny...

— Przynoszący złe wieści nie może jeść z pograżonymi w smutku — odparł cytując plemienną maksymę.

Milczała przez chwilę.

— To istotnie złe wieści. — Ale nie wyglądała na zrozpaczoną. Wszak niewytłumaczona nieobecność Flinta była znacznie gorsza od jego śmierci, gdyż ta ostatnia nadała dziecku ślubne pochodzenie. Nie, wcale się nie cieszyła, że umarł; wiedział, że wciąż go kocha — ale akceptując jego śmierć akceptowała też jego miłość, którą wyraził w posłaniu.

Jak prawdziwie przemówił tarok, gdy zapowiedział jego przyszlą śmierć — ale nazwał ją również transformacją. Flint myślał, że umrze w Sferze Polarnej, lecz nie umarł; i obecnie już wie, czego ta śmierć miała dotyczyć. Transformacja załatwiła wiele spraw, tak jak nie uczyniłaby tego śmierć normalna. Całe plemię wiedziało, że Flint nie był mężem Honeybloom, ale teraz, gdy stała się względnie zamożną kobietą, nikt nie będzie protestował, protest oznaczałby bowiem nazwanie martwego Flinta kłamcą. A nikt nie chce powrotu ducha Flinta i jego zemsty za taką ujmę, więc nikt nic nie powie. Flint,

gdy żył, był potężnym, sprawnie posługującym się bronią mężczyzną. Po śmierci byłby przerażający.

Jako wdowa, Honeybloom powinna zostać żoną wodza, który wedle obyczaju plemienia dbał o wszystkie wdowy. Ponieważ większość z nich było starych — liczyły sobie co najmniej rok, odpowiednik trzydziestu lat na Ziemi — Honeybloom mogła zdobyć całe względy wodza. Nie stanie się tak piękna jak poprzednio, lecz nawet drugi rozkwit jej urody będzie cudowny, zwłaszcza że zawsze była dorodną i uroczą kobietą.

Posiadający już ślubne pochodzenie syn Flinta wyrośnie, być może, jako pasierb wodza na przodownika szczepu, tym bardziej, że będzie jednym z najsilniejszych i najsprawniejszych mężczyzn w plemienu — taki, jakim był Flint. Tak, to najlepsze rozwiązanie.

Ale teraz już Flint nie ma powrotu — nawet gdyby ukończył pomyślnie swe zadania dla Sfery. Życie w plemienu i w ogóle na Najdalszej pozostało już na zawsze za nim. A to sprawiało ból.

Zostawił Honeybloom i ruszył odnaleźć grób Starego Parskacza, odnowić wspomnienia. Potem chciał jeszcze zobaczyć Szamana.

Zapadła już noc, nim odnalazł półślepego Ziemianina siedzącego na wzgórzu, wpatrzonego w gwiazdy.

— Szamanie, cierpię — rzekł siadając obok białoskórego starca.

— Całe życie jest cierpieniem — odparł Szaman. Członkowie plemienia często zachodzili do niego po radę i czary; to było jego zajęcie w tym pierwotnym społeczeństwie. — Widzę, żeś naprawdę wiele przecierpiał, niestety jednak moje czary nie zwrócą ci ramienia, co najwyżej mogą ulżyć w bólu stopy.

— Nie z powodu ramienia cierpię, lecz sam z siebie. Jestem martwy. Umarłem dzisiaj, by uchronić swego syna od hańby bękarctwa. Czy dobrze uczyniłem?

— Ależ jesteś tylko dzieckiem! Jak możesz mówić o śmierci?

— Mówię jako posłaniec kogoś, kogo już tu nie ma. Jestem duchem.

— Duchem. — Przygasłe stare oczy próbowały przez chwilę przeniknąć twarz Flinta; potem Szaman wpatrywał się bezskutecznie w nocne niebo. — Jesteśmy okiem Drakona, Smoka — ongiś Gwiazdy Polarnej, tak jak ją widać z Ziemi, obecnie najdalszej kolonii ziemskiej. Lecz istniał inny jeszcze smok, dawno temu. Drakon, grecki prawodawca. W 621 roku przed naszą erą rozkazał spisać prawa dla Aten, aby uczynić zadość potrzebie osobistego odwetu za zło. Ten jego kodeks był tak surowy, że nazywano go pisanym krwawymi zgłoskami.

— Krwawymi zgłoskami! — jak echo powtórzył Flint. — Jak dobrze rozumiesz!

— Zgodnie z tym kodeksem dłużnik mógł zostać sprzedany w niewolę. Podobnie ty wyrównałeś swój dług...

Wyrównał dług!

— Nie wszystkie kultury potrzebują aż tak surowych zapłat — odrzekł Flint myśląc o Tsopi Polariance i długu, jaki wzajemnie zaciągnęli. O ile lepszy był tamten system!

Szaman odwrócił się i spojrzał Flintowi w twarz.

— Honeybloom jest wspaniałą kobietą, lepszą, niż sądziłem dawniej. Dobrześ uczynił.

Flint opadł na kolana i objął starca swą jedyną ręką. W oczach miał łzy.

— Szamanie, ty mnie poznałeś!

— Trzeba starego durnia dopiero, by rozpoznał młodszego. Widzę, żeś dojrzał i opanował sztukę transferu, który za moich czasów był tylko plotką. Czy dlatego ściągnęli cię na Ziemię?

— Tak. Moja aura Kirliana jest bardzo silna. — Flint wzruszył ramionami. — Upomnę się o rentę dla Honeybloom, a Impy się zgodzą. — Na prywatnym koncie Flinta dość już było pieniędzy, by opłacić sto wdów. Jako najpotężniejsza aura w Sferze dostawał ogromną stawkę, której dotąd nie wykorzystywał. — Chcę mieć jednak pewność, że pieniądze użyte zostaną w sposób mądry, na korzyść Honeybloom i mojego syna. Mogą znaleźć się tacy, którzy oszukają...

— Zorganizuję fundusz powierniczy — powiedział Szaman. — Uśmiechnął się. — Naturalnie zabezpieczony czarami. Nie będzie żadnych nadużyć.

— Dziękuję — rzekł Flint.

Szaman ponownie zajrzał mu w oczy.

— Zestarzałeś się — powiedział. Ze względu na obecne ciało Flinta zabrzmiało to dziwnie. Ale była to prawda.

— Musiałem się zestarzeć — odparł Flint. — Stałem się obrzydliwie cywilizowany. Przemierzam teraz galaktykę — a raczej lokalną gromadę Sfer.

— Gromadę. — Otoczone zmarszczkami, prawie ślepe oczy znów spojrzały w niebo, ku gwiazdom, których nie były już w stanie dojrzeć. — Opowiesz?

Misja była tajna — ale Flint wiedział, że można ufać Szamanowi, wychowawcy z dzieciństwa, człowiekowi, którego wiedza pozwoliła Flintowi przeżyć w owej zadziwiającej galaktyce.

— Wszystko.

Opowiedział. Zabrało to kilka godzin, lecz opowieść była piękna, nawet o sprawach najgorszych.

— Nic nie mogłoby mi sprawić większej radości — odezwał się na końcu Szaman. — Przywróciłeś mi wzrok, pokazałeś wszechświat.

— Nie, tylko kilka bliskich Sfer — odparł skromnie Flint.

— I pobliską galaktykę. Nie potrafisz rozpoznać Królowej Energii?

— Nie. I to mnie zbija z tropu. Może to być którakolwiek ze Sfer, nawet pozornie nam przyjazna. Widziałem swego wroga kilkakrotnie i nie rozpoznałem jej.

— Pochodzi z Galaktyki Andromedy — wroga agentka nasłana, by cię zabić, ponieważ stanowisz główne zagrożenie dla ich planu. Potrafisz dotrzeć wszędzie tam, gdzie i oni, nawet do samej Andromedy, i odkryć ich tajemnice.

— Andromeda! — wykrzyknął Flint, pojmując nagle. — To musi być to!

— Ale strzeż się: ma oczywiście sposoby, by wytropić twoje transfery. Gdziekolwiek się udasz, pójdzie za tobą. I zabije cię, bo zna cię, a ty jej nie. Ponadto upokorzyła ją. Nigdy nie zapominaj, że to kobieta, choć zupełnie niepodobna do Honeybloom. Jakąkolwiek przybiera postać, skądkolwiek przybywa, jej zamiary są ci wrogie. Piekło nie ma...

— W mitologii Polarian piekłem jest linia prosta — rzekł Flint. — A u Spikan jest nim suche miejsce pozbawione stref. Szamanie, uratowałeś mi życie!

— Mam nadzieję. Jutro odwiedzę twoją wdowę. To był piękny gest z twojej strony, Flincie.

— Widzę, że najlepsze efekty osiągam za pomocą własnej śmierci! To było koliste. Co jeszcze pozostało do zrobienia?

— Nic więcej... lecz tylko mężczyznę było na to stać.

Podnieśli się z ziemi i w imperialnym geście uścisnęli sobie dłonie.

— Żegnaj, przyjacielu — rzekł Szaman.

— Żegnaj... przyjacielu — jak echo powtórzył Flint, czując pod powiekami łzy, których nie było, gdy rozstawał się z Honeybloom. Sądził początkowo, iż przybył tutaj dla niej, lecz teraz już wiedział, że chodziło o tę rozmowę z Szamanem. Nigdy więcej już ich nie zobaczy.

9.

Córki Tytana

uwaga wielokrotna matermisja do otwartej gromady gwiazd hiady, łącznie z wrogą istotą o 200 kirlianach

— hiady! znaczy, że znaleźli! wysłać natychmiast agentkę —

dopiero co została uwolniona ze spiki jej kirlian jest niski

— wiem matemitować ją —

do innej galaktyki? koszt energii

— pytanie o jednomyślność, wszystkie dostępne byty —

=: JEDNOMYŚLNOŚĆ

— to cię zadowala? to krytyczna sytuacja! matemitować ją TERAZ! —

(westchnienie) POTĘGA

— CYWILIZACJA —

— Mamy dla ciebie kolejne zadanie — przemówił Minister Obcych Sfer, kiedy Flint ożywił już przywrócone mu własne ciało.

— Ale nie dzisiaj, Impie — odparł Flint. — Mój Kirlian jest tak niski, że mogę się wtopić w nosiciela, którego zaanimuję. Byłem w drodze dobrych sześć miesięcy.

— Tylko trzy. Twoja aura zmniejszyła się o pięćdziesiąt procent, ale i tak jest najsilniejsza, jaką dysponujemy. Nie masz się więc czego obawiać. Tym razem wszakże użyjesz własnego ciała, gdyż tam, dokąd się udasz, nie ma nosicieli. W ogóle zresztą nie istnieje życie.

— W jakiej Sferze nie istnieje życie? — spytał zaintrygowany Flint.

— W Starożytnej Sferze.

Minister milczał chwilę, czekając, aż dotrze to do Flinta. Flint naturalnie słyszał o Starożytnych. Niektóre z ich ziemnych budowli znajdowały się na Najdalszej, inne porzucane były po całej galaktyce. Starożytni gdzieś przed trzema milionami lat stworzyli najpotężniejsze imperium międzygwiazdne, jakie kiedykolwiek istniało, ale o ich technice współczesne Sfery miały zaledwie mgliste pojęcie.

— Słucham cię z uwagą — odrzekł Flint.

— Odkryliśmy doskonale zachowaną kolonię Starożytnych. W Hiadach, sto trzydzieści lat świetlnych od Sol. Wiesz, co to znaczy?

— Gwiazdozbiór Taurus. Rogi Byka. — Jeśli Flint znał dobrze jakąś geografę, była to geografia pobliskich gwiazd.

— Rogi dylematu. Hiady leżą w miejscu przecięcia czterech Sfer: Sol, Polarnej, Kanopusa i Nath. Wszystkie posiadają tam swoje kolonie, lecz rządzą się one tak barbarzyńskimi prawami, że wolimy się w ich sprawy nie mieszać. Jest to ostatecznie sprawa Planet Imperialnych — lecz żadna z nich nie sprawuje szczególnej władzy w tym rejonie.

— Bo żadna nie chce. Skoro jest tam około stu gwiazd stłoczonych w przestrzeni jednego parseka sześciennego, to doprawdy trudno usnąć w takim blasku gwiazd.

— Nie jest tak źle. To otwarta gromada, nie zamknięta. Pytanie tylko, której Sferze ma podlegać? Owo Starożytne znalezisko może się okazać najdonioślejszym odkryciem w galaktyce. Kto tam prowadzi prace odkrywcze?

— A skąd pewność, że jest tam coś więcej niż było w innych, podobnych miejscach? Ostatecznie minęły trzy miliony lat.

— Znalezisko leży na planecie pozbawionej powietrza — i dotąd pozostało nietknięte.

— Pozbawionej powietrza! — wykrzyknął Flint. — I żadnych zniszczeń?

— Prawie żadnych. To najlepiej zachowana kolonia Starożytnych, jaką dotychczas odkryliśmy. Jest tam trochę śladów po meteorytach, lecz lokalizacja tego miejsca w gromadzie chroni je mechanicznie przed bombardowaniem z Kosmosu. Tak czy inaczej, kolonia jest nienaruszona.

— A to oznacza, że mogą tam być sprawne urządzenia, Starożytne maszyny...

— Albo Starożytna biblioteka, która pozwoli nam przełamać barierę językową i poznać tajemnice Starożytnych — odparł Minister z ożywieniem na swej bladej twarzy. Flint traktował Ministrów jako z gruntu pozbawionych indywidualności; ten jednak zaczynał przejawiać teraz trochę charakteru. — Starożytni nie znali zjawiska regresu sferycznego. Na ile się orientujemy, potrafili utrzymać całe swe galaktyczne imperium na jednolitym poziomie kulturalnym i technologicznym. Rozwiązali problem energii. Gdybyśmy znali ten sekret...

— To mógłbym odpocząć — rzekł Flint.

Myśl ta jednak wcale nie wzbudzała w nim entuzjazmu. Aby Honeybloom mogła odbierać rentę po nim, musiał figurować w oficjalnych rejestrach zmarłych. Skoro jednak był martwy, nie miał dokąd odejść na odpoczynek. A podróże do obcych cywilizacji weszły mu już w krew; stały się jego ulubioną przygodą.

— Możesz odpocząć po ocaleniu galaktyki — zgodził się Minister nie dostrzegając ironii. — Wybraliśmy kompromis. Wysłaliśmy do wszystkich naszych sąsiadów kap-

suły informacyjne. Potencjalne znaczenie tego odkrycia wykracza poza granice jednej Sfery. Pozostałe Sfery tej gromady wyraziły zgodę na wspólną wyprawę, z zastrzeżeniem, że wszystkie odkrycia dzielone będą równo, dla dobra galaktyki. Mają też powiadomić swoich sąsiadów i sądzimy, że do współpracy przystąpi jeszcze kilka innych Sfer. Powiadomiliśmy naturalnie też Sferę Knyfh z wnętrza galaktyki, która jednak oczywiście nie może matermitować swego przedstawiciela na odległość pięciu tysięcy lat świetlnych, aby wziął udział w przedsięwzięciu opartym tylko na spekulacjach.

Flint skinął głową. — Jeśli każda Sfera matermituje do Hiad swego reprezentanta we własnym ciele, zbierze się niezła menażeria!

— Dlatego posyłamy ciebie. Masz za sobą bezpośrednie doświadczenia z niektórymi spośród tych stworzeń. Potrafisz ich rozpoznać i współpracować z nimi, bez względu na ich dziwne czy nawet odstręczające cechy. Żaden inny człowiek nie nadaje się do tej roli.

— To prawda — przytaknął Flint, pamiętając, jak wyglądały w jego oczach ludzkie istoty, kiedy znajdował się w ciele polariańskiego nosiciela. Był zszokowany, przepelniony obrzydzeniem i dlatego popełnił wtedy tak okropny błąd. Oczywiście w dalszym ciągu czuje odrazę do wszystkich chorób czy deformacji — ostatnia wyprawa w ciele jednoręcznego chłopca niezłe przetestowała jego samokontrolę! — lecz ksenofobia była zjawiskiem powszechnym. Zespół w Hiadach nie będzie szczególnie zgraną ekipą!

Niemniej perspektywy były nader obiecujące nie tylko z powodu ogromnego znaczenia Starożytnego znaleziska. Chodziło o bezpośredni kontakt, we własnym ciele, z obcymi istotami rozumnymi, które znał wyłącznie z transferu...

Na Gondolfa IV przybył nocą. Nad głową paliły się cztery jaskrawe gwiazdy, które przyćmiewały resztę nieba. Były to sąsiednie Gondolfy: II, III, V i VI, i choć znajdowały się nie dalej niż o połowę roku świetlnego, miały cechy gwiazd, nie słońc. Nie panował tu przeto ciągle dzień: gromada nie była aż tak zwarta. Może kiedyś odwiedzi gromadę zamkniętą lub kulistą; wtedy się dopiero napatrzy!

Gromada cywilizacji też nie jest zwarta, pomyślał. Każda Sfera funkcjonowała niezależnie od swych sąsiadów, a wzajemna styczność była sporadyczna. Razem Sfery tworzyły ukształtowaną na podobieństwo dysku gromadę w galaktyce Mlecznej Drogi — podobnie jak komórki składają się na żywe stworzenie. Mleczna Droga również funkcjonowała niezależnie od swych sąsiadów w gromadzie Galaktyk. Dopiero ostatnio...

Flint ubrany był w skafander próżniowy i czuł się w nim nie gorzej niż w ciele nosiciela; żadnego porównania ze starym skafandrem z Luny, ciężkim i zawodnym. Materiał tego skafandra dopasowany był do ciała Flinta niczym otoczka zewnętrznych mięśni. Załamywał się wraz z ruchami człowieka, a jednocześnie utrzymywał we wnętrzu normalne ciśnienie atmosferyczne. Porowata warstwa przylegająca bezpośrednio do ciała z łatwością przewodziła ciecze i gazy niezbędne dla funkcjonowania organi-

zmu. Nie udusi się z braku tlenu ani nie utopi we własnym pocie. Skafander wyposażono w nie rzucające się w oczy zawory do przyswajania i wydalania, tak że wszystkie naturalne funkcje organizmu były łatwo i bezpiecznie zaspokajane. Ubiór był wytrzymały — ale też do pewnych granic. Jeśli przekłuty, nie zostanie natychmiast załatany, Flint zginie w wyniku dekompresji. Nie niósł zatem żadnej broni energetycznej, istniało bowiem zbyt duże niebezpieczeństwo użycia jej przeciw niemu. Niemniej był uzbrojony — skrycie.

Rozejrzał się. W mitologii Hiady były siedmioma córkami Tytana Atlasa i nimfy Aethry, przyrodnimi siostrami Plejad. Można to było na dwa sposoby odnieść do obecnej sytuacji: galaktyka Mlecznej Drogi była Tytanem, a Sfery jego córkami; pewnie tymi siedmioma, które będą tu reprezentowane. Albo też owym Tytanem było imperium Starożytnych, a jego córkami — naukowe i kulturalne artefakty, które po sobie zostawiły, każdy o nieoszacowanej wartości dla współczesnych.

W takich razach jak ten Flint żałował, że nie może udać się w podróż w czasy Starożytnych. Nie tylko by zgłębić sekrety ich techniki czy kultury, ale również osobiście ich poznać. Z całą pewnością wyróżniali się bardzo, ale to bardzo szczególnymi cechami!

Na razie jednak miał spotkać swych towarzyszy — i rozpocząć poszukiwania archeologiczne. Miejsce zostało odkryte przez nathiański statek wielopokoleniowy, który też umieścił tutaj pierwszy matermiter. Z powodów zrozumiałych wyłącznie umysłowi Nathianina urządzenie to tkwiło tutaj bezużytecznie przez dwadzieścia ziemskich lat. Przyniesione ze Sfery Polarnej za pomocą mikrokapsuły wieści o niebezpieczeństwie zagrażającym galaktyce oraz szybkie przekazanie tajników transferu sprawiły, że powróciła sprawa istnienia tego obiektu. Władze Nath zrozumiały, że może mieć on niebagatelne znaczenie, i ostatecznie ujawniły odkrycie. Potem już sprawy potoczyły się błyskawicznie. Za pomocą nathiańskiego matermitera dostarczono następne i dostarczono je do Sfer, które je wysłały. Dzięki temu przedstawiciele poszczególnych Sfer mogli się tu znaleźć w tym samym czasie.

Spotkać się miano w wyznaczonym punkcie na terenie miejsca poszukiwań. Flint dziwił się początkowo, że urządzenia od razu nie zostały zgrupowane w jednym miejscu, szybko jednak zrozumiał powód: chodziło o chwilę odosobnienia zaraz po przybyciu. Stanać twarzą w twarz z obcymi potworami nie jest rzeczą łatwą, lepiej więc zostawić sobie ustronne miejsce i przygotować się do spotkania. Niemniej organizatorzy z Nath mogli w tym mieć również inne cele.

Nagle uwagę Flinta przyciągnął zaskakujący, lecz dobrze znany kształt: dysk kanońskiego latającego spodka. Sądził, że pojazd taki jest przystosowany wyłącznie do lotów w atmosferze, najwidoczniej jednak użyto tu jakiejś innej zasady. W każdym razie ten egzemplarz z łatwością poruszał się w próżni.

Jego pilot natychmiast dostrzegł człowieka; pojazd zniżył lot i zawisł tuż nad głową Flinta.

— Podwieźć, Solarianinie? — z głośnika dobiegły słowa w standardowym języku Imperialnej Ziemi.

— Sfera Kanopus przybywa w pełnej gali — zauważył Flint chwytając elastyczną drabinkę spuszczoną dla jego wygody ze statku. — Matermitowaliście cały ten pojazd?

Oznaczało to wydatek energii równy dziesiątkom bilionów dolarów, chyba że dysponowali jakimś wyjątkowo ekonomicznym systemem.

Jego dobroczyńca okazał się Panem: owadooki, ze szczękoczułkami, skrzydłami tworzącymi płaszczy i sześcioma wrzecionowatymi odnóżami. Wyglądał jak monstrualny owad — którym też zapewne był — ale obdarzony przy tym nieprzeciętną inteligencją i odwagą. Jego gatunek panował w Sferze Kanopus, podczas gdy humanoidzi byli Niewolnikami, a Flint w dobitny sposób przekonał się, że nie należy się wtrącać w ten układ społeczny. Tak naprawdę, to nabrał dużego respektu dla Panów.

— Cokolwiek robimy, robimy należycie — odparła istota swym melodyjnym głosem. — Ale nie znaczy to, że czerpiemy z tego przyjemność.

Naturalnie. Panowie z Kanopusa pragnęli sami kierować swą Sferą we własny sposób. Władcy niewolników zazwyczaj nie lubili poddawać się ocenie odmiennych kultur. Gdy jednak Flint przybył do nich jako transferowiec, B: :1 poddał się temu, co nieuniknione, i Kanopus przystąpił do koalicji galaktycznej.

— Jestem Flint z Najdalszej. Odwiedziłem twoją Sferę kilka miesięcy temu.

Panowie rzadko kiedy ujawniali swoje uczucia, tym razem jednak coś na kształt zaskoczenia wykręciło jego szczękoczułki.

— Wybacz, że pod naturalną postacią nie rozpoznałem twej tożsamości. Jestem H: :4 o czterdziestu pięciu jednostkach intensywności Kirliana.

— I twój rząd zaryzykował istotę o wysokim Kirlianie, wysyłając cię matermiterem?

Pan wyciągnął długie odnoże i dotknął delikatnie ramienia Flinta. Nawet poprzez skafander Flint poczuł moc jego aury. Wydała mu się wyższa niż czterdzieści pięć; a może to tylko własna, osłabiona jeszcze aura sprawiła, że różnica zdała się mniejsza.

— Sekret Starożytnych z pewnością dotyczy również w jakiś sposób siły Kirliana. Sądzę, że wszyscy przedstawiciele Sfer, których tutaj spotkamy, będą Kirlianami, jak ty i ja.

Dobra odpowiedź. Bezwzględnie Rada Ministerialna wysyłając tu Flinta wykazała dużo więcej doświadczenia niż on sam.

— Jeśli znajdziemy to, na co liczymy — odparł Flint — grożące nam wszystkim niebezpieczeństwo będzie w znacznym stopniu zażegnane. Dysponując wiedzą Starożytnych, czy to o Kirlianie, czy o czymkolwiek innym, staniemy się niezwyciężeni.

- Zapewne. A jednak Starożytni zginęli.
 - Lecz przedtem ich imperium trwało przez milion lat lub dłużej.
 - Dziwne, że po tak długim trwaniu zniknęli tak nagle i zupełnie — zauważył Pan.
 - Owszem, to jedna z ich fascynujących tajemnic.
 - My traktujemy ją bardziej jako złowieszczą niż fascynującą.
- Talerz opadł na ziemię i Flint wygrzebał się ze studzienki pasażerskiej.
- Dziękuję za podwiezienie — rzekł.
 - To był dla mnie zaszczyt.
- Pojazd oddalił się w poszukiwaniu kolejnej istoty.

Flint stał nieruchomo w miejscu i myślał. Rozmowa miała niezwykle przyjazny charakter; niemniej Pan udowodnił, że przybył tu gruntownie przygotowany. Idealny sojusznik — lub piekielnie niebezpieczny wróg. Wyraźnie Kanopianie byli przekonani o doniosłości znaleziska!

Dzięki latającemu spodkowi Flint pierwszy stawił się na spotkanie. Rozejrzał się wokół, więcej skupiając uwagę na ziemi niż na niebie. W miejscu tym bowiem, bardziej niż gdzieś indziej, mógł spaść z niebezpiecznego urwiska, jednocześnie gapiąc się w zwodnicze niebiosy, niczym Błazen w talii taroka.

Zewsząd otaczały go zachowane ruiny wysoko rozwiniętej cywilizacji. Żadne tam gliniane skorupy czy kamienne groty strzał z ziemskich stanowisk archeologicznych, ale najprawdziwsze budowle dawnego miasta, nie różniącego się znów tak bardzo w swej strukturze od podobnych, współczesnych konstrukcji w Sol, Polarnej czy Kanopusie. Sprawiały wręcz wrażenie, jakby Starożytni rozumni dopiero mieli opuścić to miejsce.

Takiego obrotu sprawy Flint się nie spodziewał, wiedział bowiem, że większość miejsc Starożytnych dostrzec mogło wyłącznie bystre oko specjalisty: tu nienaturalne usypisko, tam ślady zagłębień, gdzie indziej jeszcze porośnięta dżunglą depresja. Czasem górskie zbocze jako pozostałość ogromnej budowli, teraz zaś ofiara orogenezy. Niekiedy ekipy budowlane znajdowały ślady Starożytnych głęboko, pod warstwami geologicznymi. Ale trzy miliony lat to okres bardzo długi; nikt nie miał wątpliwości, że Starożytni byli fenomenalnymi budowniczymi, lecz niewiele z tego wynikało, jeśli chodzi o obraz ich kultury. Do teraz...

Za jednym z zapadłych budynków, tuż przy ziemi, coś się poruszyło. Flint, nagle niezwykle czujny, wyciągnął jeden ze swych szczególnych środków obrony, teleskopową włócznię. Wymagała ona ludzkich rąk i ludzkich umiejętności, toteż Flint, jako człowiek z epoki kamiennej, twórca krzemiennych oszczepów, był mistrzem we władaniu tą bronią. Żadne inne stworzenie nie umiałoby zapewne użyć jej przeciwko niemu. Potrafił nią atakować i się bronić, a w wypadku utraty znał sposoby uniknięcia ciosu. Wątpił, by inne stworzenia miały odpowiednią budowę, by skutecznie się przeciwstawić jego włóczni. Z całą pewnością będą uzbrojone. Nie chciał tutaj zatargów, zarówno z powo-

dów osobistych, jak i ze względu na interesy jego Sfery, lecz w tej chwili, gdy coś obcego zbliżało się ku niemu, wolał być przygotowany.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak wędrująca kępa jeżyn. Gdy zbliżyło się dostatecznie, Flint pojął, że jest to istota żywa i rozumna; na Gondolfie Cztery nie istniało miejscowe życie. Poruszać się tu zatem mógł wyłącznie matermitowany, ubrany w skafander kosmiczny przedstawiciel którejs z Sfer. Flint był nadmiernie nerwowo! Odłożył włócznię, choć pierwotna natura doradzała raczej rozgnieść stworzenie, tak jak się rozdeptuje gąsienicę.

To coś nie miało nóg, poruszało się natomiast za pomocą tysięcy wystrzeliwanych maleńkich igiełek, niczym zakrzywione kolce ziemskiego jeżozwierza czy cierniotrawy. Wystrzelone, ciągnęły za sobą cieniutkie nici, zahaczając się o cokolwiek, nawet o drobiny piasku pustyni na tej planecie bez powietrza. Potem cieniutkie pasemka wciągały się do wewnątrz, przesuając w ten sposób do przodu całą masę stworzenia. Przez cały czas te prawie niewidoczne więzy znajdowały się w ruchu — niektóre cofały się, inne wystrzeliwały, zahaczały, wracały. Ogólny efekt nie był pozbawiony swoistego wdzięku; stworzenie gładko przebywało skalisty teren.

Musiało być ubrane w skafander, gdyż Flint wiedział, że żadna żywa forma nie mogła istnieć w próżni. Ale co za skafander! Każdy mikroskopijny haczyk, każde pasemko musiały być uszczelnione i zahermetyzowane. To zdradzało wysoki poziom techniki. Z całą pewnością owe tysiące miniaturowych wyrostków mogło znakomicie kierować ruchem stworzenia.

— Witaj, kolego — odezwał się Flint. Próżnia nie przewodzi wprawdzie dźwięku, lecz wiedział, iż dźwięk może docierać przez podłoże. Miał ponadto w skafandrze translator sprzężony z radiem.

W odpowiedzi dobiegło go staccato delikatnych pukań, jakby spadały na ziemię maleńkie kotwiczki. Włączył translator, który przez chwilę poszukiwał właściwego języka. W chwilę potem rozległ się głos.

— Sfera Nath.

— Sfera Sol — odparł Flint; jego urządzenie nie przekładało słów Flinta. Dla uproszczenia każdy osobnik miał translator przekładający tylko odbierane informacje. Nie dochodziło dotąd do bezpośrednich styczności między ludźmi i Nathianami, choć obie Sfery sąsiadowały ze sobą. Koszty, ryzyko i opóźnienia w kontaktach między Sferami były zbyt duże — aż do obecnego kryzysu galaktycznego.

— Przybyli? — spytał translator Flinta, kiedy Nathanian ponownie zapukał.

— Sfera Kanopus — odparł Flint. — Latającym talerzem. Inni jeszcze nie, o ile wiem.

— Wiadomość ze Sfery Bellatrix. Nie może przybyć. Informacja przekazana Sferze Mirzam, która uczestniczy.

Flint wyobraził sobie mapę sąsiednich Sfer. Bellatrix jest niewielka, o rozmiarach Sfery Sol; sąsiadowała z Nath, a stąd oddalona była o około pięćset lat świetlnych. Bellatrix została zaproszona do współpracy, w przeciwieństwie do Sfery Mirzam, z którą nie istniały jeszcze żadne kontakty. Najwidoczniej więc łańcuch powiększał się, co było dobre. Wkrótce, w obliczu zagrożenia ze strony Andromedy, cały ten sektor galaktyki będzie miał się na baczności.

— Sfera Nath prowadziła długi dyskurs ze Sferą Bellatrix — ciągnęła istota. Flint zdawał sobie sprawę z tego, że tłumaczenie nie jest ścisłe, że występują podstawowe różnice w klasyfikacji pojęć. “Dyskurs” mógł równie dobrze znaczyć wojnę, zniewolenie lub współzycie. Istniały wszak pewne granice możliwości pospiesznie skleconego systemu translacyjnego. — Obawiają się Obcych i dlatego nie mogą uczestniczyć. Ponieważ jednak są blisko związani z Mirzam i ich kontakty z nimi są podobne do naszych, przekazali im sekret transferu, a uczestniczyć będzie Mirzam.

Możliwe. Na mapie Sfera Bellatrix graniczy zarówno z Nath, jak i z Mirzam, więc jak w przypadku Sol i Polarnej mogły mieć za sobą stulecia wzajemnych kontaktów, wspólne kolonie na Obrzeżu, handel i tak dalej. Obawa przed taką nieoczekiwaną współpracą z grupą nieznanymi istot była więc całkiem zrozumiała. Przebywając w Sferze Polarnej Flint ujrzał Solarian oczyma innego gatunku i miał nadzieję, że nigdy tej lekcji nie zapomni. Sam wciąż jeszcze z trudem przyzwyczajał się do nowych form tak jak choćby obecne kłopoty, a był przecież najbardziej doświadczonym agentem Sol.

— Sfera Sol zrozumiała. Dziękujemy za wiadomość — odrzekł.

— Szarpnięcie haka — powiedział Nathianin.

Oczywisty błąd, złe tłumaczenie. Naturalnie hak i szarpnięcie stanowiły wyrażenie przyciągania, ruchu lub powodzenia — czyli zgody. Skoro jednak istniały dosłowne znaczenia tych terminów, translator wybrał najprostszą drogę. Był to zresztą jeszcze jeden dowód na to, że kwestii stosunków między Sferami nie można powierzyć wyłącznie urządzeniom mechanicznym.

— Powinniśmy może poczekać na pozostałych — odezwał się Flint. — Chcemy skoordynować poszukiwania.

— Sens wyjaśnienia: jaką pozycję zająć wobec pozostałych?

Flint zmienił nieco swą wypowiedź.

— Pozostać bezczynnymi do czasu przybycia reprezentantów innych Sfer — rzekł.

Tak, musi bardzo uważać na swe słowa. Dosłowność może sprowadzić na głowę kłopoty zgoła nieobliczalne. Słowo “na” mogło tu oznaczać czekanie na kogoś, nie na kogoś, a w rezultacie zgniecenie go. Wyrażenie takie mogło być potraktowane jako bezpośrednie zagrożenie. Masa ciała Flinta mogła wyrządzić wiele szkody rozciągniętemu na ziemi stworzeniu z kończynami-nitkami, takiemu jak to.

— Mamy pewne kłopoty z tłumaczeniem; proszę, weryfikuj każdy wątpliwy zwrot

bez urazy.

— Szarpnięcie haka.

— Dobrze znasz Sferę Mirzam?

— Istotę z Mirzam mógłbym rozpoznać za pomocą echolokacji — są skoczkami, trochę jak ty — ale mieliśmy ze sobą bardzo niewiele bezpośrednich kontaktów. Koszt materalisji...

— Tak.

Był to problem powszechny. Według mapy, Nath i Mirzam dzieliła odległość pięćset lat świetlnych.

— Gniew ma być uniknięty — odezwał się Nathianin.

Chodziło o słowa “bez urazy”? Prawdopodobnie chce zadać pytanie osobiste.

— Zrozumiałem, żadnego gniewu.

— Czy chcesz rozbić sobie głowę?

Hmm.

— Wyjaśnienie — odrzekł Flint.

— Wyraźne niebezpieczeństwo upadku i uszkodzenia przy umieszczeniu pionowym.

Aha.

— Istoty rozumne z Sol posiadają dobry zmysł równowagi. Wobec ostrożności unikamy upadku i rozbicia sobie głowy. A dzięki wzrostowi dysponujemy szerszym zasięgiem percepcji.

— Zasłużony sukces w przewyciężaniu oczywistego upośledzenia.

— Szarpnięcie haka — zgodził się Flint.

Nathianin zmarszczył swe nitki w potwierdzeniu i wyrzucił haczyk wciągając je natychmiast z powrotem — o nic nie zakotwiczone. Sympatyczny gest — a może uśmiech. Flint nie dostrzegł u stworzenia śladu oczu; zdał sobie też sprawę, że wzrost ma niewielkie znaczenie dla zmysłu słuchu. Zatem wyjaśnienia Flinta mogły być mocno niejasne.

— Pojmuję... — zaczął i urwał, zdając sobie sprawę, jak mogłoby to zabrzmieć w dosłownym tłumaczeniu. — Powiedziano mi, że to Nath odkryła Starożytne miejsce. Czemuście nie badali go wcześniej?

— Nie było zapotrzebowania na tę technologię — wyjaśniło stworzenie. — Podnoszenie kultury za pomocą techniki jest szkodliwe. Dopiero gdy dowiedzieliśmy się o zagrożeniu z Andromedy, zrozumieliśmy że istnieje potrzeba nadrzędna. Więc w zamian za informację o transferze przekazaliśmy wiadomość o tym miejscu. Najwidoczniej Nathianie oszczędzali informacje podobnie jak Solarianie pieniądze! Czemu nie?

— Uczciwa transakcja.

Pojawił się kanopijski spodek. Przywiózł stworzenie przypominające wyglądem uży-

waną na ziemskich farmach bronę talerzową.

— Sfera Mintaka — oznajmił H: : :4.

— Sfera Mintaka! — wykrzyknął Flint. — Nie wiedziałem, że oni też się przyłączyli.

— Zaproszenie przekazała Sfera Mirzam, która graniczy z Mintaka — wyjaśnił Pan zarówno w ludzkiej mowie, jak i w staccato Nathian. — Dzięki temu łańcuchowi kontaktów poznali Bellatrix i Nath. Mintakanin stosuje rozbłyśki światła, ale przekodowuje je na język Nath, tak więc wasze translatory poradzą sobie.

Flint ponownie wyobraził sobie mapę. Sfera Mintaka prezentowała się jako gigantyczny, niezbyt dobrze sprecyzowany łuk leżący na krawędzi galaktyki. Ludzie niewiele wiedzieli o tej Sferze, za wyjątkiem tego, że jest olbrzymia — jej promień przekraczał pięćset lat świetlnych, więcej nawet niż promień Sadoru — i niesłychanie odległa. Mintaka była jedną z trzech gwiazd tworzących Pas Oriona i od Sol dzieliła ją odległość tysiąca pięciuset lat świetlnych. Sfera ta, podobnie jak Sador, mogła chylić się ku upadkowi, żyjąc tylko wspomnieniami swej dawnej świetności, czemu jednak tak chętnie przyłączyła się do tej wyprawy? O tym, że Mintaka znajduje się w epoce schyłkowej, doniósł już poseł Sfery Knyfh, który dostarczył Sol transfer, ale mógł się naturalnie mylić. Gdyby Sfera Knyfh знаła ten sekret galaktyki, nie musiałaby obarczać Sol misją koalicyjną.

Nathianin milczał i Flint przez chwilę poczuł doń przyływ sympatii; zdawał sobie sprawę, że stworzenie to żywi podobnie jak on zastrzeżenia wobec Mintakanina.

— Poszukam kolejnych przybyszów — oznajmił H: : :4 i znowu wystartował.

Pozostali we trójkę. Mintakanin potoczył się do przodu na swych okrągłych ostrzach, pozostawiając w pyłe dwie równoległe bruzdy; Flint pomyślał, że krawędzie tych dysków przecięłyby z łatwością każdy kombinezon lub cokolwiek innego. Była to istota przygotowana do walki! Soczewki rozmieszczone między ostrzami rozbłykiwały światłami, gasnąc i zapalając się tak szybko, że tylko migotały.

— Pozdrowienia, Sol i Nath — odezwał się translator w paśmie Nath. — Wielkie dzięki za zaproszenie i sekret transferu, który już przekształca nasze społeczeństwo.

Dla Sfery o promieniu pięciuset lat świetlnych — inaczej o średnicy tysiąca — transfer był rzeczywiście darem! Regres musi tam być szalony, pomyślał Flint. Sferze Sol wystarczyło sto lat świetlnych, by cofnąć człowieka do starszej epoki kamiennej; co dopiero pięćset. Homo ereaus? Presapiens? W ogóle w jaki sposób mogła powstać bez znajomości transferu Sfera o tak gigantycznych rozmiarach? Powinna szybko się rozpaść na mniejsze podsferę zorientowane na swe najbardziej aktywne kolonie, podobnie jak ziemskie imperium brytyjskie rozprysnęło się na Amerykę, Kanadę, Indie i inne.

To znów skierowało jego myśl na obecne zadanie: w jaki sposób Starożytni mogli stworzyć Sferę obejmującą swym zasięgiem pokaźną część galaktyki? No, to właśnie mają odkryć.

— Witamy każdego, kto pragnie się do nas przyłączyć — odrzekł uprzejmie Flint.
— Znasz zasadniczy cel naszego przedsięwzięcia?

— Uratować galaktykę przed Andromedą — i spożytkować w całości Starożytną wiedzę, jaką tu posiadamy. Sfera Mintaka, choć nie zainteresowana już dalszym rozprzestrzenianiem swych wpływów, chce utrzymać swój stan posiadania. Przyłączamy się zatem.

— Rozsądna odpowiedź — przyznał Nathianin. — Czy w twojej Sferze też są pozostałości Starożytnych?

— Wiele — lecz wszystkie zniszczone przez czas. Podejrzewamy, że Starożytni dotarli nie tylko do krańców naszej galaktyki, ale i do innych jeszcze galaktyk. Z pewnością Andromeda osiągnęła swą biegłość dzięki znalezisku takiemu jak to. Podziwiamy nieograniczone zasoby energetyczne Starożytnych i pragniemy odkryć źródła tej energii.

— My też — zgodził się Flint. Panowała między nimi oczywista zbieżność motywów, co było pozytywne. — Kto ponownie odkryje technikę Starożytnych, zdobędzie potęgę, dzięki której, podobnie jak oni, opanuje znaczną część Wszechświata.

— Dlatego też współdziałamy — dodał Nathianin — aby żadna ze Sfer w pojedynkę nie mogła z niej sama tylko czerpać.

— Jak stwierdził jeden z naszych luminarzy — błysnął Mintakanin — jeśli nie będziemy czerpać z tego wspólnie, zostaniemy z pewnością wyczerpani każdy z osobna.

— Interesujący zbieg okoliczności — odezwał się Flint. — Jeden z naszych dawnych filozofów podobnie mówił o wspólnym pokonywaniu trudności.

— Wątpię, by się znali — zauważył Mintakanin, a jego światła rozbłysły przelotnym humorem.

— Prawda powszechna — rzekł Nathianin.

Przytoczyła się kolejna postać, której przybycie Flint przyjął z zadowoleniem.

— Polarna!

— Jak kolicście was spotkać, Sol i Nath — odezwał się uprzejmie Polarianin. Nie była to naturalnie Tsopi, którą Flint znał i pokochał; tego byłoby już zbyt wiele. Niemniej przyjął to jak spotkanie ze starym przyjacielem, a przy tym Flint upewnił się co do tożsamości Nathianina. Dzięki temu, że Sfery się ze sobą przecinały, ich przedstawiciele mogli wzajemnie weryfikować swoją tożsamość. Skoro Polarna ręczy za Nath, Flint temu wierzy.

Wrócił pojazd z Kanopusa dowożąc dwie istoty.

— Sfera Antares — oznajmił Pan i odleciał.

Flint nie pamiętał dotąd o Antaresie. Sfera Sol dawno temu przeprowadziła z tą Sferą wymianę handlową, wymieniając technologię kontrolowanej syntezy termojądrowej na matersisję. Antares znał transfer od stuleci, lecz nie chciał go przekazać żadnej ze Sfer, aż do obecnych wydarzeń, które sprawiły, iż dotychczasowa polityka przesta-

ła mieć sens. Nikt nie miał o to pretensji, skoro wszystkie Sfery postępowały tak samo strzegąc tajemnic swych technologii; naturalnie do chwili, gdy zagrożenie ze strony Andromedan zmusiło je do ścisłej współpracy. Tak więc Solarianie i Antareanie znali się wzajemnie; Flint po prostu na własne oczy nigdy jeszcze nie widział przedstawiciela tego gatunku. Antareanie zbudowani byli z protoplazmy i pełzali kurcząc i rozciągając swe ciała. Byli bardzo rozciągliwi, ale pozbawieni szybkości i siły charakterystycznej dla istot zbudowanych ze szkieletu i mięśni.

— Antares, pchnięcie-haka gniew winien być uniknięty — odezwał się Nathianin.

— Przewidując twój gniew, wyjaśnienie — odparła jedna z protoplazm.

Stworzenie porozumiewało się przez wysuwanie wyrostków na szczycie swego ciała. W rezultacie Flint, by pojąć, o co mu chodzi, musiał przez cały czas kierować obiektywem translatora na stworzenie. Istoty te również musiały być w kombinezonach, choć na pierwszy rzut oka się ich nie dostrzegało. I tak zresztą dopóki nie pozna lepiej poszczególnych stworzeń, nie będzie mógł stwierdzić, czy są w skafandrach, czy nie.

— Pochodzę ze Sfery Spika — mówiło stworzenie — która nawiązała ostatnio kontakt ze Sferą Sol i otrzymała transfer. Ponieważ jesteśmy rasą podwodną, nie możemy przebywać na lądzie. Dlatego tu współpracujemy ze Sferą Antares; zostałem transferowany w ciało nosiciela stamtąd, a następnie matermitowany tutaj. Sądzę, że nie wzbudzi to niczyich zastrzeżeń.

— Miło cię powitać.

— Szarpnięcie haka.

— Kolistość.

Mintakanin rozbłysł na znak zgody.

Ponownie zjawił się kanopijski spodek. Tym razem pusty.

— Podejrzewam bardzo niepomyślne zdarzenie — oznajmił H: : :4. — Proszę udać się za moim pojazdem.

— Co się stało? — spytał Flint.

— Wolę nie spekulować. — Pan powoli ruszył pojazdem w stronę, z której przybył.

Udali się za nim. Flint szedł, Nathianin się przeciągał, Mintakanin kroił, Polarianin toczył, a dwoje Antarean pełzło. Szczególnie interesująca była ostatnia dwójka: rozciągali swe ciała niczym długie węże a następnie przepychali masę ciała do przedniej części. Przypominało to trochę glisty, a trochę przelewanie wody z kubka do kubka. Mimo iż proces ten był powolny, Flint uświadomił sobie, że niewiele jest przeszkód, które by skutecznie powstrzymały tę istotę; mogła przelać się przez maleńki otvorek lub rozciągając ciało — przerzucić je bez ryzyka ponad przepaścią.

Polarianin poruszał się najszybciej; potem Flint i Mintakanin. Pozostali ciągnęli się z tyłu. Nie miał to być wcale wyścig, ale Flintowi błysnęła myśl: czy powinien zawsze wyprzedzać te wszystkie stworzenia, skoro i tak zna swoje możliwości? Niemniej był

rad, że tylko Polarianin okazał się stworzeniem szybszym niż on, generalnie bowiem ufał Polarianom i darzył ich sympatią. Naturalnie przybysz z Kanopusa w swoim pojeździe był z nich wszystkich najszybszy, ale spodek nie dostanie się do wielu miejsc. W każdym razie szybkość nie jest jedną i najważniejszą przewagą: do różnych zadań potrzebne są różne zdolności.

Talerz wylądował. Flint i Polarianin zbliżyli się do wskazanego miejsca, gdzie ujrze-
li ciało jakiejś istoty. Była ona mniej więcej tych samych rozmiarów co pozostali człon-
kowie grupy (rozmiary każdego z nich z grubsza się pokrywały, jak gdyby była to nor-
ma dla istot rozumnych), różnice występowały natomiast w wyglądzie zewnętrznym.
Rozciągnięte na ziemi ciało było masywne, z wychodzącymi z grubych rur wypustka-
mi uformowanymi w trójnóg.

— Zapowiedziany uczestnik naszych poszukiwań. Martwy — powiedział Polarianin
dotykając kulka ziemi obok zwłok. Flint zdał sobie sprawę, że kombinezon Polarianina
jest bardzo sprytnie zaprojektowany — umożliwia właściwe funkcjonowanie i kulki
i koła. Lecz oczywiście Ziemia nie posiadała monopolu na pomysłowość. — Jego kom-
binezon został przebity.

— Ale z jakiej Sfery? — spytał Flint.

Strój martwej istoty rzeczywiście wyglądał na rozdarty. Musiała nastąpić gwałtowna
dekompresja, zbyt szybka, by owa istota mogła cokolwiek zrobić.

Podkroił się Mintakanin.

— To Mirzamanin — rzekł. — Co się stało?

Gdy wszystkie stworzenia już dotarty na miejsce, H: : :4 rozejrzał się wokół swego
pojazdu.

— Jeśli wolno mi teraz wyrazić przypuszczenie: zdarzył się wypadek — albo mor-
derstwo.

— Zabójstwo istoty świadomej! — wykrzyknął Antareanin.

Do ciała zbliżył się przedstawiciel Sfery Nath.

— Niewiele wiemy o naszej siostrzanej Sferze — tyle tylko, że Mirzamanie są nie-
zwykle ostrożni. Poruszają się dynamicznymi skokami i muszą zwracać baczną uwagę
na otoczenie, by nie zrobić sobie krzywdy w wyniku uderzenia.

Uderzenie. To przypomniało Flintowi trójpłciowych Spikan: Falowców, Sykaczy
i Uderzaczy. Obrzucił wzrokiem Spikanina w ciele Antareanina, lecz nie dostrzegł
u niego żadnej reakcji. Nie był naturalnie pewien, czy w jego języku istnieje jakiś odpo-
wiednik tego słowa. Nie ma sensu szukać śladów tam, gdzie ich nie ma.

— Nie widzę żadnych wystających skał czy większych nierówności terenu, które mo-
głyby stać się przyczyną takiego wypadku — rzekł Pan.

Flint przypomniał sobie, jak używał skoczka na Lunie. Tamten sposób pokonywania
drogi mógł być zbliżony do metody używanej przez Mirzamanina. Na olbrzymim księ-

życiu Ziemi było wiele naturalnych przeszkód, a mimo to Flint ani razu nie znalazł się w poważniejszym niebezpieczeństwie. Tak więc należało raczej wykluczyć wypadek.

— Jeśli jednak źle zakotwiczył... — zaczął Nathianin.

— Pośród nas musi być morderca — wtrącił jeden z Antarean. Flint obserwował go ukradkiem, próbując odróżnić od drugiego.

Był większy, bardziej przezroczysty, poprzecinany białawymi smugami, zapewne włóknami nerwowymi. Drugi natomiast, który twierdził, że jest transferowcem ze Spiki, był koloru mlecznego i sprawiał dużo delikatniejsze wrażenie; żeńskie. Nie, to nie miało tutaj zastosowania. W jaki sposób trójpłciowi Spikanie reagują na transfer w dwupłciową formę życia? A Antareanie — czy byli dwupłciowi? Powinien był to sprawdzić.

Siedem odmiennych istot zaczęło się od siebie odsuwać.

— Jeden z nas... — rozbłysł Mintakanin i urwał, by po chwili dokończyć: — jest szpiegiem albo zdrajcą.

— Nic dziwnego — odrzekł Flint. — Wieści o tym Starożytnym miejscu szybko się rozniosły, a Andromedanie zawsze byli świadomi naszej działalności. Jeszcze w Sferze Kanopus jeden z ich agentów próbował mnie zamordować.

— Sfera Kanopus nie chciała przystąpić do koalicji — rzekł H: :4 — ale nigdy nie skalaliśmy się sabotażem międzysferycznym. Jesteśmy, jak wszyscy tutaj, świadomi wspólnego zagrożenia. Skoro się przyłączyliśmy, współpracujemy uczciwie.

— Nie zamierzałem krytykować Sfery Kanopus — zastrzegł się Flint. — Tak naprawdę to właśnie wtargnięcie tam agenta Andromedy sprawiło, że Kanopus przystąpił do koalicji. Chcę powiedzieć, że potwierdzono, iż to właśnie agentka Andromedy, którą poznałem jako Cle z A[th] oraz Llyanę Undulant, a która właśnie animowała owe nosicielki, zaatakowała mnie, po czym wolała raczej przekazać Kanopusowi szczegóły techniki transferu niż ujawnić swą rzeczywistą tożsamość.

— Przepraszam za błędne mniemanie — rzekł Pan.

— Uwięziłem ją na jakiś czas w Sferze Spika, ale podejrzewam, że jest już tutaj, pośród nas.

— Mówisz o osobniku płci żeńskiej — wystukał Nathianin. — Nasze odkrycia wskazują, że transfer nie może się odbyć w ciało nosiciela o odmiennej płci niż transferowiec. A to już daje pewien ślad.

— Ale my nie posiadamy w ogóle płci — zastrzegł się Antareanin.

— A nasze są wymienne — dodał Spikanin/Antareanin. — Z tego też powodu ciało to jest bardzo przydatne dla transferu; jest bezpłciowe. Transfer w ciała gatunków płciowych mógłby nastęrczać problemy.

— Tak więc bezpłciowość lub płęć wymienna nie stanowią ograniczeń dla transferu — powiedział Flint. — Ale Nath ma rację: tam gdzie istnieją dwie płcie, przejście w transferze z jednej do drugiej jest niemożliwe. Możemy zatem szybko wyeliminować

z kręgu podejrzeń niektórych z nas. Ja na przykład jestem samcem.

— To niekolicie — odezwał się Polarianin. — Również jestem samcem, lecz jak mam tego dowieść innym, którzy zupełnie nie znają mego gatunku? W jaki sposób pozostali przekonają się o prawdziwości słów kogokolwiek z nas?

— Ja znam twoją rasę — odparł Flint. — Jako transferowiec musiałem w twojej Sferze wyrównać dług.

— Zatem możesz nazwać martwego partnera wyrównaniem długu — odparł Polarianin.

Flint rozłożył włócznię do maksymalnej długości, uniósł ją i skierował ostrze na Polarianina.

— Jesteś w polariańskim ciele, lecz możesz być obcym transferowcem. Zdążę przebić tą bronią twój skafander, zanim mnie zaatakujesz lub podejmiesz próbę ucieczki — a jeśli spróbujesz jednego czy drugiego, pozostali dowiedzą się, że to ty jesteś oszustem.

— Solarianinie, to wielki hak-zniewaga — zaprotestował Nathianin. — Ta istota nie dała ci...

— Wyrównanie długu jest czymś wyjątkowym — odrzekł Flint nie opuszczając włóczni. — Nie istnieje w nim żaden martwy partner.

Polarianin stał bez ruchu. — Jest jeszcze jedna kwestia — stwierdził. — Któryś z nas, a nawet wszyscy, mogą być transferowcami; wszyscy zatem jesteśmy podejrzani. Andromedanie z pewnością dysponują agentami zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej. Jeśli więc nawet potwierdzimy swą płć, jak stwierdzimy prawdziwą tożsamość każdego z nas?

— Zapewniam cię... — zaczął Antareanin.

— Nie rozwiałeś mych wątpliwości — rzekł Flint do Polarianina. — Wynikają one z informacji, a nie płci. W jaki sposób wyrównuje się dług?

— Nie potrafimy swobodnie mówić o tych sprawach.

Do przodu podkroił się Mintakanin.

— Solarianin postawił zarzut Polarianinowi. Wygląda więc na to, że któryś z nich jest oszustem — lecz jak wykryjemy który? Obaj są mi zupełnie obcy i nie wiem nic o wyrównywaniu długów. Nie mogę zatem obiektywnie zweryfikować którejkolwiek z odpowiedzi.

— Znam system polariański — wtrącił Nathianin. — Zaczynam pojmować punkt widzenia Solarianina. Chodzi o...

— Nic nie mów! — przerwał mu Pan z Kanopusa. — Ty właśnie musisz zweryfikować odpowiedź. To prawda, że jest nam trudno na podstawie własnej wiedzy stwierdzić, który z nas jest prawdziwy, a który nie. Ale przecież każda Sfera krzyżuje się na obrzeżu z jedną lub kilkoma innymi. W taki właśnie sposób nawiązaliśmy ze sobą pierwsze kontakty. Możemy wykorzystać ten układ w celu wyizolowania intruza... jak sądzę.

— Zgadzam się — odrzekł Flint. — Niech śledztwo prowadzi H: : :4. Możemy to zresztą przegłosować.

Zapanowało ogólne poruszenie i konsternacja. Ale Flint wcale się nie rozluźnił; uświadomił sobie zbyt późno, iż świadectwo Polarianina, jeśli ten się zgodzi, może okazać się dla Flinta pułapką. Tak naprawdę bowiem zarzuty Flinta nie były zbyt dobrze umotywowane; postąpił zbyt pochopnie.

— Nath, Sol i nieobecny niestety Sador przecinają się z Polarną, a prócz tego Nath i Sol — z Kanopusem. Zatem wymiana informacji przez ich przedstawicieli pozwoli zweryfikować rzeczywistość w sposób kolisty.

— Ależ i Sol, i Nath są podejrzane! — sprzeciwił się Spikanin.

— Ja też, bo faktycznie jestem transferowcem — dodał Antareanin w ciele Spikanina.

— Musimy przyjąć porządek działań — zniecierpliwiał się Flint. — Możemy głosować...

— Co znaczy “głosować”? — spytał Mintakanin.

Ach, zatem to było powodem konsternacji. Ludzka koncepcja głosowania była dla nich równie mętna, jak polariańska koncepcja długu.

— Znaczy to, że każda istota mówi tak lub nie, a potem wszyscy akceptują decyzję większości — wyjaśnił Flint.

— Niemożliwe — rzekł Spikanin. — Każda kwestia ma trzy strony, a więc nie ma mowy o większości. Jak mówi przysłowie: w tym największy jest ambaras, żeby troje chciało naraz.

— Pchnięcie-haka — zgodził się Nathianin. — Żadna istota nie może decydować za inną.

Flint zorientował się, że grozi im nieskładna, chaotyczna dysputa i brak zgody.

— Muszę zatem postąpić samodzielnie. Polarianinie, oskarżam cię, że jesteś transferowcem z Andromedy, mordercą tego Mirzamianina i zagrażasz naszej wyprawie. W jaki sposób oczyścisz się z tego zarzutu przede mną i przed Nath?

— Twoje pchnięcie jest oburzające, ale typowe dla twego gatunku — odparł Polarianin. — Pozwól, że zaokrąglę to. Odpowiem na twój zarzut — a następnie postawię ci swój.

— Uczciwa wymiana — rzekł Flint mając nadzieję, że Polarianin zdoła się wybronić. — Ale przestańmy już zwlekać.

Pozostali milczeli. Czekali.

— Moje uprzednie oświadczenie było mylące — odezwał się Polarianin. — Solariański system pchnięć wyrównuje dług poprzez konflikt. Naturalnie Solarianin to samo założyłby w odniesieniu do Sfery Polarnej. Zatem wyzwanie mnie przez Solarianina potwierdza jego polariańskie doświadczenia.

— To nie pociąga — rzekł Nathianin. — Pchnięcie jest dla Polarnej, nie dla Sol.

— Anuluje to. Wybaczcie mi, proszę, konieczną niedelikatność. Dług między kobietą a mężczyzną wyrównuje się poprzez spółkowanie obu zainteresowanych stron i przeniesienie w wyniku tego męskiej kulki z nasieniem na samicę, gdzie kulka staje się jej nowym kołem. Pociąga to...

— Wystarczy — odrzekł Flint z głęboką ulgą, opuszczając włócznię. — Wybacz podejrzliwość.

— A teraz ja zadam ci pytanie, zamykając krąg. Jak wyrównuje się dług między Polarianami tej samej płci?

Flint zaskoczony, otworzył usta.

— Nie mam pojęcia. Nigdy o tym nie myślałem!

— Ale wyrównywałeś dług jako transferowiec?

— Nie sądzę, byś mi uwierzył w tych okolicznościach — rzekł Flint czując skupioną na sobie uwagę otaczających bezokich stworzeń. — Byłem w Sferze Polarnej, ale nigdy...

— Ty, Nath? — zapytał Polarianin.

— Dwa samce połączone długiem muszą poszukać dwóch samic o podobnym zobowiązaniu — odparł natychmiast Nathianin. — Wówczas jeden z samców wymienia oficjalnie dług z samicą. Następnie wyrównuje go, spółkując z jej siostrą w długu. Druga para czyni podobnie. Jest to tak zwany dług "czworokątny", jeden z niewielu przykładów niekolidości w obyczajach Polarian, przedmiot ordynarnych żartów. Istnieją specjalne przepisy dotyczące zobowiązań między nieletnimi lub przypadków, gdy jedna ze stron umrze przed wyrównaniem...

— Teraz to oczywiste — rzekł Flint. — Powinienem być się domyślić...

— Zastrzeżenie — odezwał się Polarianin. — Dowodzi to, że nawet długotrwały transfer nie jest w stanie zastąpić miejscowej wiedzy czy długotrwałej znajomości. Transferowiec nie oszuka nikogo, kto rzeczywiście poznał daną kulturę.

— Jestem gotów zweryfikować moją tożsamość tą samą metodą — odezwał się H: : : 4. — Zadowala mnie sposób...

— A mnie nie — odezwał się Mintakanin. — Przedstawiciel Sol sam się zaplątał w swoich indagacjach, Nathianin zaś zastosował wyłącznie logikę. Z kim ja mógłbym wymienić pytania? Reprezentant sąsiedniej Mirzam przecież nie żyje.

— Grozi impas — rzekł H: : : 4. — Niech przedstawiciel Sol wyzwie pozostałych z nas, tak jak wyzwał Polarną. Przynajmniej coś osiągniemy. Nie możemy bez końca debatować, gdyż nie wykonamy swego zadania.

— Poczekajcie — odezwał się Flint. — To zagadka zbrodni i sam dobrze nie wiem jak...

— Zgoda — przerwał Polarianin. — Pchnięcie do przodu i liniowe myślenie Sol wy-

dają się tutaj najlepszym rozwiązaniem.

— Szarpnięcie haka. Sfera Sol przekazała nam wszystkim transfer; Sol nas nie zdradzi.

— Solarianinie, twierdzisz, że byłeś transferowany do Spiki — zatrzepotał Spikanin. Flint westchnął. Wyglądało, że mimo wszystko wybór padł na niego.

— Tak. Lecz naturalnie wiem o kulturze Spiki niewiele więcej niż o Polarnej. Nie mogę zatem...

— Wymienimy pytania. Opisz metodę spółkowania Spikan. Wszystko zawsze sprowadza się do seksu, pomyślał. Reprodukacja stanowiła przewodni motyw każdego gatunku, najczęściej podlegający społecznym restrykcjom, a zatem doskonały ośrodek weryfikacji.

— To mogę zrobić. Posiadacie trzy płci, Uderzaczy, Sykaczy i Falowców. Jednoczesne spotkanie się trzech płci natychmiast prowadzi do wybuchowego połączenia. Trzecie stworzenie na scenie przyjmuje rolę katalizatora...

— Chwileczkę — odezwał Mintakanin. — Czy nie mówiłeś, że Andromedanka też została przetransferowana na Spikę?

— Zgadza się. Oboje zresztą weszliśmy w skład łączącego się tria.

Pojazd z Kanopusa zakołysał się przelotnie, jakby pilot utracił nad nim kontrolę.

— Spotkałeś agentkę, rozpoznałeś ją... i spółkowałeś z nią? Flint bezradnym gestem rozłożył ręce.

— Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak. Widzisz...

— Zatem powiadomiłeś o niej władze Spiki, aby ją zlikwidowały — podpowiedział przedstawiciel Nath.

— Nie. Ja... sytuacja była...

— A więc — przerwał Mintakanin — ona wie o Spice tyle samo co i ty, a może nawet więcej.

— Masz rację! — zgodził się Flint, ponownie zaskoczony tak oczywistą prawdą. — Zatem nie jest to...

— Możesz więc nawet dać właściwą odpowiedź, a mimo to być szpiegiem Andromedy.

— Nie w tym wypadku — uśmiechnął się Flint. — Szpieg i ja jesteśmy odmiennej płci.

— Należy wziąć pod uwagę, że szpieg tym razem może być samcem — upierał się Mintakanin. — Spika tu nie ma nic do rzeczy, ale czy Kanopus może nas zapewnić, że szpieg-transferowiec był samicą?

Talerz ponownie się zakołysał.

— Nie możemy — przyznał H: :4. — Mielśmy do czynienia z dwoma transferowcami, lecz znamy ich wyłącznie poprzez ich wyjątkowo wysokie aury oraz oświadcze-

nia, które złożyli. Oboje twierdzili, że pochodzą ze Sfery Sol.

— A zatem samica, która dostarczyła danych o transferze, kiedy samiec zawiódł, w rzeczywistości mogła być prawdziwym posłem. Próbowала zabić oszusta, a ten w odwecie oczernił ją.

— Możliwe — zgodził się Pan.

— Ale ten Solarianin postępuje zgodnie ze swą naturą — argumentował przedstawiciel Polarnej.

— Chyba że Andromedanie mają tę samą naturę. Czy sądzisz, że Sol jest jedyną kulturą pchnięcia we wszechświecie? Byłoby rzeczą naturalną, że Andromedanie transferują się w ciało przedstawiciela gatunku podobnego do siebie.

— Szarpnięcie-haka — zgodził się Nathianin.

— Sprzeciw — zatrzepotał Spikanin. — Znamy okoliczności i zasugerowaliśmy wyjaśnienie, lecz pomijały trzeci aspekt. Może pośród nas nie ma wcale mordercy. Nasz towarzysz ze Sfery Mirzam mógł zostać zabity przez Tytana.

— Tytana!? — wykrzyknął Flint. — Z całą pewnością nie ma tutaj żadnego Starożytnego! — Mimo to zaczął się niespokojnie rozglądać.

— Nie wiemy, na czym polegała ich potęga, za wyjątkiem tego, że była większa od naszej — dowodził Spikanin. — Zakładamy, że byli istotami lądowymi, choć ich ślady znajdujemy nawet na planetach Spiki, w głębi pradawnych oceanów. To właśnie te zadziwiające przejawy dawnego życia i cywilizacji dostarczyły nam bodźca na wyruszenie w Kosmos w poszukiwaniu nowych wód. Starożytni mogli pozostawić nieożywionego strażnika, maszynę...

— Robota! — rzekł Flint. — Albo pułapki, podobnie jak czynili piramidalni Egipcjanie na naszej rodzinnej planecie, gdy chcieli powstrzymać intruzów.

— Niemniej pozostajemy w impasie — przypomniał Antareanin. — Proponuję zatem poniechać jałowych poszukiwań winnej istoty pośród nas i sformowawszy pary udać się w teren, wzajemnie się pilnując. Jeśli ktoś będzie postępował wbrew interesom naszej galaktyki, padnie nań podejrzenie. Następnie, przed opuszczeniem planety spotkamy się w tym miejscu. Być może Starożytni podsuną nam rozwiązanie problemu.

— Dobra myśl! — zgodził się Flint. — Andromedanie najwyraźniej są przekonani, że coś tu jest, i obawiają się tego. Gdy to odnajdziemy, będą musieli podjąć działanie — inaczej posiadziemy ten sekret.

— Jakie połączenie? — spytał Nathianin. — Jakie istoty w parach?

— Najlepiej przypadkowo — rzekł H: :4. — Niech każda istota z tego kręgu przyłączy się do stojącej naprzeciw.

Tak też się stało. Nath był naprzeciwko Mintaki, Flint naprzeciwko Spiki, a Polarna — Antaresa. Kanopus, zawieszony w swym pojeździe nad zwłokami, był sam.

— Jeśli się zgodzicie — powiedział H: :4 — będę parą dla martwego przybysza

z Mirzamu. Gdybym to ja zabił, nie mógłbym już wyrządzić żadnej krzywdy; a ponadto nie będę miał możliwości wtrącać się do waszych poszukiwań. Jeśli szpieg podejmie działania gdzieś indziej, niech jego partner natychmiast wezwie mnie na pomoc. Będę krążył nad tym miejscem i pozostanę na nasłuchu radiowym.

Nie było zastrzeżeń. Pomimo morderstwa cała grupa była już znużona bezowocnym śledztwem. Trzy pary udały się zatem w trzech kierunkach, wreszcie na tropie tajemnicy Starożytnych.

— Naprawdę nie wiem, czego szukamy — przyznał Flint. — Chyba złotej kaczki.

— Nie występuje tu miejscowe życie — przypomniał mu Spikanin pod postacią Antareanina. Wypukłości na tyle jego ciała wyginały się, jakby przeciekając na przednią część ciała. W ten sposób poruszał się naprzód. Flint musiał iść bardzo powoli, nie było to jednak uciążliwe. — Z całą zatem pewnością nie spotkamy tu latających ryb, nawet złotej barwy.

— Metafora — roześmiał się Flint. — Miałem na myśli to, że nie znajdziemy tutaj nic użytecznego.

— Ale szukać musimy.

— Tak.

Pozostałe grupy zniknęły już za zasięgu wzroku i tylko w górze unosił się statek kanopijski.

Ruiny budziły teraz swym wyglądem niepokój, wręcz przerażały, jakby nawiedzane przez duchy. Flint traktował to jako nerwową reakcję po szoku spowodowanym odkryciem morderstwa. Jego towarzysz mógł być obcym agentem — nie, to raczej niemożliwe, gdyż Antareanie przybyli razem. I w jaki sposób stworzenie to zdołałoby przebić skafander istocie poruszającej się skokami? Wyglądało, że nie posiada żadnej broni. To raczej właśnie jego oszczep wyglądał najbardziej podejrzanie.

Oszczep. Czyżby zabójca chciał celowo skierować podejrzania na niego? Na szczęście plan nie wyszedł... czy rzeczywiście? Mintakanin całkiem wyraźnie podejrzewa Flinta...

Zbliżali się do wysokiej konstrukcji — prawie nieuszkodzonej kopuły wynurzającej się z piasku. Czerniała w niej dziura, wyrwana najprawdopodobniej eksplozją powietrza w chwili dekompresji. Skoro jednak spadek ciśnienia był tak szybki, zabijający natychmiast każdą znajdującą się w środku żywą istotę, czemu nie napotkali żadnych ciał? Nie, nie było w tym nic zagadkowego; późniejsza wyprawa z pewnością wszystkie je zabrała. Zabieranie zmarłych było wspólną cechą istot rozumnych; miało to związek z wiarą w życie pozagrobowe i dawaniem duchom spoczynku. Flint wierzył w duchy i nigdy nie odważyłby się z tego drwić.

— Należy to zbadać — odezwał się Spikanin. — Lecz w obecnym ciele boję się wcho-

dzić w taki teren.

— Jakiej jesteś płci? — spytał Flint.

— Uderzacz. Sądzono, że do poruszania się na łądzie bardziej będę się nadawał niż Falowiec czy Sykacz — i tak zapewne jest — ale sprawia to wiele problemów. Muszę to przyznać, że czuję się dziwnie obok tylu różnych gatunków bez przenikania. Odczuwam pewną nerwowość.

— Dobrze to rozumiem. Też byłem Uderzaczem i wiem, że kończyny odpowiadają sobie tylko nader ogólnie. A teraz i tak w ogóle ich nie posiadasz. — Flint był już pewien, że jego towarzysz jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje; niemniej uwaga Mintakanina, że Andromedanka zna system Spiki, nie dawał mu spokoju. Powinien zaufać swej intuicji i zachować czujność. — Ponieważ jestem w swoim naturalnym, silnym i atletycznym ciele, wejdę do środka, a potem zdam ci relację.

— To miło — zgodziła się istota.

Flint przekroczył ostrożnie nierówny próg otworu. Jego krucho wyglądający kombinizon był w rzeczywistości bardzo wytrzymały, niemniej nie chciał go rozedrzeć o jakiś występ.

Kopuła była piękna, choć kompletnie ogołocona. Poprzez tworzywo, z którego była wykonana, przeświecało całe nocne niebo. Nie... dokonała pamięć wizualna Flinta natychmiast podsunęła mu, że to nie niebo. Był to tylko obraz, namalowany lub odtworzony holograficznie wewnątrz kopuły, tak że sprawiał wrażenie autentycznego. Gdy Flint się posuwał, obraz sunął wraz z nim, zupełnie jakby mknął z wielokrotną szybkością światła; bliższe gwiazdy przesuwały się na tle odleglejszych. Technicznie i estetycznie efekt budził zachwyt; również intelektualnie, gdyż ukazywał konfigurację podobną w zarysach, lecz w szczegółach zupełnie odmienną od wszystkiego, co dotąd widział. Flint znał gwiazdy na tyle, na ile mógł je znać człowiek z epoki kamiennej; a tutaj nie było żadnej zgodności. Czy to w ogóle część tej galaktyki? Gdy wróci do Sfery Sol, musi to sprawdzić, a w razie potrzeby popytać w Sferze Knyfh lub jakiejś innej dużej Sferze będącej obecnie w zasięgu. Może się to okazać niezwykle istotne.

— Niebo Starożytnych — szepnął. — Według niego możemy określić Sferę, z której pochodzili...

Jakkolwiek mógł bez końca gapić się w przepych obcego nieba, oderwał jednak wzrok od niego. Rozejrzał się po podłodze sali. Była pusta — żadnych maszyn, żadnych mebli, żadnych ciał. A więc wciąż żadnej sugestii co do cech fizycznych Starożytnych. Była to oczywiście tylko jedna spośród setek budowli. Może przybyli tu wyłącznie po to, by popatrzeć na odległy dom swoich przodków, podsycić swą duchową żywotność. Musieli przynajmniej posiadać oczy. A to sugerowało jakąś zasadniczo dobrą stronę Starożytnych; na swój sposób byli ludzcy. Skolonizowali większą część galaktyki, ale tęsknili za domem i pamięć o nim była wśród nich żywa. Prawdopodobnie tu znajdowa-

ła się jakaś opuszczona placówka, stacja zaopatrzenia z regularnie wymienianą załogą — istotna funkcja każdego imperium.

A jednak uległa zagładzie. I to nagle. Może jakiś straszliwy promień z przestrzeni kosmicznej zniszczył ekran ochronny, uwalniając ów bąbel atmosfery, zabijając wszystkich. Być może wylądowali wrogowie i splądrowali ten posterunek unosząc ze sobą wszelkie przedmioty mające jakąś wartość. W takim razie nic nie zostało już dla archeologów. Szkoda.

— Sol. Spika — z odbiornika Flinta dobiegł głos Kanopianina, przerywając zadumę.
— Nowe wydarzenie. Proszę wracać natychmiast na miejsce spotkania.

— Co się stało? — spytał Flint, przekonany, że nie będzie to miła wiadomość.

— Został zamordowany przedstawiciel Sfery Antares. Towarzyszącego mu Polarianina trzymam pod strażą do chwili nadejścia całej grupy.

— Och, nie — jęknął Flint. — Już myślałem, że oczyściliśmy Polarianina z podejrzeń.

Podbiegł do otworu wyjściowego, przegramolił się przez próg i wylądował obok Spikanina.

— Słyszałeś?

— Odwodnienie! — stworzenie odparło z wyraźną grozą. Dla istoty wodnej odwodnienie było najstraszliwszą rzeczą, jaką można sobie wyobrazić, toteż słowo to padło jako przekleństwo. — Teraz już nie ma wątpliwości, że między nami jest morderca.

— Ale ani ty, ani ja — rzekł Flint. — Byłem wewnątrz kopuły, z której jest tylko jedno wyjście — a ty poruszasz się zbyt wolno, by tego dokonać, nawet gdybyś chciał zabić swego przyjaciela.

— Zgoda, my dwaj jesteście niewinni — lecz pozostaje czterech podejrzanych.

— Polarna, Nath, Mintaka i Kanopus. Musimy się śpieszyć. Pozwolisz, że cię poniosę?

— W tych okolicznościach tak. Ale uważaj.

— Oczywiście. — Flint objął ramionami kuliste ciało i uniósł je w górę, czując emanację aury Kirliana. H: :4 miał rację: wszystkie istoty biorące udział w tej wyprawie charakteryzują się wysokim Kirlianem. I to nie pięć — czy dziesięciokrotnie wyższym niż przeciętny, lecz pięćdziesięć — albo i stokrotnie. Najlepsi, jakimi dysponowały ich kultury. Wysoki Kirlian — o wysoką stawkę!

Stworzenie ważyło mniej więcej tyle samo co on, lecz ukształtowało się odpowiednio do wyższych partii ciała Flinta, który w ten sposób mógł je swobodnie nieść. Biegł na miejsce spotkania najszybciej, jak mógł.

Gdy dotarł ze swym ciężarem do celu, zobaczył Polarianina, nad którym unosił się w talerzu Kanopianin. Mintakanina i Nathianina jeszcze nie było.

— Co się wydarzyło?

— Znów jestem podejrzany — odparł Polarianin. — Mój partner ze Sfery Antares nie żyje.

— Wyzwałem cię poprzednio — odparł Flint składając ostrożnie na ziemię Spikanina — ale udowodniłeś, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Nie wierzę, byś to zrobił.

— To bardzo koliduje z twojej strony. Lecz jeśli szybko nie zidentyfikujemy podejrzanego...

— Myślę, że najlepiej, jeśli ustalimy alibi — powiedział Flint. Miał pewne podejrzenia, lecz nie chciał ich w tej chwili wyjawiać.

— Alibi? — zapytał Spikanin.

— Każda istota musi wyjaśnić, gdzie się znajdowała w chwili morderstwa — wytłumaczył Flint. — Jeśli była w jakimś innym miejscu, to tam być nie mogła, zatem jest niewinna.

— Niezwykle pomysłowe — zgodził się Spikanin. — Wy Solarianie wykazujecie zadziwiającą prostotę. Musimy również stwierdzić sposób śmierci.

Przybyli przedstawiciele Mintaki i Nath.

— Bardzo niedobrze — zaklekotał Nathianin.

Flint wyjaśnił im kwestię alibi, po czym przedstawił swoje i Spikanina.

— Zastrzeżenie — rozbłysł Mintakanin. — Nie stwierdzono wcale, że z kopuły jest tylko jedno wyjście. A jeśli to Spikanin jest szpiegiem, Antareanin domyślił się tego pierwszy i dlatego musiał umrzeć. Ponadto nie możemy już stwierdzić, jak szybko potrafi się poruszać ten typ istoty. Może najszybciej z nas wszystkich.

Miażdżąca logika. Flint i Spikanin znów byli w kręgu podejrzanych.

— Kwestia szybkości jest tutaj istotna — kontynuował Mintakanin. — Mój towarzysz ze Sfery Nath z całą pewnością nie może poruszać się tak szybko jak niektórzy z nas, a ponadto zostawia w pyłe bardzo charakterystyczny ślad. Gdybym nawet nie mógł zaświadczyć, że Nathianin był tylko ze mną, brak śladu uwalnia go od podejrzeń.

— A ja potwierdzam, że Mintakanin był cały czas w polu mego postrzegania — odezwał się przedstawiciel Sfery Nath.

— Postrzegania — mruknął Flint. — Przecież nie masz oczu. Jak więc możesz być pewien...

— Potrafię doskonale wychwytywać dźwięki i wibracje — nieco ostro odparł Nathianin. — Zmysły te są tak samo dobre, a może i lepsze niż twoja optyka; gdy braknie światła, ślepniesz, podczas gdy mój sonar...

— Wierzę na słowo — rzekł Flint.

— Nathianin ma słuszość — odezwał się Polarianin. — Ich postrzeganie przedmiotów fizycznych jest znakomite. Musimy przyjąć to alibi.

— Wiesz, w jakiej cię to stawia sytuacji — rzekł Flint.

— Byłoby niekolidujące błędnie rozpatrywać podejrzenia. Musimy ustalić prawdę.

Wszyscy jesteśmy podejrzani, a nikt nie może dać alibi Kanopianinowi.

— Racja — zgodził się H: :4. — Mój pojazd mógł z łatwością pokonać konieczny dystans i wrócić, a poza tym jest uzbrojony. Mogłem to oczywiście zrobić i dlatego jestem wśród podejrzanych. Gdybym jednak był agentem Andromedy, mógłbym zabić was wszystkich teraz; mogłem to też uczynić na samym początku. Jestem dobrze uzbrojony i nie potrzebuję działać w ukryciu.

Dokładnie to samo przyszło do głowy Flintowi. Powstrzymywał się dotąd od bezpośredniego oskarżenia z tego tylko względu, że kiedy wyłożyłby swoje racje, wystarczyłby jeden pocisk lub promień ze statku, aby go zabić. Ale czemu Pan miałby sobie zadawać tyle trudu, by zabijać po kryjomu?

Zapewne dlatego, że nie mógł bezpiecznie opuścić pojazdu, lecz musiał czekać, aż inni przeprowadzą badania. Jeśli sekret Starożytnych zostanie tu odkryty, należy go wedle punktu widzenia Andromedan albo zniszczyć, albo zachować — przy czym naturalnie lepiej zachować. A zatem najprościej likwidować te istoty, które zaczynały mieć podejrzenia co do tożsamości szpiega. Albo też stopniowo redukować liczbę członków wyprawy, aż pozostanie jeden czy dwóch, łatwych już do zdominowania.

Flint wierzył w niewinność Polarianina, wątpił również, by mógł tego dokonać Spikanin, obciążony nowym, zupełnie mu obcym ciałem. Skoro pozostali mają alibi, pozostaje Kanopianin, ruchliwy i uzbrojony.

— Chciałbym przypomnieć, że wciąż pozostaje możliwość jakiegoś strażnika Starożytnych — odezwał się H: :4. — Może brak mu mocy, by wyeliminować nas wszystkich od razu, i dlatego sieje niezgodę poprzez selektywne zabójstwa.

To było właśnie to.

— A zatem poprowadźmy śledztwo wspólnie — odezwał się Flint. — Ktokolwiek czy cokolwiek idzie naszym tropem, wydaje się, że atakuje tylko istoty samotne. Skoro więc bezpieczeństwo zależy od naszej liczby, wykorzystajmy to.

Może nadarzy się okazja ucieczki od kanopiańskiego pojazdu.

Wędrowali śladem koła Polarianina. Poza samym tropem pył był nietknięty; śladów tu nikt nie zacierał. I znów ich brak wskazywał na Kanopianina.

Dotarli do wejścia do ogromnego tunelu, który zakrzywił się i wiódł w głąb ziemi. Wyglądało to raczej na drogę dla pojazdów, co sugerowało, że Starożytni nie potrafili ani latać, ani szybko biegać; woleli jeździć.

— Poniżej odkryliśmy zablokowaną szluzę powietrzną — wyjaśnił Polarianin. — Zawiadomiłem o tym Kanopianina, który poprosił, bym wyszedł na zewnątrz i wskazał miejsce naszego pobytu, żeby mógł je zlokalizować dla wygody pozostałych członków wyprawy. Mój towarzysz, Antareanin, zbadał szluzę i poinformował, że za nią są sprawne urządzenia. Wydało się nam, że to ważne odkrycie.

— Kiedy tylko zlokalizowałem Polarianina, udałem się za nim w stronę tunelu, do

którego jednak nie mogłem się przedostać — mówił Pan. — Polarianin wszedł i po chwili doniósł o śmierci swego towarzysza. Jak sami widzicie, są tam ślady wyłącznie przedstawicieli Polarnej i Antares. Dlatego wziąłem go pod tymczasowy areszt i wezwałem pozostałych uczestników wyprawy.

Flint obejrzał ślady. Nie było wątpliwości: trzy wgłębienia od koła i jeden sznur dołków zostawiony przez Antareanina. Polarianin wszedł, wyszedł i ponownie wrócił, podczas gdy Antareanin wszedł i już tam pozostał. Nie wróżyło to nic dobrego Polarianinowi: żadnych innych śladów, a zbyt szeroki pojazd Kanopianina nie zmieściłby się w tunelu.

— Chcę przypomnieć, że zbliżamy się do czynnych urządzeń Starożytnych — rzekł Polarianin przykładając kulkę do własnego kombinezonu. — Śluza powietrzna mogła się otworzyć podczas mojej nieobecności...

— Czy ktoś posiada broń energetyczną? — spytał Flint. — Gdyby te drzwi otworzyły się ponownie...

Zapadła głucha cisza. Wiedział czemu: obecnie najważniejszą sprawą było osobiste bezpieczeństwo, a ukryta broń była skuteczniejsza od tej już znanej.

— No, dobrze — powiedział w końcu. — Bądźcie wszyscy gotowi do walki lub ucieczki. Mam włócznie, lecz jest to broń o ograniczonych możliwościach.

Weszli do tunelu. Spikanin zaczął lśnić, rozświetlając korytarz; to samo uczynił Polarianin. Pierwszy kroczył Flint z wyciągniętą przed siebie włócznią, tuż za nim Spikanin. Trzeci był wysłannik Nath, Polarianin czwarty. Reprezentant Mintaki zamykał pochód.

Korytarz zakręcał i kończył się u śluzy. Tam też leżało ciało. Skafander Antareanina został przebity, podobnie jak u Mirzamianina, a przez okrągłą dziurę wyprysnęło na zewnątrz galaretowate ciało istoty. Gwałtowna dekompresja: szybka i okropna w skutkach.

— Rozumiecie, że nie miałbym nawet czym zadać takiego ciosu — rzekł Polarianin.

— Twoja kulka mogła szybko i szorstko wibrować działając na jakiś punkt — odezwał się Spikanin. — Trochę by potrwało zrobienie otworu tej wielkości, ale jeśli Antareanin byłby nieprzytomny...

— Moja włócznie również mogłaby zrobić podobny otwór — zauważył Flint. — Albo promień lasera. Albo skupisko ostrych haczyków.

— A Kanopianin, czy mógł zejść ze swego pojazdu? — spytał Spikanin. — Pod nieobecność Polarnej?

— Tak — rzekł Flint. — Kanopianin pewnie może fruwać. To przedstawiciel rasy in-sektoidalnej, posiada skrzydła...

— Ale nie w próżni — zwrócił uwagę Mintakanin.

Padła kolejna hipoteza. Mintakanin umiał je rozbijać; posiadał bardzo ostry umysł.

Skrzydła wymagają atmosfery.

— A urządzenie odrzutowe? — spytał Flint.

— Zatem znów wszyscy jesteśmy podejrzani — powiedział Nathianin. — Każdy z nas mógł gdzieś ukryć takie urządzenie.

— Niekoniecznie — powiedział Polarianin. — Aparaty takie wywołują turbulencje, zwłaszcza w zamkniętym pomieszczeniu, tutaj zaś pył jest nienaruszony.

— Trudno jest oddzielić kłistość od samobójstwa — zauważył Nathianin, gdyż Polarianin znów wyraźnie skierował na siebie wszystkie podejrzania. — Myślę jednak, że mogę uwolnić Polarianina od zarzutów. Widzę tutaj trzy ślady koła. Czy wasza percepcja to potwierdza?

— Tak — zgodził się Flint. — O co chodzi?

— Powinny być cztery.

— Słusznie — odparł Polarianin. — Przybyłem z moim towarzyszem, odszedłem, by wskazać Kanopianinowi drogę, wróciłem, odkryłem morderstwo i ponownie wyszedłem. Cztery ślady.

— Przed naszym obecnym przyjściem — zgodził się Flint. — Musiałeś po jednym śladzie przejść dwukrotnie.

— Nie. Smak własnego śladu szybko zanika. Oto maksyma mej rasy, z filozoficznym wprowadzie podtekstem, lecz rozumiana dosłownie. Moje koło znajduje się we własnym ochraniaczu, lecz mimo to nigdy nie mam zwyczaju powtarzać tej samej drogi. Zrobiłem cztery ślady.

— A jednak są trzy — zaklekotał Nathianin. — Jeden więc został zatarty.

— Jak to się mogło stać w tym pyłe? — spytał Flint. — I po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu?

— Zapewne morderca zacierał swój trop, a polariański był tuż obok. Można to uczynić metodą soniczną.

— Czy ty potrafiłbyś to zrobić? — Oczy Flinta zwęziły się.

— Tak. — Nathianin zaklekotał haczykami w taki sposób, że pokłady kurzu w pobliżu stworzenia wzbily się w górę i wolno opadły, zacierając ślad pozostawiony tam przed chwilą przez istotę.

— Ale Nathianin tego nie zrobił — odezwał się Mintakanin. — Był ze mną przez cały czas i w jego śladzie nie ma żadnej przerwy.

— Nie można tego powiedzieć o mnie — powiedział Spikanin.

— Część drogi niósł mnie partner.

— Znamy więc przypuszczalnie sposób — powiedział Flint. — Niewiele nam to jednak daje. Mógł to uczynić każdy z nas, łącznie z Kanopianinem. To jasne, że zbyt mało wiemy o sobie i swoich możliwościach, by mieć całkowitą pewność co do kogokolwiek.

— Gdybym był winny — odezwał się w ich translatorach H: : :4 — zbombardowałbym po prostu wejście do korytarza i wszystkich was zniszczył. Dysponuję odpowiednimi środkami, lecz zaprzeczam swej winie czy złym zamiarom. Osadzając mnie niesłusznie umacniacie tylko pozycję prawdziwego szpiega.

— Może lepiej przyjąć, że tropi nas robot Starożytnych — odezwał się Flint zerka-
jąc nerwowo w kierunku wyjścia. Myślał, że będą tutaj bezpieczni od Kanopianina, ale oczywiście nie byli. Mieli przed sobą jedną tylko drogę — do przodu, przez służę powietrzną Starożytnych. — Udało mu się zabić Mirzamianina, lecz nie zdoła spotkać nikogo więcej w pojedynkę; do chwili gdy nawinął się wysłannik Antares. Jest teraz na zewnątrz i zaciera swój ślad, czekając, aż znów się rozdzielimy.

— Hipoteza brzmi prawdopodobnie — rozbłysł Mintakanin — ale to wcale nie zmniejsza zagrożenia. Jeśli jest uzbrojony w laser, nawet Kanopianin nie jest bezpieczny.

— Na co więc czekamy? — spytał Flint. — Aż ponownie uderzy? Otwórzmy ten zamek i wykryjmy znajdujące się za nim tajemnice. Nie mamy nic do stracenia.

— Szarpnięcie haka.

— Jednomyślność — rzekł Mintakanin.

— Zgoda — zakończył Spikanin.

— Ja też się podporządkuję — dorzucił H: : :4. — Pozostanę tutaj na straży. Przepraszam, Polarianinie. Moje podejrzenia były przedwczesne.

— Kolistość.

Flint zbadał drzwi.

— To zwyczajny zamek ryglowy — powiedział, rad teraz z nudnych wykładów, których musiał wysłuchiwać na Ziemi. — Starożytni musieli mieć ręce, jak ja.

Czy Starożytni byli humanoidami? Nie, nie należało się spodziewać aż takiego zbiegu okoliczności. Chwycił półkole i przekręcił.

Ku jego zdziwieniu mechanizm ustąpił. Coś stuknęło i przez otwór wystrzelił strumień powietrza, niemal zwalając go z nóg mimo przegrody powstrzymującej główny impet uderzenia.

— Dekompresja — powiedział. — Przez trzy miliony lat zachowało się tu powietrze. To dopiero mechanizm!

Prawdziwy Tytan, dodał w myślach.

— Dowód, że Starożytni budowali urządzenia sprawne do dzisiaj — odezwał się wysłannik Mintaki. — Z pewnością jesteśmy blisko ważnych odkryć.

Dalej drzwi otworzyły się już łatwo, odsłaniając sporych rozmiarów komorę wewnętrzną.

— Kanopianinie, wchodzimy do pomieszczenia wewnętrznego — oznajmił Flint. — Jeśli kontakt z nami się urwie, najlepiej zrobisz wracając do swojej Sfery, by tam zło-

żyć raport.

A jeśli jesteś szpiegiem, na razie będziemy od ciebie bezpieczni, pomyślał. I nie zdobędziesz sekretu Starożytnych. Dlatego też żaden z nas nie może bez niczego wrócić do domu; stoimy u progu przełomowego odkrycia tysiąclecia.

— Zrozumiałem. — Pozostanę w kontakcie, o ile to będzie możliwe. Pod żadnym pozorem nie opuszczę pojazdu.

— W porządku.

Wszyscy stłoczyli się w komorze i Flint pociągnięciem zamknął drzwi. Mechanizm natychmiast się zatrzasnął. Zasycało powietrze wyrównując ciśnienie w komorze.

— Pozostańmy jednak w skafandrach — odezwał się Flint.

— To hel, prawie czysty — powiedział Nathianin. — Obojętny, lecz niezdatny do wszelkich procesów życiowych.

— Tak też myślałem — odparł Flint. — Normalna atmosfera w jakimkolwiek świecie posiada właściwości korodujące.

— Korozję powoduje rozum — zaznaczył Mintakanin. Kiedy ciśnienie wzrosło do około półtora kilograma na cm i Flint czuł się jak zanurzony w wodzie, syczenie ustało. Pokręcił półkolem na wewnętrznych drzwiach i otworzył je.

Była to obszerna sala oświetlona łagodnym blaskiem płynącym ze ścian. Z sali wychodziło kilkanaście korytarzy. Pośrodku znajdowała się kolistą platforma otoczona walcem z drucianej siatki. Wyglądało, że w środku walca znajduje się winda lub podnośnik. Klatka windy wisiała mniej więcej dwa razy wyżej niż wzrost Flinta. I to wszystko.

— Pusto — odezwał się rozczarowany Flint. — Po zagładzie musieli wszystko stąd wynieść; wszystkie ciała i przyrządy.

— Ale urządzenia pod nami i wokół nas działają — rzekł Spikanin.

— Co? Gdzie są te maszyny? — spytał Flint. — Konkretnie.

— Pode mną, tutaj. Działają, ale nie mechanicznie — odparł wysłannik Nath.

— Mają naturę elektryczną — powiedział Spikanin. — Żałuję, że nie potrafię w pełni wykorzystać możliwości tego ciała. Rdzenny Antareanin z pewnością potrafiłby precyzyjnie określić ten strumień.

— Odczuwasz strumienie magnetyczne? — spytał wysłannik Nath.

— Tak. I delikatniejsze również, na przykład aurę Kirliana. Nie tylko wyczuwam jej obecność, ale i specyficzny wzór, typowy dla danej istoty. Tak, to bardzo dobre ciało.

Flintowi przyszło coś do głowy. Sfera Antares od stuleci posiada tajemnicę naturalnego transferu, a więc od dawna zna dotyczące jej sprawy.

— Czy potrafisz odróżnić istotę zajmującą własne ciało od transferowca?

— Dla Antareanina to proste. Dla mnie trudne, gdyż... Flint stał spokojnie, ton głosu miał normalny, ale był gotów do natychmiastowej akcji.

— Czy ktoś z nas jest transferowcem?

— Nie, tylko ja. Mój przyjaciel z Antaresa zweryfikował to na samym początku i zamierzał wam o tym powiedzieć. Był zaniepokojony, gdyż...

— A Kanopianin?

— Kanopianin też. Jest autentyczny. To pewne.

A więc nie było pomiędzy nimi transferowych zdrajców. Wszystkie istoty okazały się tymi, za jakie się podawały. Gdyby natomiast sam Spikanin był tym szpiegiem, wskazałby któregoś z nich, zamiast wszystkich oczyszczać z podejrzeń.

— Przestroga — rozbłysł Mintakanin. — Antareanin znalazł się w zasięgu czynnych urządzeń Starożytnych, kiedy badał ich działanie i rodzaj. Starożytne urządzenia mogą podobnie wykrywać nasze zdolności. Antareanin został szybko zabity. Ty, Spikaninie, możesz znajdować się w podobnym niebezpieczeństwie.

— Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie — powiedział Flint. — Ale zgadzam się, że powinniśmy dobrze pilnować wysłannika Spiki.

— Potrójne uznanie — rzekł Spikanin. — Postaram się dokładniej przeanalizować to obce pole. Nie sądzę jednak, by było ono zdolne podjąć akcję fizyczną.

— Jak przebicie skafandra? Z całą pewnością nie było to zjawisko magnetyczne. Chyba że...

— Silniki elektryczne posiadają właściwości magnetyczne, a my, w Sferze Sol, dysponujemy magnetycznymi pistoletami. Czy jakiś Starożytny obwód nie mógł...?

— To między innymi mnie zastanawia — powiedział Spikanin. — Na ile mogę się zorientować w polach tego miejsca, stwierdzam: czynny tu element nie jest zdolny podjąć akcji fizycznej. Prądy są niezwykle delikatne, pokrewne żywym obwodom nerwowym. Nie ma tu silników ani urządzeń cieplnych.

— Tytan z pewnością nie był pacyfistą! — mruknął Flint, pełen wątpliwości. Ale pamiętał owe fascynujące gwiazdy, tam w kopule, z całą pewnością umieszczone bardziej w celach estetycznych niż praktycznych. Czyżby i kultura Starożytnych tak samo odbiegała od współczesnej jak ich technika?

— Jest to... — Spikanin urwał, najwyraźniej zdumiony — ...system Kirliana.

— Strzał w dziesiątkę! — wykrzyknął Flint. — Starożytni dysponowali więc rozwiniętą techniką Kirliana — a teraz jest ona i nasza.

— Nie podliczajmy naszych zysków, póki ich nie zahaczymy — ostrzegł Nathianin.

— Czy wysłannik Kanopusa słyszy? — spytał Flint.

— Słyszę cię, Sol — odpowiedział natychmiast H: :4. — I potwierdzam, z pomocą aparatury zainstalowanej na statku, że z tego regionu emanuje aura Kirliana. Ale jej pulsacja nie posiada cech aury istoty żywej; wydaje się nieorganiczna. Nieożywiona.

— Ależ aura Kirliana jest funkcją życia — sprzeciwił się Mitakanin. — Odróżnia życie od śmierci.

— Okazuje się, że nie — odparł Flint. — Wiemy już, że Starożytni znali sekret wytwarzania nieorganicznej aury Kirliana. Wcale nie jestem tym zaskoczony. Mogę się założyć, że tego właśnie przeciw nam używa Andromeda. Nasączają polem Kirliana materię i energię, a następnie transferują to pole do swej galaktyki. Teraz już zdołamy się im przeciwstawić. Tego właśnie szukaliśmy.

— Jednomysłność — odezwał się Mintakanin. Flintowi błysnęło w głowie, że stworzenie to już po raz drugi używa takiego zwrotu, ale było to naturalnie tylko tłumaczenie. Żadna ze zgromadzonych tutaj istot nie używała ludzkich idiomów czy konstrukcji słownych; czynił to translator. — Musimy gruntownie przebadać tę aparaturę i przesłać wiadomość do naszych Sfer.

— To ma związek ze świątynią taroka — zaznaczył Nathianin.

— Tarotyzm dotarł do Sfery Nath? — spytał zdziwiony Flint.

— I do Sfery Bellatrix — rzekł wysłannik Nath. — A pewnie i dalej. Rozumiem, że początek wziął w Sferze Sol?

— Tak, około pięciuset lat temu, w czasach polityki kolonizacyjnej “Błazna”, jaką prowadziła Sol. Nasza pierwotna planeta o mało nie zbankrutowała, gdyż matermitowano do innych światów całą ludność, zupełnie jakby mogło to rozwiązać problem przeludnienia i wyczerpywania się zasobów naturalnych.

Powtarzał to, co usłyszał po złożeniu raportu ze Sfery Polarnej. Zdumiewające jednak, jak szybko i jak daleko rozprzestrzenił się ten kult — dużo dalej niż międzygwiazdowa ekspansja człowieka. Czy przeżyje on ludzkość, tak jak chrześcijaństwo przeżyło Cesarstwo Rzymskie?

Flint mówił dalej:

— Na jednej z planet występował naturalny efekt animacyjny, który został zbadany i opisany przez brata Pawła ze Świętego Zakonu Wizji. Nie miał on wcale zamiaru przekształcać tego w kult pseudoreligijny, lecz efekt animacji zawładnął powszechną wyobraźnią i stąd się wszystko wzięło.

— Ów krewny Solarianin ze Zgromadzenia Halucynacji musiał być ważną postacią — rzekł Nathianin. — Tarotyzm bardzo pociągnął w naszej Sferze i czcimy go poważnie. A i teraz ów krewny zapewne dobrze nam służy, skoro animacja jest funkcją aury Kirliana. Myślę, że najszybciej będziemy coś z tego mieli, jeśli aparaturę Starożytnych zbadamy od tej właśnie strony.

— To mogła być stacja przekąźnikowa — zgodził się wysłannik Polarnej. — Może uda się nam animować w niej prawdziwego Starożytnego. To byłoby bardzo koliste.

— Oby tak było — zgodził się Flint. — Powiedziałbym nawet, że jest to “najprostsze”. Ale ryzykujemy, że wywołamy zabójcę, który nas ściga — jeśli to rzeczywiście jest Starożytny upiór.

— Ryzykując antagonizm — rzekł Spikanin — powtarzam raz jeszcze, że morderca

uderza w sensie fizycznym, a to wykracza poza możliwości Starożytnego mechanizmu.

— Chyba że ów Starożytny mechanizm wytwarza pole Kirliana o tak straszliwej mocy, że zdolne jest ono pokonać pole żywej istoty — rozbłysł wysłannik Mintaki. — W takim przypadku mogłoby na jakiś czas posiąść lub przemienić czyjąś osobistą świadomość albo w jakikolwiek inny sposób wpłynąć na nie tak, że owa opanowana świadomość rozpocznie akcję fizyczną. W podobny sposób twoja transferowana osobowość kontroluje antareańskiego nosiciela.

— Niezwykle spostrzegawcze — odparł Polarianin. — Przedstawiciel Sfery Mintaka, która od niedawna przecież posiada transfer, zadziwiająco bystrze pojmuje jego zawiłości.

To samo pomyślał sobie Flint, traktując uwagę wysłannika Polarnej jako wyzwanie rzucone nie wprost.

— Zwykły przebłysk, który każdemu z was przytrafiłby się lada moment — zabłysł Mintakanin. — Od dawna byliśmy świadomi możliwości transferu i dlatego — oczekując na przełom technologiczny — trzymaliśmy w pogotowiu zespół nosicieli. Jesteśmy olbrzymią Sferą i utrzymanie jej w całości dotychczasowymi metodami było coraz bardziej uciążliwe. Tak więc gdy przybył poseł ze Sfery Mirzam, mogliśmy szybko zastosować dostarczone informacje. I choć nie słyszeliśmy jeszcze o możliwości transferu mimowolnego, to jeśli jest on w ogóle możliwy, wszystko wskazuje, że Starożytni posiadli i tę umiejętność.

Mintakanin jest niezwykle skoordynowany w sensie intelektualnym, pomyślał Flint. Ale oczywiście wszystkie Sfery przysłały najlepszych reprezentantów, tak pod względem intelektualnym, jak i aury Kirliana. Stanowili najstaranniej wyselekcjonowaną grupę archeologiczną, biegłą we wszystkim za wyjątkiem samej archeologii.

— Zaplątaliśmy się w dialog — zaklekotał nieco zniecierpliwiony Nathianin. — Wahamy się pociągnąć główny problem — ale musimy go pociągnąć. Proponuję, by dwoje z nas badało Starożytne urządzenia Kirliana, a pozostała trójka stała na straży. Zakładając, że aura ta ma wrogie zamiary, nie wydaje się jednak, by działała otwarcie. Jeśli więc zaczniemy postępować zdecydowanie, zachowując przy tym ostrożność, powinno obejść się bez dalszych strat.

— Zgadzam się — powiedział Flint. — Jeśli Starożytna moc może opanować jakąś poszczególną formę życia i użyć jej do zabijania, to są tu pewne ograniczenia. Spikaninowi trudno byłoby zrobić w skafandrze taką dziurę, jaką widzieliśmy, chyba że posiada broń, której nie ujawnił. Sądzę, że i dla przedstawicieli Nath oraz Polarnej atak taki byłby równie trudny do przeprowadzenia. Pozostaje zatem Mintakanin oraz ja...

— I ja — z translatora dobiegł głos Kanopianina. — Muszę was ostrzec, że jeśli to ja właśnie zostanę opanowany, posiadam na tyle dobrze uzbrojony pojazd, włącznie z generatorem bólu i bombami, że zniszczę was i całe to miejsce. Naturalnie świadomie tego

nie uczynię, ale biorąc pod uwagę moje możliwości mogą wam tylko doradzić, byście traktowali mnie jako potencjalnego, niezwykle groźnego przeciwnika.

Przyjacielska rada — czy groźba?

— Każdy z nas jest potencjalnym wrogiem — zauważył Mintakanin. — Może aby uniknąć zagłady zmuszeni będziemy zniszczyć to Starożytnie znalezisko. Lecz najpierw musimy tu wszystko poznać, inaczej nasza wyprawa stanie się bezcelowa.

Flint pozornie popierał tezę o wrogości Starożytnych, lecz w rzeczywistości był wobec niej sceptyczny. Bo niby dlaczego Kanopianin jeszcze nie został opanowany? Czy to w ogóle możliwe? I dlaczego Starożytni mieliby stosować takie pułapki? Naprawdę wiedział o nich tylko tyle, ile zasugerowała mu ta kopuła gwiezdna; ona zaś wskazywała, że Starożytni byli artystami, istotami nastawionymi pokojowo i filozoficznie — nie wojownikami. Spikanin twierdził, że aparatura nie może zastosować wobec nich przemocy, a w przekonaniu Flinta obejmowało to również przejęcie czyjegoś umysłu wbrew jego woli. Dużo prościej było przyjąć, że to jeden z nich jest szpiegiem Andromedy. Metodą eliminacji miał już podejrzanego. Tylko, że ten posiadał alibi.

— Idąc śladem mego poprzedniego rozumowania — powiedział Flint — proponuję, by ci z nas, którzy mają największe możliwości zabijania w znany nam już sposób, zostali potraktowani ze szczególną ostrożnością. Zatem to Mintakanin i ja powinniśmy wejść na platformę animacyjną — jeśli jest to rzeczywiście platforma — i spróbować kontaktu ze Starożytnymi. Pozostali winni bacznie nas obserwować i jeśli wyjdzie tylko jeden z nas, niezwłocznie go unieszkodliwić, a w razie konieczności zabić.

To zmusi wroga do działania. Jeśli Mintakanin będzie się sprzeciwiał...

— Doskonała propozycja — rozbłysł wysłannik Mintaki i potoczył się na wielką płytę pod zawieszoną klatką.

I tyle zostało z fortelu! Flint zrozumiał nagle, że jeśli to Mintakanin jest szpiegiem, spróbuje go zabić pod pozorem samoobrony, twierdząc, że to Flint zaatakował go pierwszy, a zatem musiał być szpiegiem. Albo że jeden z nich został opanowany przez aurę Starożytnych. I kto udowodni, że było inaczej? Podobnie jeśli Mintakanin jest szpiegiem i zaatakuje go, a on go zabije, to on, jako zwycięzca będzie podejrzany. Przygotował pułapkę na samego siebie! Nie miał jednak wyboru i spieszenie ruszył za Mintakaninem. Na platformę animacyjną weszli jednocześnie.

Nic się nie stało. Bo i czemu? Należało sobie coś wyobrazić. Pomyślał o Honeybloom, takiej jaką znał; zmysłowej, drżącej, rozkosznej, o uroczej zielonej skórce.

I uformowała się, początkowo widmowo, po chwili bardziej materialnie, zupełnie jakby umysł artysty wypełnił zarys — z tym tylko, że zamiast oczu miała soczewki miotające promienie laserowe. Wyobrażenie niezbyt precyzyjne, ale zawsze animacja. Dostrzegł nawet jej symbol z kart taroka, Królową Cieczy, z pełnym pucharem...

— Uderza! — zawył głos w translatorze.

Flint wyskoczył poza platformę. Postać dziewczyny zniknęła.

Wysłannicy Polarnej i Nath stali naprzeciw siebie. Pomiędzy nimi rozciągał się na ziemi nieruchomy kształt Spikanina. Jego kombinezon był przebity i choć panujące tu ciśnienie zapobiegało dekompresji, istota z całą pewnością była martwa.

Flint wyszarpnął oszczep.

— Które z was to zrobiło? — spytał wiedząc, że to zbędne pytanie. Będą oskarżać się wzajemnie i nic nie uda się stwierdzić. Znów impas. Chyba że zablefuje... — Jeśli będę zmuszony, przebiję was obu!

— Nie, przyjacielu z Sol — odparł Polarianin. — Jestem niewinny. Nathianin również tego nie zrobił.

— Ręczę za Polarianina — zaklekotał wysłannik Nath. — Nasze Sfery znają się od dawna. Ufamy sobie.

— I my wam ufamy — powiedział Polarianin. — Promień uderzył z tego wiru na platformie. Obaj gorzej widzimy w takim świetle i trudno nam powiedzieć, z którego dokładnie miejsca, ale nie mamy wątpliwości.

Wizja pałających oczu-soczewek!

— Ależ to nie mogło być rzeczywiste! — wykrzyknął Flint. — Wyobrażenie stworzenia, zwykła wizja nie mogła wysłać prawdziwego...

A jeśli mogła? Jeśli wyobrażenie zostało opanowane przez rzeczywiste siły, to Flint nieumyślnie zamordował Spikanina. I dopiero teraz wszystko stało się jasne.

— Tylko wysłannik Mirzam mógł zweryfikować prawdziwego Mintakanina — zginął więc pierwszy. Przedstawiciele Sfer Antares i Spiki mogli wykryć dodatkową działalność transferową, na przykład andromedeński transfer informacji. Też już nie żyją. Nasz Mintakanin musi być fałszywy.

— Nie — powiedział Polarianin. — Mintakanin jest prawdziwym przedstawicielem swej rasy. Lecz gatunek ten nie...

Rzucił się nagle na Flinta. Od gwałtownego ruchu jego koło aż zapiszczało o podłogę.

Flint skoczył w bok zataczając włócznią szeroki łuk; nie był jednak wystarczająco szybki. Polarianin zwałił go na ziemię... i jednocześnie nastąpił rozbłysk.

Flint skoczył na nogi mierzając włócznią w znowu pędzącego ku niemu Polarianina.

— Pchnięcie-haka! — zaklekotał Nathianin. — Polarianin broni Sol!

W ostatniej chwili, mając już zadać cios, Flint zrozumiał, że to prawda. Stworzenie nie atakowało, lecz uderzeniem własnego ciała zepchnęło go z linii promienia laserowego. Przesunął ciężar ciała do tyłu i cisnął włócznią w wychodzącą właśnie z platformy istotę.

Zakładali, że skoro osobnik ten jest naprawdę mieszkańcem Mlecznej Drogi, to będzie po ich stronie. Lecz jeśli został poddany praniu mózgu, lub przekupiony...

Włócznia odbiła się od metalicznego dysku, nie czyniąc żadnej szkody. Kolejny promień lasera trafił Flinta w palec lewej dłoni. Tworzywo skafandra stopiło się wypuszczając na zewnątrz powietrze.

Flint zacisnął mocno pięść powstrzymując wyciek. W próżni byłoby to bezcelowe, ale tutaj, w atmosferze helu, panowało normalne ciśnienie.

— Polarna! Nath! — krzyknął. — Znamy już wroga. Badajcie Starożytną aparaturę. Uciekajcie z zasięgu lasera. Powstrzymam szpiega.

I skoczył w kierunku Mintakanina. Dotąd cały czas stał oko w oko z wrogiem i go nie rozpoznał. Teraz jednak zaczęła się walka.

— Jaka sytuacja? — spytał głos Kanopianina.

Lecz promień trafił właśnie Nathianina. Istota skrzyła się konwulsyjnie, haczyki bezładnie zawirowały i Nathianin rozpląszczył się na ziemi. Zniszczony został zapewne jej centralny system nerwowy. Kolejny trup. Promienie niosły śmierć.

A Mintakanin toczył się już za Polarianinem, który mknął przez pomieszczenie w kierunku otworu wyjściowego.

— Ja go odciągnę, a ty szukaj! — krzyknął do Flinta.

Nie było wyboru! Polarianin mógł poruszać się szybciej niż jakakolwiek istota ludzka. Flint wkroczył na pole animacyjne i wezwał Starożytnego. Pojawił się kłęb mgły, który jednak nie utworzył żadnego kształtu.

— Szpiegiem Andromedy jest Mintakanin — koncentrując się na animacji wyjaśnił do translatora Flint.

— Przecież Mintakanin ma alibi.

— Tak tylko wyglądało. Te lasery mają niszczycielską moc; działają w bardzo szerokim zakresie — od łączności do zabijania. Zapewne oszołomił Nathianina, oddalił się i zabił wysłannika Antares, a następnie jakimś urządzeniem, zapewne wyspecjalizowanym laserem, zatarł swój ślad. Wrócił, nim Nathianin odzyskał świadomość. On myślał tylko, że Mintakanin był przy nim cały czas; był nieprzytomny albo w transie. Mintakanin to przebiegły i pozbawiony skrupułów agent. Jesteśmy w opałach.

— Sfera Mintaka nie może popierać Andromedy — zaprotestował Kanopianin. — Cała galaktyka się rozpadnie! To musi być renegat, nie prawdziwy przedstawiciel władz Sfery Mintaka.

— Zdrajca swej rasy — zgodził się Flint. — Może skazany i żądny zemsty przestępca, który nie ma nic do stracenia? Jeśli ktoś z nas przeżyje, musi o wszystkim powiadomić Sferę Mintaka. A teraz muszę się skoncentrować.

Pan zamilkł. Flint stał w kręgu animacyjnym, lecz nie potrafił uformować żadnego kształtu. Problem polegał na tym, że nie wiedział, jak wyglądali Starożytni, i dlatego nie mógł ich odtworzyć.

Ale ich wygląd nie miał nic do rzeczy! Znał przecież ich duszę; podobnie jak on mi-

łowali gwiazdy swego rodzinnego zakątka galaktyki. Ponadto chciał zdobyć wiedzę Starożytnych — a tu już wie, czego ma szukać. Była podobna do współczesnej nauki o transferze, tylko bardziej rozwinięta, czego przykładem była choćby ta platforma.

— Sam się zdefiniuj! — szepnął Flint do pola.

— Wyjaśnij, proszę.

Flint aż podskoczył. Lecz to nie Starożytny głos mu odpowiedział; to odezwał się H:
: :4.

— Mówię do pola Kirliana. Chcę wydobyć z niego sekrety — wyjaśnił Flint.

— Spróbuj wyobrazić sobie równania.

— Świetny pomysł!

Flint animował zapamiętane eidetycznie skomplikowane formuły. W powietrzu pojawiły się symbole łańcuchów matematycznych, technicznych i logiki symbolicznej. Wyłożył całą swą wiedzę, a na końcu wypchnął naprzód cały złożony rachunek — dużo więcej, niż sam pojmował.

Nagle równania rozwinęły się. Zapewne z pomocą jakiejś wzmocnionej animacją telepatii otrzymywał odpowiedź ze Starożytnej aparatury, redukując całe pole do jego konceptualnej syntezy; może zresztą sama aparatura była zaprogramowana na dostarczanie tego rodzaju informacji. Może Starożytni chcieli rozpowszechnić tę technikę! Tak czy inaczej, miał to przed oczyma.

A Mintakanin właśnie wkroił się do sali. Polarianina nie było widać; uciekł lub zginął. Na jednym z dysków widniały ślady posoki — polariańskiej?

Mintakaninowi wystarczyła chwila, by pojąć, co robi Flint. Błysnął promień lasera.

Flint był łatwym celem. Rzucił się na podłogę, potoczył w kierunku przeciwnika i wskoczył nań nogami. Ten próbował się odsunąć, lecz przewaga zaskoczenia była po stronie Flinta, a stworzenie nie było przystosowane do jazdy w bok. Pod uderzeniem stóp człowieka dyski rozjechały się. Stwór owinął lewą kostkę Flinta jedną z macek i pociągając nogę w kierunku najbliższego dysku próbował wciągnąć ją między ostrze a ziemię.

Gdyby Mintakanin posiadał swój kolor w kartach taroka, pomyślał Flint mimo rozpaczliwej walki, musi to być Stan Stały, skądinąd znany jako Dyski.

Już wcześniej, na wszelki wypadek, Flint ustalił sobie w generalnych zarysach plan walki z tym stworem. Podobne plany zresztą opracował wobec pozostałych członków grupy. Takie rzeczy robił odruchowo, jako myśliwy z epoki kamiennej, który kochał życie. Piętą prawej nogi nacisnął tułów stwora między jego pierwszym i drugim dyskiem, rozdzielając je. Z pewnością był to bardzo bolesny chwyt. Z kolei prawą ręką chwycił i zginał ją pod kątem prostym. Niczym zwiotczały wąż gumowy utraciła natychmiast całą swą moc i Flint szarpnięciem oswoodził lewą stopę.

Mintakanin skręcił swe ciało. Spomiędzy dwóch najdalszych dysków rozbrzysk kolejny

laser, podobny do sygnałowego komunikacyjnego, lecz dużo intensywniejszy. Promień chybił, następny jednak będzie celny.

Flint pojął, że stwór jest zbyt silny. Zanim zdąży go pokonać, Mintakanin wcześniej zabije go laserem. Ale ostatecznie zyskuje czas dla sojuszników.

Sojuszników? Pozostał tylko Kanopianin, a ten nie był bezpośrednio zagrożony. Flint walczył więc po prostu o własne życie i o informację, nic więcej.

Istniało jednak jeszcze coś więcej, coś niesłychanie istotnego, lecz pochłonięty walką Flint nie potrafił sobie tego uzmysłowić. Odrzucony potężnym kopniakiem człowieka stwór potoczył się po podłodze. Nim zorientował się, gdzie jest przeciwnik, Flint był już na platformie animacyjnej. I pomyślał o sobie.

Pojawił się nieoczekiwanie drugi Flint, jego duplikat. Potem jeszcze dwóch i jeszcze czterech. Po chwili chmara Flintów niczym stado mały biegała po arenie. Promień Mintakanina trafił jednego z nich, lecz bez skutku.

— Nie możesz mnie zranić, uaaa, uaaa! — wykrzywiło się wyobrażenie. — Jestem wyłącznie sobowtórem.

Laser trafił kolejnego sobowtóra. Potem trzeciego. Wydawało się, iż szpieg dysponuje nieograniczonym zasobem energii i gotów jest niszczyć po kolei wszystkie wyobrażenia, by w końcu trafić w rzeczywistego Flinta. Z teorii prawdopodobieństwa wynikało, że się to w końcu uda.

— Kanopianinie! — krzyknął Flint, a wraz z nim wszystkie wyobrażenia. Doskonale, translator zdrajcy nie mógł w ten sposób ustalić skąd dobiegł prawdziwy okrzyk!

— Słucham, Sol — odezwał się H: :4. — Jak mogę ci pomóc?

— Użyj broni. Zniszcz całe to miejsce. Zabij każde żywe stworzenie.

— Nie rób tego! — wykrzyknął przez translator Mintakanin. — Solarianin jest szpiegiem. Chce nam przeszkodzić w zdobyciu sekretów Starożytnych.

Wielokrotnie już, pomyślał Flint, stwór ten wywiódł ich w pole. Nawet jego zgoda była kamuflażem mającym ich przekonać, że jest prawdziwym Mintakaninem z ducha i z ciała. Ale zdradził siebie przez tę "jednomysłność", którą Flint rozpoznał jako sygnał wywoławczy andromedańskiego przekazu transferowego.

— Przystępuję do akcji — odezwał się Pan. — Nagrywam całą rozmowę, by po powrocie uwolnić się od podejrzeń, skoro będę jedyną istotą, która wyjdzie stąd cało. Czy możesz mi teraz przekazać kluczowe formuły?

— Tak — rzekł Flint.

Skupił się i na tle jego poruszających się wyobrażeń wykwitły długie szeregi równań.

— To fantastyczne! Starożytni do końca opanowali zagadnienie nieograniczonej aury Kirliana: jak umieścić pole wokół energii, by natychmiast transmitować ją na dowolną odległość, jak ustalić kierunek każdego transferu Kirliana...

— Zaczynj od tego pierwszego — powiedział H: :4. — Zadbam, by dotarło to do wszystkich Sfer.

— Ale bombarduj — odparł Flint. — Jeśli ten szpieg mnie przeżyje — jeśli ktokolwiek przeżyje, będzie to Mintakanin — zestrzeli cię promieniami. Zniszcz wszystko i bez względu na to, kogo lub co zobaczysz, nie daj się od tego odwieść. Może to być animacja wykonana w celu wprowadzenia ciebie w błąd.

— Rozumiem i podziwiam twoje męstwo — odparł Pan. Flint poczuł pierwszy wstrząs eksplozji. — Nie zawiodę. Żadne żywe stworzenie stąd się nie wydostanie.

— Ustalenie kierunku transferu — powiedział Flint i odczytał głośno szereg symboli.

Laser trafił celnie przebijając skafander. Flint poruszył się tylko nieznacznie, by nie zwracać na siebie uwagi gwałtownym skurczem. Straszliwie palił go żołądek, ale nie była to jeszcze śmiertelna rana. Albo miał zbyt twarde mięśnie, by promień mógł wnikać głęboko w jego ciało, albo Mintakanin po całej tej strzelaninie utracił zasób swej energii. Mintakanin musiał być choć trochę wyczerpany! Flint nawet nie próbował sprawdzać, czy wyobrażenia naśladują ruchy pierwowzoru, gdyż Mintakanin mógłby się zorientować, że ostatni strzał był celny. Przycisnął mocno lewą dłoń do miejsca przebicia, chroniąc wnętrze skafandra przed ucieczką życiodajnego gazu.

Udało się. Agent Andromedy, myśląc, że to tylko kolejne wyobrażenie, przystąpił do ostrzału dalszych. A Flint kontynuował odczyt bez przerwy, tak by nawet ton głosu nie mógł go zdradzić. Sprawę również, iż jedno z jego wyobrażeń, trafione promieniem upadło. Natychmiast otrzymało kilkanaście dalszych rażeń.

Zakończył odczyt sposobu wykrywania kierunku transferu — a więc w ten sposób przeciwnik mógł go zawsze wytropić! — i przystąpił do metody formułowania energii Kirliana. Nie miał prawa się pomylić; najdrobniejszy błąd zniweczyłby cały wysiłek.

Tymczasem bombardowanie Kanopianina przybrało na sile. Całe pomieszczenie trzęsło się od wybuchów, ściany i sufit pękały. H: :4 nic nie przesadzał opisując swe uzbrojenie!

Kiedy Mintakanin powalił już wszystkie wyobrażenia, zrezygnował z laseru i wdarł się na platformę. "Brona talerzowa" przetaczała się po wyobrażeniach, tnąc je bezlitośnie swymi dyskami. Flint wciąż utrzymywał swe odbicia w ruchu, ale szpieg bez wątpienia dotrze wkrótce i do niego. Flint był w fatalnym położeniu, ponieważ dwie dziury w skafandrze wykluczały walkę wręcz. Mógł tylko zaciskać dziury i do końca czytać formuły. Jeśli przebrnie przez kilka następnych pojęć, da swej galaktyce klucz do zwycięstwa.

Pękł sufit, lecz zamiast runąć, wystrzelił z impetem w zalegającą na zewnątrz próżnię. Potem się zapadł. Rumowisko zważyło się w dół grzebiąc pod sobą wyobrażenia Flinta. Przez zaciśniętą pięść zaczynało z sykiem wydobywać się powietrze.

— Jesteś nad samym celem — powiedział Flint przerywając czytanie. — Uderz pro-

sto w tę dziurę i kończ. Mintakanin jest tutaj.

— Ale formuła jest jeszcze niekompletna — sprzeciwił się Pan.

— Co, wahasz się? — zapytał Flint. — Andromedanin nie może uciec z tym materiałem. Spróbuję jeszcze...

Lecz właśnie wróg go dopadł. Straszliwe ostrza werżnęły się w jego stopę, odcinając palce. Pozostałe w skafandrze powietrze eksplodowało. Impet uniósł go w górę; potem Flint spadł wprost na przeciwnika. Usiłował jeszcze wezwać H: : :4, by ten ostatnią bombą zniszczył ich obu, lecz umysł jego gasł. Wszystko co pamiętał, to konieczność powiadomienia Sfery Mintaka o tym, co się stało; ostrzec ich...

— Mintaka! — pomyślał całym swym jestestwem i umarł.

10.

Oślepienie Giganta

alarm! zasadnicza zmiana sytuacji

— dalej z tym —

transfer z otwartej gromady hiad starożytnym sposobem

— klęska! rozpocząć radę dostępnych jednostek —

za późno galaktyka mlecznej drogi opanowała starożytną technikę nasz agent zawiódł jesteście bezradni

— niezwłocznie odwołać z tamtej galaktyki wszystkich agentów może coś uratujemy—

lecz to oznacza utratę wszystkich stacji transferujących energię

— to prawda musimy zaryzykować pozostawiając ich na miejscu i utrzymując nasz personel w gotowości —

POTĘGA

— och, rozłącz się —

Posiadał zadziwiające ciało. Kiedy się ruszał, wówczas pobrzękiwał, trąbił, grzmiał. Kilkanaście małych stóp w kształcie serduszek podtrzymywało potrójną sieć naprężonych drutów, niczym trzy harfy. Na ich wewnętrznych krzywiznach znajdowały się rzędy błon-bębneków. Potężna rurowa rama tej konstrukcji pod wpływem ruchów powietrza wpadała w melodyjny rezonans, wydając dźwięki z umieszczonych w niej piszczałek. Słowem, był żywą orkiestrą.

Dysponował swoistą sonarowo-radarową percepcją. Użył więc tego organu, by odszukać coś bardziej znajomego: nocne niebo dostrzegalne przez porowaty, prześwitujący sufit. Były na nim gwiazdy; nie całkiem punkciki światła, lecz jakby ośrodki emisji. Skoncentrował się, chcąc znaleźć jakiś punkt odniesienia. Nie było to niebo Starożytnych, lecz bez wątpienia znajdował się w jakiejś galaktyce. Poznał to po skupiskach chmur i gwiazd tworzących mleczną drogę widzianą z jakiegokolwiek galaktyki.

Wyobraził sobie (choć nie było to całkiem to, co uczynił jego nowy umysł) nocne niebo widziane ze Sfery Sol, a następnie z Etamina, Kanopusa, Polarnej i Hiad, starając

się porównać je z tym, co widzi obecnie. Było to trudne zadanie, tym bardziej, że pewne gwiazdy inaczej emitowały w tym zakresie, do jakiego był dostosowany jego obecny narząd percepcji. To co postrzegał jako słabo świecąca i ledwo widoczną gwiazdę, mogło być olbrzymem emitującym w podczerwieni. Lecz był do czegoś takiego przyzwyczajony, toteż wprowadził konieczne poprawki. Wyglądało to jak obracanie kulistego segmentu przestrzeni galaktycznej, dzielenie go na przekrojowe płyty, przesuwanie w poszukiwaniu jakiejś zgodności.

W końcu pojawiło się coś znajomego. Oto był wielki, czerwony, olbrzym, niczym Betelgeuza, tej samej prawie wielkości. Dostrzegł tam też gromadę gwiazd — czyżby Plejady? Lecz te znajdowały się ponad czterysta lat świetlnych od Sol, podczas gdy ta gromada, sądząc z wyglądu, leżała w odległości dwukrotnie większej, nawet jeśli wziąć pod uwagę zmienioną percepcję. I nie było obok niej konstelacji Byka. Dostrzegł też gwiazdę przypominającą Rigla, lecz trochę jaśniejszą; może więc bliższą? I... ależ tak! Wielka Mgławica w Orionie, teraz wcale nie w Orionie, lecz jaśniejsza i we właściwym położeniu względem Rigla i Betelgeuzy.

Nieoczekiwanie wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Był w Sferze Mintaka! Wielka Mgławica oczywiście nie znajdowała się w tej konstelacji; to on w niej był i spoglądał poprzez pięćset lat świetlnych ku Sol, gdzie teraz znajdowała się ta Mgławica. Był bardzo daleko od Betelgeuzy, na planecie Pasa, pięćset lat świetlnych od Sol.

A więc musi to być mintakański nosiciel. Platforma animacyjna Starożytnych okazała się w rzeczywistości stacją transferową, gdzie kierunek transferu ustalany był przez transferowca. Gdy umierał, pomyślał o Mintace — i tu oto się znalazł!

Zostało mu zatem przywrócone życie — na jakiś czas. Jego aura Kirliana jest osłabiona, a ludzkie ciało rozerwane. Nikt w domu nie dowie się, co się mu przytrafiło. Trafiał, w pewnym sensie, do nieba.

No to prześle wiadomość z krainy umarłych. Zachował przecież w pamięci formuły, a ta dodatkowa rewelacja o przeznaczeniu Starożytnej aparatury umożliwi galaktyce Mlecznej Drogi pokonanie galaktyki Andromedy. Pozostało mu jeszcze jakieś sześćdziesiąt dni, może trochę więcej, nim jego aura Kirliana opadnie poniżej progu ludzkiej indywidualności. Czasu powinno wystarczyć, biorąc pod uwagę, że Sfera Mintaka kontaktowała się już ze sferą Mirzam i posiada transfer. Pod warunkiem, że renegat Mintakanin mówił prawdę.

Renegat Mintakanin? Jak to możliwe, skoro to muzyczne ciało jest prawdziwą postacią Mintakanina? Szpieg z pewnością występował w innym ciele. Ale nie był też i transferowcem. Paradoks!

Nie — tylko fałszywy wniosek. Przedstawiciel Sfery Mirzam został zabity pierwszy, by nie rozgłosił, że szpieg nie jest Mintakaninem. Skoro zatem nie Mintakaninem ani transferowcem, kim był, że tak zajadle walczył o interesy Andromedy?

Kimże innym, jeśli nie jego nemezys, Cle z A[th] lub Llyaną Falowcem, pochodzącą z Andromedy? Teraz już pamiętał: istota, z którą walczył w Hiadach, miała niebywale silną aurę Kirliana, porównywalną z jego własną. W ferworze walki po prostu nie skojarzył tego faktu i teraz dopiero stało się to oczywiste. Królowa Energii!

Została matermitowana we własnym ciele z Andromedy. Koszt — niewyobrażalny. Dlatego nie mógł zrazu w to uwierzyć. Jakąż wartość w oczach wrogów musiało przedstawiać to Starożytne miejsce!

Obecnie agentka nie żyje i jest szczególnie ważne, by Flint przekazał informacje swej galaktyce. Andromeda ustaliła ich wartość, a Andromeda zna się na rzeczy. Był to, dosłownie, łup na miarę galaktyki.

W porządku. Mintaka otrzyma teraz technikę transferu, gdyż on ją przekaże. Potem skontaktuje się ze Sferą Sol, by uzupełnić raport, który odmieni całkowicie oblicze tego sektora wszechświata. Skupisko gwiazd, znane pod nazwą Mlecznej Drogi, uchroni się od zagłady. Wtedy może odejść, gdyż zadanie będzie wykonane. Jego galaktyka bezpieczna, Honeybloom szczęśliwa w swej idylli epoki kamiennej, a Polarianka Tsopi w swojej, kolistej.

Zjawiła się pielęgniarzka. Jej stopy-kastaniety wydawały przyjemny klekot, a linie rur były niezwykle atrakcyjne. Flint zawsze był wrażliwy na damskie wdzięki, bez względu na kształt ciała; ten okaz natomiast był wyjątkowo wspaniały.

— Witaj w Sferze Mintaka — zagrała.

Dosłownie. Jej struny i piszczałki wygrały zawiłą, krótką melodię z kontrapunktem bębnow. Znaczenie słów zawierało się w samej muzyce.

— Z jakiej Sfery śpiewasz? — spytała istota.

Nie było potrzeby ukrywać! — Pochodzę ze Sfery Sol — zagrał w odpowiedzi Flint. Muzyka powstawała automatycznie, ponieważ wynikała z wrodzonych cech tych istot; niemniej była to miła uchu melodia. — Jestem zadowolony, że Mintaka ma nosicieli.

— A my, że posiadliśmy w końcu sekret transferu — odparła dźwiękiem fletu. Dźwięki określające pojęcie transferu łączyły się w niezwykle skomplikowany akord, w którym półtony wyrażały szczegóły techniczne, alikwoty zaś — teorię: absolutnie doskonała definicja. Flintowi zresztą już podobał się ten sposób porozumiewania się bardziej niż jakikolwiek inny, włączając w to ludzką mowę. Każda istota tutaj była jednocześnie solistą, wirtuozem i orkiestrą. — Zawdzięczamy to Sferze Sol, która przekazała sekret transferu galaktyce. Żałujemy, że nie możemy poruszać się w próżni i nie uczestniczyliśmy w badaniach Hiad, ale jesteśmy nimi ogromnie zainteresowani. Chodź ze mną, proszę.

Flint ruszył za nią, zadowolony, że tak łatwo nawiązał kontakt, gdy go potrzebował. Podobnie zresztą było w Sferze Polarnej, tylko że tam on sam zepsuł wszystko nieuzasadnionymi podejrzeniami. Obecnie wkroczył już ostatecznie w stadium Śmierci/

Transformacji ze swego odczytu taroka — jakże okazał się on trafny! — i nie ma powodów do niepokoju. Jego stopy wykonały synkopowany taniec zadowolenia. Narządy, tak początkowo dziwaczne, w tej chwili zdawały się już normalne. Muzyka była naturalną sprawą, więc czemu nie grać jej naturalnie?

Wydostali się na otwarty chodnik. Spotkali tu wiele podobnych istot o różnych kolorach, rozmiarach i barwie dźwięków; natknęli się też na kilka gatunków zwierząt mintakańskich. Muzyka osobników rozumnych była spokojna, pełna łagodnej harmonii, zwierzęta za to wydawały ciągłe dźwięki nie wyrażające niczego, odpowiadające ujadaniu ziemskich psów. Rośliny, umieszczone tutaj w celach dekoracyjnych, miały wprawdzie kształty instrumentów muzycznych, ale były nieme.

Jego opiekunka-przewodniczka przeprowadziła go do pojazdu. Wehikuł miał niski próg, dogodny dla ich niewielkich stóp, i wysokie boki podtrzymujące ich ciała. Pojazd wysunął z dna miriady delikatnych cienutkich drucików i wspierając się na nich jak szczotka ruszył swoim torem. Przypominał trochę łódź, trochę samochód, a trochę latający dywan. Flint zbadał pamięć swego nosiciela i upewnił się, że pod wpływem określonego rodzaju fal druciki te wibrują i w wyniku tych niedostrzegalnych prawie ruchów napędzają pojazd. Był to bardzo przemyślny, choć w gruncie rzeczy prosty środek transportu, odzwierciedlający zarówno poziom, jak i typ tutejszej cywilizacji. Znajdował się więc w kolejnej Sferze dużo bardziej rozwiniętej niż Sol — zresztą wysoka cywilizacja była koniecznym warunkiem dla utrzymania wpływów na tak rozległym obszarze.

Wkrótce opuścili miasto. Olbrzymie budowle głównej metropolii, tak ukształtowane, by zredukować nieznosne wibracje akustyczne, ustąpiły miejsca prostym zabudowaniom mieszkalnym. Te miały różnorodne kształty, ściśle dostosowane do wymogów akustyki, w sumie jednak przypominały jednorodzinne domki na Ziemi lub chaty na Najdalszej. Rośliny też były tu dużo większe niż w mieście: drzewa — liry, zarośla — bębny, pnącza — flety. Jakkolwiek każde z nich oddzielnie nie wykonywało muzyki, razem były niczym koncert; nie tworzyły muzyki, lecz stawały się muzyką.

Samochód-szczotka wjechał na tereny zabudowane ogromną ilością bąbli. Tutaj oboje wysiedli z pojazdu i zbliżyli się do jednego z nich; ich stopy wzbudzały melodyjne echa. Flint spróbował zakłócić takt swych kroków i zmącić rytm, ale przyszło mu to z najwyższym trudem. Muzyka była czymś wrodzonym; niemuzyczalność — przekleństwem. Zasadniczym utrudnieniem.

Opiekunka zagrała specjalną melodię, której Flint dokładnie nie pochwycił. Drzwi się otworzyły. Weszli do środka i drzwi dokładnie się za nimi zamknęły.

Był to świetnie urządzone prywatny apartament. Znajdował się tutaj koszyk cienkich drucików, które Flint, dzięki pamięci nosiciela, rozpoznał jako największy mintakański przysmak; ponadto opar wodny dla spragnionych, wybór proszków dla rozstrojonych części anatomii oraz wlot zsypu do odpadków.

— Spodziewałem się spotkać przedstawicieli waszych władz — Flint zagrał półtonami lekkiego zmieszania. — Co to za miejsce?

— Pokój do kopulacji — zahuczała słodko. Ponieważ znów musiał poszukać w pamięci, odkrył że Mintakanie, podobnie jak Antareanie, są rasą bezpłciową. Towarzyszącą mu istotę uznał za samicę, gdyż pełniła ona tutaj rolę opiekunki, a był to przecież zawód typowo żeński. Podczas wstępnych nauk, jakie pobierał na Ziemi, miał okazję spotkać kilkanaście opiekunek. Generalnie były one wszystkie piękne i zdumiewająco zwinne, zwłaszcza gdy przychodziło im wymykać się z męskich uścisków.

— Nie przybyłem do tej Sfery, by kopulować — odbrzęczał, ale natychmiast — sobie przypomniał zamieszanie spowodowane polariańskim sposobem wyrównywania długów. — Ale skoro to konieczne przy załatwianiu spraw międzysferycznych...

Jak do diabła mogą kopulować istoty bezpłciowe? Jak zwykle pamięć jego nosiciela wiadomości te miała beznadziejnie głęboko zagrzebane.

— Przyszliśmy tutaj, aby być zupełnie sami — wyjaśniła. — Nikt nam nie przeszkodzi. Nie wydostanie się stąd żaden dźwięk. Możemy więc przystąpić do naszych spraw.

— Ależ nie mam do ciebie żadnych spraw! — I wtedy jego muzyczny umysł zaczął kojarzyć. — Czyżby...

— Jednomyślność — zagrała ironicznym trylem.

Znajdował się w obecności agentki Andromedy, Królowej Energii! Przebywała z nim w chwili, gdy zapadały się budowle Starożytnych, i wraz z nim się transferowała. Choć było to tak oczywiste, wcale mu nie przyszło do głowy. Przysunął się do niej tak blisko, aby odczuć aurę Kirliana; tak, mówiła prawdę.

— Wciąż posiadasz niebezpieczne informacje — zagrała. — Dlatego muszę wypełnić zadanie.

— Jak wydostałaś się ze Spiki?

— Gdy emocjonalnie mogłam już rozstać się z potomkiem, zorganizowałam wymianę z inną Andromedanką o niskiej aurze. Jej aura prawie od razu wtopiła się w osobowość nosiciela, lecz dziecko nie uświadamiało sobie zamiany. Byłam wolna. To proces bardzo złożony i nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły. Udało ci się izolować mnie na pewien czas, toteż podziwiałam twoją chytrą. Dostrzegasz chyba jakąś muzyczną sprawiedliwość w obecnej odmianie ról.

— Schwytny w pomieszczeniu do kopulacji — zagrał Flint. — Tak, wychytuję tę ironię i wyrażam ci głębokie uznanie za pełen wdzięku pomysł i realizację. Zapewne wymknę ci się w sposób równie wdzięczny.

— Zapewne — zagrała tonami bębna oznaczającymi wyzywającą wątpliwość.

Musi być najgłębiej przekonana o niezawodności pułapki, pomyślał.

— Wiesz, co znaleźlibyśmy wśród relikwii Starożytnych — Flint zagrał tonami oskarżenia. Ten melodyjny sposób przekazywania nastrojów był nad wyraz wygodny!

— Naturalnie. Odkryliśmy podobne relikty Starożytnych w Andromedzie trzy wieki temu, choć nie były one tak interesujące jak wasze.

— Starożytni skolonizowali również Galaktykę Andromedy? — zdumiał się Flint. Sądził, że pojawili się lokalnie, to znaczy w promieniu kilku tysięcy lat świetlnych od Sol.

— Skolonizowali całą gromadę galaktyk. Gdziekolwiek trafiliśmy, oni już byli przed nami. Była to zadziwiająca cywilizacja.

— Odwiedzałaś inne galaktyki? — Flint zdawał sobie sprawę, że agentka mówi całkiem szczerze, niczego nie ukrywając, gdyż miała pewność, że i tak go zabije; niemniej były to bardzo interesujące informacje.

— Oczywiście poprzez transfer. Szukając nowych źródeł energii. Lecz nie ma żadnych, tylko silne reakcje atomowe materii, których próba wykorzystania niszczy tę materię. Musieliśmy zatem się skoncentrować na tym, co pod ręką, przy zachowaniu jak najszerszego marginesu bezpieczeństwa.

— I zniszczyć naszą galaktykę! — wyśpiewał Flint z potrójną harmonią i dysonansem oburzenia.

— Była to trudna decyzja, lecz trzeba było ją podjąć. W imię wyższej cywilizacji zawsze ponosi się jakieś ofiary. Co lepsze: dwie rozbite, półcywilizowane galaktyki — czy jedna w pełni rozwinięta? Postanowiliśmy, że jeśli zanalizować sprawę w kategoriach wszechświata, jest to całkiem usprawiedliwiona ofiara. Koalicja naszych Sfer nie mogła objąć całej Andromedy, skoro nie starczało zasobów energetycznych, aby zapobiec efektom regresu sferycznego. Natomiast z waszą energią moglibyśmy osiągnąć jedność podobną do tej, jaką osiągnęli Starożytni. Stawką jest wyższy poziom cywilizacji. W naszej sytuacji postąpilibyśmy tak samo.

— Ja nie postąpiłbym tak samo! — odegrał ostro Flint.

— A jednak kazałeś zbombardować siebie samego i zniszczyłeś najcenniejszą skarbnicę wiedzy w swojej galaktyce.

— By uchronić galaktykę przed zagładą!

— Ja chronię cywilizację — zagrała miękko.

Pewną rację musiał jej przyznać. Solarianie praktykowali zniszczenie i ludobójstwo w celu poszerzenia sfery swych interesów — w imię cywilizacji! — tak długo, póki mieli ku temu sposobność. Pamiętał, jak jego plemię zabiło dinozaura Starego Parskacza po to tylko, by zapewnić sobie energię w postaci pokarmu. Czym to się różni, poza skalą oczywiście, od tego, co robi Andromeda? Nie, jego rasa wcale nie była moralnie godniejsza — a przy tym znalazłaby się zawsze jakaś pozytywna motywacja rozprzestrzeniania cywilizacji. Ras i Sfer istniało wiele, lecz takie zjawisko jak Starożytni wystąpiło tylko raz. Ponowne stworzenie takiej potęgi... może i warto poświęcić na ten cel galaktykę?

Wahał się chwilę, po czym zagrał zdecydowanie.

— Jednak ja pochodzę ze swojej galaktyki i nie mogę działać wbrew jej interesom. Mleczna Droga nie chciała niszczyć Andromedy; bronimy się tylko.

— Zwykły przypadek — odparła z cieniem dysonansu. — Gdybyście pięćset lat temu trafili na te relikty Starożytnych, poznalibyście sposób transferu energii i niechybnie wy napadlibyście nas. Nie ma w tym żadnej waszej zasługi moralnej; jesteście niewinni tylko z braku okazji.

— Zgadza się. — Flint podążył do drzwi i spróbował je otworzyć, lecz zatrzaśnięte były na głucho, a nie znał muzycznego klucza, który zwalniał zamek. Pamięć nosiciela podpowiadała mu, że takie zamknięcia są niebywale skomplikowane — do końca życia mógł próbować różnych sekwencji muzycznych. Telefon — zupełnie podobny do swego ziemskiego odpowiednika — uruchamiany był podobnie. Bez zgody Andromedanki nie ma sposobu wydostać się na zewnątrz, a ona naturalnie nie pozwoli na to.

— Zgadzasz się? — zagrała po chwili.

— Tak. Osobiście czuję, że cywilizacja nie jest warta ceny makrobójstwa. Ale jestem tylko człowiekiem z epoki kamiennej. Mój gatunek z pewnością czuje inaczej. Siłą wiodącą jest własny interes. Może taka Polarna moralnie stoi wyżej, ale nie Sol. Przykra to prawda, ale zgadzam się z nią w zupełności.

Milczała. Urządziła tę pułapkę, by zgładzić go bez kłopotu i hałasu. Lecz nie była teraz w swoim ciele amazonki z Andromedy. Nie miała tnących dysków i palących laserów. Była w ciele mintakańskiego nosiciela — jak i on zresztą — i choć ciała te pozbawione były płci, jego męska natura wybrała większe i silniejsze, podczas gdy jej żeńskość wybrała delikatniejsze i mniejsze. Ona miała aparycję, on zaś siłę. Przewaga fizyczna zatem jest po jego stronie.

Jeśli Mintkanie nabiorą podejrzeń, mogą się tu szybko pojawić, otwierając drzwi uniwersalnym kluczem melodycznym. A połapią się z pewnością; zniknęły przecież dwa ciała nosicielskie. Pozostaje tylko odpowiednio długo przetrzymać tutaj Andromedę.

— Z pewnością byłeś już tu wcześniej — zagrał z kontrapunktem zniecierpliwionego podziwu. — Znasz naturę i obyczaje Mintakan, to pomieszczenie zostało przygotowane...

— Zorientowałam się na transfer z Mirzam do Mintaki — przyznała. — Spóźniłam się z powodu twego diabelskiego fortelu w Spice...

Flint zatrzęsł się z uciechy.

— Więc takie są twoje prawdziwe uczucia! Nie chcesz wrócić na Spikę!

Jej struny zadrgały wrogo.

— Cieszę się, że mam możliwość zabić cię w męczarniach.

— A zatem spóźniłaś się i Mintaka poznała już technikę transferu — zagrał wesoło. — Kiedy więc rozniosła się wieść o odkryciu reliktyw Starożytnych, przechwyciłaś ko-

lejnego wysłannika Mirzam i na Gondolfie IV odegrałaś rolę Mintakanina. Lecz z powodu uwięzienia na Spice twoja aura była mocno wyczerpana i nie byłaś w stanie transferować się w miejscowe ciało; co resztą i tak by cię zdradziło. Twoja galaktyka zatem musiała zdobyć się na olbrzymi wydatek związany z matermisją intergalaktyczną...

— Powetujemy sobie tą stratę energii z twojej galaktyki! — brzęknęła.

— A następnie utraciłaś swoje ciało i musisz umrzeć tu razem ze mną.

— Lecz misję wypełniłam — zagrała. — Ty natomiast nie zdołasz przekazać sekretu transferu energii Kirliana, więc nie możecie się z nami równać.

— Ale przekazałem już Kanopianinowi metodę wykrywania transferu — zagrał.

— Nasze Sfery mogą już śledzić wasze transfery, jak wy tropiliście nasze, oraz wysyłać kontragentów, którzy zniszczą po kolei waszych szpiegów. Zlokalizujemy też i zlikwidujemy wszystkie andromedańskie stacje przekazywania energii. Przedtem jednak dobrze je zbadamy i tak czy owak uzyskamy sekret transferu energii. Nie zdołamy oczywiście uczynić Andromedzie tego, co zamierzała zrobić nam, ale potrafimy się obronić.

— Ta twoja wredna sztuczka z mnóstwem sobowtórów — poskarżyła się. — Gdybym cię zdołała zabić w stosownym czasie...

— A bez zdobytej w ten nieprawy sposób energii wasza cywilizacja dozna takiego samego regresu na Obrzeżu jak nasze Sfery — ciągnął. — Będziecie tam sympatycznie prymitywni, nie stanowiąc zagrożenia dla sąsiadów.

— Znajdziemy inne źródła dostaw.

— W żadnym wypadku. Śladem waszych transferów intergalaktycznych pójda nasi agenci ostrzegając Sfery przed...

Nieoczekiwanie wyemitowała sekwencję dysonansu tak potężną, że ogłuszyła na chwilę jego instrumentarium. Było to tak bolesne, że gwałtownie i odruchowo włączył tłumienie. Te stworzenia potrafiły zabijać samym dźwiękiem! Walcząc z przeraźliwym jazgotem stracił równowagę i dotknął swym bębenkiem ciała agentki.

Od kolizji dwóch intensywnych aur przeszło mu po ciele intensywne elektryczne mrowienie. Jak zwykle wstrząsnęło to nim głęboko; tym razem jednak odczuł to szczególnie, gdyż rozstrojony dysonansem był bardziej podatny. Nagle odechciało mu się walki. Wiedział jednak, że musi ją podjąć, gdyż posiadał informacje, które sprawiają, że jego galaktyka stanie się potężna. Informacje dotyczyły nie tylko energii Kirliana, ale i czegoś dużo istotniejszego, czego sama Andromeda nie znała: mimowolnych wcieleń, za których pomocą istota o wysokim Kirlianie będzie mogła się przenosić w ciała żywych, w pełni funkcjonujących osobników i przejmować nad nimi kontrolę. Wynikało to z zapamiętanych przez niego formuł. Jeżeli tylko zdoła to jakoś przekazać swojej galaktyce...

— Zatem masz jakąś wrażliwość — zagrał, gdy już mu się rozluźniły struny. — Nie jesteś tak do końca łowczynią.

— Łowczynią? — zagrała; jej gniew przycichł, lecz wciąż był słyszalny w tle melodii.

— Bardzo źle, że nie odwiedziłaś Sfery Sol — zagrał, a w jego tonach pobrzmiwały nutki żalu. Żałował jej — a może siebie samego? Za misje Kirliana zapłacił własną narzeczoną i paleolityczną niewinnością; tym, co z perspektywy czasu zdawało się niezwykle cenne. — Mamy bardzo bogatą mitologię opartą na widocznych gwiazdach. Jeśli wstrzymasz się trochę z zabiciem mnie, opowiem ci o tym.

— Nie próbowałam cię wcale zabijać. Nie mam nawet żadnej broni. Tak czy owak oboje umrzemy. Po prostu uniemożliwię ci nawiązanie kontaktu do czasu, gdy zgaśnie twoja aura.

A więc to tak! Jeśli nawet ją zabije, wciąż pozostanie uwięziony. Wolność może odzyskać w jednym przypadku: jeśli ona na to zezwoli — ale to było zupełnie niemożliwe. Była nieczułą agentką intergalaktyczną, bezlitosną zabójczynią, Królową Energii.

Chyba, że uda mu się zagrać na utajonych symptomach jej kobiecości i sprawić, że sama zapagnie go uwolnić. Może podświadomie pragnęła tego — naturalnie jeśli jej gatunek ma coś takiego jak podświadomość. Może ich kontakty w Sferze Kanopusa, w Spice i w otwartej gromadzie Hiad wytworzyły między nimi jakąś nić sympatii? Przypomniał sobie, jaką przyjemność sprawiło mu spółkowanie z nią w postaci Falowca; ponadto mieli aury Kirliana o zbliżonej intensywności...

— Skoro mamy umrzeć razem, zaprzyjaźnijmy się — zagrał słodziutko. — Zagram ci nasze legendy, a ty mi wasze.

Odpowiedziała niezdecydowaną muzyką. Dobrze, jest skłonna do ustępstw.

— W naszym panteonie Mintaka jest jedną z trzech jasnych gwiazd tworzących Pas Oriona — grał. — Ów gorejący Pas to najbardziej imponująca konstelacja naszego nieba, z czerwoną Betelgeuzą na górze — dzieci przekręcają jej nazwę na “butlę gazu” — i białym Rigm na dole, które tworzą ramię i nogę Oriona. W starogreckiej mitologii Orion był przystojnym olbrzymem. Jego rodzice ogromnie pragnęli mieć syna, toteż odwiedziła ich trójka bogów, który oddali mocz na skórę jałówki i zakopali ją w ziemi. W dziewięć miesięcy wyłonił się stamtąd Orion.

— Czy to wasz normalny sposób rozmnażania się? — spytała z lekkim dysonansem.

— Nie, to gra słów: słowa Orion i uryna w wielu naszych językach brzmią podobnie. — Zdawał sobie sprawę, że pojęcie moczu nie ma odniesienia do mintakańskiego ciała, którego odchody mają formę proszku. Agentka jednak była z Andromedy i wydawało się, że zrozumiała.

— Istnieją jednak pewne punkty odniesienia. W ludzkim ciele męski wylot moczu używany jest również do wprowadzania nasienia w ciało samicy. Tam nasienie łączy się z żeńską komórką jajową i rośnie przez dziewięć miesięcy aż do powstania oddzielnej istoty. Mit znaczy więc może, że bogowie używając rurki moczowej zapłodnili “jałówkę”,

pod której postacią widzimy matkę Oriona. Możliwe zresztą, że ojciec był impotentem lub bezpłodny i tylko w ten sposób mógł mieć syna. W pewnych naszych kulturach panował też obyczaj, iż mąż ustępował swej żony gościom, dając wyraz gościnności. Mogła więc to być sytuacja całkiem normalna, choć może nieco delikatna. Mężczyźni są dumni ze swej męskości.

Wpadł w ton niezwykle filozoficzny — lecz czemu nie? Gdyby miał lepsze wykształcenie niż tylko znajomość mitów gwiazd, być może zostałby filozofem.

— Wstrętne — zagrała Andromedanka, a Flint nie był pewien, do której części opowiadania to odniosła. — Mów dalej.

Flint stłumił muzyczny chichot. Dała się złapać — a jego opowieść dopiero się zaczęła. Jako istota z innej galaktyki mająca niebawem umrzeć, pragnęła zaspokoić ciekawość na tyle, na ile tylko zdoła. Każda istota, czy to rozumna, czy tylko odczuwająca, jest zafascynowana sposobami reprodukcji; jest to ciekawość wrodzona.

— Orion miał psa imieniem Syriusz — to również jest gwiazda na naszym firmamencie, znajdująca się niedaleko Pasa. Tak ją w każdym razie widać z Sol. Bo naprawdę Syriusz znajduje się zaledwie dziewięć lat świetlnych od Sol, podczas gdy Alnitak, Alnilam i Mintaka, tworzące Pas, oddalone są o tysiąc sześćset i tysiąc pięćset lat świetlnych. Dla naszych pierwotnych ludów był to po prostu Canis Major, Wielki Pies warujący obok swego pana.

— Na naszym niebie w Sferze / — melodia Andromedanki zabrzmiała wspomnieniem — istnieje ogromny podwójny wieniec jasnych gwiazd; dwa zewnętrzne dyski naszego najdzielniejszego łowcy. Zrodzony został z kolizji dwóch Supernowych...

— Kolizji Novych! — gwizdnął jak piszczałka Flint.

— Nasze legendy nie są wcale bardziej niedorzeczne od waszych! Lepiej narodzić się z Novej niż z oddawania moczu w kobietę.

— Możliwe — zgodził się Flint pamiętając, że nie chce jej antagonizować. — Wy, z / rozmnażacie się za pomocą światła?

— Nastrajamy dwa lasery na częstotliwość kopulacyjną i... ale co cię to obchodzi?

— Przyznaję, że fizycznie różnimy się od siebie, jak tylko mogą się różnić dwa gatunki — odparł Flint. — Niezła to była walka w Hiadach! Ale osobowości mamy chyba podobne, a aura...

— Jesteśmy wrogami!

— W Andromedzie nigdy nie spółkowałeś, prawda?

— Byłam zbyt pochłonięta walką o moją galaktykę! Aha.

— Orion poślubił śliczną dziewczynę imieniem Side, która, jak myślę, była bardzo podobna do mojej Honeybloom. Side jednak była próżna...

— Jesteś żonaty? — Andromeda zapytała tak ostro, że musiał wytłumić wszystkie współczujące wibracje strun. Posłużyła się kombinacją wszystkich pomysłów: kopula-

cji, wierności, społecznej autentyzacji. Wyglądało na to, że w Sferze Mintaka nie istnieje instytucja małżeństwa — ale obyczaje panujące w Sferze / w Andromedzie były podobne do obyczajów gatunku Flinta. Tnący dysk i pchnięcie włóczni: aspekty tych samych bodźców. Czyżby była zazdrosna?

— Byłem żonaty w szczególny sposób. Jakby pośmiertnie. Też poświęciłem osobiste życie potrzebom mojej galaktyki. To smutne, prawda?

Gdy to grał, wtórowała mu ujmującym tonem zgody. Czyste piękno tego improwizowanego duetu zrobiło na nim duże wrażenie. Gdy Mintakanie rozmawiają, tworzą naprawdę przepiękną muzykę! Było to coś o wiele wspanialszego niż ludzka rozmowa, tak jako dialog, jak i muzyka. W tej zgodności dźwięku ujrzał, jak potrafi być czarująca, jeśli tylko chce. O ile więc Flint nie zachowa ostrożności, może wpaść w jej sidła, takie same jak te, które gotuje na nią. Urok aury Kirliana dorównującej jego...

— Side chełpiła się swą urodą, więc zazdrosna królowa bogów straciła ją do piekieł — ciągnął Flint.

Jak Honeybloom. Pohańbiona, wygnana z plemienia, pozbawiona uroku; zmuszona do przebywania w żywym piekle. Jakże za nią tęsknił — teraz kiedy już niczego nie jest w stanie odzyskać.

— Podobnie się stało z Pałającą Gwiazdą — zagrała miękko Andromeda. — Jej promienie były najczystsze, została zatem wygnana i jej gwiazda lśni obecnie obok niezwykłych dysków Bohatera...

Uderzająco podobna legenda — a może ona tylko zmyśla tworząc wariacje na temat jego muzyki, drażniąc się z nim? Miało to niewielkie znaczenie; temat był wciąż nowy.

— Wtedy Orion zakochał się w Merope i pozabijał wszystkie dzikie bestie na wyspie, gdzie królem był jej ojciec — snuł opowieść Flint. Bawiły go te mitologiczne wspominki. Dla człowieka z epoki kamiennej mity były ważną rzeczą, zwłaszcza mity związane z widocznymi na niebie gwiazdami. Konstelacje na niebie Najdalszej wyglądały inaczej niż na Ziemi, ale ziemskie mity pozostały.

— Dokonał tego, by znaleźć uznanie w oczach jej ojca, Ojnopiona. Pragnął go w ten sposób skłonić do wyrażenia zgody na ślub z jego córką. Gdy jednak Ojnopion odmówił, Orion wziął Merope siłą.

— Jak to możliwe? — zagrała. — Każda ze stron może przerwać promień...

— W innych Sferach możliwa jest wymuszona kopulacja, na przykład w Spice. — Tam sama Andromedanka została zgwałcona. — Rurka urynacyjna Solarianina może stać się bardzo sztywna; potrafi sobie poradzić nawet mimo oporu. Może zresztą Merope chciała tego; to jej ojciec miał zastrzeżenia.

— Podobnie jak czyjaś galaktyka może mieć zastrzeżenia i wymusiła posłuszeństwo drogą silnego uwarunkowania — grała tak cicho, że z trudem ją słyszał. Ale konkluzja była zaskakująca: specjalnie ją uwarunkowano przeciw niemu? Musiała więc przejawiać

jakieś skłonności, jak Merope.

A Tsopi-Polarianka — czy nie odegrała w jego życiu roli Merope? Nie był w stanie jej poślubić, gdyż pochodzili z różnych Sfer. Ponadto jej kultura i naturalne inklinacje zabraniały trwałych związków. Kiedy jednak wszelkie nieporozumienia kulturowe zostały wyjaśnione, związek, póki trwał, był mu miły. Nazwać Sferę Polarną Ojnopionem czyniącym go ślepych na ich sekrety... nie, tutaj nie było dobrej analogii. Czemu by miała być? To w końcu tylko gra. Czy tylko?

— Zabroniona wymiana promieni! — zagrała ze zrozumieniem Andromeda. — Tak, to się zdarza mimo poważnych sprzeciwów. Piętno jej poprzedniej wymiany sprawiło, że związek był nieszczęśliwy...

— Zaczynasz pojmować. Tak więc Ojnopion podstępnie uśpił Oriona i we śnie wyłupił mu oczy. Dla ciebie — soczewki.

— Oślepił giganta! — zagrała.

— Czy tak jest też i w twojej legendzie?

— To właśnie robisz mojej galaktyce. Odbierasz nam możliwość transferu do innych galaktyk, w celu poszukiwania tamtejszych Sfer.

— Bo kradniecie nam naszą energię życiową! — odegrał Flint fortissimo, wdzierając się fałszywą nutą w jej melodię.

Nie odpowiedziała wprost.

— Naprawdę więc sądzisz, że moralność waszego gatunku nie jest wyższa niż naszego? — zagrała.

Znów się zmusił, by raczej wyznać prawdę, niż propagować ludzki patriotyzm i interesy Mlecznej Drogi.

— Tak, może z początku byłem bardziej cyniczny, lecz doświadczenia wyniesione z innych ciał i innych kultur odmieniły mnie. W Sferze Kanopus zrozumiałem, że postać ludzka nie musi być dominująca; w Spice odkryłem, że każda sprawa ma trzy strony; w Polarnej pojąłem wartość kolistości. Odkryłem, że istnieje wiele prawd, które — jak głosi tarok — są jednakowo ważne. Gdybym trafił do Galaktyki Andromedy, też bym zapewne akceptował wiele obowiązujących tam prawd. Nie jestem już tą samą istotą, którą byłem, zarówno jako jednostka, jak i gatunek.

— Jednomysłność. — Melodia zabrzmiała zainteresowaniem. — Czy to już koniec o Orionie?

— Nie. Dowiedział się, że może odzyskać wzrok udając się ku słońcu...

— Szukając nowego źródła energii!

— Być może. Kiedy już odzyskał wzrok, udał się na Kretę gdzie polował z Artemidą lub Dianą...

— Z którą?

— Artemida u Greków, Diana u Rzymian. Ta sama dziewczyna. Diana była piękną,

cnotliwą łowczynią, która jeszcze nie kochała żadnego mężczyzny. Ona...

— Naigrasz się ze mnie! — zadzwoniła Andromeda, a nuty w jej muzyce paliły naszymi lasery.

— Uwierz mi, to naprawdę jest w tej legendzie. Może miałbym powód cię zabić, ale nie wykpiwać. Zresztą nie przejmuj się: ona zabiła jego.

— Och — zagrała z odcieniem zmieszania. Mintakańskie akordy potrafiły tyle przekazać! — Zaśpiewaj mi o Dianie.

— Była muzykalna, uwielbiała tańczyć i śpiewać. Wszystko zresztą umiała bardzo dobrze, za wyjątkiem miłości. Gdy polowała z Orionem, ten uderzony jej urodą i umiejętnościami, dotknął jej...

— Jak ty mnie w Spice! — zagrała gniewnie. — Dobrze, że to było nie w Sol, gdzie wbiłbyś mi swoją rurkę wydalniczą...

Flint nie zaprotestował przeciwko temu określeniu.

— Możliwe — przyznał. — Jesteś w swoim rodzaju wyjątkową kobietą.

— Moim rodzajem jest Sfera / w Andromedzie! — Po chwili jednak się uspokoiła. Jak go zabiła? Laserem?

— Nie tak prosto. Wezwała skorpiona, który śmiertelnie go ukłuł. Skorpion to stworzenie, którego ogon zawiera niezwykle silny jad. Ten skorpion też jest na niebie. Gdy wschodzi, konstelacja Oriona znika, kryjąc się przed nim.

— Ciekawa jestem, czy w Mintace istnieją skorpiony? — zagrała tonem zadumy.

— Wyjdźmy i zobaczmy.

Wybuchnęła trylem śmiechu.

— Jesteś bardzo chytry, obojętnie jakie zajmujesz ciało. Zostaniemy tutaj. Razem oślepiemy.

Chyba, że Mintakanie wytropią zaginionych nosicieli.

— Będzie to strasznie nużące — zagrał. — Mojej aury wystarczy na co najmniej sześćdziesiąt dni. Twojej zapewne również. Co będziemy robić tyle czasu? Kochać się?

— Myślałam, że coś takiego ci przyjdzie do głowy — odegrała. — To jest chyba wspólna cecha wszystkich samców we wszechświecie. Nawet tutaj, gdzie nie ma żadnych płci, niektóre istoty zawsze mają chęć tworzyć wspólnie muzykę.

— Nie fizycznie, nie poprzez wymianę laserową, lecz tworząc wspólnie muzykę? Chciałbym naprawdę wiedzieć jak...

— Tym się nie martw. Śmierć przyspiesza zanikanie aury i nawet transfer temu nie zapobiegnie. Żywe ciało cierpi pod nieobecność swej aury, a ta — pod nieobecność swego naturalnego nosiciela.

— A więc to się przytrafiło memu ciału, gdy wróciłem ze Sfery Polarnej! Byłem tak chory...

— Tak, ciało musi być okresowo reanimowane i badane; inaczej rdzewieje. Nie wie-

działaś o tym?

— Nasz gatunek dopiero od niedawna dysponuje transferem.

— Zatem dowiedz się tego ode mnie. Nasze aury Kirliana już poważnie zaniknęły, gdyż normalnie więź z naturalnym nosicielem nigdy nie ulega kompletnemu zerwaniu; śmierć ciała stanowi natomiast wielki wstrząs. W ciągu kilku najbliższych godzin zgasniemy.

— Kilka godzin!

Wszelkie nadzieje przysły. W przeciągu sześćdziesięciu dni z całą pewnością by ich odkryto; w sześć godzin to prawie niemożliwe, chyba że Mintakanie są dużo bardziej sprawni w tych rzeczach niż biurokracja przeciętnej Sfery. A więc Andromeda wygrała. Wierzył jej; już teraz czuł wyczerpanie swej aury — jak utratę krwi, jak podstępne wysączanie jego najistotniejszych zasobników witalnych.

— Czyż to nie ironia losu, że dwie najpotężniejsze aury Kirliana w naszej gromadzie galaktycznej muszą razem zgasnąć? — zagrała nęcąco.

— Tak było widać pisane. Gdy odczytywałem tarok w Sferze Polarnej... — Urwał w połowie akordu. — Tarotyzm jeszcze nie dotarł do Andromedy, prawda?

— Nie jako kult. Złożyłam o nim raport w ramach mojej misji, gdyż wygląda na to, że jest on w jakimś stopniu powiązany z potęgą Starożytnych.

— No więc jest coś w kartach, bez względu na ich racjonalny byt. Powiedziały mi, że zostałem przecięty — to znaczy przeciwstawiony — Królowej Energii, określonej jako Diabeł, którego z kolei przecina Czwórka Gazu. Karty mówiły, że nie jestem w stanie jej zniszczyć, tylko unieszkodliwić. Nie wiedziałem wtedy, że...

— Możliwe, że Diana nie napotkała mężczyzny, który byłby jej wart — zagrała Andromeda najwidoczniej nie świadoma swoich tonów. — Może posiadała bardzo intensywną aurę i nie chciała jej trwonić dla ostatnich istot? Kiedy napotkała na swej drodze równą sobie, choć z początku pozornie brutalną i obcą, poczuła pierwsze drgnienie swego... swego. — Jej melodia załamała się w nieskładnym dysonansie.

A więc i ona doznała wstrząsu spowodowanego zetknięciem się równorzędnych aur! Od samego początku w Sferze Kanopusa oczarowała go nie powabami seksualnymi, lecz wyjątkową aurą Kirliana. Oficjalnie wypełnił misję mającą przynieść ratunek jego galaktyce, osobiście jednak szukał dla siebie naturalnej partnerki. Partnerką tą, wbrew międzygalaktycznym komplikacjom politycznym, była przedstawicielka Sfery / z Andromedy; piękna, dzielna, silna, inteligentna, a nade wszystko obdarzona aurą — a to przyćmiewało całą resztę. Jeśli ona reagowała podobnie na jego aurę, uległa już w znacznym stopniu fundamentalnemu instynktowi reprodukcji — nie gatunku, lecz aury.

— Pustelnik i Królowa Energii — zagrał z zadumą Flint. — Nie mogą ani siebie pokonać, ani sobie zaufać; igrają z potencjalną miłością. Co powiedziałyby karty?

Najwidoczniej ją ogarnęły podobne sentymenty, gdyż tak dostrajała swoją muzykę,

że funkcjonowała ona jak najdoskonalsza telepatia.

— Mimo że zgwałcił ją jak Merope, co kosztowało ją wiele dumy i czasu, uznała w nim moc i inteligencję dorównujące jej własnym. Jej kultura zabraniała jej tego, lecz był idealnym partnerem, a zew jej aury musiał znaleźć swój wyraz. Odczuwała wstręt do tej skrytej namiętności i wiedziała, że musi go zabić — choć jednocześnie czuła w sobie odrazę do takiego czynu. Wezwała zatem skorpiona — a może zmusiła jego, aby go wezwał — ale w rzeczywistości umarła razem z nim.

— Schlebiasz memu intelektowi, choć weń nie wierzysz — zagrał szorstko, wbrew temu, co czuł. — Próbujesz mnie uwieść, nie zabić. Pragniesz wydobyć ze mnie dla swej galaktyki sekret mimowolnego transferu w ciało nosiciela, bo ten sekret posiadam tylko ja.

Blefował, choć wiedział, że w jego słowach tkwi prawda: istotnie wzruszyła go zwodniczym czarem swej melodii, sprawiając, że zadrżały mu współczująco struny, przy wtórze bębenków i piszczałek. Faktycznie stanowili idealną parę, pomimo groteskowej różnicy kształtów; a obecnie nie istniał już właściwie powód, by z tym walczyć. On również z powodu swej aury czuł się wywyższony i odczuwał zasadniczą potrzebę posiadania potomstwa z aurą Kirliana równie potężną jak jego. Gdyby pozostawić sprawy przypadkowi, podobna aura mogłaby nie pojawić się przez całe tysiąclecie, a tak mieli szansę zapoczątkować nową linię istot o wysokim Kirlianie.

Z drugiej jednak strony ich ciała z Mintaki nie zawierały oryginalnych genów. Niemniej jednak w tym zmiennym wszechświecie zachodziły zadziwiające zjawiska, a granice możliwości Kirliana wciąż nie były znane.

— Mogłaś przecież mnie zamknąć, bym tu umarł, a ty transferowałabyś się do domu i złożyła sprawozdanie. Czemu tego nie zrobiłaś?

— Oboje jesteśmy martwi — zagrała smutno. — To nieodwołalne. I nie będzie już innej szansy utrwalenia naszego gatunku. My — ty i ja — jesteśmy Kirlianami, nie istotami z Andromedy czy Drogi Mlecznej. Miałem nadzieję, że nim razem zagaśniemy... .

Doskonale ją rozumiał. Ale coś w nim również zmuszało go do oporu.

— Tak może być — zagrał. — Ale pod warunkiem, że wygrasz mi całą prawdę. Jesteś zawodową łowczynią, potrafisz żyć, a zapewne i umrzeć bez wzruszeń. Czego naprawdę ode mnie żadasz?

Może chciał tylko udowodnić męską dominację? Stawkę znali oboje: formuły, które on ma w pamięci. Wygra ta galaktyka, która je posiadzie. Nie mógł dać się skusić do wyjawienia tych informacji galaktyce Andromedy.

Zagrała krótką, niezwykle ponętą melodię wyrażającą posłuszeństwo.

— Masz pamięć eidetyczną.

— Tak, oczywiście. Ty nie?

— Nie. Mam wiele talentów, lecz tego mi akurat brak. W przeciwnym razie natych-

miast zapamiętałabym równania, które wywołałeś w polu Starożytnych, i przesłałabym je do naszej stacji retransmisyjnej.

— Było tam znacznie więcej, niż sami wiecie? — Wiedział o tym, lecz chciał potwierdzenia.

— Dużo więcej. Znalezisko w Hiadach było najlepiej zachowane ze wszystkich w całej gromadzie galaktycznej. W tych równaniach zawarta jest wiedza wyprzedzająca naszą o tysiąclecia. Zapewne cała wiedza o energii. Gdybyśmy ją posiadali, nie byłoby potrzeby odbierania energii innym galaktykom.

— I dlatego chcesz, bym przekazał te równania waszym technikom.

— Waszym również! Zniknąłby powód wojny między galaktykami!

Zaskoczyła go. Nie ta czy inna galaktyka, lecz obie, połączone we wspólną cywilizację, etyka energii zaś zbliża je do siebie, nie dzieli? Była to piękna wizja, nęcąca.

— Czemuś mi tego nie powiedziała na początku?

— Wiedziałam, że mi nie uwierzysz...

— Więc musiałaś mnie najpierw zmiękczyć. Dobrze wyliczone.

To był właśnie jego rzeczywisty zarzut. Ogarnęła go swym umysłem i powabami aury, a nie znosił, gdy ktoś manipulował nim, wykorzystywał lub zwodził. Tak długo, jak próbowała go w jakiś sposób zmiękczyć, wprowadzała go w błąd, i nie mógł na to pozwolić.

— Byli również... — Zgubiła nutę i musiała zacząć na nowo — Orion i Diana. Użyłam sytuacji politycznej jako pretekstu, by wyjaśnić własną. Pozostało niewiele czasu. Nie wiem jak...

— Jak kochać? — spytał.

Taki obrót odmienił gwałtownie jego stanowisko. Jeśli nie grała w miłość dla celów politycznych, ale politykę w imię miłości, której nie potrafiła wyznaczyć...

— A chciałybyś?

Jej muzyka umilkła zupełnie i zapadła niezręczna cisza. Wiedział, że jest uwarunkowana, i miał pewność, iż jej galaktyka posiada do tego celu wystarczające środki. Jeśli więc uzależnienie to wciąż jeszcze działa, nie mógł jej ufać.

I w końcu pojedynczy, słaby, niemal bezgłośny akord.

— Tak.

Czy może jej wierzyć? Uwarunkowana czy nie, była piekielnie sprytną i bezlitosną łowczynią. Jednak zew Kirliana mógł przeważyć inne względy. Tamci nie mogli ingerować w jej aurę nie zabijając agentki.

— Udowodnij to.

— Nie wiem jak. — Jej muzyka brzmiała błagalnie.

— Mogę ci pokazać, jak się kocha, gdy już rozszyfruję sposób mintakański. Mam doświadczenie.

W kilku Sferach. Lecz przed oczyma stanęło mu ciało Honeybloom wystawione na żer drapieżników, symbol utraty jego uczucia nie z jej winy; odrażająca wizja. Miłość Honeybloom była szczerą, jego zbrukana.

— Chcę, abyś udowodniła szczerą intencję w sprawie wspólnoty galaktycznej.

Zagrała melodię-szyfr i drzwi się otworzyły.

— Mogę wyjść? — zapytał niepewnie Flint.

— Pod warunkiem, że będę mogła przekazać te informacje do mojej stacji, nim zaniknie twoja aura i zapomnisz całej wiedzy Starożytnych.

— Nie wierzę.

— Więc to ty nadaj oba posłania. Zdradzę ci lokalizację naszej stacji podając kod.

Przynęta była zbyt kusząca. Gdzie jest pułapka?

— Przekaż do Obecnych Jednostek Rady Andromedy: *, -, : , % lub do władz / w mojej własnej Sferze. * jest zawsze na nasłuchu. Przekaż im, że dajesz tę informację obu galaktykom pod warunkiem, że przerwą wszelkie wrogie działania. Jeśli Rada wyrazi jednomyślność, możesz jej zaufać.

— Mogą zamiast tego przystąpić do decydującego uderzenia.

— Więc zamknij mnie tutaj. Możesz przestroić drzwi na własną nutę. Rób, co uważasz za najlepsze; wierzę w twój osąd.

— W porządku — mruknął Flint. Wciąż nie dowierzając swemu pozornie oczywistemu zwycięstwu podszedł do drzwi. Pomagając sobie pamięcią nosiciela przestroił melodię i zamknął drzwi. Andromedanka nie protestowała.

Wezwał pojazd na drucikach i po chwili pojawił się jeden z nich. Wsiadając do środka wiedział, że nie musi wcale wracać.

Przedstawicielka Sfery / z Andromedy zaufała mu.

Wysiadł, wrócił do pomieszczenia. Przed drzwiami zanucił szyfr. Andromedanka wydała cichy tryl pytania i nadziei.

— Zapomniałem równań — zagrał Flint.

— Czemu kłamiesz? Dałam ci wolność.

— Już teraz ci ufam. Nie ufam natomiast galaktykom, ani twojej, ani mojej — w kwestii tej techniki. Wygląda na to, że już teraz panuje równowaga sił. Po co mamy się w to jeszcze płatać? Tak chyba będzie najlepiej.

— Nazwiemy je “Melodia” — zagrała.

Flint zamknął drzwi.

SPIS TREŚCI

Prolog	2
1.	9
Flint z Najdalszej	
2.	34
Misja Gniewu	
3.	47
Kil Okrętu	
4	76
Jezioro Marzeń	
5.	84
Kłos Pszenicy	
6	106
Oko Woźnicy	
7.	126
Ogon Małej Niedźwiedzicy	
8.	166
Krwawe zgłoski	
9.	174
Córki Tytana	
10.	212
Oślepienie Giganta	